PIĘĆDZIESIĄT LAT PROWINCJI WIELKOPOLSKO-MAZOWIECKIEJ TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

1926-1976

Postquam anno superiore, propter nimiam territorii amplitudinem ac latissima non solum laborum sed etiam sociorum incrementa, Provinciae Poloniae administratio ita divisa est, ut pars quae dicitur Polonia Minor curae Viceprovincialis committeretur, hanc autem divisionem gratulantibus felicem fuisse eventus omnino probavit, tempus esse censemus ultra progredi et id quod divisa administratione praeparatum est iam ipsius Provinciae divisione absolvere atque perficere. Itaque nos, auditis Patribus Provinciali et Viceprovinciali eorumque Consultoribus: et negotio, ut par erat, cum Patribus Assistentibus accurate perpenso: imprimis autem caelesti auxilio Patris luminum crebris fervidisque precibus implorato: pro officii nostri auctoritate, unam Provinciam Poloniae in duas dividimus quae, pristinis fere nominibus repetitis, Poloniae Maioris et Mazoviae altera, altera Poloniae Minoris appelabuntur, et utramque omnibus iuribus, facultatibus, privilegiis quae ceteris Provinciis ex Instituti nostri praescripto conceduntur pari modo instructam esse declaramus. Quae duae porro Provinciae his finibus circumscribentur, ut ea pars quae inde a die 10 octobris anni proximi separatim administrabatur et quae territorium provinciarum ecclesiasticarum Cracoviensis et Leopoliensis adaequat Provinciam Poloniae Minoris, reliqua pars Reipublicae Provinciam Poloniae Maioris et Mazoviae constituat. Sociorum autem distributio, cum ob numerum multo maiorem eorum, qui in Polonia Minore orti sunt, principium quod alias sequi consuevimus applicari non liceat, ea rata habeatur, quam a Patribus Provinciali et Viceprovinciali nobis propositam antea approbavimus, retento iure mutationum faciendarum si quae necessariae vel opportunae visae fuerint. Bona temporalia [illegible] dividentur quam die 8 iunii approbavimus. Ad tres Missiones quod attinet, Missio Orientalis cum Provincia Poloniae Maioris et Mazoviae, Missiones Rumanica et Rhodesiana Septentrionalis cum Provincia Poloniae Minoris coniungentur. Hoc [illegible] Beatae Mariae Virginis in caelum Assumptae sacro, [illegible] Provinciae domibus super [illegible] plenam secundum leges nostras vim habiturum esse edicimus. Quod reliquum est, Divino Cordi Iesu humillime supplicamus, ut per merita et intercessionem Sanctissimae Dei Genitricis Mariae...

Datum Romae, die S. Ignatii, 31 iulii 1926.

50 lat
Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego (1926-1976)

Sylwetki i wspomnienia

Rzym 1976

Praca zbiorowa pod redakcją
Felicjana Paluszkiewicza SJ

IMPRIMATUR. ✠ Giovanni Canestri, Vicegerente, Arciv. tit. di Monterano.
Dal Vicariato di Roma 1.VII.1976.

TYPIS PONTIFICIAE UNIVERSITATIS GREGORIANAE — ROMAE

SŁOWO WSTĘPNE

Pięćdziesiąt lat temu, 15 sierpnia 1926 roku, Ojciec Generał Włodzimierz Ledóchowski dokonał podziału ówczesnej Polskiej Prowincji Towarzystwa Jezusowego na Prowincję Małopolską oraz na Prowincję Wielkopolsko-Mazowiecką. Aby rocznica ta nie minęła bez echa, pragniemy w tym tomie ukazać przykładowo niektóre przynajmniej prace, jakie ku chwale Bożej podejmowała, przez swoich ludzi, Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka. Nie było warunków, aby opracować historię Prowincji całościowo. Wachlarz wykonywanych w niej prac duszpasterskich był szeroki. Ujęcie wszystkiego, nawet w formie najbardziej syntetycznej, wymagałoby wielkiego nakładu pracy. Ponadto brak w tej chwili perspektywy czasu, która pozwoliłaby na właściwą ocenę faktów. Dlatego ograniczamy się tylko do wspomnień. Pragniemy, aby zaprezentowana tutaj mozaika sylwetek i prac była wyrazem uznania i wdzięczności dla tych, którzy odeszli oraz zachętą do wysiłku dla tych, którzy dzisiaj podejmują różnorakie inicjatywy dla dobra Ludu Bożego i Ojczyzny.

ks. Tadeusz Koczwara SJ
Prowincjał
Wielkopolsko-Mazowiecki

Warszawa, 22 kwietnia 1976 roku,
w święto Najświętszej Marii Panny
Matki Towarzystwa

Dekret generalski z dnia 31 lipca 1926 roku, ustanawiający dwie nowe prowincje

Roku ubiegłego administracja Prowincji Polskiej z powodu zbyt wielkiego terytorium i bardzo pomyślnego wzrostu nie tylko prac ale i członków została w ten sposób podzielona, że część zwaną Małopolską oddano pod zarząd Wiceprowincjała. Podział ten za sprawą Boga, jak to skutki dowodnie pokazały, był bardzo szczęśliwy, sądzimy przeto, że już nadeszła pora, by uczynić krok dalszy i ten stan, który przez podział administracji został przygotowany, dokończyć i wykończyć przez podział samej Prowincji. Przeto My, zasięgnąwszy zdania Ojców Prowincjała i Wiceprowincjała i ich Konsultorów, i rozważywszy jak należało tę sprawę dokładnie z Ojcami Asystentami, a przede wszystkim uprosiwszy sobie w częstych i gorących modłach pomoc niebieską u Ojca światłości powagą urzędu naszego jedną Prowincję Polską na dwie dzielimy, które zatrzymawszy niemal dawne swoje nazwy, jedna zwać się będzie prowincją Wielkopolski i Mazowsza, druga Małopolski; i oświadczamy, że obie wyposażone zostają we wszystkie prawa, władze i przywileje, których się udziela innym Prowincjom z Instytutu naszego.

Granice zaś tych dwóch Prowincji takie będą, że ta część, która od 10 października roku ubiegłego miała osobny zarząd i która pokrywała się z terytorium krakowskiej i lwowskiej prowincji kościelnej, stanowić będzie Prowincję Małopolski; reszta zaś Rzeczypospolitej Polskiej stanowić będzie Prowincję Wielkopolski i Mazowsza. Co się zaś tyczy podziału członków, ponieważ znacznie większa ich część pochodzi z Małopolski, nie można było zastosować tej zasady, którąśmy zwykle stosowali, dlatego ten za ważny uznać należy, który uprzednio przedłożyli nam Prowincjał i Wiceprowincjał i któryśmy zatwierdzili, zatrzymawszy sobie prawo zmian, jeśliby się okazały konieczne lub stosowne. Dobra zaś doczesne tak będą podzielone, jak to zatwierdziliśmy 8 czerwca.

Co się tyczy trzech Misji, to Misja Wschodnia zostaje połączona z Prowincją Wielkopolski i Mazowsza. Misja Ru-

muńska i Rodezji północnej z Prowincją Małopolski, w ten jednak sposób, żeby przez kilka przynajmniej lat jedna i druga Prowincja starała się w duchu bratniej i wielkodusznej miłości wspomagać tak osobami jak i pieniądzmi wszystkie trzy Misje i do ich rozwoju się przyczyniać.

Członkowie zaś wszyscy, z których się cała Prowincja Polski w dniu 15 sierpnia składa, na znak wzajemnej miłości i wdzięcznej pamięci, nawet po dokonanym podziale odprawiać będą za siebie zwyczajne modły za zmarłych w obojej Prowincji, dlatego śmierć ich należy ogłaszać w jednej i drugiej Prowincji.

Ten dekret, w sam dzień 15 sierpnia, poświęcony Najświętszej Pannie Wniebowziętej, ma być według zwyczaju ogłoszony przy stole we wszystkich domach obojej Prowincji. Ogłaszamy, że w tenże dzień według praw naszych pełnej mocy nabiera.

Wreszcie pokornie błagamy Boże Serce Jezusa, żeby dla zasług i wstawiennictwa Najświętszej Bogarodzicielki Maryi, św. O. N. Ignacego, św. Stanisława Kostki i bł. Andrzeja Boboli, to cośmy wyżej postanowili raczył zatwierdzić i wzmocnić i obojej Prowincji najmiłościwiej pobłogosławić, wylewając na nie taką obfitość łask, iżby zdolne były do przynoszenia jak najliczniejszych i najradośniejszych owoców w całej Polsce i w Misjach Prowincjom Polski przydzielonym na większą chwałę Boga.

Dane w Rzymie, w uroczystość św. Ignacego, 31 lipca 1926 roku.

[Tekst za *Nasze Wiadomości* 8:1926-1927 s. 100-103]

Proszę Cię pokornie, najmilszy i wdzięczny Czytelniku, jeśli się co z nieumiejętności pobłądziło, abo z niepamięci opuściło, abo dla kwapienia nie obaczyło, abo dla krótkości nie wyraziło i nie wspomniało, abo nieozdobnie wymówiono jest, abyś przyganiając mi, mnie miłował i robotę wdzięcznie przyjął z modlitwą za grzesznego i słabego robotniczka i kmiotka Chrystusowego.

ks. Piotr Skarga SJ,
Roczne dzieje kościelne.
Kraków 1603

ks. Felicjan Paluszkiewicz SJ

OJCIEC GENERAŁ LEDÓCHOWSKI

Włodzimierz Ledóchowski urodził się 7 października 1866 r. w Loosdorf, k. St. Pölten (na zachód od Wiednia). Jego ojcem był Polak, hr. Antoni Ledóchowski, matką Szwajcarka, hr. Józefa Salis-Zizers. Spośród dwanaściorga rodzeństwa Ledóchowskich, troje odegrało znaczną rolę w życiu Kościoła: bł. Maria Teresa (ur. 1863), założycielka Sodalicji św. Piotra Klawera; Julia Maria (ur. 1865), założycielka Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego, tzw. szarych urszulanek oraz Generał jezuitów.

Szkołę podstawową ukończył Włodzimierz w St. Pölten, dokąd przenieśli się rodzice celem umożliwienia dzieciom nauki. We wrześniu 1877 r. został uczniem cesarskiego gimnazjum Teresianum w Wiedniu. Stał się chlubą szkoły. Ukończył ją w 1883 r. odznaczony, jako najlepszy uczeń, złotym medalem.

Był pierwszy nie tylko w nauce, ale i w sporcie. W jeździe konnej i w strzelaniu zdobył taką sprawność, iż górował nawet nad swoim bratem Ignacym — uczniem szkoły wojskowej (późniejszym generałem wojska polskiego). U kolegów jednak zyskał sobie Włodzimierz przydomek nie ułana czy kawalerzysty, ale papieża; a to dlatego, że wieczorem przy łóżku w internacie odmawiał pacierz klęcząco.

W 1882 r. rodzina Ledóchowskich powróciła do Polski. Osiedlili się w Lipnicy Dolnej k. Bochni.

Po ukończeniu Teresianum, nie mając jeszcze dostatecznie wykrystalizowanego powołania do kapłaństwa, w 1884 r. zapisał się Włodzimierz — zgodnie z wolą ojca, który marzył dla niego o karierze dyplomatycznej — na wydział prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. W rok później, po śmierci ojca (21.2.1885), rozpoczął 3 października studia w seminarium duchownym w Tarnowie. W 1887 r. wyjechał do Rzymu, gdzie jako alumn Germanicum uczęszczał na Uniwersytet Grego-

riański. W czerwcu 1889 r., po doktoracie z filozofii, powrócił do kraju.

14 września 1889 r. otrzymał Ledóchowski od swojego ordynariusza, bpa Ignacego Łoboza, zgodę na wstąpienie do Towarzystwa Jezusowego. We wtorek, 24 września, w święto Matki Bożej od wykupu niewolników, jako 22-letni kleryk opuścił dom rodziny i udał się do nowicjatu w Starejwsi k. Brzozowa (woj. krośnieńskie).

Śluby zakonne złożył Włodzimierz 29 września 1891 r. Po nowicjacie został zatrzymany na roczny kurs retoryki, aby nabrał wprawy we władaniu językiem polskim. Później, ponieważ filozofię ukończył już w Rzymie, został wysłany do Krakowa na teologię, gdzie jako byłemu alumnowi seminarium w Tarnowie zaliczono pierwszy rok. 10 czerwca 1894 r. otrzymał Włodzimierz z rąk kardynała Albina Dunajewskiego święcenia kapłańskie. Po teologii wyjechał we wrześniu 1895 r. do Tarnopola na probację, która jest ostatnim etapem w urabianiu duchowym i intelektualnym jezuity.

Od stycznia 1897 r. nazwisko o. Ledóchowskiego pojawia się na łamach *Przeglądu Powszechnego*. Najczęściej poruszanym przez niego zagadnieniem był temat wiary. W innych artykułach omawia przeważnie sprawy społeczne.

Publicystyką zajmował się ks. Włodzimierz zaledwie 3 lata. 3 grudnia 1898 r. został bowiem mianowany przełożonym jezuickiego domu przy Małym Rynku w Krakowie. Rządy oraz zajęcia duszpasterskie przerwały mu pisarską pracę.

Jako superior domu św. Barbary przy Małym Rynku poświęcał o. Ledóchowski wiele czasu pracom społecznym. Roztoczył przede wszystkim opiekę nad terminatorami. Stanowili oni poważny problem. Z okolicznych wiosek napływali ciągle do Krakowa młodzi chłopcy, którzy chcieli uczyć się rzemiosła. Zagubieni w mieście, szukając dachu nad głową mieszkali w starej, płaszowskiej cegielni albo wędrowali po strychach i piwnicach, aby schronić się przed zimnem czy deszczem. Nie mając żadnej opieki deprawowali się szybko. Trzeba im było wychodzić naprzeciw, troszczyć się o to, aby znaleźli pracę, aby nie byli wyzyskiwani przez nieuczciwych majstrów, aby nie głodowali i nie pracowali ponad siły, aby wreszcie należycie wykorzystywali wolne godziny. Tych potencjalnych

przestępców, którzy z głodu gotowi byli kraść, starał się o Ledóchowski uczynić pożytecznymi dla społeczeństwa.

Oprócz terminatorów rozciągnął moralną opiekę nad służącymi Krakowa oraz nad dozorcami domowymi. Po dwóch latach rządów doszedł na swoich rekolekcjach do wniosku, że jako przełożony powinien więcej czasu poświęcić współbraciom, a działalność na zewnątrz pozostawić innym. Odtąd już zasady, że pierwszoplanową troską przełożonego są jego podwładni, przestrzegał do końca życia.

17 lipca 1900 roku o. Ledóchowski otrzymał nominację na rektora kolegium jezuickiego w Krakowie na Wesołej.

25 marca 1901 r. (pomimo, iż nie osiągnął jeszcze przepisanych prawem zakonnym lat pobytu w Towarzystwie) złożył o. Ledóchowski uroczyste śluby. W tym samym dniu został mianowany wiceprowincjałem ówczesnej Prowincji Galicyjskiej, a w rok później (21.2.1902 r.) jej prowincjałem.

Jako prowincjał położył nacisk na selekcję przy przyjmowaniu do Towarzystwa oraz zatroszczył się o należytą obsadę nowicjatu i domów studiów. Skierował tam ludzi najlepszych.

W pracach podejmowanych przez Towarzystwo był przeciwnikiem « rezydencjonalizmu », czyli tradycyjnego stylu apostołowania, gdzie grono duszpasterzy starało się tylko utrzymać przy swoim kościele jak najwięcej nabożnych kobiet. Miał świadomość, że zakon, jeżeli chce wywiązać się z zadań, jakie nakłada nań Kościół, musi poświęcić swoje siły pracom specjalnym, których nie ma możliwości wykonać kler diecezjalny.

Najbardziej zależało mu na misjach ludowych. Przełom XIX i XX stulecia niósł ferment, który w dużej mierze odrywał ludzi od Boga. Dlatego też o. Ledóchowski zatroszczył się o odpowiednie przygotowanie kadry kaznodziejów, którzy objeżdżając ziemie polskie pouczali wiernych o prawach bożych i prostowali błędne pojęcia.

Drugą sprawą, jaką uznał za potrzebę chwili, choć nie miała ona tak wielkiego zasięgu jak misje, była opieka nad młodzieżą robotniczą. Skierował do tej pracy ks. Mieczysława Kuznowicza, wytrawnego wychowawcę, człowieka o wielkim talencie organizacyjnym i o szerokim sercu. Uznając zasługi o. Ledóchowskiego na polu społecznym Uniwersytet Stefana

Batorego w Wilnie nadał mu później (10.10.1929 r.) doktorat honorowy.

Zwrócił następnie o. Ledóchowski uwagę na organizacje katolickie. Polecił zwłaszcza unowocześnić i pogłębić pracę w Sodalicjach Mariańskich. Powinny one stać się bardziej czynne i brać żywy udział w działalności Kościoła. Doceniając przy tym konieczność duchowego urobienia katolików świeckich otworzył w Czechowicach (Górny Śląsk) dom rekolekcyjny.

Jego troska o sprawę Chrystusa nie zacieśniała się do zaspokojenia partykularnych potrzeb własnego zaścianka. Widział zagadnienia, które dojrzewały poza granicami jemu powierzonej prowincji. Dopomagał materialnie o. Janowi Beyzymowi, który pracował wśród trędowatych na Madagaskarze. Na Podlasie, gdzie carat prześladował katolików, wysyłał potajemnie kapłanów, którzy wędrując nieraz jako domokrążni handlarze, nieśli religijną pociechę ciemiężonym. Poza tym wysyłał misjonarzy do pracy wśród uchodźstwa polskiego w Ameryce i do polskich robotników sezonowych w Niemczech.

Talent przełożonego, który wykazał o. Ledóchowski już jako rektor krakowskiego kolegium, na urzędzie prowincjała zajaśniał pełnym blaskiem. Rozpoczął bowiem rządy niesłychanie młodo. Umysł miał świeży, wolę pełną dynamizmu. Wielu z podziwem patrzyło, jak stanowczo urzeczywistniał swoje plany.

Wiedząc, iż powodzenie niejednego dzieła zależy w dużej mierze od jego spopularyzowania, wydaje *Wiadomości z Prowincji,* ażeby wszystkim stało się bliskie to, co robią ich współbracia.

We wszystkim starał się być wierny Chrystusowi. Przed podjęciem najmniejszej decyzji oczy kierował zawsze na krzyż. Z jego listów prowincjalskich bił zawsze duch nadprzyrodzony. Nie bawił się w naukowe spekulacje, ale zwięźle wykładał zamiar, który chciał przeprowadzić. Jego list o zadaniach przełożonego został przetłumaczony na inne języki i rozesłany po wielu prowincjach.

W dniu 18 kwietnia 1906 r. zmarł 24-ty generał Towarzystwa Jezusowego, o. Ludwik Martin. Na dzień 31 sierpnia została zwołana do Rzymu Kongregacja Generalna, która miała wybrać nowego przełożonego generalnego jezuitów. Już wtedy

o. Ledóchowskiego, najmłodszego ze wszystkich obecnych na Kongregacji, wysuwano jako kandydata na następcę o. Martina. Ostatecznie jednak przełożonym generalnym został wybrany rektor Gregorianum, sławny kanonista, o. Franciszek Wernz. Po wyborze generała przystąpiono do wyboru asystentów. Każdy asystent (było ich wówczas pięciu) reprezentował wobec generała zespół prowincji zakonnych uformowanych w tzw. asystencję i miał za zadanie informować generała, co dzieje się w rejonie jemu powierzonym. Asystentem asystencji niemieckiej, w skład której wchodziła obok Niemiec, Belgii, Holandii i Austrii także polska prowincja Galicji, został obrany prowincjał tej ostatniej, tj. o. Ledóchowski. Wkrótce stał się on prawą ręką uczonego generała, który jako naukowiec nie zawsze miał rozpoznanie spraw praktycznych związanych z administracją, nie umiał okazać im należytego zrozumienia i zainteresowania. Dzięki inicjatywie o. Ledóchowskiego wiele zmieniło się w kancelarii generała. W aktach Kurii zapanowała przejrzystość i ład.

Jako asystent odbywał o. Ledóchowski podróże wizytacyjne po powierzonym sobie terenie. Przygotowywał się do tych wyjazdów sumiennie. Zapoznawał się najpierw z kulturą, historią i życiem gospodarczym kraju, który miał wizytować. Czynił to tak gruntownie, iż niektórzy biskupi mawiali, że lepiej zna ich diecezje niż oni sami.

28 sierpnia 1914 r. zmarł o. Franciszek Wernz. 11 lutego 1915 r. Kongregacja wybrała przełożonym generalnym Towarzystwa Jezusowego o. Włodzimierza Ledóchowskiego. Na skutek Wielkiej Wojny musiał jednak opuścić Włochy i przenieść się do któregoś z krajów neutralnych. Wybrał Szwajcarię. Osiadł w Zizers (kanton Grisons), skąd rządził 17.000 ludzi przez ponad trzy i pół roku. Dopiero w końcu grudnia 1918 r. powrócił do Rzymu.

Życie o. Ledóchowskiego było ustawicznym wyścigiem pracy. Zdawał sobie sprawę, iż jej wydajność zależy w dużym stopniu od należytej organizacji. Dlatego też od razu zabrał się energicznie do reformy Kurii Generalskiej. Scentralizował w niej wszystkie dzieła Towarzystwa. Nie mając na to odpowiednich pomieszczeń, postanowił wznieść w Rzymie jeszcze jeden gmach. Nabył w tym celu plac niedaleko Watykanu. Pomimo, iż wszyscy byli tej budowie przeciwni, w 1927 r.

stanął budynek o fasadzie 190 m długiej i 24 m wysokiej. Styl budowli kazał dostroić do otoczenia, ażeby nie raził zbytnią nowoczesnością.

Po wzniesieniu gmachu Kurii zabrał się do przygotowania odpowiedniego budynku dla głównej uczelni Towarzystwa, Papieskie Uniwersytetu Gregoriańskiego. Wobec ciągłego rozwoju nauki Uniwersytet musiał rozbudowywać katedry, powiększać specjalizacje, a to z kolei wymagało pomieszczeń. Chociaż Pius XI nie obiecywał początkowo żadnej pomocy materialnej, a kasa Towarzystwa była pusta po wzniesieniu gmachu Kurii, o. Ledóchowski rozpoczął budowę. Po dwu latach stanął w centrum miasta gmach o kubaturze 200.000 m^3.

Gdy pomieszczenie było gotowe, powiększył na uczelni kadrę profesorską z 28 do 50 pracowników naukowych. Uzupełnił zasoby biblioteki. Wyposażył Uniwersytet we własną drukarnię. Celem przygotowania laikatu otworzył przy Uniwersytecie Instytut Wyższej Wiedzy Religijnej dla świeckich.

Pierwszym dziełem, jakie o. Ledóchowski wziął na warsztat jako generał, była kodyfikacja Instytutu Towarzystwa. Do Konstytucji napisanych przez św. Ignacego Loyolę przed 400 laty dochodziły w ciągu wieków coraz to nowe ustawy. Wiele z nich było już przestarzałych. Dlatego też konieczną okazała się kodyfikacja ustaw zakonu przeprowadzona na wzór Kodeksu Prawa Kanonicznego. Rozpoczął tę pracę o. Franciszek Wernz. Chociaż był prawnikiem, nie zdołał jednak uporać się z tą żmudną robotą. Trzeba było bowiem nie tylko usunąć przepisy nieaktualne, lecz także uczynić prawo bardziej zwięzłym i jasnym oraz ujednolicić sformułowania poszczególnych ustaw z terminologią Prawa Kanonicznego.

Na dzień 8 września 1923 r. zwołał o. Ledóchowski Kongregację Generalną, która miała zatwierdzić *Epitome Instituti*, owoc jego wieloletniej pracy. Tekst *Epitome* został uznany za zgodny z prawem i tradycją Zakonu. Potwierdził go później Pius XI wydając breve *Paterna Charitas*.

Epitome Instituti Societatis Iesu jest klasycznym dziełem o. Włodzimierza Ledóchowskiego. Świadczy o jego wielkim umyśle oraz zdolnościach metodycznych i organizacyjnych.

Dokonawszy kodyfikacji prawa zakonnego zabrał się o. Ledóchowski do reformy studiów w Towarzystwie. Jezuicka *Ratio studiorum* uznawana kiedyś za genialną nawet przez najbar-



1. Bydgoszcz — parafia św. Andrzeja Boboli



2. Gdańsk — parafia św. Andrzeja Boboli

dziej zagorzałych wrogów Kościoła, była już przestarzała. O jej reformę wołano od wskrzeszenia jezuitów (1814 r.). Myślał już o niej o. Jan Roothaan. Po ogłoszeniu w 1931 r. konstytucji Piusa XI *Deus scientiarum Dominus* odnowa studiów w zakonie była sprawą nie cierpiącą zwłoki. Podjął się przeto o. Ledóchowski dzieła, którego nie mieli odwagi ruszyć jego poprzednicy. Powołał do życia specjalne komisje. Owocem ich pracy był nowy statut studiów w Towarzystwie Jezusowym, zatwierdzony przez Kongregację Generalną w 1938 r.

Chociaż o. Ledóchowski nie był nigdy na misjach, nikt z ludzi jego pokolenia nie zdziałał dla misji tyle, co on. Misje stanowiły dla niego nie jakiś dodatek do prac apostolskich Kościoła, ale nieoddzielną część pola walki o Królestwo Chrystusa w duszach ludzkich. Ponieważ na misjach nie chodziło o zachowanie stanu posiadania ale o zdobywanie, na misje zwracał o. Generał szczególną uwagę. Misjonarze Towarzystwa dotarli do wszystkich zakątków ziemi, od Alaski po maleńkie wysepki Archipelagów Oceanu Spokojnego, Argentynę czy Mozambik. W 1924 r. otworzył przy Kurii Generalnej w Rzymie osobny sekretariat dla misji. Wyposażył go między innymi w 4.000 tomową bibliotekę specjalistyczną. Położył nacisk na propagandę misyjną. Polecił wydawać *Nuntii de missionibus.* Do popularyzacji idei misyjnej kazał wykorzystać film, książki, czasopisma, ulotki.

W 1925 r. zwołał kongres misjonarzy podkreślając, iż Towarzystwo Jezusowe z Instytutu swego jest zakonem misyjnym. Napiętnował tych, którzy dbali tylko o własne podwórko nie doceniając potrzeb całego Kościoła. Wyraził obawę, iż utracą powołania te kraje, które nie dają misjonarzy.

W akcji misyjnej o. Ledóchowski kładał nacisk na pracę oświatową. Widział konieczność uniwersytetów misyjnych w Indiach, w Tokio, w Szanghaju i w Tien-cin. Gdy niektórzy hierarchowie domagali się zlikwidowania 7 jezuickich akademii w Indiach motywując swoje zdanie tym, że większość słuchaczy na powyższych uczelniach stanowią nie przyjmujący chrztu poganie, o. Ledóchowski odpowiedział na zarzuty 200-stronicowym memoriałem, wytrącającym z ręki opozycji wszystkie argumenty.

Wielką wagę przywiązywał do misji w Japonii. W 1915 r. pracowało na niej zaledwie ośmiu misjonarzy. O. Ledóchowski

zwiększył ich liczbę do 102 oraz podjął decyzję budowy nowego, zaspokajającego potrzeby uczelni gmachu uniwersytetu katolickiego w Tokio.

W swoich planach misyjnych nie pominął muzułmanów. Z tym tylko, że możliwość pozyskania dla Chrystusa mahometan widział przede wszystkim w akcji charytatywnej. Ażeby przygotować na ten odcinek pracy odpowiednich ludzi polecił otworzyć w Instytucie Orientalnym w Rzymie katedrę islamologii oraz języka arabskiego.

Ostatnią z podjętych przez o. Ledóchowskiego prac misjologicznych było opracowanie historii misji katolickich. Rozpoczęto w tym celu wstępne prace, ale zakrojone na szerszą skalę dzieło przerwała II Wojna Światowa.

Stały wzrost personalny Towarzystwa wymagał także dzielenia niektórych prowincji zakonnych. Jednym z tych aktów, które należały do Generała, było utworzenie w 1925 r. wiceprowincji Małopolskiej z siedzibą wiceprowincjała w Krakowie, a w 1926 r. podział jednej Prowincji Polskiej na dwie niezależne jednostki administracyjne: Prowincję Wielkopolsko-Mazowiecką i Prowincję Małopolską (obecnie Południową).

Sygnalizując inne zasługi o. Ledóchowskiego w reorganizacji prac jezuickich wypada przynajmniej wspomnieć o zdynamizowaniu prac Towarzystwa w organizacjach kościelnych. Podobnie jak na urzędzie prowincjała tak i teraz jako generał starał się o to, ażeby Sodalicje Mariańskie wyzwolić z piętna bigoterii i uczynić z nich narzędzie pomocniczego apostołowania. Ganiąc ospałość niektórych moderatorów domagał się, aby każda Sodalicja miała odpowiedni lokal, bo « organizacja bez pomieszczenia jest jak rzemieślnik bez warsztatu » oraz polecił, aby każda Sodalicja dysponowała księgozbiorem, który umożliwiłby krzewienie należytej kultury religijnej wśród osób zrzeszonych w danej organizacji. Podobne sugestie skierował pod adresem Apostolstwa Modlitwy.

Zależało mu bardzo, ażeby w pracach nad pogłębieniem życia wewnętrznego nie dać zwieść się fałszywej, subiektywnej ascezie. Chciał, by opierała się ona na solidnej podbudowie teologicznej. Dlatego zatroszczył się, ażeby wydawano periodyki podające zdrową naukę Kościoła. Powstały redakcje *Revue d'ascetique et de mystique, Zeitschrift für Aszese und Mystik, Dictionnaire de spiritualité, Collection: Maîtres spirituels.*

Wśród różnych środków apostołowania doceniał więc także o. Generał rolę słowa drukowanego. Dlatego też i ten kierunek pracy starał się w Towarzystwie Jezusowym należycie ustawić. Przede wszystkim zwraca uwagę, że pracownicy pióra poszczególnych prowincji powinni łączyć się w większe zespoły i współpracować. Ułatwi im to wykonywanie podjętych zadań, umożliwi pełniejsze wykorzystanie wszelkich pomocy, a zwłaszcza pozwoli na lepszy rozwój zaplecza każdej pracy pisarskiej, którym jest biblioteka.

Duży nacisk kładł na redagowanie periodyków. 8 grudnia 1916 r. wydał nawet w tej sprawie specjalną instrukcję. Ilościowym wyrazem jego starań o rozwój czasopiśmiennictwa jest fakt, iż w roku 1915 wydawali jezuici 300 periodyków, a w roku 1937 — 1112.

W trosce o popularyzację Zakonu powołał do życia dwa centralne wydawnictwa seryjne: *Archivum Historicum Societatis Iesu* oraz *Memorabilia Societatis Iesu.* Ponadto zreorganizował *Monumenta Historica Societatis Iesu* i przeniósł ich redakcję do Rzymu.

O. Ledóchowski był jeszcze w pełni aktywny, gdy przyszła choroba. 9 września 1942 r. zasłabł. Lekarze stwierdzili jakiś wewnętrzny wrzód. Musiał poddać się operacji. Po kilku dniach z rany zaczęła sączyć się ropa. Cięcie nie goiło się. Ostatnim dniem jego życia była niedziela, 13 grudnia. Zmarł o godz. 18.45.

Gdy wystawiono w kościele ciało o. Ledóchowskiego, tłumy schodziły się do jego zwłok. Wierni pocierali o jego trumnę różańce i medaliki. Pochowano go na Campo Verano w Rzymie. Na jego nagrobku zamiast tradycyjnego *Requiescat in pace* zamieszczono życzenie *Beatus vivas in pace, pro filiis suis intercedens.*

O. Ledóchowski, pomimo iż jego matka była cudzoziemką, a lata dziecięce i wczesną młodość spędził w środowisku austriackim, czuł się zawsze Polakiem. Rodzicom Włodzimierza zależało na tym, aby ich dzieci uczyły się języka polskiego i zaznajamiały się z ojczystą kulturą.

Toteż o. Ledóchowski jako generał jezuitów żywo interesował się sprawami Polski. Sam wyznał kiedyś, że wiele dopomógł Polsce, gdy powstawała z niewoli. W okresie międzywojennym brał zawsze żywy udział w zebraniach Polonii rzym-

skiej. Słuchając kiedyś w kościele św. Stanisława w Rzymie kazania o miłości Ojczyzny, rozpłakał się.

Najbardziej okazał swoją miłość dla Polski w czasie ostatniej wojny. Zbierał skrzętnie wszelkie dowody zbrodni hitlerowskich w Polsce. Polecił sporządzenie szczegółowego opisu morderstw, deprawacji moralnej, niszczenia przejawów kultury polskiej. Opracowany w języku francuskim materiał dowodowy przekazał Ojcu św. oraz niektórym dyplomatom rządów zarówno z obozu alianckiego jak i faszystowskiego. Prostował, gdzie mógł, kłamstwa jakie siała po świecie niemiecka propaganda.

W sierpniu 1940 r. przysłał o. Ledóchowski do Krakowa o. Józefa Grisara, profesora Uniwersytetu Gregoriańskiego, aby jako Niemiec próbował interweniować w sprawie jezuitów polskich u gubernatora Franka. Niewiele brakowało, a wizyta ta skończyłaby się tragicznie dla o. Grisara. Wydano już nakaz jego aresztowania. Wydostał się z rąk gestapo jedynie dzięki wpływom w Berlinie swego kolegi, z którym studiował kiedyś na uniwersytecie.

Wyczerpawszy wszystkie dostępne sobie możliwości interwencji w sprawach Polski starał się o. Ledóchowski przynajmniej materialnie dopomagać Polakom. Składał ofiary pieniężne na Czerwony Krzyż, udzielał stałej pomocy finansowej polskiej kolonii w Rzymie. W miarę możliwości przesyłał zasiłki do kraju. Bolał nad tym, iż nie może ulżyć doli swoich współbraci cierpiących w niemieckich obozach koncentracyjnych. Było ich ponad 200. Nie dał mu Bóg dożyć dnia ich wyjścia na wolność. Doczekał jedynie tego, iż na jego grobie spoczęła wiązanka kwiatów ozdobiona orłem polskim i biało-czerwonymi wstęgami złożona ręką ambasadora Polski przy Watykanie.

Poznając o. Ledóchowskiego jako przełożonego najliczniejszego w Kościele katolickim zakonu warto nań spojrzeć jeszcze jak na zwykłego człowieka. Trzeba ocenić jego reakcje i zachowanie nie tylko w wielkich, ale i błahych codziennych sprawach.

Pomimo iż pochodził z narodu surowo sądzonego w opinii obcych, każdy kto go znał, chylił czoło przed jednostką o wielkim umyśle i silnym charakterze. Jego współpracownicy po-

dziwiali w nim zawsze żelazną wolę panującą nad wątłym organizmem.

Jedną z zasadniczych cech o. Ledóchowskiego była głęboka pokora. Wprawdzie będąc Polakiem miał temperament wybuchowy, i czasami impulsywnie reagował na to, co było nie po jego myśli, ale od razu analizował przyczyny swojej niecierpliwości i oskarżał się przed Bogiem w swoich duchowych zapiskach, że szukał siebie, że uważał się za coś więcej niż inni, choć był tylko marnym stworzeniem. Poskramianie temperamentu, którego wybuchowość kładł na karb pychy, udawało mu się znakomicie. Pomimo wielkiej erudycji (władał biegle pięcioma językami, a rozumiał jeszcze język hiszpański i angielski) potrafił zachowywać niesłychaną prostotę.

W 1917 r. zjawił się w domu jezuickim w Zizers w Szwajcarii jeden z generałów polskich. Wysłany był przez Naczelny Komitet Narodowy celem załatwienia jakiejś sprawy z o. Ledóchowskim. Zobaczywszy przy furcie jakiegoś niepozornego zakonnika odezwał się do niego: « Braciszku, zawołajcie mi generała jezuitów ». Nie chciał później dać wiary, że ów pełen prostoty zakonnik, którego wziął za braciszka, jest właśnie przełożonym generalnym Towarzystwa Jezusowego.

Wiele czasu zajmowało o. Ledóchowskiemu przyjmowanie wizyt. Przychodzili do niego na rozmowy nie tylko ci, którymi kierował, nie tylko dostojnicy duchowni, ale i dyplomaci świeccy, częstokroć reprezentujący państwa akatolickie. Na widzenie nigdy nikomu nie kazał czekać. Każdego przyjmował natychmiast, nawet jeśli to była pora obiadowa. Każdy, kto rozmawiał z nim, odnosił wrażenie, że « czarny papież » nie ma nic innego do roboty, jak tylko zajmować się nim samym. Postawiwszy wysoko ideał służby człowiekowi, miał czas dla każdego.

Realizując praktyczną miłość bliźniego na co dzień, macierzyńską wprost troską otaczał chorych. Odwiedzał nie tylko tych, z którymi żył pod wspólnym dachem. Pamiętał także o mieszkających w innych domach i do nich także zachodził.

W życiu zakonnym lekarstwo na wszystkie niedomagania widział o. Ledóchowski w wiernym zachowaniu Instytutu Towarzystwa. Wychodząc z założenia « jaki pasterz, taka trzoda », dbał wiernie o zachowanie najdrobniejszych przepisów.

Wracając z podróży zdawał o. ekonomowi dokładne sprawozdanie z poczynionych wydatków.

Pobożność o. Ledóchowskiego można by nazwać pobożnością liturgiczno-biblijną. Całe jego życie wewnętrzne koncentrowało się bowiem wokół Najśw. Ofiary i Pisma świętego. Mszę świętą nazywał szkołą wszelkiej doskonałości. W brewiarzu porobił sobie notatki do wszystkich psalmów, ażeby mógł bardziej owocnie korzystać z tej modlitwy kościoła. Z jego prywatnych notatek dotyczących życia wewnętrznego jakie sporządzał w języku polskim, widać wyraźne reminiscencje biblijne. Modlitwa była dla niego źródłem siły. Towarzyszyła mu ona we wszystkich czynach. Był ustawicznie zjednoczony z Bogiem. Pamiętał jednak na słowa Zbawiciela: *Módlcie się w skrytości.* Nic byśmy nie wiedzieli o jego nieustannej modlitwie w czasie pracy, gdyby nie zdradziły nam tego jego osobiste zapiski. Poza Pismem św., podręcznikiem pobożności była dla niego książeczka Tomasza a Kempis *O naśladowaniu Chrystusa,* z której korzystał często, w której poczynił wiele podkreśleń i notatek na marginesie.

Najlepszą próbą charakteru, w której człowiek zdejmuje maskę pozy, jest cierpienie. W czasie ostatniej choroby o. Ledóchowski cierpiał straszliwie. Starał się jednak opanować. Mimo boleści nie jęczał. Tłumił ból w sobie. Gdy mu proponowano uśmierzający zastrzyk mawiał: « Chrystus cierpiał, mogę pocierpieć i ja ». Nadal myślał przede wszystkim o innych. Jeżeli czuwający przy nim brat infirmarz zasnął ze zmęczenia, nigdy go nie budził, choć odczuwał pragnienie lub potrzebę zmiany opatrunku. Gdy ambasador japoński przysłał mu kwiaty, od razu zatroszczył się o odwzajemnienie. Na wiadomość, że wskutek bombardowania ucierpiały jakieś domy Towarzystwa, natychmiast, resztkami sił, napisał do poszkodowanych pocieszający list. Istnieli dla niego tylko inni. Dla siebie nie żądał niczego.

Świętość o. Ledóchowskiego promieniowała na innych. Nic więc dziwnego, że Papież, po otrzymaniu telefonicznej wiadomości o jego zgonie, powiedział do obecnego przy tym księdza: « umarł generał jezuitów, możemy otwierać proces beatyfikacyjny ».

ks. Felicjan Paluszkiewicz SJ

OJCIEC PROWINCJAŁ STANISŁAW SOPUCH

Opowiadają seniorzy, że do furty klasztornej w Starejwsi przyszła kiedyś wiejska kobieta, przyprowadziła ze sobą pulchne chłopię i powiedziała do wyzierającego z okienka brata furtiana: « Weźta go sobie ojce na chwałę Bożą ». Za chwilę, jak wieść niesie, zapytany przez rektora kolegium, pucułowaty Stasio, czy potrafi mówić kazania, wgramolił się na stół, zamknął oczy, wymachiwał rękami jak wiatrak i krzyczał, co sił w piersiach. Był przekonany, że w ten sposób dokumentuje swoją przydatność do kapłaństwa. Jeżeli zdarzenie to zaistniało w dniu jego wstąpienia do Towarzystwa, to działo się to 24 lipca, Roku Pańskiego 1884 i Staś liczył sobie wtedy wiosen piętnaście, miesięcy trzy i dni dwa.

Po nowicjacie i studium przygotowawczym rozpoczął filozofię w Tarnopolu. Był to już rok 1888. Dalej widzimy go w Chyrowie. Jest tutaj jednym z prefektów uczącej się i mieszkającej w miejscowym konwikcie młodzieży. W 1894 r. jedzie na teologię do Krakowa. W czasie studiów teologicznych zajmuje się oprócz nauki, katechizowaniem ludności mieszkającej na jednym z przedmieść Krakowa oraz pracuje duszpastersko i społecznie w stowarzyszeniu robotniczym *Przyjaźń*.

Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk kard. Puzyny, dnia 4 lipca 1897 r., w Krakowie. Tutaj też stawia pierwsze kroki w pracy apostolskiej. Sezonowo wyjeżdża do pracy pośród Polaków na Węgrzech.

W latach 1899-1900 robi o. Sopuch probację w Tarnopolu. W roku 1901 publikuje dwie broszury, które świadczą o jego dalszych zainteresowaniach społecznych: *Biskup Wilhelm Emanuel Ketteler i jego społeczna działalność* (nakład 40.000 egz.) oraz *O spółkach pożyczek i oszczędności systemem Raiffeisena* (nakład 30.000 egz.). Obie te broszury musiały mieć powodzenie, skoro doczekały się następnych wydań.

Kolejnym miejscem jego pracy jest Lwów. Tutaj oddaje

się przede wszystkim kaznodziejstwu i pracom rekolekcyjnym. Działa jednak także w stowarzyszeniach katolickich, prowadzi Sodalicje Mariańskie, zakłada Towarzystwo Księdza Piotra Skargi, inicjuje wydawnictwo *Przyjaciel Sług*, pisuje w *Gazecie Niedzielnej*. Publikuje też cykl artykułów zawierający przestrogi dla polskich robotników wyjeżdżających « na Saksy ». Poza tym robi wyprawy na Podlasie i na Białoruś, aby nieść pociechę religijną prześladowanym przez carat Polakom, zwłaszcza unitom.

Jednym ze świadectw « wszechobecności » o. Sopucha jest notatka zamieszczona w *Słowie Polskim* w poniedziałek, 8 stycznia z 1912 r. *W dzień Trzech Króli* — pisze autor notatki — *nastąpiło w Sławsku otwarcie schroniska Karpackiego Towarzystwa Narciarzy. W największej sali urządzono kaplicę, w której Mszę św. celebrował ks. Franciszek Tarnawski TJ, a słowo boże wygłosił o. Sopuch. Oto telegraficzny skrót kazania: Kościół idzie zawsze tam, gdzie się gromadzą jego dzieci w imię uczciwych celów. Wasze cele są szlachetne. Kościół błogosławi także rozrywce. Tutaj jednak nie o rozrywkę chodzi. Mówią, że Polakom brak wytrwałości. Sport ma hartować. Przychodzi czas próby. Trzeba naszemu Narodowi umocnienia woli. Sport ten już od stu lat musieli uprawiać nasi sybiracy, aby nie zginąć z głodu. Dla nich był to sport męczeństwa. Niech pamięć o nich budzi zamiłowanie do tego sportu. W tej myśli w imieniu Kościoła błogosławię i poświęcam to schronisko.*

W dniu 28 sierpnia 1904 r. zostaje o. Sopuch po raz pierwszy przełożonym. Obejmuje superiorstwo jezuickiego domu przy pl. Trybunalskim we Lwowie. Od tego momentu całe niemal życie upłynie mu na przełożeństwie. Tu wykazał wielki dar inicjatywy i rządzenia. Wszelkie prace apostolskie prowadził z dużym powodzeniem. Kończył rozpoczętą sprawę koronacji obrazu Matki Bożej Pocieszenia. Wybudował dom rekolekcyjny przy ul. Dunin-Borkowskich.

Po czterech latach rządów rezydencją przy kościele świętych Piotra i Pawła o. Sopuch przejmuje superiorstwo w domu rekolekcyjnym. W roku 1912 znowu wraca na pl. Trybunalski. Tym razem jako dyrektor misjonarzy ludowych. Od 11 stycznia 1913 r. obejmuje superiorstwo już po raz trzeci we Lwowie.

W tym miejscu pora odnotować jeszcze inny epizod z życia o. Sopucha bardzo charakterystyczny dla jego osobowości. Będąc w Rzymie u o. generała Wernza, aby zdać relacje ze swoich prac wśród unitów na Podlasiu, został przyjęty także przez Ojca św. Piusa X. Relacjonował ciężką dolę unitów w Rosji; mówił jak cierpią prześladowania za przynależność do Kościoła Chrystusowego, za łączność z papiestwem. Na końcu dodał: ego etiam passus sum pro Pontifice — ja także cierpiałem za Papieża. Zaciekawiony opowiadaniem wielkiego gawędziarza Pius X zapytuje o. Sopucha w jaki sposób cierpiał on za papieża. Wtedy o. Sopuch rozpoczął wywód, jak to, gdy był małym chłopcem, robiono w jego rodzinnym domu w Kożuchowie gruntowne porządki. Mały Staś huśtał się pomiędzy dwoma wystawionymi na podwórze łóżkami. Podeszła wtedy do niego mama, wymierzyła mu tam gdzie plecy kończą swoją szlachetną nazwę kilka sążnistych klapsów i dodała: papież umarł, a ty nie potrafisz zachować należytej powagi. Zabawa ci tylko w głowie. W taki oto sposób cierpiał dziewięcioletni Stasio Sopuch za papieża Piusa IX, który właśnie w tym czasie został złożony do trumny. Rozrzewnił się Pius X, gdy się dowiedział, że gdzieś w dalekiej Polsce tak ludzie przeżywają śmierć papieża, że nawet zabawa dzieci w czasie żałoby wydaje się im niestosowna.

W czasie Pierwszej Wojny Światowej, 19.6.1915 r. zostaje o. Sopuch deportowany do Rosji. Jak donosiły w sierpniu gazety *Dziennik Polski* oraz *Ilustrowany Kurier Codzienny*, ks. Sopuch został umieszczony wraz z elitą innych więźniów w « polskim aresztnym domu" w Kijowie. Był to niewielki drewniany budynek na skraju miasta. Przed bramą stał wprawdzie stójkowy, ale deportowani musieli mieć w porównaniu z innymi więźniami sporą wolność, skoro o. Stanisław mógł sobie pozwolić na godne Zagłoby fortele. Być może, iż przychodziło mu to o tyle łatwiej, że w carskiej Rosji bywał już wcześniej, pracując w przebraniu wśród unitów. Tym razem dowiedziawszy się, że w kijowskim więzieniu kryminalnym przebywają jezuici z Tarnopola, postanowił do nich dotrzeć i przekazać im wieści z Polski. Okazją stał się pogrzeb br. Antoniego Korytko TJ, zmarłego 22 kwietnia 1916 r. Cały pogrzeb, w którym pozwolono wziąć udział innym współwięźniom, odbywał się pod ścisłym nadzorem strażników. Kiedy

o. Sopuch znalazł się na terenie więzienia, zamiast zwyczajnych modlitw przy trumnie, odśpiewał po łacinie wszystko, co dzieje się w prowincji. W ten sposób siedzący za kratami jezuici otrzymali wiadomości, które chciał im przekazać. Zrobił także z Kijowa wyprawę na Syberię. Chciał pocieszyć wywiezionego z Chyrowa o. Jana Rostworowskiego, który nad jeziorem Bajkalskim pędził wygnańczy żywot wraz z o. Janem Złotkiewiczem. Ten ostatni zmarł w Nowonikołajewsku 27 czerwca 1916 r.

Po powrocie z wygnania, w dwu kolejnych numerach *Czasu*, z 8 i 9 stycznia 1918 r. ukazuje się zwięzła relacja o. Sopucha o jego pobycie w Rosji.

W dniu 9 kwietnia 1918 r. otrzymuje o. Sopuch po raz czwarty nominację na superiora, tym razem znowu na rezydencji przy pl. Trybunalskim we Lwowie. Na jesieni przychodzi oswobodzenie Lwowa. 21 października odbywa się związana z odzyskaniem niepodległości uroczystość. W czasie dziękczynnego nabożeństwa z balkonu naprzeciwko katedry o. Stanisław głosi słowo boże: słowo ufne, krzepiące i silne. *Szczęśliwy naród, który w wiekowej niewoli tyranów nie zatracił swej duszy. Zbrodnicza ręka uczyniła Polskę cmentarzyskiem. W gruzach legł wielowiekowy dorobek narodu. W krwanym czyśćcu wstrząsnął jednak Bóg sumieniem narodów. Mamy ojczyznę wolną. Cieszcie się duchy Wieszczów — iszczą się wasze proroctwa. Cieszcie się męczennicy — nie zmarnowała się wasza ofiara. Nie kurczcie jednak Polacy swojej Ojczyzny stronnictwami.* Ciche łzy płynęły niepohamowanie po wielu licach — pisze we wtorek 22 października 1918 r. sprawozdawca *Gazety Lwowskiej*.

Ostatnie lwowskie superiorstwo o. Sopucha nie trwało długo. Po półtora roku, w niedzielę 12 października 1919 r. zostaje prowincjałem. Przedtem udał się na 5 tygodni do Rzymu. 1 października otrzymuje audiencję prywatną u Benedykta XV, a 5 października składa u grobu św. Ignacego, na ręce o. generała Ledóchowskiego, profesję 4 ślubów.

W jednym z pierwszych swoich listów do prowincji poleca trosce wszystkich sprawę polskiej misji w Rodezji. W pierwszym roku swoich rządów planuje wysłać tam trzech kapłanów i dwu braci. Prosi ochotników, aby składali swoje kandydatury do 1 marca 1920 r.

Warto przytoczyć niektóre uwagi, jakie zostawia po domach z okazji dokonywanych wizyt prowincjalskich. Wielokrotnie zwraca uwagę na schludność, która jest zewnętrznym wyrazem dyscypliny wewnętrznej. Kładzie nacisk na punktualność w rozpoczynaniu nabożeństw. Kaznodziejom poleca, aby każde słowo, które pada z ambony miało na celu jedynie chwałę Bożą. Misjonarzom ludowym, którzy powracają z terenu, nakazuje dawać w macierzystych domach należny im wypoczynek i nie angażować ich do prac na miejscu. W zamian jednak domaga się od misjonarzy, aby skrzętnie zapisywali ważniejsze wydarzenia z misji, a zwłaszcza ciekawsze szczegóły.

Na rezydencji w Cieszynie notuje, że do biblioteki domowej należy kupować więcej nowych książek. W Czechowicach zabrania wycinania drzew bez pozwolenia prowincjalskiego. W Stanisławowie każe podwyższyć wynagrodzenie pieniężne służby oraz otoczyć większą troską chorych. W Starejwsi, w uwagach dla rektora, poleca pozostawić subministrowi większą swobodę w trosce o porządek domowy oraz nakazuje, aby tym, którzy mają pozwolenie na palenie papierosów, dawać dostateczną ilość tytoniu. Widać, że rozumiał palaczy. Sam też palił, ale nigdy wobec innych. W czasie podróży, gdy jechał z kimś drugim, wychodził nieraz do innego wagonu, gdy chciał zapalić papierosa. Nie chciał, aby swoi widzieli go palącym.

Jako prowincjał, chociaż miał wygląd prostodusznego, wiejskiego proboszcza, cieszył się wielkim autorytetem nie tylko u jezuitów, ale i u ludzi spoza Towarzystwa. Szanowany był zarówno w kręgu biskupów, jak i u władz cywilnych. Nie było przypadkiem, że w czasie wojny 1920 r. na nabożeństwie, jakie zostało odprawione na placu Zamkowym jemu właśnie powierzono wygłoszenie okolicznościowego kazania.

Działo się to 8 sierpnia. W tym dniu od godz. 7 we wszystkich kościołach i kaplicach Warszawy odbywała się publiczna adoracja Najśw. Sakramentu. Od godziny 9 zarządzono rozdawanie Komunii św. O godz. 17 wyruszyły ze wszystkich kościołów procesje na plac Zamkowy. O godz. 18 plac Zamkowy i Krakowskie Przedmieście zamieniły się w jedną wielką świątynię. Z katedry przyszedł kard. Kakowski oraz biskupi Gall i Szelążek. Przyniesiono relikwie patronów stolicy i kraju:

św. Klemensa Dworzaka, bł. Ladysława z Gielniowa oraz św. Andrzeja Boboli. Relikwie złożono na ołtarzu w bramie Zamku. I w czasie tego właśnie nabożeństwa kazanie wygłosił o. Sopuch. Rozpoczynając od bohaterskiej walki orląt lwowskich, przypomniał dzieje Narodu, który w chwilach ciężkich zwracał się do Boga i bywał wysłuchany. Wezwał następnie wszystkich do czynu: do czynu powszechnego, który jest konieczny, aby nie utracić wolności, którą niedawno odzyskała Polska po przeszło stuletniej niewoli.

Pomimo wielkiego autorytetu o. Sopucha, nie wszyscy potrafili wobec niego zachowywać się kulturalnie. Kiedyś złożył wizytę dyrektorowi szpitala wojskowego w Krakowie. Szpital ten mieścił się wówczas w jezuickim kolegium na ul. Kopernika. Była jednak wydana już decyzja, że należy zwrócić jezuitom zajmowaną część domu. O. prowincjał chciał ustalić datę, kiedy szpital odda zajmowane pokoje. Dyrektor szpitala, oficer w randze kapitana, odpowiedział arogancko o. Sopuchowi, że prędzej mu włosy na dłoni wyrosną, aniżeli on odda jezuitom pomieszczenia szpitalne. Wtedy o. Sopuch wsiadł w najbliższy pociąg do Warszawy, udał się do Belwederu i poprosił o audiencję u marszałka Piłsudskiego. Gdy, po rozmowie z Piłsudskim, wrócił o. Sopuch do Krakowa szpital był już w przeprowadzce, a kapitan dyrektor czekał, aby grzecznie przeprosić o. Sopucha za swój nietakt.

Powołań w latach dwudziestych było wiele. Prowincja rozrastała się liczebnie. W 1923 r. rozpoczyna więc o. Sopuch budowę kolegium Bobolanum w Lublinie, aby fakultet teologiczny znalazł odpowiednie pomieszczenie. Następnie w 1924 r. przenosi siedzibę prowincjalską z Krakowa do Warszawy i stara się w Rzymie o podział dotychczasowej Prowincji Polskiej na dwie: Prowincję Wielkopolsko-Mazowiecką i Prowincję Małopolską. Utworzenie nowych prowincji stało się uwieńczeniem jego pierwszego prowincjalatu. Po podziale prowincji, 15 sierpnia 1926 r., składa urząd prowincjalski i przenosi się do Bobolanum, gdzie zostaje dyrektorem misjonarzy ludowych.

Gdy po śmierci kard. Dalbora, w 1926 r. wakowała stolica prymasowska, Pius XI chciał koniecznie mianować prymasem Polski o. Sopucha. Ogłoszono wtedy w prowincji modlitwy, aby Papież odmienił swój zamiar. Jednocześnie wytłumaczono Ojcu św., że o. Sopuch pochodzi z dawnej Galicji

i przez to będzie bardzo niepopularny w reszcie kraju, zwłaszcza wśród poznaniaków. O. generał Ledóchowski podsunął kandydaturę Augusta Hlonda i ostatecznie Pius XI dał się przekonać. Tak więc zarówno prymasowstwo jak i purpura kardynalska oszczędziły o. Sopucha.

Od 1927 r. pełni obowiązki superiora w Łodzi. W 1931 r. przenosi się na Świętojańską w Warszawie, gdzie był najpierw przydzielony do dyspozycji prowincjała, a później zostaje szeregowym operariuszem. We wrześniu 1934 r. powstaje wokół jego osoby wiele szumu w prasie. Jest to jednak szum sezonowy i krótkotrwały. Najpierw *Kurier Poznański* w dniu 1 września zamieścił wiadomość, że Ojciec święty na miejsce zmarłego biskupa Łodzi, ks. Tymienieckiego, zamianował ordynariuszem łódzkim ks. Stanisława Sopucha. Wiadomość tę powtórzyła cała prawie prasa prowincjonalna: *Echo* (Łódź), *Dziennik Bydgoski, Nowy Kurier* (Poznań), *Gazeta Kaliska, Kurier Zachodni* (Sosnowiec), *Orędownik Wielkopolski, Lech* (Gniezno). W dniu 4 września jednak, gdy *Echo Borów Tucholskich* oraz *Drwęca* (Nowe Miasto), donosiły dopiero o nominacji o. Sopucha na biskupa Łodzi, w *Kurierze Łódzkim* i kilku innych gazetach ukazało się już dementi. Wychodzący w Poznaniu *Przegląd Codzienny* skomentował ten fakt w ten sposób, że kandydaturę jezuity obalili narodowcy, ponieważ o. Sopuch był piłsudczykiem. Można i tak. Dla dziennikarza każda racja jest dostateczna. Tym razem ominęła o. Sopucha tylko mitra biskupia.

W rok później, 17 lutego 1935 r. zostaje o. Sopuch prowincjałem po raz wtóry i jest nim do 30 października 1938 r.

Gdy przed drugim prowincjalstwem pojechał do Rzymu po instrukcje Generała, przywiół z organizującego się muzeum misyjnego skórę leoparta — dar polskiej misji w Rodezji — oraz hafty dzieci chińskich — dar o. generała Ledóchowskiego — dla prezydenta RP, Ignacego Mościckiego. W marcu 1935 r. przybył z tymi upominkami na Zamek. Prezydent sprowadził dwu fotografów: cywilnego i wojskowego, kazał sobie zrobić zdjęcia z o. Sopuchem. Zdjęcia te ukazały się później w prasie. Jako rewanż ofiarował prezydent Mościcki 11.000 lirów włoskich na rzecz polskiej misji w Rodezji.

Była to pierwsza wizyta o. Sopucha na Zamku, ale nie jedyna. W rok później, 6 kwietnia 1937 roku o. prowincjał

składał Prezydentowi w podarunku album pamiątkowy ku czci ks. Piotra Skargi a 1 czerwca 1938 r. wraz z o. Janem Rostworowskim relikwię św. Andrzeja Boboli. Kanonizacja św. Andrzeja Boboli oraz sprowadzenie jego ciała do Polski stały się także okazją wizyty w Belwederze. Ta sama delegacja (o. Sopuch i o. Rostworowski) udała się tam 22 czerwca, aby wręczyć Naczelnemu Wodzowi, Rydzowi Śmigłemu mozaikę św. Andrzeja Boboli oraz relikwię Świętego, jako wyraz podzięki za udział marszałka w uroczystościach związanych z przywiezieniem ciała Andrzeja Boboli do Ojczyzny.

Drugie prowincjalstwo przyniosło o. Sopuchowi wiele radości: imponująca liczba studentów teologii w wystawionym przez niego kolegium Bobolanum, rozwijająca się praca duszpasterska w całej prowincji, zapoczątkowanie budowy placówki w Gdyni, budowa domu pisarzy na Rakowieckiej w Warszawie, wspomniana już kanonizacja św. Andrzeja Boboli oraz sprowadzenie jego relikwii do Polski. Wszystko to napawało optymizmem. Nie obeszło się jednak bez zgrzytów.

Gdy przed dziesięciu laty dzielił prowincję na dwie, uważał o. Sopuch, że mniejsze jednostki są bardziej rozwojowe i bardziej dynamiczne. Myślał jednak o stałej współpracy pomiędzy obiema prowincjami. Zaczęły się jednak nieporozumienia, gdy doszły do głosu pojęcia: moje, twoje. Najłatwiej potrafi poróżnić ludzi pieniądz. Sprawy tej dotknął już o. Bronisław Natoński w pracy poświęconej stuleciu Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy. Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka rozciągająca się na terenach byłych zaborów pruskiego i rosyjskiego miała placówki przeważnie jeszcze nie zagospodarowane. Poprzedni prowincjał warszawski, o. Szczepan Machnicki, zmuszony był zaciągnąć pożyczkę. Z pomocą przyszło Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy. Zabolało to jednak o. Sopucha, gdy dowiedział się, że na wypożyczone pieniądze nałożone są odsetki. 26.4.1936 r. tak pisze w tej sprawie do o. Stanisława Bednarskiego: *Wielebny i Drogi Ojcze Prokuratorze! ... Jeżeli chodzi o moje skromne zdanie, to trudno mi zrozumieć 7% w braterskich rozrachunkach. Biorą bowiem takie i wyższe jeszcze procenty świeccy spekulanci wykorzystując przymusowe położenie ludzi potrzebujących pożyczki, w stosunkach jednak braterskich, między synami tego samego Towarzystwa, taki procent wydaje mi się niezrozumiały. To*

jednak moje zdanie, zdaje mi się słuszne, nie zmienia faktu, skoro mój poprzednik taki cyrograf podpisał...

W roku następnym wychodzą sprawy rozliczeń finansowych wynikłe z podziału Wydawnictwa. W lutym 1936 r. został podpisany przez obydwu prowincjałów: Małopolskiego i Wielkopolsko-Mazowieckiego układ regulujący sprawy finansowe. 6 lipca 1937 r. tak pisze w jednym ze swoich listów o. Sopuch: *... paragrafy układu zostały, zaraz po jego podpisaniu przez obydwóch prowincjałów, zupełnie przez krakowskie pisarstwo zignorowane krótkim oświadczeniem, że nie ma pieniędzy, chociaż równocześnie pisarstwo krakowskie robiło różne inwestycje i zakupiono maszyny do drukarni, podobno nie bardzo konieczne. Na te inwestycje ze strony krakowskiego pisarstwa, sam o. Generał w jednym ze swoich listów do mnie zwrócił uwagę. O niemożności płacenia powinni byli być zawiadomieni obywaj prowincjałowie, którzy po zbadaniu sprawy mogli odpowiednio te punkta zmienić...*

Nie tylko jednak sprawy materialne stawały się przyczyną nieporozumień. W liście wysłanym z Łęczycy 2 maja 1937 r. zwraca o. Sopuch uwagę, że w *Posłańcu Serca Jezusowego* zamieszczono już w kwietniu i maju notatki o warunkach przyjęcia do nowicjatu Prowincji Małopolskiej, a warunki przyjęcia do Prowincji Wielkopolskiej miały być podane dopiero w czerwcu. O. Sopuch podkreśla więc, że nie jest rzeczą obojętną kiedy się poda wiadomość — w kwietniu czy w czerwcu.

Dzięki Bogu innych zgrzytów nie było. Klerycy obydwu prowincji studiowali razem i snuli plany przyszłych prac ku Bożej chwale i pożytkowi dusz.

W dniu 30 października 1938 r. złożył o. Stanisław Sopuch rządy prowincji w ręce o. Emila Życzkowskiego, a 8 grudnia został superiorem w Kaliszu. Niedługo potem wybuchła II Wojna Światowa. Po wkroczeniu Niemców do Kalisza został wraz z pozostałymi jezuitami internowany w klasztorze franciszkanów, a następnie osadzony w więzieniu w Łodzi. Z więzienia wyszedł z chorobą serca. Przybył do Warszawy. Tutaj zmarł w domu przy ul. Świętojańskiej, 26 lutego 1941 r.

Sylwetki o. Sopucha nie da się zamknąć w kilkunastu stronicach artykułu. Była to postać bardzo bogata, niemal legendarna. Autokrata, ale przy tym człowiek o dobrym sercu

i wybitnie rozwiniętym zmyśle praktycznym, umiał znajdować wspólny język z otoczeniem. Jego niezwykle bogata osobowość, do której lgnęła każda nawet najbardziej nieprawdopodobna anegdota sprawiła, że był kochany przez większość. Nie brakowało jednak w jego życiu paradoksów. Wydawał się być ekstrawertykiem, a pomimo to nie miał przyjaciół. Był samotny. Nie tkwił w grupie. Żył własnym życiem. Jak każdy człowiek, miał nie tylko zwolenników, ale i wrogów. Imponował jednak młodym. Ujmował swoją pełną energii postawą, swoim zamiłowaniem do ryzyka. Reszty dopełniały zdolności gawędziarskie oraz ludzkie serce.

ks. Felicjan Paluszkiewicz SJ

WIZYTA OJCA GENERAŁA PEDRO ARRUPE W POLSCE
(Kronika pobytu w Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej)

Oczekiwaliśmy na przyjazd ojca generała do Polski 400 lat. Do urzeczywistnienia naszych oczekiwań przyczyniła się w zasadniczy sposób XXXI Kongregacja Generalna polecająca 42 dekretem, aby generał podejmował niekiedy podróże do różnych części świata dla zjednoczenia serc i ojcowskiego kontaktu z synami Towarzystwa.

O ojcu Generale czytaliśmy i słyszeli wiele. Co innego jest jednak poznanie ze słuchu, a co innego spoglądanie twarzą w twarz.

W dniu 16 maja 1969 r. o godz. 14 na tarasie portu lotniczego w Warszawie zaroiło się od mnichów. Wszyscy wytężali wzrok aby nie przeoczyć chwili, kiedy włoska Caravella osiądzie na pasach startowych. Nadszedł wreszcie moment, gdy na płycie ukazała się znajoma z licznych zdjęć sylwetka. Z dala w kierunku oczekujących popłynął przelotny gest powitania. Na dłużej ujrzeliśmy o. Generała w sali celnej, gdzie w obecności przybyłego z nim asystenta o. Antoniego Mruka i oczekujących dwu polskich prowincjałów załatwiał formalności paszportowo-dewizowe. Już tutaj na wstępie dało się poznać poczucie humoru o. Generała. Gdy wymieniono mu pieniądze i dostał harmonię papieru, zrobił uwagę, że tyle pieniędzy to przeciwko ubóstwu. Dopiero któryś z prowincjałów zażartował, że może nie wystarczyć nawet na lody. Później o. Janczak zrobił uwagę, że przyjechał Piotr, aby utorować drogę Pawłowi. Na to momentalnie odparował o. Generał, że powinno być odwrotnie, że Paweł powinien przygotować drogę Piotrowi.

Gdy wreszcie wypuszczono o. Generała do hallu i stanął pośród nas, oklaskom nie było końca. Ze stu piersi wyrwał się śpiew *plurimos annos.*

Za pół godziny odbyło się spotkanie w kolegium na Rakowieckiej. Usłyszeliśmy pierwsze słowa o. Generała, w których

wyraził swoje życzenie przyglądnięcia się z bliska naszym trudnościom i naszym osiągnięciom w pracy. Zaznaczył, iż dotychczas zna nas jedynie z listów, w których przedstawia się generałowi kłopoty. Tutaj chce poznać nasze radości i sukcesy.

Oglądanie domu rozpoczął od piwnicy, w której w dniu 2 sierpnia 1944 r. Niemcy wymordowali ponad 40 Polaków, w tym 15 jezuitów. Z uwagą i współczuciem słuchał okrutnej historii.

Po oddaniu hołdu ofiarom nienawiści rozpoczął dalszą wizytę domu. Odwiedził kuchnię, oglądnął kaplicę domową, Bibliotekę Pisarzy, Bibliotekę Fakultetu Teologicznego, aule wykładowe oraz wystawę obrazującą osiągnięcia domu w ostatnim dziesięcioleciu: publikacje, praca duszpasterska.

Centralnym punktem dnia była uroczysta Msza święta z okazji święta św. Andrzeja Boboli, patrona kolegium. Koncelebrowało ją wraz z o. Generałem 20 kapłanów. Wyniesiono procesjonalnie do ołtarza polowego trumnę z relikwiami świętego i tutaj pod gołym niebem, po powitaniu o. Generała przez rektora kolegium, o. Zygmunta Perza, dalej przez grupy parafialne: dzieci, młodzież i dorosły laikat rozpoczęto Bezkrwawą Ofiarę. Po Mszy św., w czasie której Bóg doświadczył naszej ufności, bo kilkakroć rozpoczynał kropić deszcz, o. Generał wygłosił w języku francuskim krótkie przemówienie. Nawiązując do liturgicznej uroczystości świętego Andrzeja Boboli poruszył problem wiary.

Po liturgii odbyła się agapa dla rodzin naszych i przyjaciół. W czasie przyjęcia rozdano wszystkim pamiątkowe tabliczki z ceramiki. Wyryty był na nich symbol IHS z krzyżem i trzema gwoździami oraz napis: Pedro Arrupe, XXVIII generał jezuitów, Wwa 16-18.V.1969 r. Nawiązując w swoim przemówieniu do tej tabliczki powiedział o. Generał, iż cieszy się, że może w tej glinianej płytce zabrać ze sobą kawałek polskiej ziemi; w płytce, na której obok małego Pedro Arrupe widnieje duży krzyż Chrystusowy.

Krzyż nie kazał na siebie długo czekać. Chociaż może nie tak wielki, jak na gliniance, ale spadł od razu na « małego Pedro Arrupe ». Przyszła pierwsza noc w Polsce. Noc zimna (przynajmniej dla ludzi z południa), a wyznaczony przez

o. rektora kamerdyner nie dopisał. I biedny o. Generał musiał doświadczyć już nie jezuickiego, ale franciszkańskiego ubóstwa śpiąc na tapczanie bez pościeli. Jak ta noc utrwaliła mu się w pamięci zapytajcie przy okazji jego samego. Kronikarz przekazuje tylko fakt.

Sobota, dzień 17 maja, upłynęła pod znakiem spotkań. Nastąpił pierwszy z cyklu pracowitych dni o. Generała; dni, w których podziwialiśmy wszyscy nie tylko jego pogodę ducha, życzliwość dla każdego, prostotę Ignacego, ale i nadspodziewaną, niewiarygodną wprost tężyznę fizyczną. Czuli się zmęczeni przydzieleni mu dwaj tłumacze. Jemu samemu nie zabrakło energii nigdy. Rozpoczynał dzień pracy o godzinie 6 rano lub nawet wcześniej, kończył pomiędzy pierwszą a drugą w nocy. Brakujące godziny snu uzupełniał w czasie jazdy samochodem, o ile ktoś nie zabrał mu i tego czasu dla załatwienia spraw, których nie zdążono omówić w przeznaczonych na to godzinach konferencji z poszczególnymi grupami.

Najpierw miała miejsce audiencja u Prymasa Polski, kard. Stefana Wyszyńskiego, następnie odbyły się konferencje z grupą rekolekcjonistów i misjonarzy ludowych, z duszpasterzami akademickimi, z profesorami teologii, (z zespołem katechetycznym, wypracowywującym nowy program nauki religii odbył o. generał konferencję już dnia poprzedniego). Przed południem udał się jeszcze na Akademię Teologii Katolickiej, gdzie wygłosił prelekcję na temat misji współczesnego Kościoła.

W niedzielę po Mszy św. celebrowanej przez o. Generała dla młodzieży akademickiej odbyła się znowu mała agapa ze studentami. Zajęło swoje miejsca w jadalni ponad 300 młodych ludzi. I wtedy po raz pierwszy poruszył o. Generał sprawę, do której powracał w swoich przemówieniach kilkakroć, problem powołania. Zwrócił uwagę, że Bóg w różnych czasach powołuje do swojej służby i że trzeba być bacznym, ażeby głosu Chrystusa nie zagłuszyć.

Tłumacz dokonując przekładu na język polski sparafrazował myśl o. Generała opowiadając, że Bóg studenta 5 roku medycyny, Pedro Arrupe wziął za włosy, które wtedy jeszcze posiadał, i przyprowadził do klasztoru. Gdy audytorium gruchnęło śmiechem o. Generał zorientował się, że coś jest nie tak i natychmiast uczynił dementi.

Następnie rozpoczął podróż po Polsce. W oczach obcokrajowca podróż ta mogła wyglądać na pewien triumfalizm. Świątynie na trasie przejazdu były wypełnione po brzegi bez względu na porę dnia. Uroczyste powitania, transparenty, wychodzenie naprzeciw staropolskim zwyczajem z chlebem i solą, próbki śpiewów i tańców regionalnych. Nie był to jednak triumfalizm, lecz prosta chęć okazania sympatii dla Generała i dla Towarzystwa oraz zaakcentowanie, że praca jezuitów w Polsce nie jest ludziom obojętna.

Pierwszymi miejscami postoju w czasie tego dwutygodniowego wyścigu było Rostkowo oraz kościół parafialny w Przasnyszu. Rostkowo jest miejscem narodzin św. Stanisława Kostki, w Przasnyszu otrzymał on sakrament chrztu świętego.

Przed przyjazdem o. Generała do Przasnysza stał na placu oczekujący go tłum wiernych. Podniecony tą niecodzienną wizytą w swoim kościele proboszcz tłumaczył wiernym, kogo za chwilę będą witać. Mówił im, że przyjedzie za chwilę « czarny papież ». Anegdota dodaje, iż jakaś starowinka usłyszawszy, że przyjedzie « czarny papież » krzyknęła: nie wiedziałam, że wybrali murzyna papieżem.

Wieczorem stanął już o. Generał w Świętej Lipce, najsławniejszym kiedyś po Częstochowie sanktuarium maryjnym w Polsce. Wsławili je i wystawili tutaj piękną, barokową świątynię jezuici sprzed kasaty. W Polsce porozbiorowej miejsce to było nie tylko ostoją Kościoła na zalanych protestantyzmem Mazurach, ale i oazą polskości. I dlatego jest ono Polakom szczególnie drogie.

Nazajutrz dokonał o. Arrupe otwarcia muzeum pamiątek i sztuki sakralnej. Zwiedzając zabytkową świątynię i krużganki zatrzymał się dłużej przed dwiema olbrzymimi tablicami zawierającymi rejestr 82 polskich jezuitów zamordowanych w czasie ostatniej wojny.

Wędrując dalej po Polsce o. Generał odwiedzał jezuickie parafie, prowadzone przez Towarzystwo ośrodki katechetyczne, placówki duszpasterstwa akademickiego, zatrzymywał się na spotkania z alumnami diecezjalnych seminariów w Olsztynie, Gdańsku i Włocławku. Wszędzie miał coś nowego i ciekawego do powiedzenia. Wszędzie dawał sugestie, jak ustawić prace w duchu Soboru Watykańskiego II. Przemawiając do kleryków we Włocławku i nawiązując do 400-lecia tamtejszego

seminarium przypomniał im, że seminarium zostało założone po Trydencie, ale oni żyją po Vaticanum II i że według myśli tego ostatniego muszą kształtować swoją doskonałość kapłańską.

Młodzież, zwłaszcza akademicka, wszędzie stanowiła słabość o. Generała. Od młodych trudno było go oderwać. Tutaj czuł się w swoim żywiole. Gdy mu śpiewano, dyrygował śpiewającymi, gdy zadawano mu pytania, wnikał w nie i starał się dogłębnie odpowiedzieć. W Łodzi i Lublinie dyskutował z młodymi do późna w nocy.

W Toruniu sala, w której odbywało się spotkanie, mieściła się na II piętrze. Ojciec Generał przemawiał przydługo. Znużeni całodzienną pracą studenci siedzieli na parapetach okiennych. Ale żaden z nich nie zasnął jak Eutychus w Troadzie i nie wypadł z okna.

Pytania stawiane mu przez młodzież nie były bynajmniej banalne. Świadczyły o dojrzałości, o głębokim zaangażowaniu w problematykę Kościoła w Polsce i o świadomym podejmowaniu odpowiedzialności za jego przyszłość. Poruszono między innymi problem zbyt powolnej realizacji reform soborowych, braku dialogu hierarchii z laikatem, izolację księży, która jest wynikiem wadliwego wychowywania w seminariach, sprawę stosunku księdza do rzeczy materialnych.

W odpowiedzi na te trudności o. Generał zasygnalizował najpierw fakt, iż nie tylko w Polsce brak było wewnętrznego przygotowania na przyjęcie uchwał Soboru Watykańskiego II. Ludzi wyrosłych w odmiennym świecie Sobór zaskoczył. Trzeba być wyrozumiałym. Niemniej jednak nie wolno załamywać rąk. Trzeba mówić o tych sprawach, mówić dużo, ale nie symplifikować zawiłych zagadnień. Strukturę Kościoła można odmienić jedynie przez nowych ludzi. Rewolucja do niczego nie prowadzi. Burzy jedynie, nic w zamian nie dając. Dlatego należy pracować pozytywnie i wierzyć w końcową zbieżność wszystkich opozycji.

Spośród różnych grup młodzieży, z jaką spotkał się o. Generał widać było, że jedna jest mu szczególnie droga; darzył ją największą sympatią. Grupą tą był nowicjat. W konferencji dla nowicjuszy wyszedł u Ojca Arrupe cały pazur magistra. Widać było, iż urząd ten spełniał kiedyś z pełnym upodobaniem. W nowicjacie chciał pozostawić słuchaczom całą

swoją duszę, całe serce, pełnię swojej bogatej osobowości. Chciał nowicjuszom przelać niejako całego siebie, pouczyć ich o ideałach Towarzystwa, być dla nich jak matka przekazująca dzieciom swoją ostatnią wolę.

I nowicjat odpowiedział o. Generałowi na okazany mu dowód sympatii. W 17 punktach przygotowanej akademii ukazał swoje pragnienia życiowe, projekty przyszłych prac apostolskich, wreszcie to, czym służą Chrystusowi i bliźnim już dzisiaj: wspomaganie akcji charytatywnej oraz przygotowywanie do pierwszej Komunii św. małej grupki cyganiąt. W obecności o. Generała została przeprowadzona przez c. Wesołka skrócona katecheza.

Obraz pobytu o. Generała w Polsce nie byłby pełen, gdybyśmy nie nadmienili o jego obecności na Westerplatte, na Majdanku i w Oświęcimiu. W tych miejscach przelewanej niewinnie krwi składał o. Generał wieńce w wyrazie hołdu dla bezimiennych ofiar nienawiści. Zwiedzając obozy zagłady okazywał duże zainteresowanie tragedią cierpiących tam ludzi, a do księgi pamiątkowej na Majdanku wpisał te proste, ale pełne wymowy, słowa: *Na pamiątkę mojej wizyty w tym miejscu pełnym tak wielkiego cierpienia ludzkiego, w miejscu zmuszającym do myślenia dokąd może dojść człowiek odłączony od Boga, który jest miłością. Pedro Arrupe, przełożony generalny Tow. Jez.*

W ostatnim dniu swojego pobytu w Polsce o. Generał udzielił wywiadu prasowego grupie ponad dwudziestu korespondentów różnych czasopism polskich i zagranicznych. Chociaż pobyt Generała jezuitów w Polsce miał charakter prywatny, jest on zbyt znany w świecie, aby jego wizyta u nas mogła przejść bez echa. Od razu zaczęto pisać na ten temat i to pisać stosunkowo dużo. Pisały nie tylko dzienniki czy tygodniki polskie, ale i prasa zagraniczna. Pisały czasopisma katolickie i akatolickie. Ponieważ niektóre z przekazywanych wiadomości były nieścisłe, czasami tendencyjnie podawane, o. Arrupe przyjął chętnie propozycję spotkania się z dziennikarzami, aby ukazać we właściwym świetle przynajmniej ważniejsze sprawy.

Rozpoczynając swoje exposé do dziennikarzy o. Arrupe wyjaśnił najpierw, dlaczego podjął podróż do Polski. Planował ją już od czterech lat, tj. od chwili swojego wyboru na

generała, ale okoliczności zewnętrzne wówczas na nią nie pozwoliły. Jako przełożony generalny Towarzystwa Jezusowego przewodzi trzydziestu kilku tysiącom jezuitów pracujących w 80 krajach, a więc praktycznie na całym świecie. Charakter tej działalności jest bardzo wszechstronny: uniwersytety, szkoły, praca społeczna, misje wśród pogan, praca rekolekcyjna, duszpasterstwa specjalistyczne i parafialne. Dlatego też generał jezuitów chcąc mieć należyte rozeznanie w terenie i w podejmowanych przez Towarzystwo dziełach musi wiele jeździć, aby zapoznawać się bezpośrednio z sytuacją Kościoła w poszczególnych regionach.

Odpowiadając na pytanie, jak ocenia polską religijność stwierdził, iż udział wiernych w nabożeństwach, w których uczestniczył, był masowy. *Było dla mnie dużym przeżyciem* — powiedział — *widzieć wiarę ludu polskiego, jego przywiązanie do Kościoła... Katolicy polscy mają wiarę bardzo głęboką i chociaż jej przejawy są tradycyjne to i w tej formie widzimy również początki ducha Vaticanum II.*

Dalej odpowiadając na skierowane do niego uprzednio pytania referował sprawy dotyczące życia Towarzystwa Jezusowego w Polsce, zagadnienie jezuickiego posłuszeństwa, pracy jezuitów na polu ekumenicznym, na misjach, stosunku jezuitów do problemów Trzeciego Świata, do krajów ekonomicznie zacofanych.

Spośród cyklu zapytań mających charakter polityczny na wzmiankę zasługuje jedno: Co sądzi o tymczasowości administracji Kościoła na Ziemiach Zachodnich i Północnych? Ojciec Generał stwierdził, że ten prowizoryczny stan nie jest korzystny dla stosunków między Kościołem a Państwem w Polsce. Kościół pragnie normalizacji stosunków z Państwem, bo są one potrzebne dla dobra sprawy ludzkiej. Ale Kościół w swojej działalności duszpasterskiej nie chce mieszać się w sprawy polityczne.

*
* *

Pełna dynamizmu i dobroci sylwetka o. Generała pozostała nam świeża w pamięci, chociaż od czasu, gdy pożegnaliśmy go na Okęciu w Warszawie, upłynęło już 7 lat. Wywarł o. Ge-

nerał wrażenie nie tylko na jezuitach, ale i na ludziach świeckich, którzy z nim się zetknęli. Obszernie komentowano jego bezpośredniość i prostotę. W Łodzi jakaś trzynastoletnia, porzucona przez rodziców dziewczynka przez 5 godzin czekała na jego autograf dla siebie i dla młodszej siostrzyczki. Zapytano dlaczego jej tak na tym autografie zależy, odparła z dziecięcą prostotą, iż czuje, że o. Generał kocha wszystkich ludzi i ją także.

Podstawową pracę na niwie Pańskiej wykonują zazwyczaj ludzie niknący w tłumie; ludzie, których na co dzień nie zauważa się. Tak jest chyba wszędzie. W Towarzystwie Jezusowym to zadanie apostolskie wykonują zarówno kapłani jak i bracia zakonni, każdy w swoim zakresie i w odrębny sposób. Niech kilka artykułów-wspomnień ukaże mozolną działalność jezuickich szarych szeregów; działalność niekiedy pionierską, którą ocenić należycie potrafi jedynie Bóg.

ks. Franciszek Domański SJ

SEKRETARZ

Pamiętamy dobrze, jak to brat Kozieł lubił na wesoło naciągać drugich. Wiemy też, że nie obrażał się, gdy jego naciągano. Jedynie swego rodowego nazwiska nie pozwolił rozciągnąć i Kozła zamienić na Kozielskiego, gdy mu jego Magister, o. Rothenburger, proponował doczepienie końcówki « ski » do szanowanego w rodzinnej wiosce nazwiska Kozieł. Wtedy to, broniąc odważnie swego wieśniaczego pochodzenia, miał powiedzieć: « Mój dziadek był Kozłem, ojciec Kozłem, to i ja będę dalej Kozłem. Dziękuję za szlachecki ogonek — 'ski'. Amen.! » Został więc dalej Kozłem, nie poszedł na scholastyka, chociaż miał ukończone trzy klasy gimnazjalne. Został Bratem.

Zanim w tych wspomnieniach zaczniemy « naciągać » br. Kozła, wpierw musimy odmówić « litanię », która według aż 53 roczników katalogów byłej Prowincji Galicyjskiej, potem Polskiej, następnie Wielkopolsko-Mazowieckiej, przedstawia się następująco:

Urodzony 6 lipca 1873 r. w Bieczu, diec. przemyskiej. Wstąpił do Towarzystwa 1.12.1889 r. Ostatnie śluby złożył 15.8.1903 r. Zmarł w Lublinie 28.6.1942 r. Przeżył 69 lat, z tego 53 lata w zakonie. W Chyrowie pracował lat 9 z przerwami. W Krakowie przy Apostolstwie blisko 2 lata. W 1903 r. jego współnowicjusz, o. prowincjał W. Ledóchowski wziął br. Kozła na swego sekretarza. Odtąd ten zaszczytny obowiązek spełniał wiernie w ciągu długich trzydziestu lat za następujących dalszych prowincjałów: Baudissa, Piątkiewicza, Bapsta, Haducha, Sopucha, Sawickiego i Machnickiego.

W ciągu następnych sześciu lat (od 1933-1939) — już schorowany i spracowany br. Kozieł sekretarzował w ulubionym przez siebie Lublinie w Kolegium Bobolanum rektorom: o. Barglewskiemu, o. Stysiowi i o. Maciosowi. Ostatnie niespełna trzy lata był furtianem w tymże kolegium, skąd przeniósł się na stałe « ad Patres et Fratres » Societatis Jesu.

Z konieczności zarówno charakterystyka br. Kozła, jak i przedstawione w tym artykule wspomnienia są fragmentaryczne. Nie mamy bowiem pod ręką ani wystarczającej ilości listów tego Brata, ani listów do niego i o nim. Są fragmenty opowiadań jego własnych współbraci i trochę zapamiętanych zdarzeń piszącego te słowa.

Ilekroć odbywała się wizyta prowincjalska za czasów sekretarzowania br. Kozła, tyle razy do wizytowanych domów naszych drzwiami i oknami wchodziło dużo słonecznych promieni miłego humoru i śmiechu br. « Koziołka », jak go wszyscy nazywali. Cieszyli się z jego przyjazdu bracia, bo im w czasie wizyty naopowiadał niestworzonych rzeczy. Cieszyli się scholastycy, którzy w ciągu wizyty kręcili się koło niego, zagadywali go, żeby tylko wyciągnąć choć jakiś strzęp « sekretnych wiadomości ». Cieszyli się i ojcowie, którzy chętnie z « Koziołkiem » przestawali i « omawiali » sprawy Prowincji może również w tej myśli, żeby od tak poważnego sekretarza poważnie i « pod sekretem » coś niecoś wyciągnąć.

W przerwach od prac sekretarskich br. Kozieł z koronką w ręku człapał po korytarzach, od czasu do czasu kiwnął głową jakiemuś przechodniowi i uśmiechnął się doń, drugiego o coś zagadnął, wszystkie kąty domu obszedł, by je « omodlić » a wszystko zobaczyć.

Chód miał nieco kaczkowaty. Nóg prawie nie podnosił, ale suwał nimi. Z wyrazu jego twarzy nie dało się wyczytać żadnych sekretów. Nieraz, gdy jakiś kleryk zwabiony człapaniem po korytarzu brata Kozła wychylił głowę z pokoju, wtedy « Koziołek » z wyciągniętą naprzód głową i tajemniczą miną wołał półgłosem « Carissime, powiem carissimowi sekret! » — A co takiego? « Ojciec Prowincjał przyjechał — chi, chi, chi! » Wtedy na Koziołkowe — « chi, chi, chi » rozlegało się po całym kolegium głośne « cha, cha, cha! » i zamykały się drzwi pokoju.

Chodząca dobroć. W dowcipie niby dobroduszność, niby naiwność, a na twarzy często prawie szelmowski uśmiech. Rozmowę zaczynał i kończył jakimś żartem, okraszonym niby łgarstwem, niby prawdą, ale to łgarstwo nie było łgarstwem, jeno nieraz trochę satyrą, trochę pochwałą, skierowaną pod adresem swego rozmówcy.

Klerycy, zwłaszcza ci, którzy uchodzili za sprytnych, zawsze przy nadarzającej się sposobności próbowali z brata Kozła wydobyć jakąś nowinę. Ale Koziołek nigdy nie dał się okpić i sprowokować. Raczej on ich okpiwał i nieraz wykpiwał. Na wyraźne i natarczywe pytania tyczące się « sekretów » prowincji odpowiadał jak delficka pytia. Dwuznacznie. Wprawdzie niektórzy twierdzili, że to, co mówi br. Kozieł, należy brać w odwrotnym znaczeniu, ale i to nie było prawdą. Tak bowiem sprytnie potrafił się wywinąć i wykręcić od odpowiedzi na pytanie, że w tym wszystkim, co mówił, nie było ani prawdy, ani wyraźnej restrykcji. Zdaje się, że dyskrecję, roztropność i czujność na prowokacyjne próby ciekawskich wyciągania z niego wiadomości można by przyrównać do sztuki ukrywania ruchów u kieszonkowych złodziei. Znani powszechnie « kieszonkowcy » tak potrafią, doprowadzić swą upatrzoną ofiarę do zagapienia się, tak umieją odwrócić od siebie uwagę, że w tym właśnie momencie — mogą dokonać kradzieży. Tak mniej więcej robił br. Kozieł z tymi niby to « lisami ». Dokonawszy swego śmiał im się drwiąco w oczy i z pewnością w duchu grał im na nosie, a może powiedział: « Chcieliście mnie nabrać i wykiwać, a tymczasem ja was wykiwałem — chi, chi, chi! » Słowem, był to mistrz od sekretów i spryciarz w myleniu pogoni za « sekretami ».

Owe znane « publiczne sekrety », zwłaszcza przed dyspozycją, rozchodziły się « pod ścisłą tajemnicą », jak dym, ale podobno Koziołek nie puścił z ust pary. Nic dziwnego, że w ciągu trzydziestu lat słuchał sekretów, pisał listy sekretne i śmiał się z tych, którzy polując na sekrety, nie znajdowali w rozmowie z Koziołkiem ani prawdy, ani łgarstwa, jeno trochę fajczanego dymu.

Br. Kozieł miał coś z korespondenta prasowego. Wiedząc dobrze, że otoczenie zawsze jest żądne sensacji, od czasu do czasu puszczał « kaczki zakonne ». Zanim jednak taką kaczkę puścił na wody prowincji lub domu, wpierw dobrze wszystko obmyślał i uplanował.

Pewnego razu o. Michał Barglewski przybył w jakiejś sprawie do Krakowa. (O. Barglewski był wówczas rektorem w Starejwsi). Zamieszkał u św. Barbary. Rano już miał wychodzić ze Mszą św., a tu br. Kozieł człap, człap, człap — wsuwa się do zakrystii, podchodzi do o. Barglewskiego i mówi:

« Czy nie mógłbym posłużyć o. rektorowi do Mszy św.? — Ta już ktoś inny ma mi służyć — mówi o. Barglewski. Wtedy Koziołek składa filuternie dłonie i prosi: « Ja tak pragnę dostąpić zaszczytu posługiwania ojcu rektorowi! » Następnie przykłada do swych ust dłoń zwinętą w trąbkę, podsuwa się bliziutko do ucha o. Barglewskiego i mówi doń takim szeptem, że wszyscy w zakrystii słyszą i widzą, jak Koziołek robi tajemniczą minę i znacząco mruga w stronę obecnych ojców i braci. « Ojcze Rektorze, jak ja ojcu posłużę, to poskutkuje ... » — « No dobrze, dobrze, ciele, to już ta służ ... »

Po skończonej Mszy św. o. Barglewski pie et devote odklęczał gratiarum actio i posapując udał się na śniadanie. Zaledwie usiadł do stołu, a tu wzywają go do telefonu. — Halo! A kto tam tak rano mnie budzi? — A, dzień dobry ojcu prowincjałowi! Jak się ojciec prowincjał czuje po Mszy św., do której podobno aż Koziołek usługiwał? — E, ciele — mruknął — i odłożył słuchawkę. Jeszcze nie zrobił dwóch kroków w stronę refektarza, a już drugi telefon. Brat furtian mówi: ojcze rektorze, telefon ze Skarbowej! — A, jak się ojciec rektor czuje? Podobno br. Koziołek służył dziś ojcu rektorowi do Mszy św.? — No to i co? — Następują półsłówka, niedomówienia ... — A, bo to wiadomo, że br. Koziołek tylko prowincjałom służy do Mszy św. — A bodaj was, cielęta! Idąc z sapaniem wielkim ze śniadania, o. Barglewski spotyka na korytarzu tego i owego ojca. I znowu ta sama historia! — A, jak się o. rektor czuje po Mszy św.? — Czego wy chcecie? Co to ma znaczyć? — Ależ, proszę ojca rektora! Podobno ojciec został prowincjałem! Już wszystkie wróble o tym ćwierkają ...

Ta Koziołkowa « kaczka » dotarła do różnych domów i kolegiów błyskawicznie ... « pod sekretem ».

W pewnym kolegium:
Już po dziewiątej. Pora kanoniczna,
Morfeusz z wolna klei senne oczy,
a tam gdzieś w kącie mowa lakoniczna —
Szepty, półsłówka ... ktoś cichutko kroczy.
Wchodzi i macha znacząco biretem
I mówi drżąco wśród wieczornej ciszy:
« Coś Wam opowiem, ale pod sekretem! »

— Mówże, słuchamy! Wszak tu nikt nie słyszy!
« Wiem, wywąchałem, wielka bomba pęknie!
Wielkie są zmiany, będą przenosiny!
Ktoś się rozsierdzi, ktoś stęknie, ktoś jęknie! »
— Mów dalej! Kto? Co? Cóż to za nowiny!?
« Ale to sekret! Tylko między nami... »
Mówił Brat Kozieł i palcami prztyknął:
« ...że będzie walił i tupał nogami! »
Biedny Koziołek! westchnął i aż syknął...!
— Kto? Co? Ty z biretem!
« Habemus papam! — Będą Gorzkie Żale!
Ale Was proszę, to jest pod sekretem!
...że straszna miotła w nowym prowincjale! »
Od rana wieść krąży, ale « pod sekretem »,
Że Ojciec Barglewski został prowincjałem...
Mówił to ktoś wszystkim i machał biretem...
A brat Kozieł śmiał się i cieszył kawałem.

O. Barglewski nie pozostał dłużny bratu Koziołkowi za ten kawał. Ułożył mszę o świętym Koziołku, « Missa de sancto hoedo ». Introit zawierał słowa brata owego syna marnotrawnego, któremu ojciec urządził huczne przyjęcie: « Oto tak wiele lat ci służę i nie przestąpiłem rozkazania twego, a nigdy nie dałeś mi kozła ».

W oracji — prośba, byśmy naśladując św. Jana Chrzciciela w prawdomówności, uniknęli losu kozłów po lewicy przy końcu świata.

Lekcja — o dwóch bliźniętach: kosmatym Ezawie i gładkim Jakubie. Historia znana i komentowana opowiada, jak to sprytny Jakub za miskę soczewicy kupił sobie u kosmatego brata pierworództwo i jak idąc za radą swej matki Rebeki ten przemyślny « gładysz » zdarł skórę z dwóch kudłatych kozłów, owinął nimi swe zaledwie omszone ramiona i tak zamaskowany udał się do niedowidzącego już staruszka, swego ojca Izaaka, i udając kosmatego Ezawa uzyskał błogosławieństwo, które się należało starszemu — może o pół minuty — bliźniaczemu bratu.

Ewangelia była o niesfornych kozłach w dolinie Jozafata. W prefacji wyśpiewał o. Barglewski bratu Kozłowi wszystkie zdradzone sekrety. Inne części tego niesamowitego utworu

obracały się około wszelkiego rodzaju koźląt i kozłów, z którymi br. Kozieł — oprócz nazwiska — nie miał nic wspólnego.

Takie i tym podobne humorystyczne kawałki nikomu nie zaszkodziły a przyczyniały się do urozmaicenia wesołych rekreacji.

Prawdziwie o bracie Koźle należy powiedzieć, że nikomu wody nie zamącił. Charakter miał prosty. Obowiązująca go jednak dyskrecja nie pozwalała mu obnosić « serca na dłoni ». Język trzymał za zębami, a prawdę, która nie nadawała się do powtarzania, miał dobrze schowaną. Może i w sercu, którego w sprawach « urzędowych » nie miał na ustach. Wprawdzie na ustach prawie zawsze igrał mu uśmiech, raz filuterski, innym razem zdawał się mówić: « Ja coś wiem, ale nie powiem ». Czasem był to uśmiech kpiarza, to znów pozornie poważny, który jednak nastrajał drugich do wesołości. Była to powaga, która często wybuchała śmiechem.

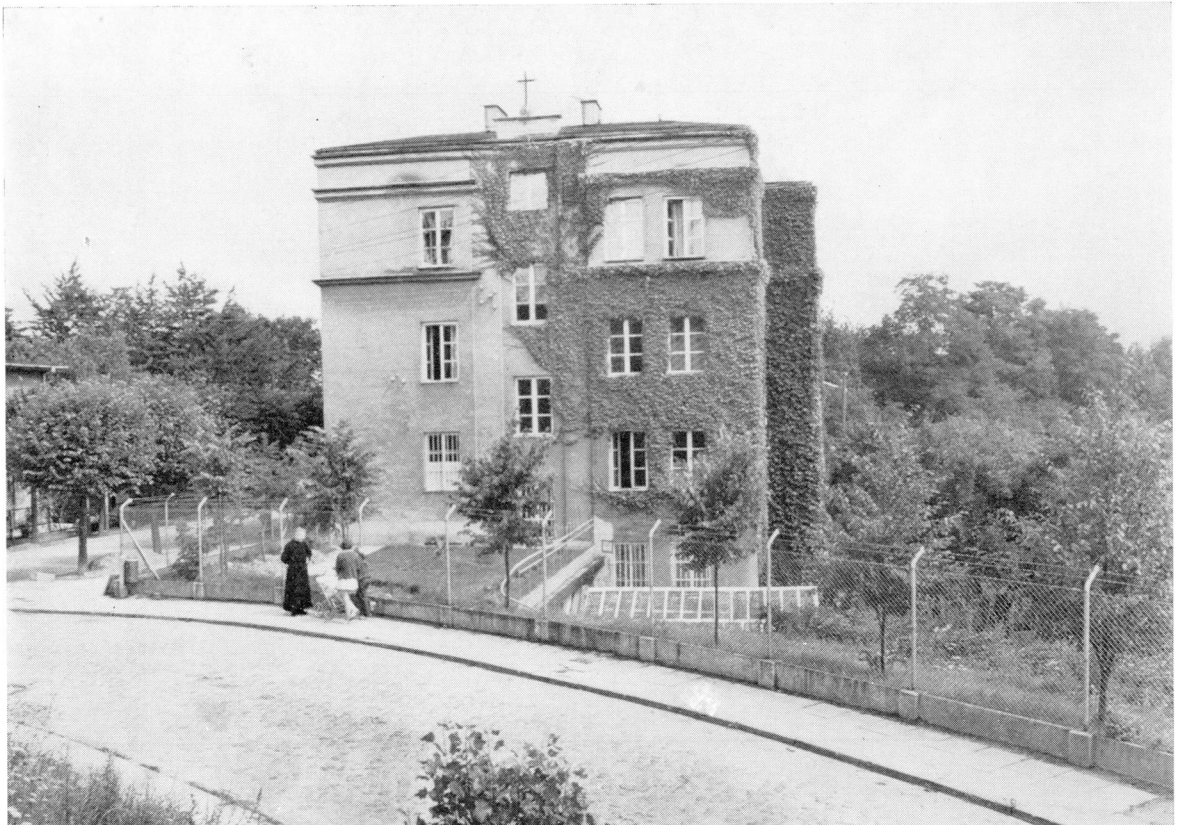

4. Gdynia — dom zakonny



3. Gdańsk — kościół św. Bartłomieja

ks. Tomasz Rostworowski SJ

JEDEN Z TRZYDZIESTU KILKU TYSIĘCY

Miejscem rodzinnym o. Kazimierza Kucharskiego była Starawieś koło Brzozowa. Zarówno w zacnej, wieśniaczej rodzinie, z której pochodził, jak i w cieniu bazyliki Najśw. Marii Panny Starowiejskiej, dokąd uczęszczał w niedzielę i gdzie służył do Mszy św. jezuitom, znajdował w latach dziecięcych tę atmosferę głębokiej wiary i chrześcijańskich obyczajów, która sprzyja wychowaniu dzielnych, jasnych ludzi i która budzi powołania kapłańskie.

Miłość i przywiązanie do rodziny, żywy do końca życia i bardzo serdeczny stosunek do rodziców i rodzeństwa, były cechą szczególną ojca Kazimierza. Już wcześnie, bo jeszcze w szkole powszechnej wykazywał pilność i zapał do nauki, połączone z troską, by nie być ciężarem, ale pomocą dla licznej rodziny. Było ich pięciu braci. Jeden z nich piastował przez długie lata urząd wójta w gminie i tak jak ojciec, cieszył się ogólnym poważaniem ludności.

Kazio na własną prośbę udaje się do Sanoka do gimnazjum ogólnokształcącego i tam cierpiąc nieraz głód i chłód na stancji, zarabiając korepetycjami kończy cztery klasy, po czym wstępuje do nowicjatu jezuitów w Starejwsi, jako piętnastoletni chłopak.

Te wczesne trudy, a także życzliwość niektórych nauczycieli, odczute żywo przez Kucharskiego, wpłynęły zapewne na uformowanie się w nim owego czarującego stosunku do młodzieży, zwłaszcza niezamożnej, pełnego bezpośredniej troski i macierzyńskiego niemal zainteresowania losem każdego z osobna napotkanego chłopca czy studenta, kleryka czy żołnierza.

Po odbyciu dwuletniego nowicjatu, a następnie po przygotowaniu się i zdaniu matury w Chyrowie, udaje się na trzyletnie studia filozoficzne do Nowego Sącza i czteroletnie studia teologiczne do Krakowa.

Otrzymawszy święcenia kapłańskie studiuje dalej, poświęcając się równocześnie pracy pedagogicznej w Chyrowie, Pińsku i w Wilnie.

Tu wstępuje na Uniwersytet Stefana Batorego na polonistykę i w 1936 r. uzyskuje stopień naukowy doktora filozofii. Języka i literatury polskiej uczy w Gimnazjum Jezuitów w Wilnie aż do wybuchu II Wojny Światowej.

Jako wychowawca w gimnazjum odznaczał się umiejętnym podejściem do każdego z wychowanków. Powierzano mu wychowawstwo w klasach trudnych, z reguły w wyższych, licealnych. Młodzież lubiła go i ceniła, mimo że był wymagający i mocno tępił lenistwo.

Na formację duchową i światopoglądową swych wychowanków miał wpływ przemożny. Co najmniej 15 roczników młodych wilnian zawdzięcza mu utrwalenie i pogłębienie swych przekonań religijnych i patriotycznych, czemu dali wyraz w szczególnie ciężkich latach prób i doświadczeń wojennych.

Z reguły wesół i uśmiechnięty (nigdy nie chorował, z wyjątkiem ataków nadkwasoty w 1937 r., z której wyleczono go zastrzykami) — umiał jednym zmarszczeniem brwi i spojrzeniem, które sięgało do samego dna duszy, zaledwie kilkoma słowami wstrząsnąć rozmówcą i skierować jego myśli na inne tory. Maturzysta Józef Sidorowicz opowiadał, że na dwa lata przed maturą zaczął się tak zaniedbywać w nauce, że mu groziło usunięcie z gimnazjum. Jedna rozmowa w cztery oczy z o. Kucharskim, który mu powiedział: « Józek, zastanów się! trzeba się uczyć, rozumiesz? inaczej zmarnujesz życie ... », wystarczyła, by chłopak się opamiętał i zabrał do roboty. To był wypadek typowy. Wielu takich Józków ratowały dobre, ojcowskie słowa i oczy ojca Kucharskiego.

W czasie posiedzeń Rady Pedagogicznej młodzież miała w osobie o. Kucharskiego żarliwego adwokata, wstawiał się za niejednym. Perswadował profesorom, że sprawa nie jest beznadziejna. Ufał dobrej woli chłopców. Stawiał na nią i miewał nieraz zastanawiające rezultaty. Tylko dla niepoprawnych leniuchów był nieubłagany i ostry.

Drugi kierunek pracy pedagogicznej o. Kucharskiego dotyczył młodzieży akademickiej.

Oto co pisze mgr Józef Radziewicz, b. prezes Sodalicji

Mariańskiej akademickiej w Wilnie: *Gdy w młodości jako studenci pełni zapału i wiary w dążeniu do budowy lepszej, sprawiedliwszej rzeczywistości, w poszukiwaniu lepszych dróg współżycia społecznego czy też gdy w pracy nad sobą, nad ukształtowaniem swego charakteru spotykaliśmy się z o. Kucharskim, odczuwaliśmy przede wszystkim jedno: wielką miłość do każdego człowieka. W dyskusjach na tematy społeczne i ustrojowe o. Kucharski wypowiadał się za takim układem stosunków społecznych, które w założeniach swoich uwzględnią nade wszystko pełnię rozwoju sił fizycznych i duchowych jednostki — i to każdej, bo wszyscy mają do tego prawo. O. Kucharski pochwalał taki układ stosunków społecznych, który opiera wszystko na zasadzie miłości wzajemnej, układ, którego struktura sprzyja doskonaleniu osobowości ludzkiej. Nie lekceważył żadnego problemu (nawet pozornego), z którym do niego zwracaliśmy się. Będąc surowym dla siebie, był wyrozumiałym dla każdego przejawu ducha i myśli ludzkiej. Rozumiał upadki i słabości, cierpiał razem z nami w naszych nieszczęściach i cieszył się w chwilach radości. Nie oszczędzał siebie, nie żałował czasu ani wysiłku zwłaszcza w tych wypadkach, gdzie widział że pomoc jego, rada, a nawet sama obecność jest wskazana. Toteż poza pracą pedagogiczną, społeczną, naukową i kapłańską, całego siebie oddawał tym, którym był potrzebny.*

O. Kucharski w krótkim czasie po przybyciu do Wilna zdobył sobie mir i uznanie świata akademickiego zarówno przez swoje konferencje jak i przez swój dar organizatorski. (Kaznodzieją wybitnym nigdy nie był, ale mówił przekonywająco i treściwie, zawsze w nowoczesnej formie i językiem dostosowanym do poziomu słuchacza, śmiało posługując się porównaniami i przykładami z różnych dziedzin nauki i sztuki).

Zakłada Związek Absolwentów Gimnazjum Jezuitów w Wilnie i jest jego pierwszym honorowym członkiem, obranym jednogłośnie i owacyjnie, co było dowodem ogromnego poważania, jakim się cieszył wśród wychowanków.

Przy całej życzliwości dla młodzieży wszelkich przekonań miał o. Kucharski stosunek krytyczny do korporacji akademickich, zarzucając im płytkość albo pustkę ideową oraz błędne drogi obrony honoru. Z jego też inspiracji powstaje nowa korporacja innego typu « Conradia », głosząca zasady: *Nie*

pojedynkować się, pracować nad własnym charakterem, służyć Polsce według wskazówek ideologii katolickiej. Mniej gadania, więcej czynu!

Gdy w 1936 r. wybuchły zamieszki w sprawie « Numerus clausus » dla Żydów i studenci zabarykadowali się w domu akademickim, o. Kucharski cieszył się takim uznaniem zarówno u młodzieży jak i u władz uniwersyteckich, że wysunięto go na arbitra-pośrednika w rokowaniach między delegatami młodzieży a władzami uniwersyteckimi i państwowymi i na tym stanowisku przyczynił się wybitnie do zlikwidowania zajść.

O. Kucharski miał ogromny szacunek dla solidnej wiedzy. Utrzymywał przyjazne stosunki ze światem naukowym, z wielu profesorami Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i wzajemnie obdarzany był przez ten świat szacunkiem.

Z okazji 350 rocznicy założenia USB wmurowano we frontowej ścianie kościoła akademickiego św. Jana dwie tablice ku czci dwu pierwszych z kolei rektorów USB: ks. Piotra Skargi i ks. Jakuba Wujka, jezuitów. Autorem tekstu obu tablic jest o. Kucharski. Bije z tego tekstu pietyzm i uwielbienie dla tych dwóch wielkich przedstawicieli Kościoła, Zakonu i Polskości, zasłużonych dla wiary katolickiej i polskiej kultury.

Tymi właśnie uczuciami tętniło gorące serce o. Kucharskiego. Kochał Kościół, kochał Zakon, kochał Polskę, jej lud, język i kulturę.

Podobnie pełen indywidualnego zainteresowania i psychologicznej maestrii był stosunek o. Kucharskiego do kleryków, zarówno tych, których uczył w Pińsku, jak i tych, z którymi kolegował w Wilnie studiując na uniwersytecie, z którymi wspólnie pracował ucząc w gimnazjum. Widzieli i czuli w nim przyjaciela w pełnym tego słowa znaczeniu.

Gdy ktoś w domu zachorował, nie było wypadku, by go o. Kucharski nie odwiedził i nie zainteresował się stanem jego zdrowia. Toteż gdy w czerwcu 1931 r. wybuchła w Wilnie epidemia tyfusu brzusznego i zachorowało sześciu jezuitów, ojciec Kucharski był tym przedstawicielem Zakonu, przez nikogo nie mianowanym ani delegowanym, który najczulszą matkę każdemu z tych chorych zastąpił: co dzień przywoził dorożką Najśw. Sakrament do szpitala zakaźnego, położonego

daleko na Zwierzyńcu, by chorych nakarmić Chlebem Anielskim.

Gdy groziło pogorszenie lub niebezpieczeństwo — czuwał osobiście przy chorym troszcząc się o każdy szczegół. Alarmował lekarzy, sprowadzał ich na konsylia, wynajmował personel pielęgniarski, sprowadzał potrzebne przyrządy, np. butle z tlenem, dopilnowywał diety i dodatków. Nie bał się zakażenia. Gdy dwaj spośród chorych byli umierający, czuwał nocując przy nich. A to wszystko w czerwcu, w czasie najgorętszych prac pedagogicznych, podczas końca roku szkolnego. Ćmił tylko wtenczas więcej papierosów. Gdy nadeszły wakacje — zrezygnował z nich, by tylko lepiej dopilnować chorych. Chorzy do końca życia pamiętać będą i wspominają po dziś dzień świetlanego opiekuna.

Ojca Kucharskiego cechowała wybitna pracowitość. Umiał pracować na dalszą metę. Zawsze był zajęty. Nie lubił roboty bezplanowej. Cenił solidność i rzetelność wysiłków. Gdy się czegoś podjął — to wszystkich sił dokładał, aby impreza w stu procentach się udała.

O. Kucharski był dobrym organizatorem. Umiał sobie dobierać ludzi i posługiwać się nimi, dopilnować ich zajęcia, natchnąć zapałem i ochotą. Porywał osobistym optymizmem. W 1928 r. pisał w liście do E. W.: *Kto bez wiary w siebie i w swoje siły podchodzi do walki o coś, ten z góry skazany jest na przegraną.* Równocześnie ten optymizm łączył z planowością i tej planowości uczył młodzież sobie powierzoną.

Stosował szeroko zaprawę młodzieży gimnazjalnej i licealnej do pracy społecznej. Z ramienia Dyrekcji Gimnazjum Jezuitów w Wilnie był przez długie lata opiekunem szkolnego Koła PCK. Z tego tytułu opiekował się wraz z dużymi grupami wychowanków kilkoma szkołami wiejskimi w okolicy jeziora Narocz oraz szkołą miejską specjalną dla dzieci opóźnionych w rozwoju.

Pokazywał młodzieży jak należy po koleżeńsku i przyjacielsku odnosić się do współkolegów z innych środowisk i akcentował zawsze, że snobizm i wynoszenie się ponad drugich zasługują na potępienie i wykpienie, jako wady sprzeczne z chrześcijańskim stosunkiem do bliźnich.

Z ogromnym zapałem pouczał, jak należy zbliżyć miasto do wsi i odwrotnie. Nieraz sam oprowadzał dzieci wiejskie

po Wilnie i z radością opowiadał współtowarzyszom o reakcjach i zachwytach tej młodzieży, wdzięcznej za takie serdeczne przewodnictwo.

Mając sam szerokie serce i zainteresowania uczył młodzież otwierać oczy na potrzeby otoczenia, Ojczyzny i Katolicyzmu. Był apostołem pokoju i jednania ludzi między sobą. Pierwszy organizuje, skoro tylko stało się to możliwe, w 1938 r. wycieczkę młodzieży do Kowna oraz wycieczkę młodzieży litewskiej z Kowna do Wilna.

To poważanie i ten wpływ wychowawczy rozszerzyły się znacznie, gdy o. Kucharski został przez władze kościelne mianowany Kuratorem Akademickiego Koła Misjologicznego oraz Moderatorem Sodalicji Mariańskiej Akademików. W Koło Misjologiczne tchnął ducha szerokich zainteresowań ogólnokatolickich. Sprowadzał publikacje, czasopisma i atlasy. Zorganizował przy pomocy Sekcji Misyjnych szkolnych Sodalicji Mariańskich imponującą wystawę misjologiczną w czterech pawilonach wystawowych w ogrodzie bernardyńskim (1930 r.) Sprowadził wówczas zespół eksponatów od Księży Misjonarzy Lazarystów z Krakowa. Postarał się o sporządzenie barwnych tablic statystycznych ilustrujących stan i rozwój katolickiego ruchu misyjnego. Profesor Mieczysław Limanowski, zwiedzając tę wystawę wyraził się, że więcej się dowiedział z niej o katolicyzmie, niż przez wiele lat akademickich studiów historycznych.

W Mariańskiej Sodalicji Akademickiej widział o. Kucharski szkołę charakterów i szkołę wodzów akcji katolickiej. Tak też traktował swą rolę moderatora sodalicyjnego. Chciał wyrobić sodalisów na wybitnych katolików, odważnie wyznających swą wiarę religijną i umiejących bronić swych przekonań. W porozumieniu z o. Romualdem Moskałą i innymi moderatorami opracował projekt nowego Statutu Sodalicji Akademickiej.

Społeczeństwo nie mniej niż młodzież wyczuwało w ojcu Kucharskim apostoła z prawdziwego zdarzenia. Zawsze oblężony konfesjonał świadczył, że Ojciec nie lekceważył kierownictwa duchowego, że był spowiednikiem traktującym każdą duszę indywidualnie i choć surowo, ale z całym zrozumieniem i z szerokim sercem oraz znawstwem potrzeb i lekarstw duchowych.

O. Kucharski odznaczał się trzeźwością zasad życiowych. Były nią przeniknięte rady i wskazówki, których szczodrze udzielał. Zalecał np. usilnie, zarówno młodzieży jak i starszym, racjonalną troskę o zdrowie fizyczne, by przeciąć drogę do psychoz tak utrudniających pracę pedagogiczną i wpływ moralny w konfesjonale. Napisał osobną broszurę (wydaną w Wilnie w 1934 r.) na temat: *Rola zmysłów w życiu duchowym człowieka.*

Sam będąc cholerykiem z dużą domieszką temperamentu sangwinicznego miał też i słabe strony, tak charakterystyczne dla tego rodzaju usposobień. Widząc dobre rezultaty swej pracy, był bardzo pewny siebie, a czasem apodyktyczny w sądach. Autorytet, którym się cieszył, prowadził go niekiedy do autokratyzmu. Był urodzonym wodzem. Wielu szło za nim, choćby w ogień, ufając mu bezgranicznie. Ale w środowisku wileńskim, gdzie nierzadko trafiają się jednostki szczególnie przekorne i uparte, napotykał jednak, zwłaszcza wśród męskiej samodzielnie myślącej młodzieży akademickiej, na sprzeciw. Miewał przeciwników, choć nigdy wrogów. I przeciwnicy doceniali jego wartości pozytywne, a zwłaszcza poświęcenie i aktywność.

Jako kierownik sumień kładł nacisk na czyn. Sam dawał przykład życia niesłychanie intensywnie nasyconego czynem.

Społeczeństwo polskie doceniało działalność o. Kucharskiego. Wyrazem tego jest m. in. to, że otrzymał w 1938 r. Złoty Krzyż Zasługi za ogólnie znaną działalność społeczną na terenie Wilna. Znany był nie tylko na terenie Uniwersytetu Stefana Batorego, ale jako wybitny rekolekcjonista i konferencjonista w świecie nauczycielskim szkół średnich, jako działacz PCK. Dając rekolekcje grupom ziemian, bez ogródek wypominał ich niedociągnięcia społeczne, niedokształcenie religijne, izolacjonizm klasowy i snobizm. Niektórzy z nich mieli mu to za złe. Ale młodzi wychowankowie o. Kucharskiego z Gimnazjum Jezuitów w Wilnie, pochodzący z tamtego środowiska, przyznawali mu rację i stawali po jego stronie.

Dalszym dowodem uznania i popularności o. Kucharskiego w społeczeństwie była ankieta, rozpisana przez *Ekspres Wileński* w 1935 r., zapytująca czytelników, kto jest najbardziej znaną, cenioną i lubianą osobistością w Wilnie?

W wyniku tej ankiety o. Kucharski znalazł się na trzecim miejscu, po biskupie Michalkiewiczu i generale Żeligowskim.

Był niewysokiego wzrostu, atletycznej kompleksji, nieco przygarbiony, o energicznym chodzie, twarzy zawsze uśmiechniętej, spod krzaczastych brwi patrzyły głęboko osadzone, ciemnobłękitne oczy. Czesał z fantazją do góry swą ciemną czuprynę. Usta wąskie, zacięte. Dolna warga lekko wysunięta naprzód. Dolna szczęka mocno rozwinięta. Nadawało to całej postaci wyraz męskiej determinacji i stanowczości, łagodzonej uroczym uśmiechem, który o. Kucharskiego niemal nie opuszczał. Był okazem człowieka twardego i mocnego, a przy tym zrównoważonego religijną wiarą i z niej płynącą emocjonalną postawą wobec Boga i spraw Bożych. A już specjalnego czaru dodawało ojcu Kucharskiemu jego żywiołowe, dziecięce, tak bardzo katolicyzmowi właściwe nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny. Nigdy się nim nie popisywał, ale w odpowiednim momencie dawał mu wyraz tak, że czuło się wyraźnie z intonacji głosu, jaki ogień uczucia płonie w tym kapłanie wychowanym u stóp świątyni Matki Boskiej Starowiejskiej.

Z chwilą wybuchu wojny, będąc czynnym członkiem Polskiego Czerwonego Krzyża, zajął się ojciec Kucharski opieką nad tysiącami uchodźców z naszych terenów zachodnich i z centralnej Polski, którzy schronili się do Wilna. Przy gimnazjum i konwikcie jezuitów, przy ul. Wileńskiej 58, utworzono punkt opiekuńczy PCK. Otworzono stołówkę, biuro pośrednictwa pracy i komisową sprzedaż odzieży. Pomagano też w zdobyciu opału, mieszkań i żywności. Duszą komitetu PCK dla spraw uchodźców staje się o. Kucharski. Dwoi się i troi w tej pracy. Dobiera sobie pomocników i pomocnice. Jaśnieje tu jego talent organizatorski. Sam udziela hojnie rad i wskazówek, biega do władz rządowych i miejskich litewskich przedstawiając potrzeby uchodźców. Wśród stałych mieszkańców Wilna budzi poczucie obywatelskiej gotowości niesienia pomocy potrzebującym, zagrzewa do jedności i miłości braterskiej wśród Polaków, zachęca do zgody z Litwinami. Mocno piętnuje wybryki szowinistów litewskich, napadających na ludność polską, śpiewającą polskie pieśni po kościołach w czasie nabożeństw.

Ponadto utrzymywał łączność z tworzącym się polskim podziemiem. Gdy w 1940 r. zaistniała potrzeba unifikacji akcji

podziemnej przeciw Niemcom, wysunięto o. Kucharskiego jako męża zaufania, cieszącego się powszechnym uznaniem w Wilnie, by pośredniczył w dziele unifikacji. Autorytetem swoim, umiarem i mądrością przyczynił się o. Kucharski walnie do tego zjednoczenia, które połączyło kilkadziesiąt grup podziemnych w jeden Związek Walki Zbrojnej. Na jego ręce poczęły napływać pieniądze od Rządu Polskiego na emigracji dla finansowania ZWZ a także na pomoc dla uchodźców na lekarstwa i odzież.

W tym to czasie o. Kucharski rzuca inicjatywę, ufundowania przez społeczeństwo polskie w Wilnie sztandaru dla polskich lotników walczących na froncie zachodnim. Z uzbieranej sumy zamówiono i wykonano sztandar, który następnie o. Kucharski uroczyście poświęcił w kaplicy Ostrobramskiej przed cudownym obrazem Matki Bożej i wysłał go okrężną drogą do Anglii.

Po ukonstytuowaniu się komunistycznego rządu na Litwie działalność o. Kucharskiego ulega ograniczeniu. W początku maja 1941 r. zostaje aresztowany i wywieziony do Moskwy. Zwolniony po porozumieniu z generałem Sikorskim udaje się do Kujbyszewa, gdzie na Boże Narodzenie 1941 r. ma do Polaków przemówienie świąteczne przez radio. Jako czynny członek Polskiego Czerwonego Krzyża, obejmując równocześnie obowiązki kapelana wojskowego, wyjeżdża wraz z oddziałami generała Andersa do Teheranu. Tutaj organizuje Gimnazjum i Liceum Polskie wraz z internatem dla młodzieży. Jest przez pewien czas dyrektorem tego gimnazjum. Kapelanuje równocześnie żołnierzom. Przemawia często. Zaopatruje chorych. Chowa umarłych. W 1943 r. zostaje mianowany kapelanem Polskich Szkół Podchorążych w Palestynie. Z jego to inicjatywy zebrano wówczas wśród Polaków pokaźną sumę na zakup mozaiki do Bazyliki Konania w Jerozolimie.

Przeżycia więzienne (o których się wyrażał, że nie żałuje ani jednego z dni spędzonych w więzieniu, bo tyle dobrego można tam było zrobić dla podniesienia na duchu współwięźniów) jak również wytężona praca kapelańska i pedagogiczna, nadszarpnęły mu zdrowie do tego stopnia, że w sierpniu 1944 r. władze wojskowe zadecydowały wysłać go do sanatorium dla ratowania płuc.

Koniec wojny zastaje o. Kucharskiego w sanatorium. Tu-

łaczka po szpitalach i sanatoriach na Bliskim Wschodzie przedłuża się w nieskończoność. Stan zdrowia kilkakroć jest krytyczny. W maju 1948 r. wyjeżdża wreszcie o. Kazimierz na krótko do Rzymu. Tutaj pracuje w Radio Watykańskim. Klimat Rzymu nie służy mu jednak. Traci stale na wadze. Nie pomagają przenosiny i zmiana zajęcia (od 10 lutego 1949 r.) Ze zdrowiem jest tak źle, że musi wszystko zawiesić na kołku i zacząć kurację streptomycynową i deapasilową. Od 9 do 30 lipca przebywa w klinice w Rzymie, od 1 do 30 sierpnia w Kolegium w Rzymie, a od 1 września w pensjonacie « Maria Elisabetta » w Gardone nad jeziorem Garda u podnóża Alp.

Tu, mając doskonałe warunki do spokojnej, nie wytężonej pracy, prosi o nadesłanie mu z Polski książek i czasopism. Z wiosną rozpoczyna przygotowania do wygłoszenia w Rzymie, w sierpniu 1950 r., odczytu o kulcie Matki Boskiej Wniebowziętej w narodzie polskim. Prosi o nadesłanie książki Tretiaka: *Cześć Matki Bożej w poezji polskiej* i Gawalewicza *Legendy o Matce Bożej* z ilustracjami Stachiewicza. *Poezje Konfederatów Barskich* i III część *Dziadów* Mickiewicza. Prosi o pracę Gumowskiego: *O tytułach kościołów w X-XIII w. w Polsce* oraz o. Fridricha: *Historie cudownych obrazów NMP w Polsce.* Jesienią 1950 r. pisze: *Moje referaty wzbudziły wprost zachwyt i podziw jakim cudem potrafiłem je tak wyczerpująco na odludziu opracować. Zdumienie nie miało granic, gdy się dowiedziano, że materiały do całej pracy otrzymałem z kraju. Wielu nie mogło pojąć, że obecnie w kraju wychodzi tyle katolickich poważnych rzeczy. Dla mnie ta praca była olbrzymim pokrzepieniem ducha, bo tyle miesięcy przestawałem ustawicznie z Matką Najświętszą i z polską duszą na przestrzeni wieków, mogłem się namodlić do syta i nacieszyć pięknem polskiego kwiecia, składanego nieprzerwanie u stóp Królowej Polski.*

W Rzymie byłem 14 dni, lecz niewiele się nacieszyłem, bo mi bardzo dokuczała egzema na stopach i na rękach, a zwłaszcza uszach. Jest to owoc kuracji streptomycynowej i deapasilowej. Jest to sprawa bardzo przykra, gdyż ciągłe bandażowanie rąk i nóg, tampony w uszach — pochłaniają mi prawie cały dzień i nie pozwalają pisać nawet na maszynie... Cieszę się jednak, że w owych pamiętnych dniach byłem w Rzy-

mie i mogłem wziąć udział w głównych uroczystościach... w Rzymie bardzo na mój powrót czekają...

Streszczenie dość dokładne pracy o Wniebowzięciu ukazało się w języku włoskim w Osservatore Romano, co uważam za poważny dorobek z ostatniego okresu mego żywota — pisze o. Kazimierz w rok później (14.9.1951 r.).

Myśl Ojca biegła do coraz to nowych tematów. W grudniu 1950 r. pisze: *Z egzemą moją jest już trochę lepiej. W Bogu nadzieja, ze to paskudztwo wkrótce skończy się zupełnie. Poza tym przemyśliwam obecnie nad zagadnieniem « osobowości » w ujęciu katolickim. W związku z tym wyprecyzowuję obecnie pojęcia w zakresie podstawowych elementów psychiki ludzkiej i po uszy ugrzązłem w psychologii doświadczalnej. Jestem na drodze do stwierdzenia trzech poziomów, zarówno w dziedzinie poznania (spostrzeżenia — wyobrażenia — pojęcia), jak w dziedzinie miłości (czucia — pożądania — uczucia), jak i w woli (instynkty — popędy — akt woli). Pokrywa się to z trzema warstwami: ustrojową, psychiki zmysłowej i psychiki duchowej w człowieku. W opracowaniu tego zagadnienia pragnę dać syntezę dorobku wychowawczego całego mojego życia dotychczasowego. Czuję, że na tej pracy nie będzie piętna i zaduchu bibliotecznego, że będzie to rzecz żywa w pełnym tego słowa znaczeniu. Daje mi to dość wielkie zadowolenie, że mimo kuracji coś mogę robić.*

W połowie czerwca przenosi się o. Kucharski w góry do Soprabolzano. Egzema na rękach i stopach odnawia się systematycznie, a proces w płucach nie jest zakończony. 14 września 1951 r. pisze: *Doprawdy te dwa lata kuracji to najcięższy okres mojego dotychczasowego życia, okres prawie zupełnej bezczynności. Trochę pracowałem piórem w Duszpasterzu Polskim Zagranicą, trochę dla dawnej placówki rzymskiej (Radio Watykańskie), ale ogólnie wegetowałem poza przemyśleniami niektórych problemów... Oczywiście personalizm jest na pierwszym planie, Persifal Polski (Żywe Kamienie) na drugim, nowy świat, ku któremu idziemy, na trzecim. Oto masz mój świat i jego główne kręgi... Typ mojej gruźlicy, to bardzo uporczywa postać i wymaga zazwyczaj długiego czasu.*

Od 7 grudnia 1951 do 15 maja 1952 r. przebywa o. Kazimierz w Merano na kuracji rentgenowskiej przeciw egzemie. Kuracja przebiega dobrze, ale klimat Ojcu nie odpowiada. Źle

sypia. Traci na wadze. Okoliczne góry są podobno radioaktywne i tak działają na wielu. Z płucami znów gorzej. Grozi mu łamanie żeber po lewej stronie. Udaje się do Gardone na zimę i tam rozpoczyna kurację nicotibinową. Cały styczeń i luty gnębi Ojca grypa, która go doprowadza do apatii. Ponadto nicotibinę musiał rzucić, gdyż spowodowała ona reakcję alergiczną w postaci egzemy wewnętrznej na oskrzelach. Cierpi na stałą zadyszkę i ataki duszności przy każdym ruchu fizycznym. Wysypka wewnętrzna na muskule oddechowym bardzo osłabiła Ojca. Cały czerwiec 1953 r. przeleżał w łóżku i nawet Mszy św. nie odprawiał. Gorączka od 38 do 39 stopni wyczerpała go również nerwowo. Cierpiał na bezsenność. W tym okresie czasu stosował najnowszą kurację amerykańską, która poprawiła stan zdrowia w takim stopniu, że Ojciec wstał i mógł czasem wyjść do miasteczka. Po takim jednym wypadzie do dentysty chwycił grypę i przeleżał trzy tygodnie. *A taka grypa to nawrót potwornej astmy, męczącej dniem i nocą, że zdaje się człowiekowi, iż to już koniec się zbliża. Obecnie najgorsze minęło, a ja wracam do stanu dobrego poczucia... tylko kaszlę obecnie więcej niż wówczas, ale gorączki nie mam wcale.* (List z dnia 24.1.1954 r.)

W liście z 15.12.1954 r. pisze: *Lipiec i sierpień spędziłem w okolicy Brenneru, od 8 do 16 września byłem w Rzymie na Kongresie Sodalicji Mariańskich, a od 27.9 leżę do tej pory w Gardone, choć zdecydowany był mój powrót do pracy, gdyż z płucami było zupełnie dobrze.*

Po obustronnym zapaleniu płuc nastąpił kollaps mięśnia sercowego, wyczerpanego bardzo już ograniczonym oddechem, a w marcu 1955 r. zawał serca. *Wszyscy byli przekonani, że już umieram i tylko na śmierć przetransportowano mnie do domu zakonnego w Lonigo. Tu rozwinęła się rozedma płuc i w stanie beznadziejnym przewieziono mnie do sanatorium w Bassano del Grappa (Vicenza). Przełom na lepsze spowodował tlen pobierany nosem całymi godzinami. Ciężko przeżyłem jesień i zimę... Najbardziej dokucza bezsenność... jestem gotów na wszystko... cierpienia ofiaruję za moje grzechy i w intencji « Moich »... i za cały świat.* (29.11.1955 r.)

Od października 1955 trzy razy byłem umierający wskutek zastawkowej rozedmy płuc i mięśnia sercowego. Trzy razy byłem zaopatrzony, a jednak inne były plany Boże. Żyję, aby

być dłużej na Kalwarii i odpokutować za grzechy swoje i pomagać Jezusowi w dziele odkupienia dusz (11.12.1955 r.) *Akordem naczelnym mojej duszy jest wykrzyk*: « *Miłosierdzie Pańskie będę wysławiał na wieki* », *gdyż mimo całej mojej nędzy i słabości nie tylko mnie nie odtrącił od siebie, ale ciągle dźwigał na nowo i wspierał łaską swoją.* (12.7.1956 r.)

Przeżycia z 1.5 i 18.5.1956 r. były potworną agonią, trwającą raz pół godziny, a drugi raz półtorej godziny. Upustem pół litra krwi i różnymi zastrzykami w obu razach przerwano agonię. Dyrektor sanatorium, obecny przy obu konaniach, doszedł do wniosku, że winne są zastrzyki Miocombin. Przed tymi atakami zawału serca lekarze uważali te właśnie zastrzyki za utrzymujące mnie przy życiu. Po ich usunięciu czuję się coraz lepiej i 27 maja celebrowałem siedząco. Od pewnego czasu wstaję na jakąś godzinę, oddycham dość swobodnie, o astmie zapominam, a nawet kaszlę bardzo mało. (List z 30.5. 1956 r.)

Z wszystkim zaczyna być lepiej. Zawdzięczam to przede wszystkim św. Ignacemu Loyoli, który tu był w Bassano i tu zdziałał jedyny za swego życia cud. Właśnie ten rok jest jemu poświęcony (400 lat od jego śmierci) i tu ten jubileusz ma być uroczyście obchodzony. Mam nadzieję, że w nim wezmę udział, choć na razie wstaję na godzinę tylko. Zobaczymy jakie będą plany Boże. (9.8.1956 r.)

Do św. Ignacego zaczął odprawiać szereg nowenn, licząc na cudowne uzdrowienie za jego przyczyną. Odprawianie Mszy św. było dla Ojca zawsze największą pociechą w chorobie, mimo że połączone było z niezwykłym wysiłkiem i zmęczeniem z powodu astmy oraz osłabienia. Ostatnią Mszę św. odprawił 26 sierpnia 1956 r. łącząc się z całą Polską i z Polakami za granicą w wielkich intencjach Roku Maryjnego. W parę dni później wskutek silniejszego przeziębienia o. Kucharski zaprzestał wstawać z łóżka. Zdawał sobie sprawę, że to koniec się zbliża, mówił o tym otoczeniu i całkiem świadomie gotował się na śmierć. W uroczystość św. Michała Archanioła poprosił o oleje św., których mu udzielił o. Frigerio TJ, superior domu rekolekcyjnego w Bassano. O północy przyszedł silny atak serca. Wchodzącego do pokoju kapelana szpitalnego powitał Ojciec słowami św. Pawła: *Bonum certamen certavi, cursum consummavi, fidem servavi ideo reposita est*

mihi corona justitiae, quam reddet mihi Dominus in illa die justus judex..., recytując tekst z wolna i bez pomyłki. Odpowiadał sam na wezwania w litanii za konających i w czasie jej odmawiania oddał ducha Bogu.

Towarzysze jego ostatniej choroby piszą: *Tak jak swoim życiem podczas choroby w sanatorium i swoją śmiercią budował nas, tak w dalszym ciągu żyje w naszej pamięci jako pełen zapału, gorliwy, sumienny kapłan, który znosił swoje cierpienia bez słów, z heroiczną cierpliwością, dla którego jego krzyż był wyrazem woli Bożej... kluczem do bramy Niebios.*

Lekarze, którzy go leczyli, byli pełni uznania i podziwu dla jego zalet. O jego ostatnich godzinach wyrazili się: *Ojciec Kucharski umarł jak żołnierz, który do ostatniej chwili trwa na posterunku i bez trwogi patrzy śmierci w oczy. Pozostawił po sobie w Bassano del Grappa pamięć niezwykłych cnót, szczególnie silnej wiary, zupełnego zdania się na Wolę Bożą, heroicznej cierpliwości oraz ojcowskiego serca dla wszystkich.* (Z listu do J. Hanicz).

Piękna, budująca śmierć była harmonijnym akordem, kończącym pełne Bożej treści życie gorliwego kapłana, jezuity, Polaka, jakim był o. Kazimierz Kucharski TJ.

Wanda Kieszkowska

APOSTOŁ

Wiele artykułów ukazało się po śmierci o. Tomasza Rostworowskiego. Nic dziwnego. Był postacią prawdziwie niezwykłą, cenioną i podziwianą przez wszystkich, którzy się z nim bliżej zetknęli. Był człowiekiem szerokiego serca, a serce to było pełne życzliwości dla każdego człowieka. Ja znałam go dobrze. Mogłabym nawet zaryzykować twierdzenie, że w pewnym okresie życia znałam go bardzo dobrze, choć zdaję sobie sprawę, że takich jak ja, było przy nim wielu. Po prostu przyciągał ludzi i stale był przez nich rozrywany. I on znał mnie dobrze, może nawet lepiej, niż ja samą siebie. Dlatego we wszystkich urywkowych wspomnieniach, pisanych — jak sądzę — w najlepszej intencji ze szczerym podziwem i oddaniem, odczuwam jakiś niedosyt, a nawet budzą, we mnie pewien sprzeciw. Są jakieś wycinkowe, albo rozpraszają się po drugorzędnych, niewiele mówiących szczegółach, albo też ograniczają się do czysto zewnętrznych, czasem zresztą bardzo efektownych i barwnych faktów. Niby wszystko się zgadza, niby fakty są prawdziwe, ale żaden z nich nie daje właściwego obrazu, nie pokazuje, ba, nie usiłuje chyba pokazać na czym polegała istota oddziaływania o. Tomasza i jego prawdziwa wielkość. Pisało się o jego « charme », aż nadto o « kawaleryjskiej naturze » i takiejże brawurze. Słowo « charme » wydaje mi się zupełnie niewłaściwe w stosunku do o. Tomasza. Brzmi ono trochę sztucznie i kobieco, a Jego cechowała właśnie wielka prostota i mimo ogromnej dobroci nie było w nim nic kobiecego. Nie przeczę zresztą, że miał ten urok, ale to, co zazwyczaj ze słowem tym wiążemy, więc pociągająca powierzchowność, ujmujący sposób bycia, rozliczne talenty towarzyskie stanowiły tylko zewnętrzną otoczkę będącą wynikiem i czerpiącą soki z trudnej, długoletniej, świadomej pracy nad samym sobą, a także z wciąż pogłębianej miłości ku Bogu i człowiekowi. Zewnętrzne warunki były mu niewątpli-

wie pomocą w tym wpływie, jaki roztaczał i w tym świadomym apostolstwie, któremu się cały poświęcał, może nawet i one przyciągały niektórych do niego, ale zatrzymywała ich przy nim, łączyła i urabiała jego osobowość, jego postawa i stosunek do życia i bliźnich.

Natomiast muszę wyznać, że owej « natury kawaleryjskiej », które to kreślenie wciąż się powtarza we wszelkich wspomnieniach o nim, ja wcale nie dostrzegałam. Nie miał w sobie nic z tej pasji, co pewien znajomy, a bardzo świątobliwy zakonnik, rolnik z wykształcenia, o którym opowiadano, że zaproszony na wieś do sióstr na rekolekcje, prosto z bryczki pędził do zabudowań gospodarskich, przekonać się o stanie inwentarza. Nic z tego. A miałam niezgorszą sposobność, by się o tym przekonać, bo tak się składało, że w czasie wojny spędzałam z nim i to parokrotnie po kilka dni na wsi u przyjaciół i tego specjalnego pociągu do koni wcale w nim nie zauważyłam. W każdym razie w stajni nie zastałam go ani razu, choć pani domu kochała się w koniach i przed wojną z zapałem brała udział w konkursach. Brał oczywiście udział w przejażdżkach końmi, jak brał we wszystkich odpowiednich rozrywkach, w grze w piłkę, we wspólnych śpiewach i zabawach. Po prostu kochał życie i świat, cały świat, ludzi, zwierzęta, przyrodę, ale kochał je w Bogu, i po Bożemu, jako Jego dzieło.

Miał natomiast niewątpliwy pociąg do motoru. Pamiętam, że na jakiejś wspólnej wycieczce nadarzyła mu się przypadkiem okazja powrotu do Warszawy na rowerze, aż mu oczy rozbłysły. Widać było jak się ze sobą zmaga. W końcu nie wytrzymał. Taka okazja! Przejechać się kilkanaście kilometrów rowerem, wypróbować swych sił i sprawności, zamiast wlec się podmiejską ciuchcią, to była frajda nad frajdami. Tłumacząc się gęsto i przepraszając żarliwie prosił pokornie o pozwolenie odłączenia się od wycieczki, która i tak dobiegała już końca! Tak dawno nie siedział na rowerze i podobna okazja nieprędko zapewne się zdarzy. No, właśnie, takie okazje w zakonie z pewnością nie trafiały się często. Człowiek o tak żywiołowej, szeroko na świat i jego urodę otwartej naturze niejedną zapewne musiał ze sobą stoczyć walkę, niejedno nieraz pragnienie zdusić, by się poddać, zrezygnować, ugiąć. Musiał je stoczyć sam ze sobą, aby potem mieć prawo żą-

dać od innych, ażeby się ugięli przed Prawem Bożym. Tę walkę z sobą toczył chyba do końca. Im cięższa była ta walka, tym większa zapewne radość ze zwycięstwa nad sobą. O tych rzeczach jednak mało kto wie i myśli. Dla większości ludzi świeckich kapłan, a już zwłaszcza zakonnik, to jak gdyby monolit z jednej bryły wykuty, uformowany według pewnych reguł i tkwiący w nich niezmiennie. A przecież to człowiek żywy, ulegający jak i my wszyscy różnym pokusom, zrywom, pragnieniom, ba, mający własne zdanie, poglądy na pewne sprawy, w jego mniemaniu najsłuszniejsze, najbardziej uzasadnione, a jednak z których musi niejeden raz w imię posłuszeństwa zakonnego zrezygnować. O. Tomasz nie był wyjątkiem pod tym względem. Tylko że ludzie widzą na ogół wyniki, a nie domyślają się ceny, za jaką się je osiąga.

Wszyscy wiemy, że był wzorowym zakonnikiem, że starał się ze wszystkich sił zawsze być wierny przyjętej regule i że w każdym człowieku bez wyjątku widział brata, któremu całym porywem serca pragnął służyć ze wszystkich sił. Ale już nie każdy o tym wiedział i zdawał sobie sprawę, że pogodzenie i uzgodnienie tych dwóch podstawowych dla jego życia spraw — posłuszeństwa regule zakonnej, i nie liczącego się nieraz z własnymi siłami i realnymi możliwościami porywu niesienia pomocy wszystkim, którzy stanęli na jego drodze — nie przychodziło mu bez trudu, że płacił za nie nieraz gorzką cenę przykrości i upokorzeń. Nie, nie skarżył się nigdy, ja w każdym razie nie słyszałam nigdy skargi z jego ust. Skąd o tym wiem? Oto z pewnych aluzji zawartych w długim liście pisanym do mnie z Rzymu na pięć i pół roku przed śmiercią. *Dziś kończę własne rekolekcje ośmiodniowe, więc zanim wpadnę znów w wir codziennych zajęć pragnę przesłać pozdrowienia do kilku osób, które w moim życiu coś znaczą, a z którymi nie koresponduję. Do nich należy Pani. Nie mówiąc już o tylu głębokich przeżyciach z czasów okupacji, pracy w sodalicji, w konspiracji, kłopotów z Pani Bratem, śmiercią Pani Siostry Zosi, rozmowach w Ostrowie u H. Lipkowskiej, co wszystko — razem z refleksjami o Łasce Bożej i jej dziwnych drogach w duszach ludzkich — sprzyjało nawiązaniu nici wzajemnego zrozumienia, zaufania i szacunku między nami — pamiętam jedno słówko, które mi Pani powiedziała przy jakiejś sposobności (gdy się spóźniłem na jakieś spotka-*

nie): « Cenię Ojca, bo Ojciec jest wierny, dotrzymuje słowa ... » Pani nawet nie wie, jak mi takiego bodźca było potrzeba! Z wielu stron słyszałem narzekania odwrotne: że jestem niesłowny, niepunktualny, lekceważę czas drugich itd. Pani trafiła w słaby punkt, ale tym powiedzeniem mnie Pani podniosła na duchu. Takim przecież zawsze chciałem być. Od najmłodszych lat: w harcerstwie, w zakonie. Żywość mojego usposobienia stała na przeszkodzie, nigdy zaś lekceważenie ludzi! Nie obliczałem się z czasem i bardzo dużo obowiązków podejmowałem, traciłem zbyt dużo czasu na niektóre zajęcia itd. Ale moje obowiązki wobec ludzi, wobec dusz mi powierzonych, starałem się traktować na serio. Z przekonaniem, że moje powołanie polega na pomaganiu każdemu spotkanemu człowiekowi. Dziś, gdy jestem w pełnej jesieni życia (skończyłem w listopadzie 64 lata), a w czasie rekolekcji dorocznych robię rachunek sumienia z dobrego użycia czasu, przypominają mi się Pani słowa. I postanawiam ponownie iść w ślady mojego Patrona (po nawróceniu!). Praca mi się układa doskonale. Dzięki Bogu nie czuję starości z wyjątkiem reumatyzmu w kolanach ... Do ciężkich czasów jestem przyzwyczajony i nigdy na nie nie narzekam, obserwuję tylko bacznie, jak wiele rzeczy ulega zmianom ...

Dziś kiedy rozważam stosunek o. Tomasza do bliźniego, do każdego bliźniego, który stanął jego drodze, rozumiem, że przy najlepszej woli z obu stron, nie mogło się obyć bez jakichś kolizji z najbardziej nawet wyrozumiałymi przełożonymi. Bo wojna wojną, ale zakon zakonem i jakaś reguła, jakaś dyscyplina obowiązuje. Można ją było na jakiś czas rozluźnić i ograniczyć w razie potrzeby, ale jednak ... Usposobienie zaś i podejście o. Tomasza do człowieka musiały rozsadzać wszelkie ramy. O. Tomasz mógł wyjść z domu z najdokładniej wytyczonym planem zajęć i niezłomnym postanowieniem nie odstąpienia od niego, ale z jego usposobieniem było to zupełną niemożliwością. Bo, dajmy na to, mając w planie od dawna ustalone różne spotkania, po powrocie zaś umówioną spowiedź, przedtem miał po drodze odwiedzić chorego i zanieść mu Komunię św., na co miał przewidziany pewien, dość znaczny nawet odcinek czasu, jeżeli zastał tego chorego leżącego samotnie, bez opieki w nieopalonym mieszkaniu, to z góry było wiadome, że po udzieleniu mu Komunii,

bez słowa zakasze rękawy i zabierze się do palenia w piecu, a dobrze jeszcze jeżeli nie będzie musiał lecieć do sklepu po jakieś jedzenie i szykować mu posiłku. Czyż można się dziwić, że przy takiej gotowości natychmiastowego niesienia każdemu potrzebującemu pomocy, najbardziej precyzyjny plan z punktu spalał na panewce, że wszędzie z konieczności się spóźniał, że wszędzie musiano na niego czekać i że nierzadko nie dało się planu dnia wykonać, że ważne sprawy pozostawały niewykonane. Ostatecznie doba ma tylko 24 godziny a potrzebujących było tak wielu! O. Tomasz sam się tym kłopotał i gryzł, ale rady nie widział, a może i nie chciał widzieć, bo miał — jak to wyraźnie wynika z jego listu — wewnętrzne przekonanie, że to właśnie jest jego powołaniem, że to prawdziwa służba: nie mijać nikogo na swej drodze. W związku z tym przysłowiowym już spóźnianiem pamiętam jedno trochę zabawne zdarzenie. Wkrótce po powstaniu umówiłam się z Ojcem w jakiejś podwarszawskiej miejscowości, w Milanówku chyba, do którego musiałam dojechać. Ja jestem bardzo punktualna. Ale tym razem kolejka się zepsuła, czy coś w tym rodzaju, dość że nie mając już żadnej nadziei na zastanie Ojca, srodze zawiedziona i markotna — bo chodziło o rzeczy istotnie ważne — a nie miałam żadnej nadziei znaleźć go w tym Milanówku, już tylko z poczucia obowiązku stawiłam się jednak w umówionym miejscu po trzech przeszło godzinach spóźnienia. I właśnie w chwili kiedy dochodziłam do miejsca naszego spotkania, zobaczyłam Ojca, jak zdyszany, zziajany wybiegł zza jakiegoś węgła. Oboje stanęliśmy jak wryci wykrzykując jednocześnie: Bardzo przepraszam — a potem także zgodnym chórem: « Co i Pani? » « Co i Ojciec? ». Tym razem obyło się bez tłumaczenia, bo owo już przysłowiowe spóźnienie Ojca okazało się błogosławione.

Dobroć i ofiarność Ojca niezawodna zawsze i dla wszystkich w czasie wojny jakby się jeszcze zwielokrotniła. My wszyscy, jak gdyby chcąc się uodpornić na grozę dni wojennych, staliśmy się bardziej twardzi, oschli, powściągliwi. Nie rozczulaliśmy się tak łatwo nad sobą ani nad innymi. Jego zaś wojna chyba uczyniła jeszcze bardziej wrażliwym na ludzkie potrzeby i niedostatki oraz spotęgowała w nim jeszcze przemożne pragnienie służenia bliźnim i zapobiegania wszelkim biedom, i tym wielkim, i tym małym, codziennym troskom.

Przytoczę tu dwa tylko znamienne dla niego przykłady. Jeden z nich dotyczył rzeczy pozornie drobnej, drugi już bardzo poważnej. I one odnoszą się do czasów wojennych.

Gdzieś w połowie lat wojny chyba, zjawiła się niespodziewanie w Warszawie daleka kuzynka Ojca, wychowanica jego stryja. A razem z nią spadł mu na głowę nowy obowiązek i nie byle jaki kłopot. Opowiadał mi z wielkim przejęciem jej historię, która mnie zresztą wcale nie wzruszyła. Pochodziła ze spolszczonej rodziny kurlandzkiej, ale mającej też jakieś powiązania niemieckie, na domiar wszystkiego zakochał się w niej podobno jakiś Niemiec, esesman chyba. I tu zaczynały się trudności. Panienka niby od tej miłości uciekła ze wsi do Warszawy, ale kropla krwi niemieckiej dochodziła od czasu do czasu do głosu, do czego przyczyniały się zapewne frontowe przewagi niemieckie. Ojciec robił, co mógł, żeby w niej to poczucie polskości podtrzymać. Nie bardzo umiał jednak sam sobie z tym kłopotem poradzić, bo zwrócił się do mnie, żebym mu pomogła gdzieś ją umieścić. Nie było to rzeczą łatwą. Panienka była istotnie niebrzydka, ale niezbyt miła i nie umiała sobie zjednywać sympatii, za to wymagania miała wcale niezgorsze. No i miała w zanadrzu swój atut — miłość tego Niemca. Jednak pomogłam. Porozumiałam się z moją przyjaciółką i osobiście odwiozłam ją do niej na wieś zadowolona, że i sobie, i Ojcu zdjęłam kłopot z głowy. Próżna radość. Po tygodniu pojawiła się znowu. Nie odpowiadał jej tam pobyt. Tym razem problem był jeszcze trudniejszy. Nie miała dosłownie dachu nad głową, ani środków utrzymania. Groziła, że wróci na wieś, gdzie czekał na nią ten rozkochany i wcale nie taki groźny i zły jak opowiadała, Niemiec. Należało jej znaleźć jakiś nocleg na parę dni, ale od razu, co w przeludnionej Warszawie było rzeczą bardzo trudną do urzeczywistnienia. Jednak i tym razem udało mi się w końcu znaleźć nocleg w jakimś mieszkaniu konspiracyjnym, poinformowawszy naturalnie wszystkich zainteresowanych o sytuacji. Nazajutrz miałam się z nią spotkać u Ojca i dowiedzieć się, jak się tam wszystko ułożyło, czy nikt jej nie niepokoił, czy dostała wszystko, co trzeba na noc, a wiedziałam, że był tam tapczan i jakiś koc. O resztę nie pytałam. Panienka odpowiedziała krótko i powściągliwie, że wszystko w porządku, więc uznałam sprawę za wyczerpaną. Pytania Ojca, który wpadł

naturalnie zziajany i bez tchu, ale porządnie spóźniony, były zupełnie inne, pełne prawdziwej troski i ciepła. Z wielką serdecznością, przejęciem i kobiecą niemal troską począł ją wypytywać o to, jak ją gospodyni przyjęła, jak spała na nowym miejscu, czy jej było wygodnie (okazało się, że nie — mnie tego nie powiedziała, a ja Bogiem a prawdą wcale jej o to nie pytałam), czy pokój był opalony i czy aby nie zmarzła (powiedziała, że tak), czy i co jadła na śniadanie i czy nie jest aby głodna. I zaraz zakrzątnął się zatroskany znikając na chwilę, by powrócić z ciepłym kocem i — o ile dobrze pamiętam — kazał jej zaraz podać obiad. Słuchałam tej całej rozmowy zaskoczona, oszołomiona i nawet zrazu zirytowana takim cackaniem się, bo moim zdaniem pannica była rozhisteryzowana i wcale na takie względy nie zasługiwała, a potem trochę zawstydzona, że mnie, kobiecie, takie pytania, taka troska w ogóle do głowy nie przyszły. I zrozumiałam wtedy, że ja zrobiłam ściśle to, czego się podjęłam i co uznałam za swój obowiązek, a Ojciec — widząc w niej biedną istotę bez busoli, bezradną, zagubioną, a już przez to samo zasługującą na wszelką pomoc, godną litości i potrzebującą ciepła — wkładał we wszystko szlachetne, oddane wszystkim serce. On nie mógł być innym, był po prostu zawsze i we wszystkim cokolwiek robił i w każdej sytuacji sobą, a ja, niestety, także byłam tylko sobą.

Nasze rozmowy — a było ich wiele — były już zupełnie inne. Bardzo serdeczne, oparte na wzajemnym zaufaniu, ale rzeczowe, czasem bardzo osobiste, czasem żartobliwe bez żadnego roztkliwiania się nad sobą, bo w naszych stosunkach nie było to potrzebne. Przeważnie jednak były poświęcone innym ludziom, albo też sprawom ogólnym. Można by je chyba nazwać męskimi, przyjacielskimi rozmowami. Wiedziałam po prostu, że ze wszystkim mogę się do niego udać i że możemy na sobie polegać. I on też o tym wiedział.

Drugi fakt był nieco inny. Moja przyjaciółka mieszkająca na wsi pod Warszawą (ta sama, o której wspominał Ojciec w swym liście), u której znajdował azyl każdy, kto tego potrzebował — sprowadziła też z Warszawy swego wuja staruszka. Starszy pan był mocno schorowany i nie trzeba było być lekarzem, żeby spostrzec, że życie tli się w nim bardzo słabym już tylko płomykiem. On jednak ku naszej szczerej trosce

nie zdawał sobie z tego sprawy i ani myślał o załatwieniu spraw dla nas najważniejszych. Był zresztą człowiekiem niewierzącym i od kilkudziesięciu lat niepraktykującym. Ślub wziął w kościele, bo w tamtych czasach inne rozwiązanie było w ogóle nie do pomyślenia, syna ochrzcił z tych samych chyba względów, ale już świadomie i z przekonania nie zatroszczył się o pierwszą Komunię swego jedynaka. A teraz był bliski śmierci i miał za sobą czterdzieści lat bez Boga. A przed sobą ... W końcu udało się namówić starszego pana, żeby zgodził się po prostu porozmawiać z jakimś światłym kapłanem. Staruszek zastrzegł sobie jednak wyraźnie, że zgodzi się na tę rozmowę z tylko tym, kto mu będzie odpowiadał. Ba ... Moja przyjaciółka powiedziała wtedy: « Ja swoje zrobiłam, teraz kolej na ciebie ». Warszawa była wtedy prawdziwym centrum intelektualnym, konspiracyjnym i ... towarzyskim, gromadzącym u siebie wielu wybitnych i ciekawych ludzi. Znałam wielu wybitnych księży i zakonników. Zwracałam się kolejno do kilku z nich, żeby się ze mną wybrali na wieś. Nie odmówił żaden. Cóż, kiedy żaden z nich nie przypadł do gustu starszemu panu. My mieliśmy prawdziwe uczty duchowe, intelektualne i artystyczne, prowadząc niekończące się rozmowy w parku, na werandzie albo w salonie, słuchając gry świetnego, już nieżyjącego poznańskiego pianisty prof. Zygmunta Lisickiego, ale nasz staruszek zwlekał się na krótko ze swego leżaka, przysłuchiwał się przez parę chwil bacznie i z uwagą naszym rozmowom, czasem nawet z pewnym zaciekawieniem, ale potem oznajmiał nieodmiennie zatroskanej siostrzenicy: « Nie, ten mi nie odpowiada, z tym nie będę rozmawiał ». Wtedy wpadłam na pomysł, żeby zaprosić na kilka dni o. Tomasza. Może on ..., może on znajdzie wreszcie drogę. Ojciec zgodził się od razu. Był zresztą wyczerpany pracą, więc przełożeni zalecili mu nawet kilkudniowy odpoczynek. Miał więc to, co tak lubił, przyjemność odpoczynku na wsi z ważnym zadaniem apostolskim. Pracę tę pełnił zresztą zawsze, nawet nieświadomie, samą swą postawą, zachowaniem. Początek wypadł dosyć niefortunnie. Umówione konie zawiodły. Stacyjka była pusta i czekało nas chyba 7 czy 8 kilometrów piaszczystej, podwarszawskiej drogi, poprzecinanej rzadkimi, nędznymi laskami sosnowymi. Mnie mina mocno zrzedła, bo czułam się jakoś odpowiedzialna za to, jako że to ja wszystko załatwia-

łam, ale Ojciec z humorem brnął przez piaski i wyboje. Spóźnione konie spotkaliśmy chyba w połowie drogi. We dworze Ojciec poczuł się od razu na swoim gruncie, dwoił się i troił, wszędzie go było pełno, cały dom napełnił wesołością i gwarem. Grał nam i śpiewał żołnierskie i harcerskie piosenki.

Pierwszy dzień, a właściwie już tylko połowa, przeszła nam na grze na fortepianie, na śpiewaniu, na grze w piłkę, przekomarzaniu się z dziećmi, na rozmowach, dyskusjach, spacerach. Tylko starszy pan, może znęcony gwarem i życiem zwlekał się częściej ze swego leżaka i przyłączał do nas. Ojciec z pozoru nie poświęcał mu większej uwagi niż to nakazywał wiek, ale nieznacznie wciągał go do rozmowy, wysłuchiwał uważnie, czasem wyrażał wątpliwości, czasem potakiwał. Lato tego roku było wspaniałe, wieczory ciepłe, duszne od woni kwiatów, ranki olśniewające. Kiedy nazajutrz rano, zaraz po przebudzeniu podbiegłam do okna, zobaczyłam widok, który mnie natchnął otuchą. Pośrodku gazonu, mimo wczesnej pory, stał już rozłożony jak zawsze leżak, ale tuż obok jaśniała tak charakterystyczna przy młodym wieku łysina o. Tomasza. I tak już było codziennie przez wszystkie dni, jakie pośród nas spędził. Rano, kiedy jeszcze cały dom był uśpiony, wynoszono na gazon leżak dla starszego pana, a przy nim stawał pogodnie uśmiechnięty Ojciec. O ile mi wiadomo, nie nawracał go wcale. Rozmawiali sobie zwyczajnie o wszystkim, o świecie i jego pięknie, o wojnie, o doli człowieka zahaczając czasem i o filozofię, o istotę życia i Boga. I tym prostym, serdecznym, nie narzucającym się stosunkiem ujął go chyba najbardziej. Po śniadaniu życie toczyło się już normalnym trybem. Były przechadzki, gra na fortepianie, zabawy z dziećmi, rozmowy ze starszymi — a każdy miał naturalnie jakąś sprawę do Ojca — gry towarzyskie i w siatkówkę. Zachowało mi się nawet zdjęcie o. Tomasza w rozgrywce contra ks. Zieja, nazywane przez nas « wniebowstąpieniem o. Tomasza », bo ktoś, spośród przyjaciół uchwycił moment, kiedy ks. Zieja po odrzuceniu piłki stał z głową wzniesioną ku górze, jak gdyby kontemplował jakiś dziw, zaś o. Tomasz z rękoma uniesionymi ku górze i w podskoku uniesiony ponad ziemię usiłuje tę piłkę odbić, jak gdyby szykował się do wzlotu.

A starszy pan coraz częściej zwlekał się ze swego leżaka i przyłączał do nas, prawie nas nie opuszczał, wodząc oczami

za o. Tomaszem, albo też przywoływał go do siebie i wyciągał na rozmowy. Czwartego dnia sam niespodziewanie poprosił o spowiedź. A potem, wczesnym wieczorem odszukał mnie, powiedział o spowiedzi, poprosił, bym mu pomogła znaleźć modlitwę, jaką miał odmówić jako pokutę i łamiącym się ze wzruszenia głosem dziękował za to, że dzięki mnie poznał takiego człowieka jak Ojciec. A kiedy o nim mówił, twarz mu się rozjaśniała. « Takiegom jeszcze w swoim życiu nie spotkał! » Nazajutrz rano moja przyjaciółka wraz ze swoim wujem i Ojcem pojechali do parafialnego kościoła, gdzie o. Tomasz udzielił starszemu panu pierwszej od 40 przeszło lat Komunii św., po czym prosto z kościoła odjechał już do Warszawy. No cóż, dopełnił już duszpasterskiego obowiązku, wzywały go nowe zajęcia. Jeszcze chyba raz odwiedził Ojciec coraz słabszego już staruszka, który powitał go z wielkim wzruszeniem i radością. A w parę miesięcy po tej spowiedzi starszy pan umarł, do końca błogosławiąc o. Tomasza.

O. Tomasz był człowiekiem bardzo hojnie przez naturę uposażonym. Z domu wyniósł głęboką kulturę i znajomość obcych języków, odziedziczył też wszechstronne uzdolnienia artystyczne. Zakon dał mu wiedzę i mocną podbudowę teologiczną. Umocnił w nim także hart ducha. Tam też poznał wartość, ale i cenę umartwienia. Płacił ją do końca dni swoich, ale zawsze z uśmiechem, choć była to zapewne cena nie byle jaka. Jak pisze Osservatore Romano w artykule z 15.3.1974 r. w Rzymie — gdzie spędził ostatnie dziesięć lat swego życia — podczas największych upałów chodził zawsze w czarnej sutannie swego zakonu, właśnie w duchu umartwienia. W Rzymie wszyscy znali tę charakterystyczną postać w czarnej sutannie, w czarnym, szerokim kapeluszu, tę piękną twarz o regularnych rysach i niebieskich, bystrych, ale tak pogodnych oczach. I tam, jak i w kraju gotów był zawsze wysłuchać każdego i każdemu służyć pomocą. « Przyjemnością było spotkać o. Rostworowskiego » — pisze Ferdynand Bea w Osservatore Romano.

Bardzo wrażliwy na wszelkie piękno był o. Tomasz, bardzo muzykalny, miał też niewątpliwy talent literacki, co udowodnił paru drukowanymi odcinkami swoich wspomnień z czasów powstania warszawskiego, miał wielki dar słowa, którego wartość znał i cenił jak może mało kto z nas. Miał też wiedzę,

w jaką wyposaża swych wychowanków zakon, a którą wciąż pogłębiał osobistym wysiłkiem, choć Bóg jeden wie, kiedy miał czas na to przy swoich niezliczonych obowiązkach kapłańskich i duszpasterskich. Był też szeroko znany jako rekolekcjonista i spowiednik, niezrównany znawca dusz. Miał wielką łatwość obcowania z ludźmi, nawiązywania z nimi trwałych, głębokich więzów. Wielka kultura osobista i dobroć pomagały mu zawsze zachować pełen chrześcijańskiej miłości umiar, by potępiając zło nikogo nie dotknąć, nie zranić, nie poniżyć ludzkiej godności.

Ale ta mnogość różnorodnych talentów nie była mu pomocą w pracy osobistej, raczej przeszkodą w ześrodkowaniu się na rozwinięciu jednego talentu i pozostawieniu jakiegoś trwałego dorobku w jednej, wybranej dziedzinie. Może wielka łatwość słowa wytrącała mu pióro z ręki. Każda twórczość wymaga zresztą spokoju, czasu, a tego właśnie brakowało zawsze najbardziej w życiu o. Tomasza. Myślę jednak, że pozostawił po sobie pomnik najtrwalszy w pamięci, duszy i sercach swoich braci-bliźnich, którym służył czym tylko mógł i potrafił: pociechą kapłańską, słowem, czynem a nawet pracą rąk własnych.

Myślę, że to właśnie był dorobek godny jego osobowości, najprawdziwszy i najświętszy!

ks. Felicjan Paluszkiewicz SJ

DZIEJE JEDNEGO POWOŁANIA

Zawsze spotyka się w życiu ludzi, którzy mogą być stawiani jako wzór człowieczeństwa, ludzi, których nazwiska powinno wymawiać się ze skłonem głowy. Jednym spośród nich był br. Józef Kuropatnicki: człowiek, którego miłowało wielu, a szanowali chyba wszyscy; człowiek, który potrafił największą miłością pokochać swoje powołanie brata zakonnego; człowiek, który dla całego pokolenia jezuitów był najlepszym ojcem i z zapobiegliwością dwu swoich wielkich Patronów: Józefa Egipskiego i Józefa Opiekuna Maryi, troszczył się o tych, którzy przygotowywali się do kapłaństwa.

Brat Józef jako dziecko mieszkał w Honiatyczach na Lubelszczyźnie. Po I Wojnie Światowej zjawili się tam dwaj jezuici. Zaczęli oni najpierw organizować życie religijne, ludność miejscowa była bowiem, z powodu dużej odległości od kościoła, pod tym także względem bardzo zaniedbana. Nabożeństwa odprawiano początkowo w szkole. Później dopiero, ze składek morgowych społeczeństwa, wybudowano kościółek. Od czasu pojawienia się jezuitów, którzy zamieszkali we dworze, mały Kuropatnicki zaczął służyć do Mszy świętej. O. Kazimierz Konopka przyglądał się w tym czasie życiu wsi. Zwrócił najpierw uwagę administratorowi dworu na fatalne warunki mieszkaniowe pracowników folwarcznych. Następnie zainteresował się miejscową szkółką i zaczął kierować synów chłopskich « do terminu », albo nawet do seminarium nauczycielskiego. Akcja ta prowadzona była przy wydatnej pomocy, także finansowej, miejscowej nauczycielki, panny Kazimiery Kolasińskiej. Niestety, wyprawy zarówno po dyplomy nauczycielskie, jak i czeladnicze nie udawały się. Wieś była jeszcze nie przygotowana do tego, aby kształcić swoich synów. Prymitywizm kulturalny i ogólne zacofanie były czynnikami hamującymi. Poszczególne jednostki nie dorosły do tego, aby osiągnąć cel, jaki im wskazano.

Mały Józef Kuropatnicki zapragnął zostać księdzem. Pani nauczycielka zobowiązała się finansować jego pobyt w jezuickim małym seminarium w Chełmie. O pomocy z domu nie mogło być mowy. Ojciec Józka miał zaledwie 6 morgów ziemi, ośmioro dzieci i za psi grosz pracował ciężko we dworze.

W gronie małoseminarzystów Kuropatnicki uczył się nie najgorzej. Wyniki w nauce osiągał raczej pilnością, aniżeli zdolnościami. Czas miał wypełniony pracą od rana do nocy. Pomimo ciągłych zajęć chłopcy odczuwali wielką tęsknotę za domem rodzinnym i czuli się praktycznie półsierotami. Nie wszyscy przy tym jezuici w Chełmie potrafili względem małych chłopców przyoblekać swoje oblicza w uśmiech i kompensować im w ten sposób brak rodzicielskiego ciepła. Toteż wielkim przeżyciem było dla Józka, gdy w czasie świąt Bożego Narodzenia, za pieniądze nauczycielki z Honiatycz, mógł odwiedzić rodzinny dom. Z braku płaszcza ubrany w marynarkę po starszym bracie, przebiegał znajome drogi i pędził przede wszystkim do swojej pani nauczycielki, którą pokochał tak, jak matkę. Pamięć o niej, aby nie sprawić jej zawodu, mobilizowała go zawsze do nauki. Jeszcze do klasy czwartej gimnazjum przyjechał do Chełma za jej pieniądze. W tym czasie jednak, zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego, zaczęły dokuczać mu czyraki. Leczenie domowym sposobem, przy pomocy cebuli i mąki z miodem, nie dawało rezultatu. Wieść o dolegliwościach doszła do prefekta seminarium, o. Czudka. Ten zawyrokował — szpital, ponieważ jednak kosztów leczenia w szpitalu nie miał kto pokryć Józef wylądował na leczenie w rodzinnym domu.

Leczenie to trwało do Bożego Narodzenia. Po powrocie do zdrowia chciał wrócić do Chełma. Dowiedział się jednak, że miejsca w małym seminarium już nie ma. Przekreślono nadzieję nawet na następny rok szkolny. Ponieważ panna Kazimiera wyjechała tymczasem na studia do Warszawy, skończyło się na tym, że ojciec wysłał Józka na pastucha do sąsiedniej Kaźmierówki. Józek spakował swoje podręczniki i chodząc za krowami dalej żył szkołą. Którejś niedzieli, odwiedzając rodziców w Honiatyczach, spotkał o. Kazimierza Konopkę. Ten wysłuchawszy jego pragnień, poradził mu, aby został bratem zakonnym. Gdy dowiedziała się o tym panna Kolasińska, chciała koniecznie wysłać Józka do Seminarium

Diecezjalnego w Lublinie. On jednak obawiał się nowego rozczarowania. Toteż gdy dowiedział się, że prowincjał przyjął go do Towarzystwa na brata, z radosną wieścią biegł do domu, co sił w nogach. Tutaj wylano mu na głowę znowu kubeł zimnej wody. Skąd weźmiesz wyprawę, o której mowa w liście? Nie sprzedam dla ciebie krowy z krzywdą dla pozostałych dzieci, oświadczył ojciec. Nie było rady. Trzeba było wracać do krów i pracować na drugie ubranie, na drugą parę butów i potrzebną bieliznę. Pasł więc krowy dalej u jakiegoś Ukraińca o nazwisku Piłat. Minął ustalony termin i według umowy miał otrzymać ubranie i buty, ale gospodarz nie spieszył się z zapłatą. Wywalczył w końcu przyobiecany mu przyodziewek. Pozostał tylko jeszcze problem bielizny oraz pieniędzy na podróż. I znowu najbardziej niespodziewanie przyszła z pomocą dawna pani nauczycielka. Przygotowała mu bieliznę i dała pieniądze na bilet. Zaraz na drugi dzień jechał ojcowską furmanką na stację kolejową w Koniuchach.

Zegar na kolegiacie św. Józefa w Kaliszu wybijał godzinę czwartą rano, gdy Józek zbliżał się pod wskazany adres. Miasto spało. Przybysz usiadł na kamieniu przy bramie. Naszedł go wtedy nocny stróż, zastukał końcem kija w okno i za chwilę ukazał się wysoki, szczupły mężczyzna w jezuickiej sukni. Był to br. Józef Młotkiewicz. Wpuścił Józka za furtę klasztorną. Po Mszy świętej i śniadaniu zaprowadzono go do pokoju magistra nowicjuszy. Tutaj, jak i u o. socjusza, spotkało Kuropatnickiego tyle ciepła, że poczuł się szczęśliwy z dokonanego wyboru. W pokoju, gdzie miał wypocząć po nie przespanej nocy rozpłakał się. Nie wiadomo, czy były to łzy szczęścia z dotarcia do celu, czy też tęsknoty za domem, który odsunął się tak daleko.

Na drugi dzień otrzymał naparstek i igłę, z pouczeniem, jak ją nawlekać, jak siedzieć w czasie szycia, jak operować palcami. Po godzinie pracy zabolały go plecy. Nie dał jednak tego po sobie poznać. Nie uskarżał się na to. Pracował, pracował i pracował. Wstawał jedynie na głos dzwonka przy furcie, aby załatwić interesanta. Po dwu miesiącach terminu zapoznano Kuropatnickiego z maszyną do szycia. On tymczasem, siedząc nad igłą w krawczarni, robił swoje odkrycia. Zauważył, że w otaczającej go czarnej masie zakonników każdy stanowi inny świat. Każdy inaczej reaguje w identycznych

okolicznościach i jednych niepodobna nie lubić, a przed drugimi lepiej uciekać. Powoli wrastał w życie wspólnoty i zapominał o domu. Czuł się na swoim, wyznaczonym przez Boga miejscu. Raz jednak przeżył szok. Nie czując się winnym miał być wydalony z kandydatury i odesłany do domu za kąpiel z kolegami w przepływającej obok klasztoru rzeczce. Sprawę załagodził dopiero minister domu, o. Dzikiewicz. Innym razem popłakał się jak bóbr, gdy słyszał jak jego koledzy z małego seminarium z Chełma wygłaszają w refektarzu ćwiczebne kazania, on zaś raz na zawsze musiał zrezygnować z kapłaństwa.

Szybko przeleciał półroczny okres aspirantury oraz kandydatura. Nadszedł czas przejścia do nowicjatu i rozpoczęcia właściwej próby. Znowu nastąpiło bliższe spotkanie i współżycie z młodszy kolegami z małego seminarium. Jego rocznik skończył bowiem już nowicjat i wyjechał do Starejwsi na humaniora. Pierwszy rok nowicjatu minął sielsko-anielsko. Krytyczny stał się drugi. Organizm nie wytrzymał nadmiaru pracy. Nadeszły nieznośne bóle głowy, omdlenia, utrata przytomności. Wyobraźnia zaczęła podsuwać sceny z rodzinnego domu, z dworu, gdzie pracował ojciec, ze szkoły, z pastwiska, z małego seminarium w Chełmie. Poza tym ciągła senność. Przyszły wahania co do możliwości złożenia ślubów. Dopiero w czasie wizyty prowincjał, o. Jankiewicz, podszedł rzeczowo do wszystkich trudności i usunął wszelkie rozterki nowicjusza. Chociaż od tej pory wiele w jego samopoczuciu zmieniło się na lepsze, bóle głowy i omdlenia nie ustawały. Przyszły rekolekcje przed ślubami. Prowadził je ojciec magister. Z całych rekolekcji zapamiętał sobie br. Józef na przyszłość tylko tyle, że życie duchowe należy prowadzić po kupiecku, z ołówkiem w ręku. W dniu Matki Bożej Śnieżnej Roku Pańskiego 1928 złożył, ze łzami w oczach, swoje śluby zakonne. Zaczęło się nowe. Przeszedł do społeczności starszych braci. Współżycie z domownikami było jak najbardziej rodzinne. Z wielką miłością wspomina w swoim pamiętniku towarzystwo braci: Gogoła, Kolegowicza, Turka, Lewandowskiego, Chmielowskiego, którzy swoim przykładem i rozmowami potrafili rzucić wiele światła na sens życia w zakonie. Szefem krawczarni był wtedy br. Nazaruk. Przy nim kontynuował młody br. Józef swoje doskonalenie się w krawiectwie.

Bóle głowy zadecydowały, że został wysłany na dwa miesiące do Albertyna. Tutaj powitano go z tak wielką życzliwością, że okres dwumiesięcznego pobytu w Albertynie uważa za najpiękniejszy w swoim życiu. Dostał w opiekę kaplicę obrządku łacińskiego, furtę i krawczarnię, aby odciążyć br. Zielińskiego, któremu pozostały jeszcze: kuchnia, infirmeria, poczta i manduktorstwo w nowicjacie wschodniego obrządku. Przy furcie roboty nie było wiele. Interesanci zjawiali się rzadko, rzadko także dzwonił telefon. Zakrystiaństwo wiązało około dwóch godzin dziennie. Krawiectwa byłoby ponad miarę, bo wszystko świeciło dziurami, ale brakowało pieniędzy nawet na łaty. Robota krawiecka ograniczała się więc jedynie do szycia wschodnich szat liturgicznych. Za to bracia miejscowi mieli zajęć nad siły. Brat Zieliński, którego odciążył, dalej zapracowywał się. Był tak umęczony, że gdziekolwiek przysiadł, natychmiast zasypiał. W domu z każdego kąta wyzierała bieda, ale, jak świadczy br. Kuropatnicki, zespół był bardzo zżyty, zarówno ojcowie jak bracia i « szafa grała, choć skrzypiała ». Superior, o. Włodzimierz Piątkiewicz, sercem matki uzupełniał braki materialne. Raz po raz sam zastępował któregoś z braci, aby ten mógł sobie trochę odpocząć lub pójść na przechadzkę.

Przeżywszy przez dwa miesiące pobytu w Albertynie moc wrażeń, odjechał do Wilna. Wilno znowu miało być okazją próby. Pomimo zżywania się z nowymi obowiązkami i z nowymi warunkami pracy, samopoczucie miał wręcz fatalne. Zwierzył się z tym swojemu ojcu duchownemu. Ten z miejsca odkrył źródło trudności. Diagnoza mogła młodego, pełnego dobrej woli zakonnika, zwalić z nóg. Ojciec duchowny bowiem zawyrokował krótko: brak powołania, brak zasad. W duszy br. Kuropatnickiego, który zawsze był człowiekiem bardzo subtelnym i który miał bardzo wysublimowany ideał życia zakonnego, powstała pierwsza głęboka rana, którą bezskutecznie usiłował zaleczyć miejscowy rektor, o. Mączka. Szukał więc br. Kuropatnicki zapomnienia w pracy ponad siły. Pomimo, iż sam na siebie nakładał coraz to więcej obowiązków, rana w duszy ciągle krwawiła. Napisał list do swojego magistra. Nie doczekał się odpowiedzi. Okaleczenie potrafił dopiero jako tako zabliźnić ojciec prowincjał w czasie wizytacji. Odczuwał przy tym br. Józef — i nie tylko on sam, ale i inni bracia —

jakiś wielki duchowy dystans między tamtejszymi ojcami uczącymi w gimnazjum lub uczęszczającymi na uniwersytet a braćmi. Zanotuje we wspomnieniach, że jeszcze trzeba będzie poczekać zanim prostaczek poczuje się bratem uczonego. Doda jednak natychmiast, że nie jest to winą wileńskich ojców, tylko czegoś, czego nie potrafi określić. Dorzucił jeszcze uwagę o wielkim takcie księży: Roszaka, Tomasza Rostworowskiego, Poplatka, Ząbka i Lesińskiego. Gdzie indziej wspomina wielką kulturę duchową o. Kucharskiego i jego otwarte serce dla każdego człowieka. Wyraża jednocześnie żal, że tego ostatniego po przybyciu do Wilna nie obrał sobie za kierownika duchownego.

Przyszła dyspozycja roku 1930. Znowu powrót do Kalisza. W Kaliszu kilka bolesnych doświadczeń, które każą Kuropatnickiemu odnosić się do ludzi z rezerwą, czasami być podejrzliwym i bardziej wymagającym od innych. Jednocześnie wróciły poprzednie dolegliwości: omdlenia, stany lękowe. Rodziły się w umyśle najrozmaitsze problemy życiowe. Ojciec duchowny, 85-letni starzec, nie potrafił tych problemów zrozumieć, a tym bardziej im zaradzić. Opatrzność nie pozwoliła jednak br. Józefowi załamać się. Pomimo braku pomocy od ludzi dojrzewał wewnętrznie. Powołanie coraz bardziej ugruntowywało się. Narzucano mu prace, do których nie był przygotowany. W myśl zasady, że nie święci garnki lepią, starał się ze wszystkiego wywiązać najlepiej, jak potrafił. Przy maszynie krawieckiej i przy furcie mijały dnie, tygodnie i lata. Jedynym relaksem był wyjazd do Lublina, aby w tamtejszej Izbie Rzemieślniczej złożyć egzaminy mistrzowskie z krawiectwa. Jasnymi dniami były zawsze dni wizyt prowincjalskich. Prowincjał, o. Machnicki, potrafił zawsze wiele zrozumieć i poradzić w kłopotach. Uświadamiał sobie powoli br. Józef, że życie to najpierw nie sielanka, a dalej, że życie to ciągły ruch: postęp, albo cofanie się.

Po Kaliszu przyszedł Lublin. Był to już rok 1933. Z Kalisza wyjechał br. Kuropatnicki z wielką ulgą. Raz: nie służył mu tamtejszy klimat — dwa, miał już prawdziwie dosyć kaprysów nowego rektora, który nastał po o. Bratku. W Lublinie nawiązał br. Józef kontakty z cechem i Izbą Rzemieślniczą i starał się uzupełnić swoje dotychczasowe, jego zdaniem, niedostateczne wykształcenie fachowe. Były to jednak czasy, kiedy



5. Jastrzębia Góra — placówka



6. Kalisz — fragment domu

nie odczuwano konieczności podnoszenia kwalifikacji zawodowych u braci. Zrodziły się trudności, gdy trzeba było trochę grosza na prenumeratę krawieckiego czasopisma oraz kupno jakiejś książki. Z pomocą przyszedł dopiero o. Roth, który zaprenumerował bratu Józefowi *Naszą odzież* oraz na spółkę z br. Kozłem, byłym wieloletnim sekretarzem prowincjała, kupił podręcznik krawiecki.

Cała batalia powstała przeciwko br. Józefowi, gdy odważył się zmienić fason płaszczy. Sprawa oparła się aż o prowincjała. O. Sopuch widząc jednak, że płaszcze kroju brata Kuropatnickiego są o wiele bardziej estetyczne pochwalił brata za to, że odstąpił od dotychczasowego wzoru « a la Apfelbaum ». Reputacja br. Józefa rosła, ale on miał już naprawdę dosyć walki z ludzką małostkowością i ciasnotą pojęć. I znowu podporą dla doświadczanego ludzką głupotą brata stał się nieoceniony o. Roth.

Pracy było zawsze ponad miarę. Liczba teologów dochodziła setki. Z ojcami i braćmi było do obszycia 120 osób. Powróciły zawroty głowy. Co gorzej, przyszły krwotoki. Owoc przemęczenia. Ciągła praca bez wypoczynku rujnowała organizm. Do wakacji mieli wtedy w Towarzystwie prawo jedynie niektórzy ojcowie.

Nadszedł wrzesień 1939 r. Budynek Bobolanum został zajęty na szpital wojskowy. Dotychczasowych mieszkańców zepchnięto do jednego skrzydła. Po konsulcie domowej postanowił o. rektor, że społeczność bobolańska rozproszy się. Brat Kuropatnicki wyruszył na tułaczkę w towarzystwie księży Wernera i Karugi. Powrócił z tej wędrówki w drugiej połowie listopada lub nawet już w grudniu. Dowiedział się o aresztowaniu pierwszej grupy jezuitów (22 licealistów i o. Pastuszki).

W dniu 2 lutego 1940 r. przeżywa br. Józef drugie aresztowanie jezuitów. Zabrano wtedy kapłanów i teologów. Braci pozostawiono. Przeszli oni do jezuickiego folwarku na Dąbrowicy, administrowanego przez gestapo. Siedzieli tam początkowo jak u Pana Boga za piecem. Zarządcą majątku był wrocławianin, który na niejedno patrzył przez palce. Brat Józef humorem starał się rozładowywać wszelkie napięcia. Doszedł do wniosku, że ogólnego przygnębienia okupacją na dłuższy dystans nie wytrzymają nerwy. Uważał, że śmiech może spełniać tutaj rolę doskonałej odtrutki.

W święto Zwiastowania złożył, w kościele św. Piotra w Lublinie, na ręce superiora, o. Bogusława Waczyńskiego, swoje publiczne śluby zakonne. Był to rok 1940. Uroczystość ta stała się okazją do podbudowania duchowego całej społeczności. W Dąbrowickim folwarku przygotowali solenizantowi ucztę. Toast miano wznosić miodem. Niestety, jedyna butelka, jaka uchowała się, wyleciała br. Złochowi z ręki i trunek popłynął po podłodze.

Wszystko, co dobre, kończy się zazwyczaj bardzo szybko. Niedługo też zabawił na Dąbrowicy ów ludzki wrocławianin. Na jego miejsce przyszedł poznaniak. Ten, używając słów brata Kuropatnickiego, « strugał lepszego Niemca od Ribbentropa ». Wszystko mu wadziło. Wadziło mu nawet śpiewanie godzinek przy pracy. Wadziło mu poczucie humoru br. Józefa. Szukał wszędzie dziury w całym. Bracia zorientowali się szybko, że najlepiej będzie, jeżeli br. Kuropatnicki, który wyraźnie podpadł, jak najszybciej opuści dotychczas spokojny, dąbrowicki zaścianek.

Osiadł br. Józef w Lublinie na Królewskiej. Tutaj imał się każdej pracy: krawczył, uporządkował, według wskazówek o. Waczyńskiego, miejscową bibliotekę, nawet jakiś czas kucharzył. W listopadzie czytał wypominki, w Niedzielę Palmową Pasję, w czasie koncertu muzyki religijnej był konferansjerem. Dalej, choć sam czuł się wewnętrznie stłamszony, robił wszystko, aby rozweselać braci. Ciągłe oczekiwanie na godzinę aresztowania, na dzielenie losu tych z pobliskiego Majdanka lub dalekiego Dachau powodowało depresję. Przed wkroczeniem wojsk radzieckich nadeszły wieści o przygotowywanej przez Niemców rzezi Lublina. Brat Józef dementował przy pomocy wróżby z kart wszystkie te siejące pesymizm pogłoski. Śmiał się z tego niepomiernie, zwłaszcza jeżeli jakaś wróżba przypadkiem spełniła się. To jego pozornie beztroskie podchodzenie do tragicznej rzeczywistości uchroniło niejednego od załamania się.

Nadszedł dzień wyzwolenia Lublina. Potem wieści o Powstaniu, o rzezi jezuitów na Rakowieckiej. Przyszło wreszcie i przełamanie frontu na Wiśle i zajęcie Warszawy. Brat Kuropatnicki został wtedy skierowany na Rakowiecką. Był tutaj w czasie ogólnego rozgardiaszu zakrystianem, furtianem oraz pomocnikiem przy porządkowaniu biblioteki. Niedługo jednak

zagrzał miejsca w Warszawie. Wkrótce został przez prowincjała, o. Edmunda Eltera, skierowany do Gdyni. Po dwóch miesiącach, ponieważ były to czasy ogólnej wędrówki ludów, znowu odwołano go do Warszawy. Ale tylko na pół roku. W ciągu tego pobytu trzeba było zająć się zakrystią i ministrantami a przy tym pilnować krawczarni, bo rozrzuceni po obu prowincjach klerycy bezustannie, po latach niedomogów wojennych, przesyłali rozpaczliwe SOS. Gdy w konkretnej, wymagającej spokoju w pracy sytuacji, poprosił o pokój z dala od furty, otrzymał w odpowiedzi wyjazd do Gdyni. Tym razem na dłużej.

W Gdyni, za rektorstwa o. Paulina Zabdyra, atmosfera w domu była wspaniała. Wszyscy mieli dzień wypełniony pracą. Kapłani rano w konfesjonałach, wśród dnia uczyli w gimnazjum w Orłowie, wieczorem znowu szli do konfesjonałów. Bracia pełnili obowiązki domowe. Bratu Józefowi przydzielono zakrystię, furtę, krawczarnię, kolportaż prasy katolickiej oraz rozpowszechnianie jezuickich wydawnictw. Głód publikacji katolickich po wojnie był wielki i nie można było nastarczyć książek, które szły jak przysłowiowa woda. Pracę zakrystiana rozpoczął Brat od zorganizowania kółka ministrantów. Ojciec Zabdyr nie szczędził nigdy grosza. I tym razem wyszedł naprzeciw. Powstała pokaźna biblioteka ministrancka. Znalazły się pieniądze na sprzęt sportowy.

Praca nad chłopcami wciągnęła br. Kuropatnickiego w najwyższym stopniu. Poświęcał jej wprawdzie nie najwięcej czasu, ale na pewno najwięcej serca. Wkrótce, anemiczne uprzednio koło ministrantów, przekroczyło setkę. Rosło nie tylko w liczbę, ale stawało się zwartą grupą ludzi bliskich sobie, których łączyła wspólna idea służby Chrystusowi. Wychowywał brat Józef do życia we wspólnocie, do poczucia obowiązkowości. Pogłębiał u chłopców wiedzę religijną oraz zrozumienie dla wartości nadprzyrodzonych, zwłaszcza sakramentalnych. Rozbudził przede wszystkim wśród ministrantów życie eucharystyczne.

Popularność br. Kuropatnickiego w Gdyni wzrastała z dnia na dzień. Zyskiwał ją sobie nie tylko dzięki temu, że pokochał pracę nad ministrantami i że miał wyniki. Popularność jego rosła również dlatego, że nie szczędził ludziom uśmiechu. Dewiza niesienia radości, którą szafował w czasie okupacji po-

została monetą, którą obracał niemal do ostatnich dni swojego kontaktu z otoczeniem. Ilustracją jego poczucia humoru niech będzie strofa, jaką ułożył o trzech kolejnych ministrach w Gdyni:

Za ojca Beli jezuici dorsza obficie mieli.
Za ojca Kwasa pojawiła się szynka i kiełbasa.
Za ojca Kudłowskiego zabrakło wszystkiego.

Powróćmy jeszcze do metod wychowawczych brata Józefa. Jedną z największych jego trosk było to, aby traktować wszystkich sprawiedliwie, aby nikogo nie faworyzować, aby podciągać zwłaszcza słabszych i nie dopuścić u nich do zniechęcenia, do zwątpienia we własne siły. Udawało się to na ogół. Dbał o dyscyplinę. Czasami winowajcom polecał, aby sami obmyślili karę dla siebie. Wtedy kary były zazwyczaj nieproporcjonalnie surowe w stosunku do « przestępstwa ». Uczył przy tym chłopców przede wszystkim myślenia. Sytuacje bywały niekiedy przezabawne. Kiedyś, w czasie majowego nabożeństwa, jakiś nieznajomy chłopiec fikał koziołki przy bocznym ołtarzu. Po nabożeństwie przychwycił go Brat i przyprowadził do zakrystii. Polecił ministrantom, aby przypilnowali winowajcę, a sam chciał pogasić świece w kaplicy. Gdy ujął tyczkę do gaszenia świec, chłopak w krzyk. Dopiero trzeba było chłopcu wytłumaczyć, że ten przyrząd służy do zapalania i gaszenia świec, a nie do bicia dzieci.

Pogasiwszy świece stawia br. Józef ministrantom pytanie: co z tym fantem zrobimy? Cisza. Po chwili jeden, którego niewiele było widać, bo mało odrósł od ziemi, powiada: sprawić smarkaczowi manto na spodnie i puścić. Na to drugi: coś ty frajer, on nie ma spodni, tylko figi. Ktoś trzeci: cudzych dzieci bić nie wolno. Brat stawia teraz winowajcy pytanie: jak się nazywasz? ile masz lat? gdzie mieszkasz? czy mówisz pacierz? czy umiesz się przeżegnać? Na trzy pierwsze pytania pada odpowiedź, dwa ostatnie zostają zbyte milczeniem. Wtedy wyrywa się jeden z ministrantów: proszę Brata, to jest jeszcze małpa, bo nie wie, co robi. Takiego to szkoda bić. Lepiej zapisać go do ministrantów. Może jeszcze z niego coś wyrośnie. Po trzech miesiącach fikający na podium przed bocznym ołtarzem koziołki, służył już do Mszy świętej.

Prowincjałem został o. Bulanda. Pierwszą jego troską było zapełnienie nowicjatu oraz roztoczenie opieki, także materialnej, nad klerykami. Dlatego znowu br. Józef zostaje odwołany do Warszawy na krawca centralnego. Na pożegnanie odegrali ministranci gdyńscy sztukę reżyserii o. Karpińskiego o przywiązaniu Malgaszów do o. Beyzyma. Było wiele płaczu, ale br. Kuropatnicki nie uronił ani jednej łzy. Wtedy jedna z mam zapytała, jak on, który tyle serca włożył w tych chłopców, może żegnać się z suchymi oczami. « Wszystkie łzy wypłakałem w dzieciństwie » — padła odpowiedź.

Po krótkich wakacjach w Jastrzębiej Górze, na których czuł się jak ryba wyrzucona z wody na piasek, stanął Brat na Narbutta do służby Chrystusowi w swoich bliźnich. Tak ujmował swoje powołanie. I rzeczywiście, pomny w każdej chwili tej Dobrej Nowiny o kubku wody i kromce chleba, starał się w każdym kleryku dojrzeć oblicze Jezusa. Czasy, w których rozpoczął swoją działalność jako zatroskana matka o młodzież, nadzieję Towarzystwa, były niesłychanie uciążliwe. Ojciec ekonom zajęty był przede wszystkim odbudową kościoła na Świętojańskiej i innych problemów nie dostrzegał. Ojciec prowincjał Bulanda poszedł do więzienia. Zastąpił go o. Waczyński. Ten ostatni przystał na sugestię Brata, aby Brat przejechał po domach prowincji i pokwestował na młodzież. Tutaj spotkał go bolesny zawód. Okazało się, że wielu zaskorupiało we własnym egoizmie i nie potrafiło zrozumieć sytuacji. Z goryczą zanotuje: « Spotkałem formalnych chamów, którzy na ofiarę dla naszej przyszłości dawali szmaty, których szkoda było zabierać. Chciałbym uwierzyć, że kierowali się w tym wypadku duchem ubóstwa ». Pomny na świętą ideę wynagradzania, starał się własnymi plecami zakryć dziury, które spowodowali współbracia. Poprawiła się trochę sytuacja, gdy ekonomem prowincji został o. Figarski. Pomimo to, cała troska o kupowanie dalej pozostała na barkach br. Józefa, a obsłużyć trzeba było nowicjat w Kaliszu, scholastykaty w Starejwsi i w Poznaniu, filozofów w Krakowie i teologów w Warszawie, a roczniki były wówczas bardzo liczne. Brat Józef miał jednak dar pracy ponad siły. Umiał dwoić się i troić, umiał także gospodarzyć otrzymanymi groszami. Z wielkim utęsknieniem oczekiwany był przez kleryków, zwłaszcza w Starejwsi i w Krakowie, nie dlatego, że przywiózł kalosze na starowiej-

skie błota, buty czy bieliznę, ale dlatego, że razem ze swoją osobą przywoził do szarzyzny życia scholastyckiego promień radości, optymizmu; przywoził z sobą walizkę lub dwie garderoby i furę wiadomości z prowincji, a gawędziarzem był, co się zowie.

Chociaż wiele widział i wiele go bolało, przeżywał zwłaszcza każdą dymisję (a do jego obowiązków należało także przygotowywanie wyprawy dla opuszczających zakon), nigdy nie dał tego po sobie poznać przed młodszymi. Dla młodych miał zawsze tylko rozpromienione oblicze, tak iż nawet nie domyślali się tego, co działo się w jego wnętrzu. Dumał nad wieloma sprawami. Chciał się czasami wygadać, a nie miał przed kim. Przełożeni nie znajdowali dla niego czasu. Zrozumiał wtedy na nowo, że oprzeć się może tylko o Chrystusa. Przebywał więc zawsze w Jego obecności wtedy, gdy czekał na peronie w drodze do Poznania i wtedy, gdy jechał pociągiem do Krakowa i wtedy, gdy przepełnionym autobusem dojeżdżał z Krosna do Starejwsi i wtedy w tramwaju, gdy jeździł po Warszawie z Mokotowa na Pragę, z Pragi na Wolę, z Woli do Śródmieścia, aby kupić klerykom swetry na zimę lub znaleźć materiał na sutanny. A gdy mu ciężko było, gdy nawet Bóg zdawał się nie słyszeć go, powtarzał sobie « nic to » i Stanisławowe « ad maiora natus sum ».

W sierpniu 1956 r. zostaje przeniesiony do Kalisza. Odczuwa to trochę jak zepchnięcie na boczny tor, chociaż czuł się już zmęczony i sam poprosił o emeryturę. Wysłano go jednak nie na emeryturę, czy choćby tylko na wypoczynek, ale na nową ciężką pracę. Przyjęcie, jakie go spotkało w Kaliszu, niezbyt było zachęcające. Zapisze w swoim pamiętniku: *Spróbuję czuć się nie tylko potrzebny ale i kochany.* Robił, co mógł. Szył suknię za suknią. Pracował od rana do nocy.

I znowu następuje powrót do Warszawy. Na nowo troska o kleryków w prowincji. Kronikarz domu na Narbutta dalej odnotowuje jego wyjazdy do któregoś z domów studiów i powroty. Ostatni raz odnotowany jest wyjazd do Krakowa 11 października 1964 r., a powrót 16-go.

Następny zapis dotyczący Brata przypada 27 listopada: *Brat Kuropatnicki z br. Lewandowskim pojechali do Kalisza, gdzie br. Kuropatnicki ma spędzić urlop wypoczynkowy po pewnych niedomaganiach fizycznych i psychicznych.* Już 16

grudnia jest zapis: *Brat Kuropatnicki poszedł do szpitala na leczenie.* W szpitalu na Oczki zostały zaatakowane ośrodki mowy. Zachował jednak br. Józef nadal świadomość. Chciał mówić, a nie mógł. Było widać u niego chęć porozumienia się z otoczeniem. Nic z tego nie wychodziło. Potrafił jedynie głową dawać znaki: tak lub nie. Odwiedzinom w szpitalu nie było końca. Można zaryzykować twierdzenie, iż br. Kuropatnicki był w parafii św. Szczepana w Warszawie osobą bardziej popularną od samego proboszcza. Dlatego też parafianie, a jeszcze bardziej parafianki, otaczały łoże chorego. Wizyty jednak męczyły go i trzeba było zakazać odwiedzin. Dla człowieka tak towarzyskiego, jak br. Józef, musiało to być szczególnie bolesne. Punkcja czaszki wykazała, że na korze mózgowej jest wyjątkowo złośliwy nowotwór. O usunięciu go nie było mowy. Medycyna była bezradna. Trzeba było zabrać chorego ze szpitala. Lekarze zapowiadali najwyżej dwa tygodnie życia. Przewieziono chorego na Narbutta. Tutaj sprowadził o. prowincjał do opieki nad całkowicie już sparaliżowanym bratem Kuropatnickim, brata Zygmunta Gepperta. Ten ostatni zaopiekował się chorym jak najlepsza matka. Przez trzynaście dni i trzynaście nocy czuwał przy łożu chorego. Sypiał jedynie na siedząco, w fotelu.

20 lutego odnotował kronikarz: *W zdrowiu br. Kuropatnickiego nastąpiło raptowne pogorszenie. Nie przyjmował już pokarmów i przestał kontaktować się nawet przy pomocy wzroku z otaczającymi.*

21 lutego: *O godz. 17.55 zmarł br. Józef Kuropatnicki opatrzony sakramentami św. po krótkich i ciężkich cierpieniach na raka mózgu w 56 roku życia i 39 życia zakonnego. O godz. 19 o. duchowny odprawił Mszę św. za spokój duszy śp. Brata Józefa K. Do ostatniej chwili we dnie i w nocy czuwał przy chorym brat Zygmunt Geppert.* Tyle zapis w diariuszu domu. Później jeszcze krótka wzmianka o pogrzebie. I dalej już kroniki ziemskie milczą. Pozostał jednak zapis o nim w sercach tych, dla których był bratem i więcej niż bratem. Ale i te serca kiedyś bić przestaną. Aby pamięć o nim nie wygasła, dopomogą może te karty.

ks. Józef Majkowski SJ

KRZAK GOREJĄCY

Po jego śmierci wręczono mi małą kartkę z napisem: « Ojcu Wietesce ». Było to ostatnie pożegnanie z Ojcem:

Sługo Pana,
Krzaku gorejący miłością Boga,
Mówisz do nas
Poprzez trumny ściany...

Jego młody przyjaciel z czasów wileńskich nazwał go w liście zwykłym człowiekiem, ale « Człowiekiem » pisanym przez wielką literę i « zwykłym » w znaczeniu szarego codziennego bohaterstwa, uważanego za rzecz samo przez się zrozumiałą.

Te dwie kartki mówiły prawdę. O. Wieteska był Mojżeszowym gorejącym krzakiem i zwykłym człowiekiem, a dzięki temu darem Jezusa dla ludzi.

Urodził się 25 sierpnia 1912 r. w Wyborowie k. Łowicza. Chrzest przyjął w rodzinnej parafii — Złaków — znanej z przechowywania łowickich tradycji. Wychowanie katolickie otrzymał niezwykle staranne. Był dziewiątym dzieckiem w swej rodzinie. Z uśmiechem delikatnej ironii sam wielokrotnie podkreślał, że dziękuje Bogu, iż nie przyszedł na świat w stolicy — chociaż rodzina Wietesków znana była w Warszawie jeszcze w 16 wieku — ponieważ tylko pobożna, wiejska matka mogła się zgodzić na trud wychowania dziewiątego dziecka.

Z lat dziecięcych utrwaliła mu się data pierwszej Komunii św., 3.6.1921 r. Szkoła, pomoc rodzicom w pracy wypełniła bez reszty młode jego lata, które już wówczas Bóg naznaczył stygmatem cierpienia, zachorował bowiem ciężko na zapalenie stawów, co było źródłem przejawiającej się później choroby serca.

Rodziców kochał serdecznie. Ze św. Teresą od Dzieciątka Jezus nie rozumiał tych świętych, którzy do swych rodzin odnosili się z pewną rezerwą.

Po ukończeniu szkoły powszechnej zaczął uczęszczać w czternastym roku życia do gimnazjum w Łowiczu, w 1925 r. Po kilku miesiącach przeniósł się do gimnazjum księży orionistów w Zduńskiej Woli, w którym ukończył trzecią klasę. Myśl o wstąpieniu do zakonu Towarzystwa Jezusowego zaprowadziła go do jezuickiego Małego Seminarium w Chełmie Lubelskim. Z początku nauka — na skutek niedostatecznego przygotowania — szła mu bardzo trudno. Pilność i wrodzone zdolności szybko jednak wyrównały niedobór wiadomości szkolnych. Po roku, 8 sierpnia 1928, wstąpił do Towarzystwa Jezusowego w Kaliszu.

O tej wyłącznej służbie dla Boga myślał o. Wieteska od lat najmłodszych. Zdaje się, że notatka z powieści, którą znalazłem w jego zapiskach, posiada charakter dokumentu jego własnych przeżyć: *I stanęły przed nim nagle te wszystkie letnie, ciepłe noce, kiedy tam w sadzie... on siedział młodziutkim chłopcem, patrzył w niebo gwiaździste i bił się z myślami.*

Tak — chciał być księdzem i w te noce letnie, podczas których białe kwiaty jabłoni i grusz śniegiem osypywały się na zieleń trawy, a ule ciche wznosiły się kręgiem pod gałęziami drzew... on — dziecko marzyło życie pełne przebaczeń, łagodnych słów, gestów błogosławiących i mistycznych nad rozmodlonym tłumem u stóp Ukrzyżowanego.

Tak — chciał być księdzem, wznoszącym błagalnie ręce wśród kwiecia pachnącego, jak kadzielnica w miesiącu Maryi, w miesiącu majowym, w którym słońce ma złote czarujące blaski, jakby tam z nieba od korony Królowej spływał gazowy welon i krył łagodnie świat cały...

Nowicjat zarysował młodemu kandydatowi zadanie życia w Towarzystwie Jezusowym. Wręczono mu skrót bulli papieskich, z których dwie pierwsze zawierają syntezę ducha zakonu: *Ktokolwiek w naszym Towarzystwie, które pragniemy oznaczyć imieniem Jezusa* — czytał tamże w tzw. Formule Instytutu — *chce walczyć pod sztandarem Krzyża dla Boga... niech wie, że po uroczystym ślubie czystości jest częścią tegoż Towarzystwa założonego przede wszystkim w tym celu, aby w szczególny sposób zmierzało do postępu dusz w życiu i nauce chrześcijańskiej, jak również do rozszerzania wiary przez publiczne kazania i posługę słowa Bożego, ćwiczenia duchowne i uczynki miłości, a specjalnie przez wychowanie dzieci i ludzi*

prostych w duchu chrześcijańskim, oraz przez słuchanie spowiedzi; a niech się stara mieć przed oczyma najpierw Boga, potem tę modłę życia, która jest jedną z dróg do Niego i niech ten cel, przedłożony sobie przez Boga, usiłuje osiągnąć wszystkimi swymi dążeniami.

Celem nowicjatu jest zbudowanie solidnych podstaw życia świętego. Porządek dnia — nasycony modlitwą i pracą — czytanie ascetycznych doborowych książek, konferencje magistra nowicjatu, miesięczne Ignacjańskie rekolekcje dały młodemu nowicjuszowi — jak to sam podkreślał — pełniejsze zrozumienie służby Chrystusowi.

Za łaskę powołania zakonnego był o. Wieteska Bogu zawsze wdzięczny. Pod koniec swego życia, 24 lutego 1955 r., zapisał w swych notatkach: *Jezus ... ukazywał mi wzniosłość swej służby. Istotnie, Jemu służyć to królować. Wszystko jest dodatkiem, a to jedynie ważną treścią.*

W kilka miesięcy później raz jeszcze wraca do tego samego tematu: *Jak to wspaniale służyć Bogu* (21.8.1955 r.)

Żywiołowe usposobienie nastręczało nowemu jezuicie sporo trudności w życiu zakonnym. O. magister Cichoń poznał jednak wartość swego nowicjusza, kierując nim w życiu duchowym. Rezultaty pracy nie dały długo na siebie czekać. Gdy w niespełna miesiąc po wyjeździe « carissima » Wieteski (tak w Towarzystwie Jezusowym tytułuje się młodych zakonników) przybyłem do Kalisza, mówiono o nim jako o wzorowym nowicjuszu. Już wówczas zwrócono uwagę na jego nieprzeciętne zdolności. Zachwycano się prześlicznym referatem — napisanym przez niego w nowicjacie — o św. Józefie Patronie Kalisza.

Starawieś k. Sanoka i Pińsk na Polesiu to dalszy, gimnazjalny etap życia zakonnego o. Wieteski. Pińsk rzeźbił na duszach młodych jezuitów niezatarte ślady. Ostatni dom zakonny św. Andrzeja Boboli samym swym istnieniem przypominał pola gotowe do żniwa. « Mądra pobożność — pietas docta » — urzekła już wówczas o. Wieteskę. Neoklasyczne gimnazjum kształciło intelektualnie, wyrabiając w zakonnej młodzieży umiłowanie humanistycznych i chrześcijańskich ideałów. Pińskie jezuickie kolegium pod kierunkiem o. Pachuckiego było prawdziwą szkołą Chrystusową. W kolegium panował nastrój rodzinny. Ustawiczna pamięć o św. Andrzeju Boboli przywo-

dziła pragnienia na miarę św. Męczennika. W chwilach wolnych wyjeżdżaliśmy dziesięcioosobowymi łodziami na rozlewne rzeki Polesia. O czarze Polesia wspominał o. Wieteska niejednokrotnie w późniejszych latach swego zakonnego życia. Już wtedy o. Józef był niezwykle miłym współtowarzyszem tak w pracy jak i w chwilach wytchnienia. Odznaczał się cechą ofiarności. Na niego można było zawsze liczyć w każdej inicjatywie zbiorowej.

W Pińsku otrzymał wiadomość o śmierci swego rodzonego ojca. Myśl o pierwszej Mszy św. została odtąd związana z bolesną świadomością, że błogosławiące ręce młodego kapłana nie spoczną na ojcowskiej głowie. Jest jeszcze matka. Jak dobrze, że człowiek nie zna swej przyszłości. I ona nie doczeka prymicji swego najmłodszego syna.

W 1934 roku o. Wieteska ukończył maturę z wynikiem celującym i wyjechał na dalsze studia do Krakowa. Studium filozofii w Krakowie (1934-1937) przygotowywało młodych kleryków do systematycznego ugruntowania naukowego podstawowych, filozoficznych zasad katolickiego światopoglądu. Jest ono również z założeń wstępem przygotowań do kapłaństwa. Poświęcenie fakultetu filozoficznego Boskiemu Sercu miało w o. Wietesce jednego z głównych inicjatorów. Razem z innymi oddał się on w szczególną opiekę Matce Najświętszej. Fotografia bielańskiego obrazu z kościoła kamedułów — Regina Virginum — stała zawsze na jego stole. Przyjęte pod koniec studiów niższe święcenia kapłańskie były zadatkiem łask na dalsze życie. Styl żołnierskiej służby Chrystusowi w Kościele był w głównych zarysach wykończony. Nie miał o. Wieteska żadnych wahań względem zasadniczego planu swego życia. Szedł konsekwentnie po raz obranej drodze. Nie znaczy to jednak, by nie zdawał sobie sprawy, iż życie jego, jeśli ma być logiczne, będzie ustawicznym wyrzekaniem się i zapominaniem o sobie. Rozumiał dobrze, że zakonne śluby i kapłaństwo wymagają z absolutną koniecznością realizacji słów Pawłowych: *Abyśmy nie sobie żyli, lecz Chrystusowi.* Rzecz znamienna, iż trudy przyszłej pracy były dla o. Wieteski już wówczas siłą raczej przyciągającą niż odstraszającą. Wspaniała duchowa postawa o. Godaczewskiego, naszego ówczesnego przełożonego, który dosłownie spalał się w pracy apostolskiej aż do całkowitego wyczerpania swych sił, porywała nas wszystkich. Po

latach jeszcze przykład ten był dla o. Wieteski sygnałem nie cofania się przed żadnym trudem.

Po studiach filozoficznych wysłano o. Wieteskę na Uniwersytet Stefana Batorego. Wilno miało się stać dla młodego kleryka miastem łaski. « Mądra pobożność » w atmosferze wileńskiej nabrała jeszcze wyrazistszych kształtów. Tradycje Uniwersytetu przypominały Skargę i Poczobutta, kolegium zaś przy ul. Wielkiej — św. Andrzeja Bobolę, który przed wyjazdem na Pińszczyznę tutaj właśnie kilka lat pracował w kościele św. Kazimierza. Katolicki, naukowy klimat Wilna sam narzucał myśli w studiach jakiegokolwiek przedmiotu na uniwersytecie, że wiedza świecka to nie pogańskie łupy Egiptu, które sobie Kościół przyswaja (jak to mylnie formułowano niekiedy stosunek katolików do nauk świeckich), lecz jest wiedzą w całym tego słowa znaczeniu Bożą, a więc naszą.

Dwa pierwsze lata upłynęły ojcu Wietesce na spokojnych studiach historii, które mógł niestety dokończyć dopiero po repatriacji w 1945 r.

Tymczasem przyszedł pamiętny wrzesień. Po wybuchu wojny jezuiccy klerycy zgłosili się wszyscy do służby sanitarnej w wojsku. Tylko trzech jednak zostało przyjętych, między innymi o. Wieteska. Chrzest bojowy otrzymał pod Sokółką, a następnie pod ciągłym prawie ostrzeliwaniem niemieckich samolotów — w kolumnie sanitarnej przybył do Lwowa. Po poddaniu się miasta wrócił do ukochanego Wilna bogatszy o dramat, który przeżył. Warunki materialne stawały się z dniem każdym trudniejsze. Klerycy Towarzystwa Jezusowego pracują jak zwykli czarni robotnicy przy torach, na budowie, w cieplarniach. O. Wieteska otrzymał pracę w ogrodach Wehlera. Między innymi jest gońcem kwiaciarni. Wieczorami opowiadał z humorem, jak jego dawni profesorowie i koledzy z uniwersytetu — spotkani na ulicy — mieli zakłopotane miny, gdy się im ukłonił i jak odbiorczynie kwiatów prawie zawsze tłumaczyły się, że nie mają drobnych, by mu zapłacić za jego przysługę.

Po roku warunki materialne poprawiły się o tyle, że mogliśmy już wszyscy studiować teologię. 25 marca 1942 r. po niecałych dwu latach pracy o. Wieteska został razem z wszystkimi jezuitami wileńskimi aresztowany i przewieziony do więzienia na Łukiszkach. Krótka notatka o. Wieteski kreśli

sprawozdanie z Jego nastawienia duchowego w tamtych chwilach: *Gdyśmy przyszli pierwszy raz do celi, warunki bytowania były iście syberyjskie (lód na ścianach) i nastrajały mistycznie (zjawienie się Matki Boskiej, zachęcającej do swej służby). Nie sprawdziły się te marzenia, zastąpiło je jednak zwykłe rzeczywiste zbliżanie się do Jezusa, który jest nam obecny nie przez pamięć jedynie, ale przez świadomość* (23. 7.1943).

Zaczęła się via dolorosa — krzyżowa, bolesna droga. Niepewność jutra, szykany, niedożywienie, robactwo, ciasnota. W lecie dołączył się jeszcze prawdziwy głód, gdy niekiedy nie dopuszczano paczek od znajomych, a 150 gramów chleba wydzielonego raz na cały dzień i około 20 gramów kaszy rozpuszczonej w ciepłej wodzie na obiad i kolację nikomu nie mogło wystarczyć. W tych hiobowych chwilach dowiaduje się Ojciec z grypsu o śmierci swego najdroższego brata Piotra. Tego dnia zaznacza z bólem w kieszonkowym notesie: *Piotruś nie żyje. Boże mój, czy ja się spodziewałem, że ja... do więzienia, a on z tego świata. Bracie mój... już tu na ziemi nie zobaczymy się nigdy. Lepiej ci tam, niż mnie tutaj, a przecież nie mogę łez powstrzymać* (7.9.1942).

30.10.1942 r. ojciec Wieteska z grupą innych zakonników został wywieziony do obozu w Poniewieżyku w pobliżu Kowna. W zasadzie do tego obozu, dawnego majątku polskiej rodziny Korewów, kierowano tylko księży i zakonników. Przebywali jednak tam również dwaj jeńcy radzieccy oraz dojeżdżały ekipy żydowskie. Praca była ciężka, wyżywienie liche. Punkty obozowego regulaminu nadawały wszystkiemu specyficzny charakter niewoli. Oto ważniejsze z nich:

Punkt 2. Odpowiedzialność zbiorowa.
3. Nie wolno śpiewać pieśni narodowych.
4. Nie wychodzić poza obręb parku, a w pracy poza obręb folwarku.
5. Nie wolno nic przyjmować od obcych bez pozwolenia kierownika.

Przekroczenie 4-go i 5-go punktu uważano za usiłowanie ucieczki.

9.11, tego samego 1942 r., ojciec Wieteska dowiaduje się o śmierci swej rodzonej matki. *Dostałem wiadość* — pisze

w swych notatkach — *o śmierci mamy. Nie płakałem, gdyż nie mogłem już płakać. Tak mi ciężko i pusto. Tak pragnąłem pobłogosławić tę zbolałą głowę... Straciłem najdroższą na świecie osobę... Msza św. za Mamusię. Pomyślałem sobie, że jednak dla niej śmierć jest lepsza niż życie. Mnie wprawdzie byłoby przyjemniej widzieć Ją na mojej Mszy św., ale dla Niej szczęśliwiej cieszyć się Bożym widokiem. Myśli moje wciąż uciekają do tej istoty droższej nad wszystko... Tak smutno* — dodaje 3 kwietnia 1943 r. — *Matko Droga, już Cię nie zobaczę, nie ucałuję Twych spracowanych rąk, nie uściskam Twej głowy spowitej w aureolę siwych włosów.*

Największym cierpieniem była jednak niewola ojczyzny: *Boże Kochany* — pisze Ojciec w obozie (27.2.1943 r.) — *daj pokój sprawiedliwy naszej ojczyźnie... W chwilach, gdy coś narodowi grozi, czuję fizyczny ból... Boję się, żebyśmy na zawsze nie utracili wolności. Ale to niemożliwe! Naród dwudziestopięciomilionowy nie może stopnieć jak kostka cukru... Mamy zbyt wielkie tradycje i aspiracje. Przed Twe ołtarze zanosim błaganie: Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie.*

Ojciec męczył się przeżyciami obozowymi: *Zatęskniłem za swobodą* — pisze 6.2.1944 r. — *Boże, żeby można nie mieć za sobą oczu tej bestii, jaką jest człowiek-wróg. Nie ma człowiek nic droższego nad wolność. Ta tęsknota mnie pożera.*

Na swojej via dolorosa o. Wieteska spotykał się często jakby twarzą w twarz z Chrystusem. 18 listopada 1943 r. zapisuje w swym notatniku: *Jest zimno, dmie mroźny wiatr. Tak mi tęskno za Wilnem i znajomymi, za rodziną. O Chryste, jak mi smutno. Ale nic to, cierpienia te nie miną bez śladu. Jezu, daj, abym umiał Cię kochać.*

Więzienie nawet jak również i obóz uważał Ojciec za żołnierski posterunek: *Obowiązki, sprawy, prace* — zaznacza w więzieniu 21.8.1942 r. — *do których Bóg mnie powołał, które sam mi wyznaczył, muszę wypełnić osobiście. Obecnie Chrystus chce, byśmy siedzieli tutaj i jak najlepiej ten okres wykorzystali. Chwała Boga — oto cel nasz, Jego zaś wola to modła postępowania. Zjednoczyć się z Jezusem to moje najżywsze pragnienie. Gdziekolwiek jesteśmy* — pisze nieco później (10.9.1942 r.) — *służba Bogu jest naszym obowiązkiem, wszystko inne to oprawka... nie dająca nic realnego.*

W największym obozowym bezsensie życia Ojciec doda do powyższych wynurzeń ową przysłowiową kropkę nad « i », gdy stwierdzi lakonicznie: *Życie i w obozie ma sens* (10.3.1944 r.)

W tym okresie nawet nie wyobrażamy sobie jednak o. Wieteski w postaci posągu. Jak zawsze zachował niezwykłą subtelność i wszechstronność w odczuwaniu wszystkiego, co się naokoło niego działo w najmniejszych nawet rzeczach: *Mamy grajka* — notuje 1 lipca 1943 r. — *bo przyjechała Milda* (*tak nazywano przekornie żonę komendanta obozu*). *Przyjechała z synkiem, który drze się w niebogłosy, uprzyjemniając chwile życia swemu ojcu. Matka cieszy się energią malca.*

Po wielu latach, gdy zobaczył tłumy poznaniaków, stojących o dwunastej przed ratuszem, by ujrzeć zegarowe koziołki, zanotuje w swym dzienniczku: *Kocham poznaniaków za ten ich romantyzm.*

Każdy, kto się z Ojcem spotykał, wie dobrze, że można było z nim rozmawiać o wszystkich rzeczach, bo wszystkie go interesowały, lecz zachował Boże wartościowanie wszelkich przejawów życia. Niezwykle głęboko odczuwał piękno przyrody, ale umiał zawsze przerwać przechadzkę nadmorską na wakacjach, gdy trzeba było zastąpić kogoś w kazaniu. Poszum lasów i pól ciągnął go ku sobie magnetyczną jakby siłą, lecz na palcach można policzyć te okazje, gdy Ojciec wyjeżdżał za miasto.

Pożegnanie z obozem o mało nie zakończyło się tragicznie. Stęskniony za Wilnem, opuszcza o. Wieteska obóz ze swym przyjacielem o. Dzierżkiem natychmiast po przejściu frontu przez Poniewieżyk. Na pierwszej linii kontrolnej z trudem tylko udało się im wytłumaczyć, że nie są szpiegami. Idąc z konwojem przez las, o. Wieteska gotował się już cichą modlitwą do śmierci. Na szczęście cała sprawa skończyła się pomyślnie.

Po powrocie z obozu Ojciec przygotował brakujące do święceń kapłańskich egzaminy z teologii, którą ukończył później w Lublinie. Święcenia otrzymał z grupą dawnych towarzyszy z obozu, w Ostrej Bramie, z rąk ks. abpa Jałbrzykowskiego w dzień św. Teresy od Dzieciątka Jezus w 1944 r. Na Mszy prymicyjnej nie było nikogo z krewnych. Łaska kapłaństwa to marzenie wszystkich jego zakonnych lat.

Dziękowałem serdecznie po Komunii św. — pisze z górą dwa lata wcześniej (19.9.1942) — *za powołanie do zakonu i kapłaństwa... Kochać Jezusa i pracować, aby inni Go kochali, to naprawdę wzniosły cel — dorzuca w kilkanaście dni później.*

Rok przed śmiercią doda do powyższych słów: *Napracowałem się w kaplicy, ale byłem z tego zadowolony, bo to przecież racja naszego życia i sens naszego poświęcenia.*

To znowu 5.4.1955 r. zaznacza: *Tak mnie to cieszy, że mogę mówić o Chrystusie. Jakże to wielki dar być tak bliskim współpracownikiem Boga, kapłanem. Dzięki Ci, Jezu.*

Ojciec zdawał sobie dobrze sprawę z głównej mocy kapłańskiej. Na prymicjach przebywającego z nim kiedyś w obozie w Poniewieżyku o. Charytańskiego, 13.7.1952 r. tak ujął to zagadnienie: *Kapłan może gromadzić wokół siebie wiernych swą świętością, może skupiać przy sobie wątpiących i błądzących, którzy w jego doświadczeniu, jego roztropności będą szukali dla siebie ukojenia, pouczenia i zachęty, ale nie to będzie treścią jego wielkości.*

Kapłan jest niekiedy mniej święty niż niejeden z ludzi świeckich, mniej mądry niż niejeden z jego wiernych, a przecież on i tylko on może wymawiać doniosłe słowa przeistoczenia i odpuszczenia grzechów.

... Największa nawet tęsknota, ani najżywsze uczucia przybliżenia sobie Boga nie mogą kapłana uzdolnić tak, jak słowa Chrystusowe: « To czyńcie na moją pamiątkę ». « Komu odpuścicie grzechy, będą odpuszczone ».

Słowa te wyrzeczone przez Jezusa Chrystusa dały początek chrześcijańskiemu kapłaństwu, a przekazane z pokolenia na pokolenie wiążą każdego kapłana z samym Chrystusem, z którego przez wieki spływa na nowych kapłanów godność... szafowania Krwią Jezusową i uwalniania każdego człowieka z najcięższych nawet grzechów.

Pośród cech dobrego kapłana Ojciec stawiał na pierwszym miejscu świętość przejawiającą się w heroicznej miłości dusz ludzkich.

Po święceniach przez cały rok pracował o. Wieteska przy kościele św. Kazimierza, po repatriacji zaś przebywał dwa lata w Lublinie, a następnie aż do swej śmierci — z krótką półroczną przerwą — w Warszawie na Rakowieckiej.

Najbliżsi, widząc z jak nadzwyczajną cierpliwością, wyrozumiałością i słodyczą spędzał długie godziny w konfesjonale powtarzali, że posiada jakiś specjalny charyzmat do słuchania spowiedzi. Zwłaszcza, gdy się zwróci uwagę na rozliczne jego inne obowiązki (przez kilka lat był sekretarzem prowincjała, przygotowywał pracę doktorską i zajmował się biblioteką). Ból serca, który dokuczał mu już w obozie, stawał się w takich okazjach wprost nie do zniesienia, a jednak Ojciec w ustalonych godzinach zawsze szedł do konfesjonału.

Przyjechałem do Warszawy wymęczony — zaznacza ostatniego stycznia 1955 r. — *Serce kołacze się niespokojnie... Od razu trzeba iść do konfesjonału. To tytuł do naszej radości, ale i powód utrapienia.*

Długie godziny spowiedzi, a zwłaszcza późne, niedzielne kazania (wpół do pierwszej) męczyły go bardzo, niekiedy aż do utraty czucia w rękach. Ojciec mimo to mówił nadzwyczaj gorąco, jak gdyby chciał przelać ogień wewnętrzny, który go palił. Z tematyki najwięcej lubił poruszać miłość Chrystusa do ludzi.

Zakończenie czerwcowego nabożeństwa — notuje 30.6. 1955 r. *Oby Bóg dał, bym w przyszłym roku mógł głosić nauki o Boskim Sercu. Tak bardzo lubię ten rys Boskiego Zbawiciela: Jego miłość ku nam, ludziom.*

Mówił przystępnie, głęboko, płomiennie. Jeszcze dzisiaj przypominają się tym, którzy słuchali jego kazań, urywki, które sam zanotował: *Boga nie można stworzyć. Trzeba Go szukać. I ludzkość poszukuje Go od początku swego istnienia. Bo życie każdego człowieka jest poszukiwaniem Boga. Od pierwszej chwili świadomości odczuwamy naszą niewystarczalność. Oglądamy się za jej dopełnieniem... Zagadnienie Boga pojawia się w poszczególnym człowieku niezależnie od jego woli, chęci, czy upodobań. Trzy lata mocowałem się z Bogiem — mówił przygodnie spotkany pasażer w pociągu. Nie chciałem Go przyjąć. Walczyłem o prawo do mnie. Zwyciężył Bóg.*

Albo: *Świat cały gra koncert opiewający chwałę Tego, który wszystkim porusza. Oddalanie się mgławic spiralnych, wiek najstarszych minerałów meteorytów pozwalają nam obliczyć wiek początku świata i domagają się słów, którymi mówi Pismo św. Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.*

Albo: *Jezusowa nauka jest piękną, ale nieraz piękną tragicznie. I wtedy przychodzą na myśl słowa uczniów: « Twarda jest mowa i któż ją zrozumie ». Wy wszyscy, których dotknęło rozczarowanie życia, nie zapominajcie, że poddajecie barki swoje pod prawo Chrystusowe. Tego Chrystusa, który z miłości ku nam ludziom nie zawahał się oddać swego życia. Czy mogłaby nawet powstać w sercach waszych taka pokusa — myśl, że prawo Chrystusa mogło być podyktowane przez co innego, jak nie przez miłość?*

Trzeba było wielkiego bohaterstwa, by tyle pracować, ile Ojciec pracował przy bardzo chorym sercu. Już w obozie lekarz stwierdził całkowitą fizyczną niezdolność do pracy. Ojciec nigdy się nie skarżył na cierpienia. Najbliższym, niekiedy jakby od niechcenia, podawał informacje o kłującym, nieznośnym bólu serca. Chociaż od dawna się leczył, to jednak sam nie przypuszczał nawet, że stan jego zdrowia jest aż tak dalece katastrofalny. Gdy Ojciec zdecydował się iść na gruntowne przebadanie do szpitala, Pan Jezus zabrał go niespodziewanie do Siebie 14 września 1956 r.

Śmierć zastała go przygotowanym. W niecały tydzień przed zgonem, gdy czuł się więcej osłabionym niż zwykle, zaznaczył o. prowincjałowi: *Rachunki z Panem Jezusem już zrobione.*

Cieszył się, że modlono się za niego w ostatnich dniach życia na Jasnej Górze.

Umarł prawdziwy człowiek, któremu rzeczywiście nic nie było obce ze spraw ludzkich. Życie miał twarde, żołnierskie. Zdaje się, że mało kto zdawał sobie sprawę, ile kosztowało go utrzymanie się na pozycji, którą mu Chrystus wyznaczył. Nasycenie Bogiem przezwyciężyło wszystkie trudności. W czasie bombardowania Wilna w więzieniu modli się: *Jezu dodaj mi sił. Zawiało chłodem Ponar. Zwierzę kurczy się we mnie i skamle o trochę życia... Wyją syreny... Może to ostatnia noc. Bądź wola Twoja... Podobno w nocy krzyczałem: Matko Pocieszenia* (28.8.1942).

Druga scena w tych samych okolicznościach: *Jezu, czy Ty mi nie wystarczasz? Nieraz życie wydaje się bezwartościowe. A jednak tak nie jest, w tym wszystkim jest Twoja mądrość* (2.9.1942).

Może jednak trudniejsze były te długie chwile, w których

umiał o sobie zapomnieć, o swym ludzkim szczęściu, karierze, przyszłości.

W Komunii św., a później w odprawianej Mszy św., w adoracji Eucharystycznego Jezusa znajdował Ojciec oparcie i siłę. Gdy np. w więzieniu zaistniała możliwość odprawiania przez współwięźniów Mszy św. zaznacza w swoich notatkach: *Najważniejsza rzecz, jutro Komunia św.* (2.9.1942). *Jak miło w kaplicy* — pisze po urządzeniu prowizorycznego przybytku Pana w obozie w Poniewieżyku. — *Wieczorem sam na sam z Panem to wspaniała zapłata za trudy poniesione przy jej urządzaniu. I cóż mi mogą zrobić wszyscy wrogowie, chociażby mi nawet odjęli życie. Pójdę do Ciebie, Panie i zwolnisz mnie z posterunku. Pójdę jak żołnierz po wielu trudach wojennych... Jesteśmy na Bożej służbie.*

Wieczorem — dodaje kiedy indziej — *tak miło przed tabernaculum. Po prostu czuję fizycznie obecność Pana* (26.2. 1943).

Święcenia kapłańskie tę miłość jeszcze umocniły. I z tą miłością poszedł o. Wieteska do ludzi. Nigdy się z nich nie gorszył. Rozumiał ich wszystkich. Rozumiał śmieszne dramaty dzieci, miłość młodych, rozgoryczenie tych, którzy po życiu zbyt wiele się spodziewali. A wszystkim wskazywał jedyną drogę — wielkiej miłości wzajemnej w stylu Ewangelii, której sam był dla nas przykładem. Nie zapominał o najdrobniejszej przysłudze kiedykolwiek wyświadczonej. Na dwa tygodnie przed śmiercią z rozrzewnieniem wspominał, jak — wracającemu po kampanii wrześniowej — pewna Ukrainka nie mając już chleba, dała miseczkę kapusty. Urazy umiał przebaczać natychmiast i bez reszty. W swoich cierpieniach cieszył się szczęściem innych.

Ojciec dążył do świętości, którą słusznie utożsamiał z miłością. Jeszcze na krótko przed śmiercią zachwycał się sformułowaniem Gołubiewa zasady postępowania świętych w postaci św. Wojciecha: *On Ji (Chrystusa) kochał.*

Swój program ułożył Ojciec jeszcze w 1944 r. w krótkie hasło: *służyć Bogu, kochać Polskę, pomagać bliźnim* (3.1.1944).

I ten program wykonał. Zabrał z sobą wszystkie problemy życia, by u Chrystusa — jak to zaznaczył — znaleźć ostateczną, najpełniejszą odpowiedź na wszystko.

ks. Alojzy Chrobak SJ

MUSIAŁO WYSTARCZYĆ BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

Wzywa mnie kiedyś do siebie ojciec prowincjał, Stanisław Sopuch i powiada:

— Drogi ojcze Chrobaku! Spodobało się Bogu i Przełożonym mianować ojca superiorem w Gdyni.

Patrzę na niego ze zdziwieniem i ogłupiały pytam:

— Gdzie Czcigodny Ojcze Prowincjale? ... gdzie? ... jakiego Domu? ...

— W Gdyni, ojcze kochany, w Gdyni ...

— Przecież w Gdyni domu jezuickiego nie ma.

— Otóż właśnie masz, Ojcze kochany, do Gdyni pojechać, i dom tam tworzyć. Jako Prowincjał nakazuję ci, że nie wolno ojcu powrócić do Warszawy, aż dom w Gdyni będzie gotowy. Tymczasem zamieszka ojciec u księdza dziekana Teodora Turzyńskiego. W miarę możności będzie mu ojciec pomagał w pracy kościelnej, w zamian za co będzie miał ojciec u niego mieszkanie i utrzymanie. Od czasu do czasu wyjedzie ojciec na jakieś misje czy rekolekcje, ale zasadniczo będzie ojciec przebywał w Gdyni. U władz miejscowych dopilnuje ojciec wszystkiego, co będzie potrzebne do aktu kupna i darowizny terenu. A gdy plac będzie już nasz, przystąpimy z wolna do budowy dużego zakładu naukowo-wychowawczego na wzór Chyrowa i Wilna ... Tymczasem błogosławię Ojcu serdecznie na tę nową naszą placówkę: W Imię Ojca — i Syna — i Ducha Świętego. Amen. Szczęść Boże!

Po przyjęciu na klęczkach błogosławieństwa prowincjalskiego zacząłem przygotowywać się do drogi na tę nową placówkę. Po dwóch dniach byłem już na gdyńskiej plebanii przy kościółku Najświętszej Marii Panny na ul. Świętojańskiej. Gdy zapoznałem się z sytuacją zobaczyłem, że jest ona wielce kłopotliwa. Atmosfera na plebanii bardzo niemiła. Ks. dziekan Turzyński, człowiek zacny, dla sprawy jezuickiej w Gdyni przychylny nie był. Zakonników nie lubił. Raz po raz głosił

publicznie, że ma w Gdyni trzy ciężkie krzyże: « Bazylikę Morską », którą z polecenia bpa Okoniewskiego miał stawiać na Kamiennej Górze — jezuitów na tak zwanych Działkach Leśnych — no i franciszkanów, którzy osiedlili się na Wzgórzu Focha. Gościny jezuitom udzielił ks. Turzyński tylko chwilowo i to ze względu na bardzo nam życzliwego bpa Okoniewskiego.

Wielki budowniczy Gdyni, nasz wychowanek z Chyrowa, minister Eugeniusz Kwiatkowski, zapragnął gorąco stworzyć w Gdyni drugi wielki jezuicki Chyrów. Chodziło mu o to, ażeby młodzież z całej Polski, wychowywana tu i kształcona przez jezuitów, rozmiłowywała się w morzu, a następnie oddawała się ochotnie i ofiarnie na służbę morską. Ponadto chodziło min. Kwiatkowskiemu o ułatwienie młodzieży polskiej z Gdańska, Prus Wschodnich i z Pomorza Zachodniego gruntownej nauki w języku polskim.

W tym celu zaprosił nas do Gdyni. Teren pod przyszły dom upatrzył nam p. Jan Redke, dawny wójt gdyński. Była to działka dwuhektarowa, leżąca na szczycie pomiędzy ulicą Słupecką, Tatrzańską, Zakopiańską i Pomorską. Wspaniałe to wzgórze położone jest na wysokości 60 metrów nad poziomem morza, a jego szczyt najwyższy sięga 65 metrów. Widok z tego terenu — zachwycający. Cała Gdynia u naszych stóp, port widoczny jak na dłoni. Naprzeciw nas leży Kamienna Góra i Wzgórze Focha. Z boku — Oksywie i tafla morza, a na nieboskłonie widnieje w pogodne dni Hel na dużej swej przestrzeni. Poza nami ciągną się olbrzymie lasy na szczytach wzgórza aż do Strzebielina, czyli do przedwojennej granicy Państwa — to jest co najmniej 40 km. Jakie wspaniałe tereny do przyszłych przechadzek wychowanków naszego zakładu, a w szczególności co za olbrzymi basen czystego, leśnego powietrza, zmieszanego z jodem morskim. Toż to błogosławieństwo dla młodych płuc. Cóż dziwnego, że na widok tego terenu ojcowie nasi stanęli jak wryci i oczarowani.

Na uroczyste podpisanie aktu własności i otwarcie naszego tymczasowego mieszkania w Gdyni w wynajętym niedaleko działki lokalu — przyjechał o. prowincjał Sopuch, o. prokurator Jabłoński, brat Malik i inżynier Majewski, mający opracowywać plany naszej przyszłej budowy gimnazjum, konwiktu, domu zakonnego i kościoła. Uroczyste poświęcenie

i otwarcie domu naszego w Gdyni odbyło się 10 października 1936 r. w dzień św. Franciszka Borgiasza, który ongiś jako generał Zakonu przysłał do Polski pierwszych jezuitów.

W czasie tej uroczystości o. prowincjał Sopuch zdawał się przeżywać dzień swego nadzwyczajnego szczęścia. Nie posiadał się wprost z radości. A w tej radości wewnętrznej jakże żywo interesował się umeblowaniem i urządzeniem naszego skromnego mieszkania. Obchodząc ze mną poszczególne pokoje, zwracał baczną uwagę na każdy najdrobniejszy nawet mebel i pytał ciekawie:

— Ojcze superiorze, a to już nasze?

A gdy posłyszał ode mnie odpowiedź, że nasze, swoim zwyczajem spuszczał nisko głowę, ręce zaciśnięte składał na piersiach i z uśmiechniętym obliczem szeptał z zadowoleniem i wielką wdzięcznością dla Boga: « Deo gratias ».

*

* *

Jesteśmy już w Gdyni w swoim mieszkaniu, ale na Mszę św. z zacnym moim pierwszym towarzyszem gdyńskim, br. Antonim Krokiem, chodzimy nadal codziennie do odległego kościoła Najświętszej Marii Panny. Droga daleka, umęczenie wielkie, strata czasu ogromna, a tu pracy koło terenu przybywa. Otaczamy go powoli drutem kolczastym, budujemy szopę drewnianą pod przyszłą stolarnię. Myślimy coraz żywiej o tym, ażeby na czas przyszłej budowy zakładu mieć już własny domeczek mieszkalny i tymczasową kaplicę, choćby niewielką nie tylko dla własnej potrzeby, ale i dla ludzi, którzy tak usilnie dopraszają się o nasze kazania i nabożeństwa.

Niestety. Na drodze do rozpoczęcia budowy nawet tego tymczasowego własnego mieszkania i prowizorycznej kaplicy piętrzą się różne trudności. Najważniejsza jest ta, że budować nie mamy naprawdę za co. Kasa prowincjalska pusta. Co wspomnę delikatnie o. prowincjałowi o konieczności jak najszybszego pobudowania prowizorycznego mieszkania w Gdyni, ażeby nie płacić 150 zł miesięcznie za wynajęte trzy pokoje i kuchnię, o. prowincjał odpowiada mi stale z niezadowoleniem: « Zaczniemy budować w Gdyni wtedy, gdy będziemy mieli na to pieniądze! »

W którymś z listów do o. prowincjała Sopucha wyłuszczam mu raz jeszcze wszystkie powody, skłaniające nas do tego, by budowę w Gdyni już obecnie zacząć i tak kończę tę moją « encyklikę »:

Ja pieniędzy na budowę domu i kaplicy w Gdyni od W.O. Prowincjała nie żądam, ani nawet o nie nie proszę, bo wiem dobrze, że ich O. Prowincjał w tej chwili nie ma... Proszę Czcigodnego Ojca tylko o to, ażeby mi zaufał i na rozpoczęcie budowy, w jak najmniejszych tymczasem rozmiarach, pozwolił oraz by mi na nią uroczyście, prawdziwie po ojcowsku pobłogosławił... Pieniądze na budowę da mi Bóg i dobrzy ludzie, którzy rzetelnie obiecują mi dopomóc...

List mój poszedł za o. prowincjałem aż do Wilna, gdzie bawił wówczas na dorocznej wizycie kolegium. Gdy o. prowincjał ten list przeczytał, zwołał od razu nadzwyczajną konsultę i pyta ją o radę w tej sprawie. Konsultorzy opowiedzieli się za rozpoczęciem małej budowy w Gdyni na warunkach podanych przeze mnie. Nadchodzi od o. prowincjała list « expres-polecony » i przynosi mi pozwolenie prowincjalskie na budowę, uroczyste błogosławieństwo i bliższe wskazówki o. prowincjała. Mam zaraz pojechać do Warszawy, omówić dokładnie całą sprawę z naszym budowniczym br. Marcinem Malikiem, pójść z nim do architekta p. inż. Majewskiego, by opracował plany domku-willi i małej kaplicy i przedstawił je o. prowincjałowi do wstępnej aprobaty, zanim plan ten nie zostanie zatwierdzony ostatecznie przez o. generała w Rzymie.

Pierwszy plan domu gdyńskiego w postaci nowoczesnej willi nie podobał się o. prowincjałowi. Odrzucił go z miejsca ze słowami: « Ohydne nowoczesne pudełko! »

Drugi plan —piękny dworek staropolski — przypadł mu do gustu. Polecił dokonać w nim poprawki i posłał do Rzymu do zatwierdzenia.

Wkrótce nadeszło zatwierdzenie o. generała, które zbiegło się z zatwierdzeniem tychże planów przez Komisariat Rządu miasta Gdyni.

Kiedy dokładnie przyjrzałem się temu projektowi, spostrzegłem w nim wielki błąd, który strasznie mógł się na nas zemścić. Oto projektowana kaplica 11 metrów długa, a 7 metrów szeroka, ma zaledwie 4 metry wysokości. W tak niskiej kaplicy podusimy się wszyscy, gdy ludzie wypełnią kaplicę

po brzegi. Wzywam do Gdyni br. Malika, budującego wtedy Dom rekolekcyjny w Częstochowie i zaczynamy naradzać się. Zastrzeżenie me uznał br. Malik za słuszne. Ostatecznie doszło do tego, że kaplica ta ma dziś 21 m długości, 11 m szerokości i 7 m wysokości. Dom zaś zakonny posiada 16 dość dużych i wygodnych pokoi.

Zanim przystąpiliśmy do budowy nowego domu, nadeszło pierwsze Boże Narodzenie w naszym dotychczasowym, wynajętym. Od ks. dziekana Tyrakowskiego spod Bydgoszczy dostałem na « gwiazdkę » piękny prezent w postaci pierzyny puchowej i 2 poduszek. Był to wyraz jego wdzięczności dla mnie za rekolekcje młodzieżowe — prowadzone tam przed św. Stanisławem Kostką. Ponieważ nie lubię już od młodości sypiać pod pierzyną, postanowiłem zrobić z niej miłą niespodziankę przezacnemu i niestrudzonemu w pracy stolarzowi, bratu Antoniemu Krokowi, wrażliwemu na zimno.

Wręczenie tego daru « gwiazdkowego » połączone było z pewnym przeżyciem dla br. Kroka, a z naszej strony z nielada « kawałem ». Razem z kucharzem Franciszkiem Hordejukiem zabrałem potajemnie br. Krokowi z łóżka jego kołdrę, a jednocześnie zaczęliśmy rozgłaszać, że radio podaje, iż akurat na same święta Bożego Narodzenia zbliża się fala silnych mrozów. Wiadomością tą br. Krok przejął się do głębi. Kolacja wigilijna jakoś mu nie smakowała, a po wieczerzy chciał iść jak najrychlej do łóżka. Ścieląc łóżko spostrzega przerażony brak kołdry; zaczyna skrzętnie poszukiwania, a nie znalazłszy jej dochodzi do przekonania, że została ona w ciągu dnia skradziona. Ponieważ nie lubi sypiać pod cudzą kołdrą, decyduje się przespać tę noc tylko pod kocem i futrem.

Gdy br. Krok z korytarza odszedł do swego pokoju, po chwili obaj z Franusiem wnosimy mu wspaniałą pierzynę i poduszki z wesołym śpiewem na nutę kolędy: *Hej w dzień Narodzenia*:

Fala mrozu idzie — Krok bez kołdry w bidzie,
Lecz go fala minie przy ciepłej pierzynie,
Hej kolęda, kolęda ...

Teraz dopiero zacny br. Antoni zrozumiał mój żart i ucieszył się niezmiernie tym « darem wigilijnym ».

*
* *

Według pobieżnych obliczeń br. Malika kosztorys naszej budowy gdyńskiej ma dosięgnąć kwoty około 150 tysięcy ówczesnych złotych polskich. Wartość naszej polskiej złotówki w roku 1936 była duża. O ile pamiętam, równała się ona wtedy wartości jednego franka szwajcarskiego. Ja zaś na rozpoczęcie naszej budowy miałem zaledwie 2 tysiące złotych. Lecz i te pieniądze nie były nasze — zakonne. Były one bezprocentową i bezterminową pożyczką biednej, a przezacnej służącej warszawskiej i mojej penitentki, p. Michaliny Oszustówny, rodem z Lubelszczyny. Na wieść o moim zamiarze budowy kościółka i domu zakonnego w Gdyni — wyjęła ona swoje oszczędności z PKO i wielkodusznie chciała mi je ofiarować na ten cel. Nie przyjąłem jednak tego daru, tylko wziąłem te pieniądze od niej w formie pożyczki zwrotnej, pożyczki bezprocentowej i bezterminowej. Powiedziałem jednak tej wielkiej naszej Dobrodziejce, że budowa oparta na takim fundamencie pójdzie na pewno raźno naprzód, bo w tych pieniądzach jest tyle głębokiej wiary i miłości Boga, tyle codziennego trudu, a nawet i udręki biednej dziewczyny polskiej. To wszystko ma u Boga swoją wielką wartość i niesie niezaprzeczalnie błogosławieństwo Boże.

Przy niwelowaniu terenu trzeba było zasypać ośmiometrową przepaść. Skąd wziąć tyle ziemi? Idąc ulicami Gdyni widzę, że ciągną korowody furmanek z ziemią z wykopów pod fundamenty. Wiozą ją daleko poza miasto, aż na łąki moczarne pod Chylonią. Droga daleka. Przeszło 6 km. Wdaję się w rozmowę z furmanami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus ... Spod czyich to fundamentów jest ta ziemia? ... A dużo jeszcze macie jej do wywiezienia? ... No, jakże się wam ta wywózka opłaca? ... Narzekacie, że tak daleko za miasto musicie ją wywozić, a można sobie tę drogę znacznie skrócić ... Czy słyszeliście, że tam w « Działkach Leśnych » jezuici mają ogromną przepaść, w którą chętnie przyjmą każdą ilość ziemi?

— Proszę Księdza, a kto tam do góry z tą ziemią pojedzie? Do Chylonii daleko bo daleko, ale po równinie ...

— Panie, a czy pan zastanowił się nad tym, że tam w Działki droga trzy razy krótsza ... Co dwa kilometry — to nie sześć.

Wprawdzie nieco pod górę, ale dobry bruk, gruba kostka. Weźmie pan ziemi trochę mniej, ale za to trzy razy prędzej obróci. Niech pan tylko spróbuje jeden dzień, to przekona się, że wywiezie znacznie więcej, a co za tym idzie i więcej pan zarobi.

I tak codziennie przez jakiś czas powtarzały się te moje rozmowy z furmanami. W następstwie tych rozmów zaczęły pojawiać się na naszym terenie furmanki z ziemią. Doszło do tego, że do naszej przepaści zjeżdżało się tych furmanek naraz około 20.

Budowę gdyńskiego domu zakonnego i kościółka rozpoczęliśmy 16 sierpnia, w uroczystość św. Joachima. Po Mszy św. o błogosławieństwo Boże robotnicy przystępują do pracy. Potłuczonymi kamieniami zmieszanymi z cementem zalewają wykopane ławy fundamentowe. Ja zaś zdejmuję z piersi medalik srebrny Najświętszego Serca Jezusowego i Matki Boskiej Ostrobramskiej przywieziony kiedyś z Wilna i kładę w rogu od ogrodu przy ul. Tatrzańskiej. Wnet znika on z moich oczu na zawsze zalany cementem i kamieniami. Robota idzie naprzód, a fundusze na nią daje mi nieraz, wprost zdumiewającym sposobem, Opatrzność Boża przez ręce naszych Dobrodziejów.

Na ich czele stoi piekarz gdyński, p. Walery Szuta ze swą żoną Cecylią. Od pierwszej chwili mego zamieszkania przy terenie budowy, oboje Szutowie otoczyli mnie troskliwą i ofiarną życzliwością. W gronie przyjaciół i znajomych, zwłaszcza w swej najbliższej rodzinie, orędowali gorliwie o ofiarność na nasz dom. Wnet znaleźli się w gronie naszych ofiarodawców pp. Dąbrowscy i Jaskólscy, ich szwagrostwo, p. Joanna Tutkowska i jej zięć Antoni Czoska, pp. Józefostwo Dobrowolscy, pp. Klemensostwo Pomieczyńscy, pp. Józefostwo Kurrowie, p. Jan Radke z siostrami, pp. Józef i Jan Skwierczowie ze swymi żonami, p. Jan Grubba z żoną i siostrą Agnieszką, pp. Stanisławowstwo Gotowałowie, pp. Józefostwo Śliwińscy i pp. Józefostwo Fichte z Podgórza, pp. Pawłostwo Dau z Chylonii czy raczej z Grabówka. Wszyscy ci przyjaciele i ofiarodawcy oraz wielu jeszcze innych swymi stałymi, hojnymi ofiarami miesięcznymi umożliwili mi tę budowę.

Niektóre ofiary były nawet bardzo wysokie. Wspomnę tylko o dwu. Pierwszą z nich to ofiara pani Anny Kurr, Ka-

szubki z ulicy Abrahama. Staruszka ta razu jednego po Mszy św. w kościele Najświętszego Serca Jezusowego, odprawionej w jej intencji, zaprasza mnie do siebie na śniadanie — « na kawcię ». Po sutym śniadaniu, na którym nie brakło węgorza w galarecie « po kaszubsku » i « szneków z glancem », czyli ciastek lukrowanych, stanowiących specyfik i ulubiony przysmak Kaszubów — babcia Kurrowa idzie do szafy z bielizną i szuka w dolnej szufladzie. Zamknąwszy szafę p. Anna podchodzi do mnie, wręcza mi dużą, zapieczętowaną i zalakowaną kopertę i powiada: — Jegomość, to jest moja ofiara na tę waszą budowę — na tę waszą kaplicę. Tymczasem daję wam tylko tyle, kiedyś dam jeszcze więcej.

Podziękowałem babci gorąco za ten dar, obiecałem pamiętać o niej i jej rodzinie w modlitwach i poszedłem do domu. Gdy się znalazłem w moim pokoju i otworzyłem kopertę, wyjąłem z niej dwa nowiutkie banknoty po 500 złotych, a więc razem 1.000 zł. Nazajutrz idę podziękować babci jeszcze raz. Ofiarowuję jej od nas pięć Mszy św. i zapraszam ją, by była łaskawa przyjechać kiedyś na teren naszej budowy i przekonać się naocznie, czy tę jej ofiarę widać w rosnących z dnia na dzień murach. Czy przypadkiem jej ofiara nie została przeze mnie zmarnowana.

— Jo, jo, Jegomość, ja tam kiedyś do was przyjadę i zobaczę wszystko. Ja wam dam jeszcze znać kiedy przyjadę.

W kilka dni później po Mszy św. babcia Kurrowa czeka na mnie przed kościołem i zapowiada, że po śniadaniu przyjedzie zobaczyć naszą budowę. Pobiegłem prędko do domu i po śniadaniu wyczekuję na babcię. Po chwili nadjeżdża taksówka z p. Kurrową. Witam ją jak najserdeczniej, wprowadzam na budowę, pokazuję i objaśniam szczegółowo fragmenty budowy. Budowa ma już ukończony niski parter z piwnicami, a na wysokim parterze widać wzniesione już do połowy ściany kaplicy i domu. Pani Anna interesuje się wszystkim bardzo żywo. Wkrótce znalazła się ze mną na najwyższym cyplu naszego terenu, skąd pokazuję jej całą okolicę, a w dali bielejący Hel i Jastarnię. Babcia patrzy i patrzy uważnie w tę i w tamtą stronę, a nareszcie woła do mnie głośno:

— Jegomość, ja to wszystko znam. Ja tu krowy za młodu pasła ... ja tu na grzyby chodziła. Jegomość, a kto z nas Kaszu-

bów kiedy myślał, że w tych wertepach kościół będzie, że tu klasztor będzie... O, jakież to dziwne są te plany Boże!

— Jegomość, gdybym ja tak mogła, to bym wam ten kościół i klasztor sama postawiła. Ale nie mogę... Com dostała za sprzedane pole na port, tom dzieciom moim na wiano dała... Ale ja będę o was dalej pamiętała i jeszcze wam na pewno dopomogę.

I dopomagała stale, w miarę możności, aż do mego wyjazdu z Gdyni.

Pod silnym wrażeniem wróciła p. Kurrowa z naszego terenu do domu. Całą noc myślami wracała nieustannie pomiędzy wertepy, gdzie kiedyś za młodu krowy pasła i na grzyby chodziła, a gdzie teraz niebawem kościół i klasztor staną. Epilog zaś tych myśli był taki, że babcia zaczęła na mnie wygadywać i « szkalować » sama do siebie wśród mroków nocnych.

— Ej ten Chrobak, ten Chrobak... a wlazł w te góry i zaczął tam wiercić i wiercić, aż nareszcie kościół i klasztor wywiercił...

Oczywiście przy najbliższej okazji babcia opowiedziała mi szczerze o tych wszystkich « wygadywaniach » i « szkalowaniach » mnie. Były one na szczęście bezbolesne i nieszkodliwe.

Inny, jeszcze hojniejszy dar na naszą budowę gdyńską, złożyła p. Elżbieta Simonowa, przełożona Trzeciego Zakonu w Gdyni. Okazało się później, że uczyniła to za radą i namową swojej serdecznej przyjaciółki, p. Anny Kurrowej, o której pisałem powyżej.

Pewnego dnia, po Mszy św., p. Elżbieta Simonowa czeka na mnie przed kościołem i mówi:

— Jegomość, ja bym chciała się was poradzić w pewnej bardzo ważnej sprawie. Trudno mi o niej mówić z wami tu na dworze, a do was tam na Tatrzańską daleko, może byście zechcieli przyjść do mnie do mieszkania... Zapraszam was na « kawcię »...

— Dobrze, proszę pani, ale kiedy?

— Kiedy wam Jegomość będzie najwygodniej. Ja zawsze cały dzień jestem w domu... A może byście przyszli do mnie we czwartek tak po południu?

— Owszem, przyjdę do pani we czwartek po południu, ale o której godzinie?

— Jo, może tak koło czwartej, czy nawet i później?

— Dobrze, przyjdę koło czwartej, a gdyby zaszła jaka niespodziana przeszkoda — przyjdę nieco później.

Zjawiłem się u p. Simonowej punktualnie o czwartej. Staruszka zgotowała mi piękne przyjęcie. Oczywiście « szneków z glancem » także nie brakowało. Po tej miłej i serdecznej gościnie tak się odezwała do mnie:

— Jegomość, ja chciałam się was poradzić w pewnej bardzo ważnej sprawie.

— Proszę, służę pani bardzo chętnie mą skromną radą.

— Jegomość, ja tu miała grunt, który sprzedałam pod budowę portu. Dostałam za niego dużo pieniędzy. Poratowałam nimi moją rodzinę, bom ja wdowa bezdzietna, a resztę zostawiłam sobie na tak zwaną « czarną godzinę ». Czuję jednak jakoś dziwnie, że już wkrótce umrę, więc chciałabym, ażeby te pieniądze nie zmarnowały się, tylko zostały obrócone na jakiś dobry, pobożny cel. Poradźcie mi teraz, misjonarzu, na jaki cel te pieniądze przeznaczyć.

Na te słowa p. Simonowej pomyślałem w duchu: « O jakże ta ofiara przydałaby mi się teraz na naszą budowę! »

Nie chciałem jednak okazać jej nawet cienia chciwości, więc mówię:

— Proszę pani! Przecież ks. dziekan ma wkrótce rozpocząć budowę « Bazyliki Morskiej », może więc pani zechce przeznaczyć swoje pieniądze na tę budowę.

Na te słowa p. Simonowa patrzy na mnie wielce zdziwiona i pyta:

— Więc radzicie mi, misjonarzu, dać te pieniądze dziekanowi... na tę Bazylikę?

— No tak, chyba najlepiej dać je ks. dziekanowi na budowę Bazyliki.

— Jegomość! Ja tych pieniędzy dziekanowi nie dam... Ma on na cygara drogie, ma na likiery i koniaki różne przy częstym grywaniu w karty — to niech ma i na Bazylikę... Ja jemu tych pieniędzy nie dam.

— To na jaki inny piękny i pobożny cel chciałaby pani swe pieniądze ofiarować?

— Jo, ja te pieniądze chcę, misjonarzu, dać wam... A przyjmiecie je?... Bo tych pieniędzy jest aż 10 tysięcy.

— Proszę pani! Dla siebie ja tych pieniędzy nie potrzebuję i przyjąć ich żadną miarą nie mogę, gdyż jestem ubogim zakonnikiem, ale dla naszego zakonu przyjmę je chętnie i z wielką wdzięcznością, ponieważ na naszą budowę w « Działkach Leśnych » przydadzą się one bardzo, a bardzo.

— Więc ja te 10 tysięcy daję teraz wam na waszą budowę tam w lesie.

— « Bóg zapłać » stokrotne składam Pani za tę ofiarę, ofiarę naprawdę wielką i hojną, « Bóg zapłać » w imieniu naszego zakonu i moim.

Gdy w mieszkaniu p. Simonowej spisałem akt jej darowizny, p. Simonowa tak kończy:

— A nie myślcie, jegomościu, że tę ofiarę dałam dziś na wasze ręce dla zakonu ot tak, jak to się u nas na Kaszubach mówi: « dla pięknych oczu »... Oj nie, nie... Ja was, jegomościu, przez dwa lata na każdym miejscu wciąż podpatrywałam i śledziłam uważnie jak wy tu w Gdyni żyjecie? Czy ofiar ludzkich nie marnujecie?... Nie bójcie się, ja o was wszystko dobrze wiem.

Pomyślałem sobie w duchu, że ktoś inny mógł mnie tu w Gdyni śledzić uważnie i podpatrywać, to bym się może nawet i nie dziwił, ale że mię śledziła na każdym kroku ta siwowłosa i już tak mocno podeszła w latach przełożona Trzeciego Zakonu w Gdyni, tego nigdy bym nie przypuszczał.

Dnia jednego po Mszy św. wracam do domu bardzo zakłopotany i przybity na duchu. Mam dziś do wykupienia weksel. Kasa moja świeci pustkami. Myślę ciągle i myślę kto by mnie poratował? Zachodzę do sklepu pp. Komorowskich na Śląskiej.

— Ojcze misjonarzu! Dopiero co rozmawialiśmy oboje o tobie i o waszej budowie. Postanowiliśmy oboje choć trochę ci dopomóc. Otrzymaliśmy od rodziców, jako wiano, spory zapas złota. Postanowiliśmy pożyczyć je ojcu na jakiś dłuższy czas. Da je ojciec do banku w zastaw i otrzyma w zamian dużo pieniędzy. Po dwóch latach wykupi ojciec ten zastaw i odda nam nasz depozyt. Pożyczka będzie bezprocentowa.

Podobnych dowodów Opatrzności doświadczałem nieustannie. Zaczęta o dwu tysiącach złotych pożyczonych pieniędzy, prowadzona nieustannie za wyżebrane grosze, po pół roku

od rozpoczęcia, kaplica została otwarta. Niebawem też zamieszkaliśmy w nowowybudowanym domu na dolnym parterze pod kaplicą. Opatrzność Boża nie zawiodła nigdy mej ufności, wypraszanej pokornie i całym sercem codziennie we Mszy św. i przy brewiarzu.

Pomimo wielkiej ofiarności Kaszubów z pieniędzmi niejednokrotnie było źle. Były momenty, kiedy zdawało mi się, że dla braku gotówki cała nasza budowa stanie. Razu jednego, w takiej właśnie krytycznej sytuacji, melduję moim robotnikom na budowie w sobotę:

— Dziś ostatnia wypłata! Od poniedziałku stajemy z robotą!

— A to dlaczego? — rozlegają się pytające głosy z grona robotników — przecież materiału do dalszej budowy nie brak.

— Tak. Materiału mamy dość, ale niestety brak mi pieniędzy na wypłatę.

Moi robotnicy wołają: — My dla braku pieniędzy wstrzymywać tej budowy nie będziemy. Widzieliśmy dotąd, że jak tylko miałeś pieniądze, w każdą sobotę wypłacałeś nam bardzo sumiennie co do grosza. U ciebie żadnych potrąceń, ani obcinek z pieniędzy nie było. Tyś nie chciał nigdy krzywdy biednego robotnika... Toteż choć teraz nie masz pieniędzy, my od poniedziałku pracujemy na budowie dalej.

Łzy rzewne stanęły mi w oczach. Przed rozpoczęciem budowy ci sami ludzie nazywali mnie: « darmozjad!... pasibrzuch!... » Niedawno jeszcze o zdjęciu czapki na mój widok i o pochwaleniu przez nich Pana Boga nie było mowy... Po całej Gdyni rozeszła się daleko i szeroko wieść o moim życzliwym i sprawiedliwym odnoszeniu się do każdego robotnika; ich stosunek do mnie zmienił się radykalnie.

Dzięki tej wielkiej życzliwości robotników i szczodrej ofiarności społeczeństwa gdyńskiego, budowa nasza posuwała się szybko. Od Nowego Roku 1937 zamieszkaliśmy już w 5 pokojach na niskim parterze pod kaplicą. Otwarcie kaplicy nastąpiło 1 lutego. Pierwszą Mszę św. odprawił w niej o. prowincjał. Balustradę żelazną do « Stołu Pańskiego » i na całą klatkę schodową w domu wykonał na swój koszt we własnej pracowni ślusarskiej p. Jan Skwiercz, Kaszub z ulicy Starowiejskiej. Piękny kielich gotycki, a później monstrancję ofiarowała najbogatsza Kaszubka w Gdyni — pani Agnieszka



7. Lublin — wnętrze kościoła św. Piotra, ul. Królewska



8. Łódź — parafia im. Jezus

Grubba. Mosiężny, artystyczny krzyż na ołtarz ufundowali pp. Fichtowie, tj. siostra i szwagier p. Agnieszki, mieszkający w Pogórzu za Chylonią. Dużą figurę Matki Bożej Niepokalanie Poczętej ofiarowała również p. Agnieszka Grubbówna.

*
* *

Gdy już kaplica nasza w Gdyni została otwarta, pewnego dnia na wiosnę dzwoni do mnie p. Zegarska, wdowa po znanym powszechnie na Wybrzeżu i cenionym bardzo dyrektorze prywatnego gimnazjum w Orłowie Morskim. Po śmierci męża prowadziła ona to gimnazjum dotąd sama, obecnie proponuje nam, jezuitom, dzierżawę tej uczelni. W odpowiedzi proszę ją, by zechciała poczekać parę dni, aż porozumiem się z o. prowincjałem. Jest znowu na wizytacji Kolegium Wileńskiego. Ekspresem poleconym przedstawiam mu całą sprawę i proszę o decyzję. W międzyczasie zasięgam poufnie opinii różnych życzliwych nam ludzi tu — na miejscu. Wszyscy są za otwarciem już teraz naszego gimnazjum. Nie dopuścimy, by ktoś nas uprzedził, zdobędziemy sobie tymczasem zaufanie rodziców i młodzieży, a po wykończeniu własnego gmachu, z całym warsztatem naukowym, przejdziemy z Orłowa w Działki Leśne. Trudności z dojazdem do gimnazjum w Orłowie nie będą wielkie, ponieważ do dyspozycji jest dużo pociągów i autobusów, a do stacji kolejowej w Gdyni i w Orłowie jest blisko. I te także szczegóły zreferowałem wiernie o. prowincjałowi. Wkrótce nadeszło jego polecenie telegraficzne « Zacząć pertraktacje »! Szły one nieraz bardzo trudno, gdyż p. Zegarska, podburzona skrycie przez różnych nieżyczliwych nam doradców, stawiała coraz to inne warunki. Toteż nic dziwnego, że o. prowincjał Sopuch zdenerwował się tym i nadesłał mi telegram: « Skończyć z tą babą — nie dogadamy się! » Urzędowo zakomunikowałem p. Zegarskiej polecenie o. prowincjała, a ubocznie przez znajomych namówiłem ją, by zaraz sama pojechała do o. prowincjała i zaczęła z nim pertraktacje na nowo. Pojechała do Warszawy — i dogadali się. Gimnazjum dra Zegarskiego w Orłowie od nowego roku szkolnego przechodzi w ręce jezuitów.

Tymczasem trzeba było przygotować mieszkania dla ca-

łego grona nauczycielskiego. Zaczęło się przeto spieszne wykańczanie i meblowanie całego naszego domu.

Największą moją satysfakcją było teraz zadowolenie o. prowincjała, że dom nasz jest tak duży. Poprzednio bowiem o. prowincjał, inspirowany przez różnych intrygantów, wyraził się parę razy, że nasz « dom przejściowy » w Gdyni jest stanowczo za wielki. A w rzeczywistości szkoda wielka, że nie był on jeszcze większy. Ostatecznie pomieszczenie należyte znalazło się dla wszystkich.

Z nowym rokiem szkolnym 1937 gimnazjum nasze w Gdyni — Orłowie otworzyło swe podwoje. W 1939 r. odbyła się w nim pierwsza nasza matura.

Rektorem kolegium i dyrektorem gimnazjum był o. Józef Konewecki, dotychczasowy profesor w Wilnie. Z wybuchem II wojny światowej wszyscy ojcowie gdyńscy, klerycy i bracia zostali przez Niemców uwięzieni i rozstrzelani. Prawdopodobnie spoczywają oni w lasach miejscowości Piasecznica za Wejherowem. Ja tej śmierci męczeńskiej uszedłem tylko dlatego, że po uruchomieniu i jednorocznym funkcjonowaniu naszego gimnazjum — w 1938 r. przełożeni wysłali mnie z Gdyni do Lwowa na tak zwaną « trzecią probację », a po niej o. prowincjał Emil Życzkowski mianował mnie prokuratorem prowincji, czyli głównym ekonomem przy boku o. prowincjała.

Podczas okupacji dom nasz gdyński i kaplica zostały zabrane przez Niemców, obrabowane doszczętnie i zamienione na « Szkołę Policji ».

Po skończonej wojnie ojcowie powrócili do Gdyni, ponaprawiali szkody powstałe wskutek działań wojennych, otworzyli kaplicę i gimnazjum w Orłowie. Nie prowadzili go jednak długo. Z wiadomych względów trzeba było zeń zrezygnować.

ks. Henryk Lubomirski SJ

BYŁEM NAUCZYCIELEM

Gdy prowincjał, o. Emil Życzkowski, którego przypadkiem spotkałem w Poznaniu, zapytał mnie, dlaczego nie jestem już w Gdyni, odparłem, że nie dotarł do mnie żaden jego list z dyspozycją dla mnie. Gdy dowiedziałem się, że już dawno pisał, abym jechał do Gdyni uczyć angielskiego, na łeb na szyję popędziłem do Krakowa po rzeczy i dalej na Lazurowy Brzeg. Jechało się wtenczas w otwartych, towarowych wagonach. W tłoku, ale wesoło, gawędziłem z innymi współpasażerami o tysiącu rzeczy: *de rebus omnibus et de quibusdam aliis*. Gnani korzystnymi wiatrami dojechaliśmy do Wejherowa. Tam wysiadłem na małą chwilę, aby napić się herbaty. Gdy wróciłem, pociąg był już w ruchu. Poczciwi współtowarzysze jazdy zaopiekowali się jednak moimi rzeczami. Nic nie zginęło. Do Gdyni jednak dojechałem z ośmiogodzinnym opóźnieniem. Była wtedy godzina 18.30 dnia 21 maja 1945 roku.

Przed naszym domem na Tatrzańskiej powitał mnie swoim marsowym głosem br. Rutkowski. Za chwilę byłem już w pokoju o. Zabdyra, z którym nie widziałem się lat cztery. W domu nie było jeszcze szyb. Okna pozabijano deskami. Naprzeciwko domu stała mała willa, zwana od o. Sebastiana Matczaka sebastianówką. Mieszkała w niej część naszej załogi. Wytrzymałem w niej do późnej jesieni tzn. do pierwszych mrozów. Wygoniło mnie stamtąd zimno. Sebastianówka bowiem nie posiadała ani ogrzewania, ani światła elektrycznego.

Nasze gimnazjum, założone w czasach prowincjalatu o. Sopucha przez o. Chrobaka, mieściło się w Orłowie o dwie stacje kolejowe od Gdyni. O. Chmura wykładał tam literaturę polską, o. Sawicki geografię, o. Kamiński historię o. Władysław Gądek łacinę, o. Zabdyr, rektor domu i zarazem dyrektor gimnazjum, fizykę, o. Poczobut łacinę (wespół z o. Gądkiem), o. Sebastian Matczak (oprócz o. Kamińskiego) historię, a wyżej podpisany język angielski.

O godzinie 8.00 zajeżdżał przed dom samochód-omnibus. Przy sterze siadywał br. Rutkowski i landara ruszała w kierunku Orłowa. Na tyle samochodu wypisałem kredą: *Pater mi! Pater mi! currus Israel et auriga eius.* O godz. 8.15 stawał wóz u bram gimnazjum.

W szkole nie uczyłem dotąd nigdy. Gdy jako student drugiego roku teologii wykładałem swoim współbraciom zakonnym historię Kościoła, miałem audytorium albo słuchające wykładu, albo spokojnie śpiące jakby nigdy nic. Teraz dopiero zrozumiałem, co znaczy pobożne życzenie wypowiedziane przyjacielowi przez greckiego mędrca: bodajże byś miał cudze dzieci uczyć! Chrześcijanie wstępujący na areny cyrków rzymskich, słysząc z daleka ryk i miauczenie lwów, przeżywać musieli to samo, co nauczyciel gimnazjalny, gdy wchodzi w drzwi klasy.

Moim nieszczęściem było to, że uczyłem obcego języka, a klasy w Orłowie były zbyt duże, liczyły zwyczajnie po 40 chłopców. Nauka zaś języka obcego wymaga podejścia indywidualnego. Nie potrzebuję mówić, co się działo w klasie, gdy ja koncentrowałem się na jednym uczniu. Skrzyżowanie Apokalipsy z dantejskim Inferno blady to tylko obraz rzeczywistości. Cuda się działy. Podobno tego doświadczył każdy nauczyciel. Największe urwisy najwierniejszą jednak pamięć zachowali dla nauczyciela i z wdzięcznością wspominali lata, gdy « uczyli się » w naszych szkołach. W roku 1955 idę ulicą Rakowiecką w Warszawie. Nagle na ramieniu czuję rękę. Oglądam się. Stoi za mną drab 2 metry 10 i prawie ze łzami w oczach ubolewa, że go nie poznaję. Po chwili, gdy się przedstawił, przypomniałem go sobie. Przez cały prawie rok « uczył się » angielskiego — na korytarzu. Musiałem go wyrzucać z klasy codziennie.

Gdyby nie pomoc, przyjaźń, dyrektywy i zachętę o. Zabdyra, nie podołałbym zadaniu. Przez cały ten czas on mnie mobilizował i bronił przed całkowitym zniechęceniem.

O godz. 15 landara wyruszała z powrotem do Gdyni. Wiozła na pokładzie « corpus profesorski » beze mnie jednak. Ja wracałem lasami, pieszo.

Szarzyznę dnia codziennego rozpromieniały ceremonie rozpoczęcia i zakończenia roku szkolnego, imieniny dyrektora gimnazjum, święta patronów naszego zakonu. Wszystkie te

uroczystości odbywały się w gimnazjum w Orłowie z największą okazałością. Zawsze urządzano w tych dniach akademie z mową wiązaną i wolną oraz dużymi partiami śpiewu.

W ciągu zimy przybył do nas jeszcze o. Machnicki, aby uczyć w naszym gimnazjum matematyki.

Na wiosnę 1946 r. przyjechał na wizytację do Gdyni o. prowincjał Elter. Oznajmił mi, że zostanę przeniesiony do Starejwsi, aby uczyć na teologii, historii Kościoła. Tak to po roku skończyłem karierę nauczyciela w szkole średniej. To, że nadzwyczaj mile wspominam zawsze ten niełatwy dla mnie okres życia, zawdzięczam o. Zabdyrowi, jego wyrozumiałej cierpliwości i stałej pomocy.

MISJE LUDOWE

Pisze św. Łukasz o apostołach, że obchodzili wioski i miasteczka głosząc wszystkim Dobrą Nowinę. To samo można powiedzieć o misjonarzach ludowych. Największym ich dziełem jest tzw. misja Serca Jezusowego. Rozpoczęła się ona w listopadzie 1962 r. w diecezji gorzowskiej. W każdej parafii przeprowadzono tygodniowe rekolekcje, których zadaniem było odnowienie wiary i obyczajów rodziny polskiej i przygotowanie jej do poświęcenia się Jezusowemu Sercu. Zadanie to było niełatwe. Z tygodnia na tydzień głoszono nauki misyjne równocześnie w 7 parafiach. Parafie na Ziemiach Odzyskanych były wówczas bardzo obszerne i posiadały po kilka kościołów filialnych. Potrzebny był więc do tej akcji duży zespół ludzi.

Po diecezji gorzowskiej podjęto podobne prace kolejno w diecezjach: olsztyńskiej, łódzkiej, gdańskiej, włocławskiej, chełmińskiej i płockiej. W dziesięcioleciu 1962-1971 przeprowadzono 1855 serii rekolekcyjno-misyjnych i wygłoszono na nich 71.224 nauk.

Sylwetka o. Stanisława Urbana, misjonarza od 1916 r. do 1948 r. oraz fragmenty z zapisków o. Czesława Białka zobrazują życie i działalność misjonarzy ludowych przed wojną i obecnie.

ks. Franciszek Domański SJ

SIEWCA SŁOWA BOŻEGO

Może ktoś kiedy zdobędzie się na dokładny i pełniejszy życiorys tego zasłużonego misjonarza. Tymczasem, w myśl o. Marcina Dominika, *trza bić w krzyże, póki świże.* Zatem należy przywołać z pamięci te fragmenty życia o. Urbana, które w ciągu kilku lat misjonarskiej z nim pracy w Polsce wytworzyły w mej wyobraźni i pamięci jaką taką mozaikę zapamiętanych jego powiedzeń, gestów, sposobu prowadzenia misji i głoszenia kazań, budujących przykładów i pięknych znamion jego charakteru.

Wychodząc z założenia, że wspomnienia o naszych zmarłych powinny przedstawiać konkretny obraz z ich życia, podaję fragmentarycznie wprawdzie, ale konkretnie te fakty, które o. Urbana odzwierciedlają takim, jakiego znałem w czasie dawania misji.

W obawie, by mię ktoś źle nie zrozumiał i niepotrzebnie nie dopatrywał się w niniejszym opisie braku uszanowania dla tego długoletniego misjonarza, podkreślam z naciskiem, że życie misjonarzy ludowych w Polsce było bardzo podobne do życia i przyjacielskiego zżywania się żołnierzy na froncie w czasie wojny. Ustawiczne bowiem podróże, wspólna dola i niedola, ciężka praca, wzajemne wyręczanie się i pomaganie sobie, wspólne troski i kłopoty tak zbliżają do siebie misjonarzy, iż nie ma między nimi « moje », « twoje », ale « nasze ». Nie ma tam na ambonie « ja », ale zawsze « my ». O. Dominik strasznie nie lubił, gdy któryś z misjonarzy na ambonie używał « ja ». Sam zaś bądź to przy ogłoszeniach, bądź w kazaniach zawsze używał zaimka osobowego w liczbie mnogiej — « my », lub: « ojcowie misjonarze ».

Częste ze sobą obcowanie i konieczność wzajemnej pomocy wytwarzały koleżeństwo i szczerą przyjaźń nawet wśród nierównych wiekiem i doświadczeniem misjonarzy. Mieli oni swoje lapidarne wyrażenia, swoistą gwarę misjonarską, mieli swój własny słownik.

Z ojcem Stanisławem Urbanem dawałem misje od 1935-1938 r., oczywiście z przerwami, według tego, jak o. Dominik, a potem o. Sopuch, superiorzy misji, zadecydowali. Raz więc byłem z o. Dominikiem, innym razem z o. Urbanem, albo o. Chrobakiem i o. Kurdzielem; do wielkich zaś misji — zwłaszcza w W. Poście — po trzech nas sprzęgano. Na małych zaś parafijkach orało się w pojedynkę.

Ponieważ w Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej w ostatnich latach przedwojennych było zaledwie czterech stałych misjonarzy (Dominik, Urban, Chrobak, Domański), a zaproszeń na misje tygodniowe i dwutygodniowe bywało ponad sto rocznie, wskutek tego superior misji był zmuszony starać się o niektórych ojców operariuszów, jak o ojca Wantuchowskiego, o. Kurdziela czy innych. Bywało, że dawaliśmy po 10 misji bez przerwy. Wracało się z takiej harówki zmarnowanym, zdenerwowanym i ledwie żywym. Sytuacja pogorszyła się, gdy o. Dominik zachorował na zapalenie nerwów obwodowych i wyprzągł już z misji zupełnie.

O. Urban był prawdziwie łatwy i miły w pożyciu. Był to verus Izraelita, w którym nie było zdrady. Można by go określić, jako chodzącą prostotę, niewinną jowialność, czasem prostoduszność.

Na misje zjeżdżaliśmy się z różnych stron. O. Urban z Kalisza, ja z Warszawy, ale najczęściej z jednej misji na drugą nadciągaliśmy z zapadłych wiosek, lub miasteczek i miast. Zwyczajnie o. Urban był już na stanowisku przede mną. Skoro tylko na plebanii usłyszałem charakterystyczne pokaszliwanie, znak to był, że o. Urban już tam gospodarzył, już swój misjonarski kram rozkładał i szykował nauki misyjne.

Na powitanie wołał na mnie: « Franek, chodź dam ci cukierka! » Byłem wtedy jeszcze nowicjuszem w dawaniu misji. O. Urban, jako stary « gadacz » pytał mnie: « A które to nauki chciałbyś se wygłosić? » — A po kolei, po kolei Bartka w łeb. Co tam na mnie wypadnie, to wezmę. Wtedy o. Urban, odchrząkiwał i tłumaczył: « No widzisz no go. Patrzaj no sie. Do chłopów to jeszcze się nie bierz, bo masz mliko pod nosem. Stanową naukę do matek i mężatek to ja wezmę, bo widzisz, ja już gębę sobie wygadałem, zęby zjadłem, gardło zdarłem, a w piersiach już mi gra i piszczy od tego babskiego gadania, jak u dychawicznej szkapiny. Trzeba bo ci wiedzieć, jak do

żeńskiego rodzaju przemawiać, gdzie i kiedy uderzyć, żeby zbyt nie bolało, a kiedy użyć balsamu, żeby se trochę pochlipały. Najlepiej będzie tak, że ty Franek weźmiesz małych berbeciów, następnie stanową naukę do chłopaków, a do « świętych wdów i panien » to ja wezmę; naukę wstępną też ja wezmę, a ty mów o celu człowieka, tylko nie filozofuj, ale po prostu płachtę nazywaj płachtą, worek workiem, kłonicę kłonicą, bo te wszystkie rzeczy są na coś zrobione, a więc mają swój cel. Grzech ja będę młócił po swojemu, a ty też weź o grzechu, ale tak grabiami to, co ja wymłócę, przegarnij i katechizmowym objaśnieniem niby wiejadłem plewy od ziarna wydmuchaj. O przykazaniach boskich i kościelnych to se ta weź; o spowiedzi ja wezmę, bo tu trzeba młócić; o śmierci możesz mówić, boś widział śmierć, gdyś z bolszewikami walcował; młóckę o sądzie i piekle ja wezmę. O miłosierdziu Bożym i Sercu Pana Jezusa spróbuj. Nietrudny to temat. O wierze i Kościele możesz sobie teologicznie bujać, boś dopiero z igły. O krzyżu i wytrwaniu w dobrem, o Komunii św. ja wezmę, bo tu trzeba jeszcze raz niby bronami przejechać się po sumieniach. Duch Św. ziarna swej łaski nie rzuci na zoraną rolę, jeżeli się dobrze nie zabronuje i diabelskiego perzu nie wyrwie z korzeniami, ażeby usechł, by potem pastuchy miały czym palić przy krowach. Chociażeś młody i zdrowy, weź naukę do chorych. Misję za zmarłych ja wezmę. Do Matki Najśw. nabożeństwo i naukę poprowadź sam. Oto i wszystko. Zresztą, czego Franek nie dopowie, to Stach im z okładem dołoży po swojemu ».

Po takiej « parcelacji » nauk misyjnych toczyliśmy pogaduszki o tym, gdzie inni ojcowie misjonarze dają misje, dokąd i kiedy jeszcze razem pojedziemy, co słychać w prowincjach itd. Oczywiście, że nie obyło się bez pytania: « A może tam masz jaką dobrą książkę z kazaniami? Może byś pożyczył? Ja sobie to i owo odpiszę i oddam ». Takie samo pytanie stawiał o. Urban księżom na plebanii. Ojciec ten miał wielką słabość do książek kaznodziejskich. Mało czytał pism i dzieł o zagadnieniach bieżących, ale za to pasjami przepisywał stare kazania. Tego rodzaju skryptów, jak mi opowiadał, miał całe stosy i paczki. Kilka razy wspominał, żeby tak kto z naszych zechciał te jego skrypta poukładać i wydać. Jak się przekonałem, o. Urban prawie wcale nie korzystał na ambonie z tych

odpisywanych kazań, ale głosił słowo Boże to, które już tak przyrosło do jego pamięci, że było naprawdę jego. Korzystanie ze świeżo poczynionych wyciągów utrudniała mu słaba pamięć. Jednak to, co przez lata głosił, było rzeczowe, praktyczne i z wielką siłą przekonania i głosu oddane.

Głos miał bardzo silny, donośny tenor, ale ostry jak nóż. Kazanie wedle ustalonego zwyczaju przez starych misjonarzy zaczynał pieśnią. Ogromnie lubił intonować pieśń: *Boże w dobroci nigdy nie przebrany, żadnym językiem nie wypowiedziany*... Rano śpiewał z ludem *Kiedy ranne wstają zorze*, wieczorem *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. O. Dominik z zachwytem przysłuchiwał się śpiewaniu o. Urbana, zwłaszcza tej cudnej i rzewnej pieśni *Boże w dobroci*... Gdy bowiem o. Urban huknął, gdy wielotysięczna rzesza ludu jego ton podchwyciła, zdawało się, że wiekowe dęby i cieniste lipy przy kościele trzęsą się i chwieją, a echo tej pieśni nabożnej, odbijając się o pobliskie lasy, na całą Polskę niosło prawdę wiary o nieprzebranej dobroci Bożej... Mówiąc nawiasem, kazania misyjne z wyjątkiem zimy i słotnej jesieni głosiło się na placu przed kościołem. Albowiem nawet duże kościoły, mieszczące od 4-6 tysięcy ludzi, były na czas misji za małe. Cała bowiem okolica obejmująca kilka parafii, brała udział w misji.

Przed ostatnią wojną mikrofony i głośniki na ogół były w użyciu tylko tu i ówdzie po miastach. Natomiast po wioskach i miasteczkach do wyjątków należało przemawianie w kościele lub pod otwartym niebem przez mikrofon. Misjonarz, mając przed sobą morze głów ludzkich, musiał się liczyć z prawami akustyki, inaczej nawet najpotężniejszy głos i dobra wyrazistość słowa nie ogarnęłyby skutecznie całej przestrzeni. Dlatego to ambonę ustawiało się w najlepszym punkcie akustycznym na wprost ściany kościoła lub pobliskiego dużego budynku, a misjonarz tak swój głos kierował w stronę danej ściany, by się odpowiednio rozszczepiał i dochodził wszędzie ze zrozumieniem treści kazania.

Jednak o. Urban niewiele sobie robił z zasad akustyki, ale w wolnym tempie, wymawiając poszczególne słowa rozciągle i z wielkim natężeniem, « strzelał » na dużą odległość w przestrzeni i... « dostrzelał ». Nieraz jego donośny i ostry

głos słychać było dalej niż na kilometr. Jednak tylko niektóre słowa i wyrazy na taką odległość były zrozumiałe.

Pewnego razu o. Urban wpadł w czasie kazania w trans posuwistej i płynnej wymowy. Mówił jak burza, która i potężnymi drzewami trzęsie, a kruche i słabe druzgoce i łamie. Tak mocno gromił, tak lał i karcił grzeszników, tak swym jak miecz głosem siekł na wszystkie strony, że jakaś kobiecina w pobliżu ambony, zatkawszy sobie uszy, zaczęła krzyczeć: « Oj-joj nie wytsymom, oj nie wytsymom, oj nie wytsymom ».

Straszne dla prostych ludzi były jego kilkakrotnie, a mocno powtarzane te same słowa, hasła, przysłowia, lub teksty z Pisma św. I tak mówiąc o święceniu dni świętych i niedziel, kilkakrotnie raz za razem powtarzał: « Jakie twoje święta i niedziele, takie będzie w tym życiu wesele, takie i będą śmiertelne pościele ». Mówiąc o zbawieniu duszy, wołał siarczyście i w ciągu całego kazania powtarzał: « Ratuj duszę twoją! Ra-a-a-tuj duszę twoją! » W nauce o siódmym przykazaniu miał on ulubionego konika — refren, składający się tylko z jednego słowa: « Oddaj »! Słowem tym niby sękatym kijem, lub tęgą kłonicą tak ciągle wywijał, tak walił, iż odnosiło się wrażenie, jak gdyby złapał złodzieja na kradzieży i trzymając go za gardło za każdym łupnięciem tą kłonicą podnosił i potęgował głos i coraz przeraźliwiej wołał: « Oddaj! Oddaj! Oddaj! » Skoro już zdawało się, że skuszonego złodzieja puścił grożąc mu na zakończenie palcem, upominał: « Tak długo grzech nie będzie odpuszczony, jak długo wziątek nie będzie oddany! A więc oddaj, oddaj, oddaj, coś ukradł! ».

Innej kadencji głosowej nie używał, jak tylko tej: do góry i na dół, do góry i na dół. Słuchając go z dalszej odległości, miało się wrażenie, że w jakiejś stodole młócą cepami zboże. łup, łup, łup, łu-u-u-p! Gest miał tylko jeden. Wykonywał go równocześnie obydwiema rękami w ten sposób, że obie garści (jakby w nich coś trzymał) podnosił do wysokości swej głowy, następnie gwałtownie spuszczał je coraz szerzej w dół. Następnie jeszcze raz krótkim i szybkim ruchem poprawiał ten gest z małym podniesieniem rąk wszerz, powtarzając go raz lub dwa razy. Było to bardzo podobne do szycia dratwą obuwia. Nieraz przekomarzaliśmy się z tego powodu. O. Urban

śmiejąc się z moich gestów, pytał: « ile też gwoździ wbiłeś młotkiem ludziom do głowy w czasie kazania? » A ja mu nawzajem: « A ile par butów uszył dziś ojciec w czasie swoich kazań? ».

O. Urbanowi przypisują rozbicie statuy św. Michała Archanioła. Zdarzenie to miało mieć miejsce w jakimś starym, małym kościele w czasie misji. Tuż przy samej ambonie z boku, od niepamiętnych czasów stała sobie statua przedstawiająca św. Michała Archanioła z trąbą zwołującą zmarłych na sąd ostateczny. Widocznie statua ta była bardzo brzydka, kiedy każdy proboszcz chciał ją stamtąd usunąć, ale sprzeciwiali się temu ludzie. Podobno o. Urban w czasie misyjnego kazania tak mocno grzmotnął swym gestem w trąbę świętego Michała, że cała figura runęła z postumentu na kościół i rozbiła się w kawałki. Ojcu Urbanowi to uszło. Ludzie nie protestowali. Wszak o nim to chłopi mawiali: « Ale ten misjonorz mo gwarę, mo! A głos, jak święty Michał! »

Jakkolwiek niepowołani krytycy twierdzili, że kazania o. Urbana nie odpowiadały umysłowości i usposobieniu współczesnych ludzi, że nie były na poziomie itd., to jednak jest pewne, że jego kazania misyjne czyniły na ludziach wielkie wrażenie. Kruszyły bowiem sumienia, były przepojone głęboką wiarą i wielką siłą przekonania. Jego proste, niewyszukane słowa potężnym głosem rzucane w rzesze wiernych miały ostrość tego Bożego miecza, o którym św. Paweł Apostoł mówi: *Bo żywa jest mowa Boża i skuteczna aż do oddzielenia duszy i ducha, stawów też i szpiku, i rozsądzająca myśli i zamiary serca.*

W swojej pokorze o. Urban mawiał, że jest tą oślą szczęką w rękach Samsona Nowego Testamentu, tj. Chrystusa. Jeżeli takim marnym i pogardzanym gnatem — mawiał — Samson tylu nieprzyjaciół położył trupem, to iluż nieprzyjaciół może powalić Chrystus, mając w swym ręku mnie, starego gnata?

Do ogólnej charakterystyki o. Urbana jako misjonarza należy dodać, że był on niezmordowany w dawaniu misji i niezwykle pracowity. Ambona i konfesjonał to jego przeszło czterdziestoletni żywot kapłański, to jego trzydziestoletnia orka misjonarska w całej Polsce. W liście z dnia 28 sierpnia 1946 r. pisał do mnie z Kalisza: *Jeszcze jestem przy misjach, ale trzeba wyprzęgać, bo siły już nie dopisują i pamięć tępieje,*

a dziś trzeba pójść raźno i w tempie przyspieszonym. W liście zaś z dnia 18 grudnia 1947 r. pisał z Piotrkowa: *Ja jeszcze od czasu do czasu wyjeżdżam na prace, by nie zapomnieć języka w gębie, ale artretyzm już się chwyta rąk i ramion. Trudno się dźwigać w górę, a nawet kożucha wdziać. Prace dziś są mozolne, by dostać się na zamówione miejsce trzeba męki przejść, gdyż pociągi strasznie przepełnione, nawet stojące miejsca trzeba przebojem zdobywać.*

Nie mając pod ręką jego zapisków, nie wiem, ile setek dał misji, ile setek tysięcy wysłuchał spowiedzi, ile tysięcy wygłosił kazań. Lecz jest to rzecz drugorzędna. Pan Bóg bowiem mu wszystko policzył, i liczbę misji, i liczbę nawróconych grzeszników w czasie misji i kiedy indziej, i te rzesze dusz nieśmiertelnych, które dzięki jego apostolskiej gorliwości osiągnęły wieczne zbawienie.

Długie lata gnębiła go choroba wątroby i nerek. Jednak mimo nieraz strasznych boleści w czasie misji nie okazywał tego na zewnątrz, lecz trwał na posterunku i w niczym się nie oszczędzał. Prócz tego cierpiał na zastarzały bronchit. Misje w porze zimowej, przedwiosennej i późną jesienią należały w Polsce do ciężkich, przykrych i niebezpiecznych dla zdrowia. Nawet bardzo silni i zdrowi misjonarze w takich warunkach zapadali na różne przykre choroby. Często chorowali chodząco, bo nie było czasu na leżenie i kurację.

Pamiętam jak w marcu 1936 r. w czasie misji w Stoczku Łukowskim na Podlasiu obydwaj z o. Urbanem zachorowaliśmy na grypę. Misja była w pełnym rozmachu. Olbrzymi gotycki kościół mieszczący 7000 ludzi był nabity po brzegi. Parafia liczyła 13000 dusz. Spowiedzi bez końca. Na szczęście okoliczni księża pomogli spowiadać. Spowiadaliśmy w prowizorycznych konfesjonałach, poustawianych po kościele. Natłok był taki, że mój konfesjonał połamano. Ledwie wydobyłem się spod łamiących się desek! O. Urban przemógł gorączkę, a jego przykład niepoddawania się chorobie i mnie pomógł ją przemóc. I tak za łaską Bożą odnieśliśmy zwycięstwo duchowe tam, gdzie generał Dwernicki niegdyś odniósł zwycięstwo nad Moskwą.

Pogodę ducha, wesołe usposobienie zachował o. Urban, mimo dokuczliwej choroby, która przynajmniej w ciągu 18 lat gryzła go i była dlań krzyżem.

Odszedł do wieczności niestrudzony Boży oracz, żniwiarz i młockarz. Przeorał on dusze polskiego ludu w takiej mierze i w takiej liczbie, jak rzadko który z naszych misjonarzy w Polsce. Napracował się ponad siły. W owocach swej misjonarskiej pracy przerósł niejednego, któremu Pan Bóg dał o wiele więcej talentów. W głoszeniu słowa Bożego był tak śmiały i bezkompromisowy, że bez przesady i cienia złośliwości w najlepszym znaczeniu zasługuje na miano młockarza.

Po raz ostatni słyszałem ulubione śpiewanie o. Urbana z ambony *Boże w dobroci*... w Wielkiem Czystem na Pomorzu, diecezji chełmińskiej. Po raz ostatni słyszałem, jak z polskim ludem śpiewał *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Głos jego czysty, donośny wybijał się ponad tysiące głosów rozśpiewanego ludu. Modlitewny śpiew, wyrażając nadzieję zbawienia wiecznego, do tronu Bożego zanosił...

A gdy już niebo posiędziem,
Tobie wspólnie śpiewać będziem:
Boże w Trójcy niepojęty!
Święty na wiek wieków Święty!

ks. Czesław Białek SJ

ZAPISKI Z PRAC REKOLEKCYJNYCH

Parafia Brzezie, 12.11—17.11.1962

W pierwszym tygodniu misji Serca Jezusowego na terenie diecezji gorzowskiej nie mogłem uczestniczyć z powodu grypy. Wyruszyłem do pracy dopiero w sobotę, 11 listopada.

Wysiadam wieczorem na stacji. Czeka na mnie samochód. Jest w nim już o. Maciejewski. Pogoda marna. Bez przerwy leje deszcz. Jedziemy do Brzezia. Ks. proboszcza nie ma. Wyjechał do Niemiec Zachodnich. Gospodarzem parafii aktualnie jest ksiądz wikary. Nie mieszka on na plebanii, tylko u jednego z parafian.

W parafii, w której mieliśmy głosić słowo miłości, panowało wielkie oburzenie na proboszcza-Niemca. Według relacji parafian ubliżał im odzywając się do nich « ty polska szwinia »; bił kobiety i dzieci; był nielitościwy w ściąganiu zwyczajowych opłat. Do biednej kobiety z PGR-u, której umarł mąż, gdy go prosiła, aby z zapłatą za pogrzeb zaczekał do pierwszego, powiedział: « nie masz pieniądza, idź do Żyda do bóżnica ». Za czasów niemieckich był hitlerowcem, po wojnie został na Ziemiach Odzyskanych i stał się tzw. « księdzem-patriotą ». Kazań nie mówił. Katechizację zaniedbywał. U pierwszej Komunii św. bywały dzieci z klas VI i VII. Na plebani rządziła gospodyni, typ bardzo nieciekawy.

W czasie misji parafianie okazywali nam dużo życzliwej pomocy. W urzędzie gminnym przepisywano na maszynie akty ofiarowania rodzin Sercu Jezusowemu; nauczycielki ustalały ze mną, których z ministrantów zwalniać na przedpołudniowe nabożeństwa; na nauki wieczorne zespół nauczycielski przychodził w komplecie i zasiadał przykładnie w pierwszych ławkach; do kościoła filialnego dowoził mnie samochodem kierownik miejscowego POM-u, a kiedy był bardzo zajęty zastępował go szwagier — milicjant.

Większość w parafii stanowią greko-katolicy. Osobnych nabożeństw dla unitów nie robiliśmy jednak. Chodzili do kościoła razem z katolikami obrządku łacińskiego.

Praca była trudna. We dwóch ciągnęliśmy rekolekcje w czterech kościołach. Biorąc pod uwagę stosunki w parafii, odległości od kościołów, fatalną pogodę, praca poszła dobrze. Według naszych, dokładnych obliczeń, w parafii liczącej 5000 w rekolekcjach wzięło udział ok. 1900 osób. Do spowiedzi przystąpiło ok. 1200. Było dużo spowiedzi « jubileuszowych ». Komunii św. rozdaliśmy ponad 1700.

Uroczystość poświęcenia parafii Sercu Jezusowemu przeżyli ludzie głęboko, a wzruszające przemówienie pożegnalne ks. wikarego wycisnęło z oczu wiele łez.

Parafia Kostkowo, 2.12—7.12.1962

Do parafii Kostkowo miałem przybyć bezpośrednio z Budowa, aby z ojcami Furmanikiem i Szamburskim przeprowadzić rekolekcje intronizacyjne w kościele centralnym i w dwu filiach. W kościele w Kostkowie mieliśmy zacząć misję Mszą św. o północy z soboty na niedzielę.

Rekolekcje w kościele filialnym w parafii Budowo kończyły się w sobotę wieczorem. Po zakończonym nabożeństwie wsiedliśmy z księdzem proboszczem do jego rozklekotanego samochodu i jak się dało najszybciej popędziliśmy w kierunku Słupska, aby złapać pociąg do Wejherowa. Po drodze o mały włos mielibyśmy zderzenie z pijanym motocyklistą, który jechał całą szerokością szosy od rowu do rowu. Na stację wpadliśmy w momencie, gdy pociąg już ruszał. Udało mi się jednak wskoczyć. Przyjechałem do Wejherowa krótko przed godz. 23. Do Kostkowa miałem jeszcze dwadzieścia kilka kilometrów. Liczyłem, że złapię na dworcu jakąś taksówkę. Czekałem jednak daremnie. Nikt nie nadjeżdżał. Zakręcił się tylko koło mnie jakiś pijaczyna. Nie mając nikogo innego pod ręką jemu zwierzyłem się z mojego kłopotu. Obiecał pomoc. Okazało się, że postój taksówek był na rynku odległym od stacji ponad 2 km. Przy postoju był jednak telefon. Poszliśmy więc na dworzec do automatu. Ów pijaczyna usiłował wykręcić numer, ale szło mu to trudno. Nie mógł palcem

trafić w otwory przy cyfrach. Wreszcie otrzymał połączenie, ale nikt się nie zgłaszał. Znowu wyszliśmy przed dworzec. Tutaj zobaczyłem milicjanta, który prowadził innego pijaka. Podszedłem do niego i opowiedziałem o swoim kłopocie: że muszę dojechać na rekolekcje do Kostkowa i to przed północą. Obiecał, że zaraz zadzwoni po taksówkę i sprawa będzie załatwiona. Stoję znowu jakiś czas przed dworcem, ale żadnego samochodu nie widać. Decyduję się pójść w kierunku rynku. Może tam coś złapię. Pijaczyna ofiarnie mi towarzyszy. Przechodzimy po drodze obok komisariatu milicji. Z jego bramy wyjechał właśnie jakiś samochód i powoli ruszył za nami. Obejrzałem się. Uszliśmy znowu kawałek. W pewnym momencie samochód podjechał do nas i zatrzymał się. Wyskoczył z niego ów milicjant, z którym rozmawiałem na dworcu. Jest samochód do Kostkowa — oświadczył. Podziękowałem mu serdecznie. Przy kierownicy siedział inny milicjant. Zdjął tylko czapkę z głowy żeby nie rzucało się w oczy, że milicjant wiezie księdza. Wsiadłem pośpiesznie do samochodu i milicjant dał gazu. Błyskawicznie znaleźliśmy się w Kostkowie u stóp wzgórza, na którym stał kościół. Była za parę minut północ.

W Kostkowie zastałem o. Furmanika. O. Szamburski już wcześniej wyruszył na filię do Gniewina. Chociaż byłem wyznaczony na kierownika misji, zaproponowałem o. Ludwikowi, aby pozostał w Kostkowie. Sam postanowiłem ruszyć na filię do Salina. Lubiłem buszować po PGR-ach.

Na Mszy św. o północy pierwsze kazanie wygłosił o. Furmanik. Ja wygłosiłem drugie. Okazało się, że o. Furmanik urzędował na ambonie już od godz. 18 w sobotę. Od soboty wieczorem do niedzieli wieczór przemawiał dwadzieścia razy. Czynił wszystko chętnie i pogodnie. W każdej pracy był niezawodny.

Parafia Wytowno, 16.12—19.12.1962

Do parafii Wytowno wyznaczony zostałem razem z ojcem Frączkowskim, który był kierownikiem misji. Przyjął nas bardzo serdecznie młody ksiądz proboszcz, który jak się okazało, pochodził z Warszawy i był synem oficera, a sam jako

młody chłopak brał udział w Powstaniu Warszawskim w charakterze łącznika. Uprzednio nie było przewidziane, żeby filia w Rowach miała osobne rekolekcje. Ale już po przyjeździe zdecydowaliśmy, że ze względu na dużą odległość (19 km) i zobojętnienie tamtejszych mieszkańców, trzeba zrobić tam osobne rekolekcje, bo inaczej przyjedzie z Rowów najwyżej kilka osób i to najgorliwszych parafian. Dojeżdżaliśmy z księdzem proboszczem codziennie przez cztery dni przed południem. Te dojazdy były ciężkie, bo właśnie w tym czasie zaczęła srożyć się zima. Pierwszego dnia pojechaliśmy motorem, ślizgając się po szosie i rozstawiając szeroko nogi, żeby uniknąć groźnego upadku. Potem przeszliśmy na dojazd wozem, a wreszcie, kiedy spadły obfitsze śniegi, sankami. Ponieważ miałem na sobie tylko jesionkę, ksiądz proboszcz wyciągnął skądś stary kożuch. Był on jednak na mnie przyciasny. Codziennie więc razem z o. Zbysiem Frączkowskim siłą na mnie ten kożuch wciągali. Potem przewiązywali mnie rzemieniem, na głowę wsadzali czapczysko i tak « wystrojony » wędrowałem do Rowów. Urzędować trzeba było tam w lodowatym kościółku. W czasie tych dojazdów bardzo silnie się przeziębiłem. Pod koniec pobytu w Wytownie musiałem nawet jeden dzień przeleżeć.

Filia Rowy była osadą rybacką (ok. 40 rodzin), pod względem religijnym dosyć zobojętniałą. W czasie rekolekcji przewinęło się na naukach stanowych około 15 mężczyzn, 30 niewiast i 45 dzieci. Dzieci przychodziły prawie wszystkie (poza kilkorgiem anormalnych z pijackiej rodziny). Wielu rybaków przed południem wypływało na morze, a nie można było zostawać na wieczór, bo potrzebna była pomoc w kościele centralnym. W Rowach wygłosiłem 10 nauk. Do spowiedzi przystąpiło 61 osób.

Była jednak w tej osadzie wzorowa młoda rodzina: mąż rybak, żona i chyba czworo małych dzieci. Ów mężczyzna opiekował się kościołem, nie opuszczał nigdy niedzielnej Mszy św., był na każdej nauce rekolekcyjnej. Zapraszał mnie i proboszcza w czasie rekolekcji na obiad. Innym rybakom żal było tracić każdego połowu, więc wypływali na morze w czasie rekolekcji, a nawet w dnie świąteczne. Rozmawiałem z nim na ten temat. Powiedział mi, że chociaż nigdy nie wyjeżdża na połów w święta ani w rekolekcje — to kiedy sporządzają

roczne obrachunki w spółce rybackiej okazuje się, że z całej osady on ma największe zyski. Wierzy głęboko w Opatrzność Bożą, bo Bóg nie da się w hojności prześcignąć. Miło było spotkać taką przykładną katolicką rodzinę.

W samym Wytownie działał głównie o. Frączkowski, a ja mu pomagałem wieczorami. Pewnego dnia, o bardzo późnej porze, jedna z miejscowych nauczycielek powiadomiła nas, że umiera pewien człowiek, znany wróg Kościoła i gorszyciel. O. Frączkowski zaraz wybrał się do niego. Zastał w mieszkaniu gromadę ludzi. Wprowadzono go do pokoju, gdzie leżał umierający. Chorował na raka. Był zupełnie przytomny, ale od kilku dni nie mógł już przyjmować żadnego pokarmu. Popatrzył ze zdumieniem na misjonarza i odezwał się: co ksiądz do mnie, do podpalacza? Tak, do pana. Z Panem Jezusem? Tak, z Jezusem Chrystusem. Żeby mi przebaczyć, abym nie poszedł do piekła? Tak jest. Po chwili rozpoczęła się spowiedź, która trwała dosyć długo. Otrzymał rozgrzeszenie, ale Komunii św. nie mógł przyjąć, bo raz po raz męczyły go torsje. Na drugi dzień, o godzinie 6 rano dano znać o. Frączkowskiemu, że ów człowiek prosi o Komunię św., bo poczuł się lepiej. Wieczorem po odejściu misjonarza, torsje ustały i mógł nawet spożyć trochę posiłku. Kiedy kapłan przyszedł z Panem Jezusem zastał umierającego z rozjaśnionym obliczem. W momencie, kiedy wyjął Komunię św., ten poprosił, aby kapłan chwileczkę zaczekał: rozpoczął swojego rodzaju dialog z Chrystusem, który trwał dobrych kilka minut. Mówił: Panie Jezu Chryste, ja odciągałem ludzi od Ciebie, a Ty dzisiaj przychodzisz do mnie w ostatnich chwilach mego życia, aby darować mi ciężkie grzechy i występki, żeby ratować mnie od potępienia wiecznego. Jakiś Ty dobry Jezu Chryste... A potem z wielkim wzruszeniem przyjął Jezusa Chrystusa w Komunii św.

Parafia Żydowo, 13.1—18.1.1963

Rekolekcje w Żydowie wypadły nie tylko w okresie silnych mrozów dochodzących do -30°C, ale i w czasie straszliwych zawiei śnieżnych. Groźna zima wielu parafianom uniemożliwiła udział w rekolekcjach. Zaspy śnieżne sięgały po

piersi. Szereg osad było zupełnie odciętych od kościoła. Autobusy nie kursowały zupełnie. Ale pomimo to w ostatni dzień rekolekcji niektóre rodziny dobrnęły do kościoła z wiosek odległych o 5, 6 i 7 km.

W parafii najtrudniejszym ośrodkiem było samo Żydowo. Spustoszenie czyniło tutaj pijaństwo. Duża część ludzi nie chodziła do kościoła prawie wcale.

Umówiliśmy się z o. Kawskim, że pierwsze cztery dni on sam pozostanie w Żydowie, a ja powędruję na filię do Drzewian. I tutaj, jak i w Żydowie, na skutek zamieci dwie wioski były zupełnie odcięte od kościoła. Drzewiany są jednak gorliwsze od Żydowa. 60% mieszkańców stanowią tutaj unici. Trzeba przyznać, że ci ostatni chodzą nieraz lepiej do kościoła od katolików rzymskich.

Parafianie z Drzewian do Kościoła są bardzo przywiązani i w czasie nabożeństw pięknie śpiewają. Znają wiele pieśni. Pochwaliłem ich za ten piękny śpiew. Uradowani tym rozpoczynali śpiewać na pół godziny przed nabożeństwem, a kończyli również jakieś pół godziny po nabożeństwie.

Warunki pracy w Drzewianach były bardzo ciężkie. Przez trzy dni pozostawałem całkowicie odcięty od świata. Ksiądz proboszcz, który obiecał zaglądać do mnie każdego dnia, dotarł dopiero w ostatnim dniu. W międzyczasie zabrakło mi wina mszalnego. Dopiero wierni, którzy przez burzę śnieżną musieli przedzierać się z pogrzebem przynieśli mi wino i wieczorem mogłem odprawić Mszę św. Ciężko mi było chodzić kilkaset metrów z miejsca zamieszkania do kościoła. Trzeba było brnąć przez zaspy. Ofiarni parafianie, widząc moją udrękę, przekopali tunel. Ponieważ nie miałem żadnej pomocy musiałem sam odprawiać wszystkie nabożeństwa i w olbrzymiej większości wyspowiadać wiernych. We wtorek trzeba było odsiedzieć w kościele przeszło osiem godzin, w środę dziesięć. Mrozy były tęgie, a kościół nieopalany. Umęczyłem się solidnie, aż trochę krwią plułem. Opieka na kwaterze była jednak bardzo serdeczna i cieszyłem się, że mimo trudności można było coś zdziałać ku chwale Bożej.

Parafia Gościno 9.2—15.2.1963 r.

Dużą przeszkodą, obok oziębłości wielu parafian, było to, że z powodu wielkich zasp śnieżnych zasypane były drogi

i szosy. Mimo przekopywania wiatr na nowo nawiewał śnieg. Wskutek tego prawie 1/3 parafian miała uniemożliwione albo bardzo utrudnione dochodzenie do kościoła. Zaspy sięgały piersi. Niektóre ofiarne osoby, przedzierając się przez te zaspy — zaziębiły się i rozchorowały. Dopiero pod koniec rekolekcji przetarto niektóre drogi. Dwie wsie (ok. 85 rodzin) były zamknięte z racji pryszczycy. Jednak trochę osób z tych wsi przyszło.

Smutnym zjawiskiem było to, że ok. 40% dzieci nie chodziło wcale — albo bardzo rzadko — na naukę religii. Dużo dzieci na Mszę św. uczęszczało nieregularnie. W dzień rozpoczęcia rekolekcji intronizacyjnych, w niedzielę, ok. 150 dzieci poszło do kina na godzinę 10, opuszczając Mszę św. Początkowo frekwencja była słaba i rano przychodziło ok. 100 osób, dzieci maksymalnie ok. 350, wieczorem starszych ok. 350 (nauka stanowa matek — 204, ojców — 160, młodzież — 140). Dopiero w czwartek (nabożeństwo przebłagalne) kościół wypełnił się. Ostatecznie spośród 2.010 wiernych zobowiązanych do spowiedzi św., przesunęło się przez rekolekcje ok. 1.350 osób. W czasie nabożeństwa za zmarłych tylko 50 rodzin oddało kartki z wypominkami. W piątek rano było na Mszy św. ok. 200 osób starszych i dzieci. Wieczorem na zakończenie kościół był wypełniony tak, że było ponad 1.000 osób. Zakończenie wypadło ładnie: uroczysta Msza św. śpiewana, nabożeństwo do Serca Jezusowego, dwie nauki, procesja itd. Ołtarz był pięknie udekorowany przez księży, proboszcza i wikarego.

Pocieszający był fakt, że z całej parafii zgłosiło się do legalizacji 11 małżeństw (w czasie nawiedzenia Obrazu Matki Bożej - 9). Możliwych do legalizacji małżeństw zostało jeszcze 9. Frekwencja do spowiedzi wyniosła ok. 45%. Komunii św. rozdaliśmy 1.686.

W czasie rekolekcji kilka razy przyjeżdżała milicja i Służba Bezpieczeństwa, która parę moich kazań nagrała na taśmę. Przed samym nabożeństwem zakończeniowym pewien życzliwy milicjant dał znać, że przyjechało czterech milicjantów i kilku funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Wiedząc na pewno, że są w kościele, kiedy w przemówieniu końcowym żegnałem duchowieństwo i parafię, przemówiłem również i do nich, którzy przyjechali tutaj nie w dobrym celu, ale po

to by podsłuchiwać misjonarza. Wezwałem serdecznie wszystkich wiernych, żeby pomodlili się w intencji, aby oczy ich otworzyły się na Prawdę. Nawiasem mówiąc, nieraz zdarzało się, że przemawiałem do tzw. « braci podłączonych ». Kiedyś, gdy byłem na rekolekcjach w jednej z parafii w diecezji warmińskiej, przed nabożeństwem rozpoczynającym rekolekcje przybiegło do zakrystii kilku parafian i uprzedzili mnie, że wśród obecnych jest funkcjonariusz z komendy wojewódzkiej MO. Pokazali mi nawet miejsce gdzie on stoi. Witając parafian i księdza proboszcza zwróciłem się również z przemówieniem do niego. Nie wytrzymał nerwowo i zaraz, rozpychając ludzi, wyskoczył z kościoła.

Parafia Barwice, dekanat Szczecinek, 26.5—28.5.1963

Na misje do Barwic przyjechało nas czterech. Było tam bowiem kilka kościołów filialnych. Jadąc wcześnie rano w niedzielę pociągiem z Grzmiącej, napotkałem grupkę młodzieży. Dowiedziałem się, że w Barwicach zapowiedziana jest po południu huczna zabawa. Część dzieci i młodzieży wywieziono już wcześniej na wycieczkę. Wszystko było zbyt grubymi nićmi szyte, aby nie rozpoznać w tym celowego działania. Głosząc więc przedpołudniowe nauki stawiałem sprawę jasno: zabawa ma za zadanie rozbicie pracy rekolekcyjnej i żaden uczciwy katolik nie może w niej wziąć udziału. Poskutkowało. O godz. 14 przyjechała zamówiona orkiestra, ale na zabawę zjawił się jedynie sekretarz partii z żoną.

Od poniedziałku rozpocząłem pracę w kościele filialnym w Polnym. Rekolekcje trwały tam tylko trzy dni. Zamieszkałem u miejscowego sołtysa. Mimo krótkiego pobytu dogadaliśmy się z miejscową ludnością. Spośród 221 mieszkańców w Polnym nie przyszło na rekolekcje 7 mężczyzn, 4 kobiety i 3 dzieci. Młodzież stawiła się w komplecie. Akcję doprowadzania kawalerów do sakramentów świętych prowadziły dziewczyny. Któregoś dnia zwróciła się do mnie siostra sołtysa z zapytaniem, czy może przyjść do spowiedzi jeden chłopak, który już cztery lata nie przystępował do sakramentów świętych. Odparłem, że nie dam mu zbyt wielkiej pokuty. Gdy usiadłem do konfesjonału ruszył spod chóru młodzian

z długimi bokobrodami i wąsikiem. Nieśmiałym krokiem podszedł do konfesjonału. Po spowiedzi wrócił pod chór i słychać było tylko szept, że ksiądz jest « w deseczkę ». Teraz spod chóru sypnęli się dalsi. W rezultacie do Komunii św. nie przystąpiła tylko jedna dziewczyna. Młodzież męska stawiła się w komplecie.

Największym wydarzeniem w Polnym była sprawa tamtejszego sekretarza partii. Powiedziano mi, że on i jego żona nie uczęszczają nigdy do kościoła. Był to człowiek inteligentny. Pochodził z Warszawy. Postanowiłem do niego dotrzeć. Pokazano mi go kiedyś, gdy szedł ulicą. Podszedłem śmiało i mówię: jak to miło spotkać w tych odległych stronach rodaka z Warszawy. Stojąc na ulicy pogwarzyliśmy sobie z pół godziny. Przymówiłem się, że chętnie bym go odwiedził w jego mieszkaniu. Chcąc nie chcąc zaprosił mnie do siebie. Przyszedłem do niego następnego dnia po południu i rozpoczęła się dłuższa rozmowa. Najpierw mówiliśmy o Warszawie, o wojnie, a potem przeszedłem na sprawy duchowe. Zaczęła się długa, serdeczna spowiedź.

Wieczorem, gdy wierni stopniowo zapełniali kościół, otworzyły się za którymś razem drzwi i wśród zebranych dał się słyszeć szept: sekretarz, sekretarz. Zacząłem odprawiać Mszę świętą, wygłosiłem naukę, nadeszła chwila Komunii św. Sekretarz z żoną, razem z innymi wiernymi zbliżyli się do Stołu Pańskiego.

Na drugi dzień, już po zakończonych rekolekcjach, poszedłem do niego, żeby pożegnać się przed odjazdem. Przyjął mnie bardzo serdecznie i poczęstował lampką wina. Wypiliśmy: sekretarz komunistycznej partii i jezuita-misjonarz ludowy. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że znaleziono ciało tego człowieka z otworem od kuli w tyle głowy.

Po powrocie do Barwic pomagałem o. Frączkowskiemu w ostatnich dniach misji. Tutaj zaskakującym wydarzeniem było nawrócenie wybitnego pisarza socjologa, który bawił tam okresowo. Przyszedł pijany i oświadczył, że chce się wyspowiadać z dłuższego okresu swojego życia, a po trzeźwemu tego nie uczyni. O. Frączkowski wysłuchał jego wyznań, stawiając warunek, że uzupełni spowiedź, gdy wytrzeźwieje. Następnego dnia przyszedł i mając pełną świadomość otrzymał rozgrzeszenie.

W czwartek około południa oświadczył mi o. Frączkowski, że przyjechał jakiś ubowiec z komendy powiatowej i chce mnie przesłuchać w sprawie niedzielnej zabawy. Na posterunek milicji poszedłem razem z miejscowym proboszczem. Tam czekał na mnie kapitan Wypych. Rozmawiał ze mną bardzo grzecznie i pożegnał się spokojnie, polecając jedynie pozostać jeszcze księdzu proboszczowi. Nie zdążyłem zamknąć drzwi, a on na staruszka proboszcza z buzią. Usłyszawszy to, zawróciłem i ja z kolei zaatakowałem ostro kapitana Wypycha. Od razu przycichł.

Dalej misje w Barwicach przebiegały bardzo spokojnie i przyniosły bardzo dużo owocu duchowego.

Parafia Trzcianka Lubuska, 29.9—1.10.1963

W czasie rekolekcji w Trzciance wybraliśmy się z o. Frączkowskim do obozu Cyganów. Biwakował on w pobliskim lesie. Liczył ponad 200 osób. Przekonaliśmy się, że z obozu wychodzą jedynie ludzie zdrowi i prezentujący się dobrze. W obozie zaś spotkaliśmy wielu chorych i kalekich żyjących w skrajnej nędzy. Miałem ze sobą kilka rolek bilonu i zacząłem rozdawać pieniądze dzieciom. Rzuciły się na mnie gromadnie. Nie mogłem sobie poradzić. Dopiero któryś ze starszych Cyganów zajął się rozdawaniem moich dwuzłotówek.

W czasie naszej wizyty w obozie zaprosiliśmy Cyganów, aby przyszli do kościoła. Zjawiła się na jakieś nabożeństwo grupa kobiet i dziewcząt. Gdy wchodziły do kościoła, powitał je z ambony o. Frączkowski. Później i ja przemówiłem do nich. Rozdaliśmy im obrazki Serca Jezusowego i akty poświęcenia rodzin Jezusowemu Sercu. Niektóre z Cyganek skorzystały z okazji misji i przystąpiły do spowiedzi św. Były i takie, które spowiadały się po raz pierwszy.

Posłowie

Do skutecznego prowadzenia tak wielkiego dzieła jakim była misja Serca Jezusowego konieczne jest zaplecze nadprzyrodzone. Toteż o. Prowincjał, o. Frączkowski, o. Gorzkowski

i inni zabiegali o pomoc modlitewną w różnych zakonach i zgromadzeniach, a także u osób naznaczonych stygmatem cierpienia. Mnie także udało się zdobyć taką cenną pomocnicę duchową w osobie Joasi Krypajtis. Rodzina Krypajtisów pochodziła z Wilna, ojciec szereg lat pozostawał na Syberii — wywieziony tam przez Sowietów — a matka z czterema młodziutkimi córkami i babcią była repatriowana do Polski. Osiedlili się w Warszawie. Żyli w bardzo ciężkich warunkach. Matka musiała ciężko pracować, bo dziewczynki chodziły do szkoły. Po paru latach wrócił ojciec. Codziennie modlili się wspólnie całą rodziną, a matka latami chodziła codziennie do Komunii św., reszta rodziny przynajmniej w pierwsze piątki. I oto Bóg dopuszcza nowe doświadczenie na tę rodzinę: czternastoletnia Joasia, bardzo uzdolniona, ładna i miła dziewczyna zapadła niespodziewanie na chorobę swoistego porażenia nerwów. Straciła władzę w nogach, następnie przestała działać przepona, a przez to 3/4 płuc stało się martwe. Trzeba było przez otwór w szyi włączyć specjalny aparat, który doprowadzał tlen i drugi, żeby mogła odkasływać, a przez to uniknąć zaduszenia się własną śliną. Choroba zaatakowała jeszcze nerwy wzrokowe i Joasia została całkowicie niewidoma. Chorowała na żołądek, na nerki, bolały ją straszliwie zęby. Męczyła się szczególnie w czasie dusznego lata. Choć wydawało się, że jest bliska skonania, męczyła się tak bez przerwy blisko cztery lata. Początkowo było jej ciężko, ale potem całkowicie pogodziła się z wolą Bożą i pokochała swój krzyż. Jak często tylko mogła, przystępowała do Komunii św. W czasie już wzmożonej choroby, zacząłem Joasię odwiedzać. Powiedziałem jej pewnego razu: Joasiu, Pan Bóg wielkie skarby łask złożył w twoje ręce. My jezuici prowadzimy teraz rekolekcje Serca Jezusowego w diecezji gorzowskiej, wspieraj nas swoją modlitwą i ofiarą. Joasia przyrzekła, że każdego dnia będzie się modlić przynajmniej pół godziny za nasze misje oraz ofiaruje swoje codzienne cierpienia. Byliśmy potem świadkami nieraz niezwykłych nawróceń. A im więcej było ich w danym tygodniu, tym więcej cierpiała Joasia. Kiedy zbliżał się kres jej życia zapytałem ją: jak Pan Jezus zabierze cię Joasiu do siebie, czy będziesz nam dalej pomagała? Joasia uroczyście przyrzekła, że o nas nie zapomni i na drugim świecie. Zmarła, mając lat 18. Często na rekolekcjach opowiadałem o Joasi.

Jestem przekonany, że bardzo dużo pomogła nam w naszych pracach apostolskich, a szczególnie w rekolekcjach intronizacyjnych. Dużo osób pisuje do rodziców, wypytując o szczegóły życia Joasi. Były o niej artykuły w pismach katolickich, przygotowywana jest książka. Mając tego rodzaju zaplecze, można wiele zdziałać ku chwale Bożej i pożytkowi ludzi.

MISJE ZAGRANICZNE

« Idąc na cały świat nauczajcie wszystkie narody ». Kościół Chrystusowy jest Kościołem powszechnym. Stąd jego charakter misyjny i stąd idea misyjna w Towarzystwie Jezusowym. Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka w 50-ciu latach swojej historii kierowała, zarówno kapłanów, jak i braci, do pracy duszpasterskiej na wszystkie kontynenty: 16 z nich pracowało lub pracuje jeszcze w Zambii, 3 w Rumunii, 1 w Japonii, 2 w Ameryce Płd., 10 wśród Polonii w Europie, 19 w USA, 1 w Australii. O. Franciszek Domański redaguje w Chicago miesięcznik « Posłaniec Serca Jezusa », a o. Jerzy Mirewicz w Londynie « Przegląd Powszechny ».

ks. Franciszek Woda SJ

MUFUNDISHI ZABDYR

O ojcu Władysławie Zabdyrze można by pisać wiele. Mamy nadzieję, że ukaże się kiedyś drukiem tom jego listów wysyłanych do Polski. Wtedy będzie okazja po temu, aby napisać o ich Autorze coś więcej. Teraz chcę rzucić tylko kilka obrazów z jego misjonarskiego życia. Zacznę od jego powołania do pracy w Afryce. Oddaje tutaj głos samemu o. Władysławowi.

Stanowisko moich przełożonych odnośnie powołania misyjnego było proste i jasne: twoja Afryka jest tutaj! Pracowałem w jezuickich gimnazjach w Wilnie i w Chyrowie. Być może, że skierowano mnie tam dlatego, abym łatwiej zapomniał o misjach. Lubiłem pracę wśród chłopców i wzajemnie cieszyłem się ich sympatią. Rozstanie z nimi nie było dla mnie łatwe. Umiłowanie pracy wśród młodzieży nie przysłaniało mi jednak Afryki. Od święceń kapłańskich moja próba trwała lat siedem. Wreszcie ojciec prowincjał Sawicki oświadczył mi kiedyś: jeżeli Bóg cię tam woła, nie stanę ci na drodze. Pozostała do pokonania jeszcze tylko jedna przeszkoda: słabe zdrowie. Ale i ta została usunięta, gdy jakiś roztropny lekarz postawił mi zasadnicze pytanie: czy chcesz naprawdę jechać na misję? Kiedy otrzymał moją zdecydowaną odpowiedź, powiedział: w takim razie jesteś zdatny na misje. Podpisał z miejsca świadectwo lekarskie o mojej zdatności do pracy misyjnej.

Tak zaczęła się afrykańska odysea o. Władysława Zabdyra. 30 kwietnia 1928 r. wraz z o. Wawrzkiewiczem oraz braćmi Boroniem, Dudą i Bulakiem ruszył w drogę do Północnej Rodezji. 15 czerwca stanęli w Kasisi. Był to dzień święta Serca Jezusowego. Od tej chwili, aż do śmierci, która nastąpiła w dniu 18 lipca 1968 r., pozostał wierny swojemu powołaniu misjonarskiemu. Niektórzy utrzymują, że zrobił on postanowienie, iż misji już nie opuści, nawet na urlop. Z misji nigdy nie wyjechał, chociaż proponowano mu spędzanie miesięcy wypoczynkowych w Polsce lub gdzie indziej. Dzień przyjazdu

do Kasisi musiał głęboko wyryć się w jego pamięci, bo kiedykolwiek miał sposobność, wychodził w dzień Jezusowego Serca do pobliskiej rzeki Ngwere, przez którą 15 czerwca przeprawił się do Kasisi. Wtedy była tam kładka.

*
* *

Czterdzieści lat pracy misjonarskiej ... Większość tych lat spędzona w warunkach prymitywnych, gdzie wszystko trzeba było zaczynać od podstaw, bez możliwości motorowego transportu materiałów budowlanych. Większość materiałów, jak cegły, dachówki, wapno i ciosany kamień produkowało się sposobem chałupniczym na miejscu. Pozostałe jednak materiały lub sprzęt trzeba było przenosić własnymi rękoma lub wieźć prymitywnym wozem zaprzężonym w woły.

Praca o. Zabdyra wydała owoce. Rzucone przez niego ziarno w afrykańską ziemię spieczoną słońcem i zmywaną tropikalnymi deszczami wzeszło i rośnie. Rośnie dzięki nadludzkim niekiedy wysiłkom misjonarzy, którzy obok o. Zabdyra podjęli pionierski trud pracy duszpasterskiej wśród czarnych. Przykładem niech będzie kolegium św. Piotra Kanizego w Chikuni. Ma ono zaplecze w szkołach podstawowych, które w tym rejonie zakładał właśnie o. Zabdyr. Założył ich aż 48! Kosztowało go to wiele zachodu, rozmów z przywódcami szczepów murzyńskich i pertraktacji z rządem. Szkolnictwo podstawowe w rejonie Chikuni jest bezsprzecznie dziełem o. Zabdyra.

Był on nie tylko wychowawcą, ale i społecznikiem. Aby dzieło rozwoju szkół oprzeć o pewną bazę, zakładał komitety wójtów i ludzi bardziej wpływowych, których zadaniem była pomoc w stawianiu szkolnych zabudowań i domów nauczycielskich. W pracy duszpasterskiej przystosowywał się do natury Afrykańczyków. Ludzi, którzy mieli trudności rodzinne czy też inne kłopoty zapraszał na rozmowy do siebie. Konwersacje ciągnęły się nieraz całymi godzinami. Tłumaczył, przekonywał, podsuwał rozwiązania tak długo, dopóki nie przystali na chrześcijańskie załatwienie sprawy. Ta metoda leży w naturze Afrykańczyka. On musi wszystko omówić spokojnie, każdą sprawę « przenicować » kilkakrotnie i dopiero wtedy uważa rozwiązanie za trafne. O. Władysław przez swoją

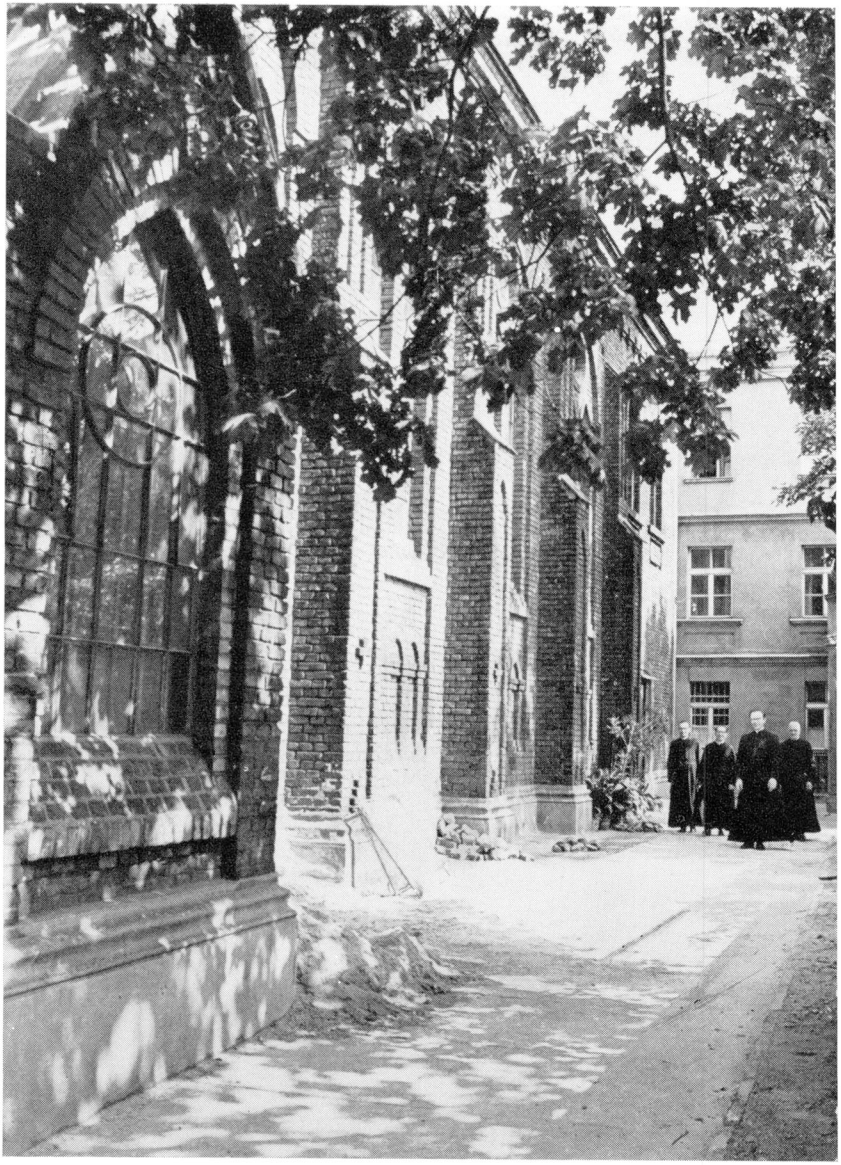

9. Łódź — kościół Niepokalanego Poczęcia NMP



10. Otwock — placówka

cierpliwość i takt potrafił załatwić wiele spraw naprawdę beznadziejnych. Za to ludność bardzo go ceniła.

Można by bez końca wyliczać dzieła wielkie i małe zapoczątkowane i konsekwentnie prowadzone przez o. Zabdyra. Nie to jednak postawiłem sobie za cel zabierając się do pisania. Chcę przede wszystkim ukazać jego charakter jako kapłana, misjonarza i człowieka. Miał o. Władysław przede wszystkim niepowtarzalny talent jednania sobie ludzkiej życzliwości i dlatego mógł się porywać na dzieła dla innych niemożliwe. Dla przykładu nadmienię zaporę wodną oraz 20 mil drogi w terenie tak urwistym, że nawet rowerem nie można było tam przejechać. Ludzie pracowali przy nim ochotnie i z entuzjazmem, bo « mufundishi » Zabdyr umiał ich zachęcić dobrym słowem, kochającym sercem i przede wszystkim własnym przykładem.

Sukcesy, które towarzyszyły każdemu jego poczynaniu, przyniosły mu niesłychany autorytet u tubylców. Widziano w nim niemal cudotwórcę. Szanowano go także za to, że swoją interwencją u władz kolonialnych zdołał powstrzymać akcję wysiedlania miejscowej ludności z terenów przeznaczonych przez towarzystwa przedsiębiorców pod uprawę tytoniu. Miejscowa ludność pozostała na swojej ziemi i uniknęła beznadziejnej tułaczki.

*
* *

Ostatnim wysiłkiem o. Zabdyra było ugruntowanie nowozałożonej stacji misyjnej w Karendzie, leżącej daleko na północny zachód od Lusaki. Za jego przełożeństwa stanął tam piękny kościół. W tym samym czasie otworzył on nową placówkę w Mumbwa. Tutaj, pomimo trudności ze strony protestantów, otrzymał miejsce i pozwolenie na budowę szkoły gospodarstwa domowego.

Po tym ostatnim wysiłku poczuł, że musi wycofać się z intensywnej pracy misjonarskiej, bo już sił nie stało. Osiadł w Kasisi, gdzie stawiał pierwsze kroki misjonarskie. Nie skapitulował jednak zupełnie. Modlitwą i ofiarą duchową wspomagał ukochane dzieło misyjne. Ciało wiotczało powoli, ale

praktyczny umysł przepełniony entuzjazmem pracował dalej. Jakby jakąś siłą rozpędu sugerował możliwości rozszerzania prac apostolskich, budowy nowych placówek i usprawniania działalności misyjnej. Ostatnią broń walki o Królestwo Boże, różaniec, wytrąciła mu z ręki dopiero śmierć.

ks. Bronisław Stefaniszyn SJ

NCHORANCHINGA

W styczniu 1944 r. posłano mię do Kapoche. Z Katondwe miałem 15 mil angielskich w dół rzeki Lwangwy. Trzeba było zastąpić o. Goździka, który miał się udać na miesiąc do Miruru, leżało ono już w portugalskiej części Afryki, po drugiej stronie Lwangwy.

Lwangwa (był to sezon deszczowy) wyglądała majestatycznie i groźnie zarazem. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko przelewające się masy wód. Wszedłem do popękanej łodzi. Towarzyszył mi w wyprawie jakiś stary tubylec. On sterował, ja wiosłowałem. W ciągu trzech godzin dotarliśmy na miejsce.

O. Goździka zastałem w łóżku. Chorował. Malaria żołądkowa połączona z gwałtownymi wymiotami i wysoką gorączką. Był to poniedziałek. Dzięki ścisłej diecie w ciągu trzech dni malaryczny atak ustał. Na rekonwalescencję wystarczył o. Stanisławowi czwartek. W piątek rano wyruszył już w podróż. Zabrał do czółna swojego niedłącznego towarzysza, rower i rozpoczął przeprawę przez wezbraną rzekę. Po drugiej stronie musiał brodzić po grząskich bagniskach i przedzierać się przez dżunglę wybujałej trzciny. Gdy dobrnął do suchego skrawka ziemi, wyczerpany uciążliwą drogą położył się na chwilę przy ścieżce, odpoczął i ruszył dalej.

Misjonarska praca o. Goździka była ciągłą wędrówką. Posilał się zazwyczaj dwa razy dziennie. Sypiał w nocy w małym namiocie. Przez dzień załatwiał z ludźmi przeróżne sprawy. Wieczorem gromadził ich i głosił im słowo boże. Zawsze był odważny i przedsiębiorczy. Nie znał, co to strach przed niebezpieczeństwem. Nie lękał się lwa ani pantery. Postępował tak, jakby mu na życiu nic nie zależało. Do o. Domańskiego pisał kiedyś: *Trzymam się mocno, bo pamiętaj Jacku, żem nie trawa, ale gwóźdź i niełatwo mnie stłamsić.*

Do Kapoche przybył w roku 1940. Wniósł tam nowe życie. Zyskał sobie zaufanie zarówno w gronie miejscowych nau-

czycieli jak i u okolicznego ludu. W dorzeczu Lwangwy i Zambezy budował coraz to nowe szkółki i kaplice. W stołecznej wiosce wodza Mburuna, nad Zambezą, wystawił solidny budynek z wypalanej cegły. Założył tam szkołę centralną. Na misji w Kapoche, za jego czasów było zawsze w internacie około 40 chłopców. Wychowanie musiało być tam dobre, skoro chłopcy ci, gdy przechodzili później do innych szkół, byli zawsze najlepszymi uczniami.

O. Goździk nie potrafił nigdy usiedzieć na jednym miejscu. Ustawicznie podróżował. Dzięki tej ruchliwości zyskiwał sobie u Afrykańczyków wielkie poważanie. Chłopcy natomiast z plemienia Ansenga i Achikunda nazywali go « nchoranchinga » tj. « psuj-rower ». Na skutek ciągłej jazdy psuł mu się ten pojazd bardzo często. Na jednej z dętek naliczył raz aż 200 łat.

Pełen niespożytej energii i dalekosiężnych planów myślał ciągle o motorowej łodzi. Zambijska sieć wodna stanowi bowiem wygodne szlaki komunikacyjne. Można nimi dopłynąć niemal do każdej wioski. Lokalizują się one zazwyczaj nad brzegami rzek. Drogi lądowe są tam o wiele bardziej trudne i niebezpieczne.

Mieszkający w wioskach Zambijczycy są przeważnie bardzo biedni. Aby, na skutek skrajnej nędzy, ojcowie nie musieli emigrować do dalekich miast, a dzieci przerywać nauki, marzył o. Goździk o założeniu w Kapoche plantacji bawełny i przemysłu tkackiego. Niestety w pierwszym etapie jego pracy projekt ten był niewykonalny, a później przenieśli go przełożeni na inną placówkę.

Najważniejszą sprawą była katechizacja. Trzeba było zaczynać od dzieci i młodzieży. Kursy katechumenów trwały po miesiącu. Przez dzikie, pagórkowate i kamieniste drogi zdążały dzieci z pogańskich wiosek na naukę religii. Na swych kędzierzawych głowach niosły rogóżki do spania, gliniane garnki do gotowania oraz w woreczkach z kozich skór kukurydzaną mąkę. Zbliżając się do kościoła śpiewały pieśni religijne. Tutaj koczowały tygodniami. Misjonarz dzień w dzień, od ósmej rano do południa i od drugiej po południu do zachodu słońca tłumaczył im prawdy boże.

Z Kapoche przeniesiono o. Goździka do Chingombe. Miał zamiar o. Stanisław dostać się tam w ciągu jednego dnia. Drogę tę, 45 mil angielskich, ponieważ jest ona bardzo uciąż-

liwa, pokonuje się zazwyczaj w ciągu dwu do trzech dni. On liczył jednak na swoje niespożyte siły. Przeliczył się. Nie dotarł tam tak szybko, jak planował. Dostał ataku malarii. Na miejsce przyniosło go w hamaku dwu mężczyzn, został skierowany do szpitala. Lekarze wykryli u niego rozwijającą się chorobę tropikalną zwaną « bile harzia ». Ona to już od dłuższego czasu raz po raz podrywała jego siły. Stało się jasne dlaczego po pokonaniu pewnego odcinka drogi musiał coraz częściej odpoczywać w zaroślach.

Gdy powrócił do zdrowia, urządzał z Chingombe ciągłe wyprawy misyjne. Okolica ta jest jednak bardzo gorąca i ma fatalne drogi. Liczne wąwozy i dwie duże rzeki utrudniają podróżowanie. O. Goździk zaś w swoich apostolskich wędrówkach chciał dotrzeć jak najdalej.

Trzeba było przede wszystkim udoskonalić system prac apostolskich. Zrewolucjonizował więc najpierw metody nauczania. Odstąpił od koncepcji: szkoła w każdej osadzie. Szkoły takie były najczęściej ruderami i nie można też było znaleźć do nich personelu nauczycielskiego. Przyjął za zasadę budowanie solidnych szkół centralnych dla dwu lub trzech wiosek, a przy każdej szkole choćby najbardziej prymitywny internat. Będzie on i tak dawał lepsze warunki do nauki aniżeli mieszkanie w rodzinnych lepiankach.

To szkolenie dzieci poza ich rodzinną wioską przyjęli ludzie rozmaicie. Większość starszej generacji była temu przeciwna. Urządzano więc zebrania, protestowano, stawiano bierny opór. Jednak tylko ten system w konkretnych warunkach Zambii mógł dać wyniki. W jego przeprowadzeniu swoją powagą i sankcjami dopomogli wodzowie szczepów. Chiew Mboroma, murzyński arystokrata, zawyrokował: każdy Afrykańczyk musi być wykształcony za wszelką cenę. Na opornych posypały się kary. Szkoły zaroiły się od dzieci.

Pracę nowym systemem musiał o. Goździk zaczynać praktycznie od zera. Trzeba było budować teraz obszerne budynki szkolne, mieszkania dla nauczycieli, sypialnie dla chłopców i dziewcząt. Zorganizował więc brygadę budowlaną. Ta wędrowała z wioski do wioski i stawiała z suszonej na słońcu gliny potrzebne zabudowania.

Gdy zastosowany uprzednio w Kapoche system szkoły centralnej zdał egzamin w szkołach prowadzonych przez misję

w Chingombe, zaczął o. Stanisław przemyśliwać nad podniesieniem stopy życiowej Afrykańczyków. Najpierw wprowadził prasy do wyciskania cukru trzcinowego, później krzątał się około założenia przemysłu tkackiego. Chciał urzeczywistnić plan, którego nie mógł zrealizować uprzednio. Postarał się teraz o doskonałe nasiona do uprawy bawełny. Jej plantacja zdała egzamin. Brak wrzecion i warsztatu tkackiego uniemożliwił jednak jej obróbkę. Trudności w zdobyciu jakiegokolwiek krosna okazały się niepokonalne.

Troska o szkoły i materialny byt biednego człowieka dała wyniki nie tylko na płaszczyźnie czysto ekonomicznej. Wykazują statystyki, że w okresie jego pracy wzrosła tam ilość zarówno chrztów jak i zawieranych w kościele związków małżeńskich.

Zmarł o. Stanisław Goździk przedwcześnie, licząc zaledwie 41 lat życia. Czarna febra wyniszczyła zupełnie jego organizm.

ks. Stanisław Nowicki SJ

NA POSTERUNKU

Pracowita niedziela 2 lipca 1972 r. dobiegała końca. Była taka sama jak wszystkie inne w czasie dwudziestu czterech lat jego misyjnej orki. O. Władysław Lęcznar, po odprawieniu trzeciej Mszy św. dokończył brewiarz już przy świetle lampy. Potem wpisał do książki rachunkowej mizerną zbiórkę na tacę, zamknął na klucz drzwi domu, w którym samotnie mieszkał, wsiadł do swojego starego, zawsze troskliwie pielęnowanego samochodu i nie zważając na zmęczenie podążył do odległej o dwie mile angielskie Saint Mary's. Tu zjadł kolację razem ze swoimi współbraćmi.

Po kolacji powrócił na swoją samotnię. W latach 1960-1962 zbudował tam kościół, a później plebanię. Pracy miał wiele. Na miejscu trzeba było obsłużyć 12000 wiernych oraz 3 szkoły. Do tego dochodziły wyjazdy w teren — 2 szkoły w buszu. Nigdy jednak nie uskarżał się ani na nadmiar zajęć, ani na zmęczenie. Zapytany czy nie odczuwa samotności mieszkając w pojedynkę, odpowiedział, że woli żyć we wspólnocie, ale samotność mu nie wadzi.

Odejście o. Lęcznara było tragiczne. Z Saint Mary's wrócił o godz. 21.45. Będąc już w domu, zaglądnął do kuchni. Zrobił krok naprzód by zapalić światło. Zanim przekręcił kontakt, jakiś mężczyzna stojący za drzwiami wbił mu poniżej żeber duży, kuchenny nóż. O. Władysław natychmiast odskoczył do tyłu i odruchowo zamknął za sobą drzwi na klucz. Nie mając pewności, czy zbrodniarz nie będzie usiłował wykończyć go, jakiś czas siedział po ciemku w pokoju. Czując upływ krwi wysunął się z domu, dobrnął do samochodu i włączył klakson na alarm. Gdy nikt nie nadchodził z pomocą, zapalił silnik i podjechał do bramy. Tutaj zaczął trąbić powtórnie. Usłyszał to jeden z mieszkających w pobliżu nauczycieli i powiadomił policję. Gdy policja zabierała o. Lęcznara do szpitala była już północ.

Operację przeprowadziło dwu chirurgów. Trwała ona ponad dwie godziny. O drugiej po północy jeden z chirurgów poprosił czekającego w szpitalu abpa Kozłowieckiego o udzielenie o. Władysławowi sakramentu chorych. Pacjent był bowiem konający. Operację kontynuowano dalej.

Stan krytyczny minął. Po sześciu dniach chory potrafił już podnieść się i usiąść w fotelu. W siódmym dniu prosił lekarza o opuszczenie szpitala. W niedzielę, 9 lipca, piętnaście przed szóstą wieczorem, rozmawiał jeszcze z nauczycielami. Dwadzieścia po szóstej już nie żył.

O. Władysław wstąpił do jezuitów w dniu 13 listopada 1921 r. Miał wtedy lat 17. Święcenia kapłańskie otrzymał w Lublinie 19 czerwca 1932 r. Po studiach pracował w Gimnazjum św. Kazimierza w Wilnie, a od 1936 r. w Kaliszu. Stąd II Wojna Światowa pchnęła go na wygnanie. Od roku 1939 należał do polskiej diaspory w Rumunii, na Węgrzech, w Jugosławii, we Francji, a po Dunkierce w Anglii i Szkocji. Stamtąd w dywizji gen. Maczka, jako kapelan Wojsk Polskich, brał udział w walkach o Bredę i w Ardenach. Po wojnie zgłosił się do pracy w polskiej misji Towarzystwa Jezusowego w obecnej Zambii.

Kiedy w styczniu 1972 r. o. prowincjał Władysław Janczak zachęcał misjonarzy do odwiedzin Polski, o. Lęcznar ucieszył się, że będzie mógł odwiedzić Ojczyznę, którą opuszczał w szczególnych okolicznościach. Zanim jednak udało się skorzystać z zaproszenia i zrealizować plan, Bóg powołał go do siebie.

Pogrzeb o. Lęcznara ściągnął tłumy, jakich nie widziano na innych pogrzebach. Mszę św. koncelebrowało dwu arcybiskupów, trzech biskupów i blisko czeterdziestu kapłanów. Oprócz tego było na pogrzebie jeszcze około 20 innych kapłanów, którzy nie mogli koncelebrować. W pogrzebie brał udział delegat Ojca św., Pawła VI, pastorzy innych wyznań chrześcijańskich, burmistrz miasta Kabwe, przedstawiciele Rządu, naczelnik policji i nieprzeliczone tłumy.

br. Józef Boroń SJ

NAZYWANO GO « BROTHER ANDREW »

W czwartek, 24 sierpnia 1967 r., zmarł w szpitalu w Kabwe brat Andrzej Jędrzejczyk. Znany był powszechnie jako « brother Andrew ».

Brat Andrzej urodził się 17 listopada 1884 r. w Maluszynie nad Pilicą. Był jedynakiem osieroconym przez matkę w dzieciństwie. Ojciec jego był murarzem. Oddał go na naukę ogrodnictwa w pobliskim dworze. Andrzej polubił ten zawód i pracował w nim przed wstąpieniem do Towarzystwa Jezusowego.

W 24 roku życia Andrzej postanowił wstąpić do zakonu jezuitów. 7 września 1908 r. rozpoczyna nowicjat w Starejwsi. Po ukończeniu nowicjatu pracuje jako ogrodnik w kolegium krakowskim, następnie w Starejwsi, a ostatni rok przed wyjazdem na misje w domu rekolekcyjnym we Lwowie.

Na misje przybył w okresie pionierskim. Polskę opuścił we wrześniu 1920 r. w towarzystwie o. Seidla, o. Spendla i br. Markiewicza. Podróż do Afryki trwała długo. Wszyscy musieli przez kilka miesięcy czekać we Włoszech na załadowanie na statek. Być może nie mieli dostatecznej sumy pieniędzy na dalszą drogę.

Wreszcie w początkach następnego roku przybywają do Afryki. Na razie zatrzymują się w Chishawasha, stacji misyjnej położonej koło Salisbury w dzisiejszej Rodezji. Tu mają przeczekać porę deszczową.

W czasie tego krótkiego postoju w Chishawasha br. Andrzej sporządził drewnianą protezę dla beznogiego murzyna, który odtąd mógł chodzić.

Po ustaniu deszczów, gdy drogi już podeschły, nasi misjonarze wyruszyli w początkach maja w drogę (pieszo) w towarzystwie tragarzy wynajętych do niesienia ekwipunku. W Chishawasha pozostał br. Markiewicz, który w ostatniej chwili, na dzień przed wymarszem, zachorował na febrę i dopiero później przybył koleją do Kasisi.

Droga przez rodezyjską puszczę, przez góry i uroczyska wprost do rzeki Zambezy trwała dwa tygodnie. Noce spędzali pod gołym niebem, w lesie przy ognisku. O świcie dwaj kapłani odprawiali Mszę św., a br. Andrzej był ministrantem. Nareszcie pewnego ranka stanęli nad brzegiem uroczej Zambezy naprzeciw Feiry.

Po przeprawieniu się łodzią przez Zambezę stanęli na terytorium własnej misji. Posuwając się wzdłuż Luangwy, która w pobliżu Feiry łączy się z Zambezą, dotarli do pierwszej stacji misyjnej Kapoche, gdzie na ich spotkanie wybiegł z otwartymi ramionami wielki, brodaty jak lew, o. Moskop, stary misjonarz afrykański. Z Kapoche mieli jeszcze 14 mil do ówczesnej centrali misyjnej w Katondwe, gdzie rezydował przełożony misji, o. Czarliński.

Wreszcie po tylu miesiącach wyczekiwania i tułaczki stanęli u mety w Katondwe, w wigilię Zielonych Świąt, 14 maja, o godz. 14. Radość obopólna starych i nowych misjonarzy. Tak długo na nich czekano!

Brat Andrzej nie zagrzał długo miejsca w Katondwe. Po paru tygodniach wyrusza razem z o. Czarlińskim tak zwaną « drogą pionierów » do Chingombe, stacji misyjnej założonej jeszcze w roku 1914 w terenie górzystym, o 5 dni drogi od Katondwe. Obsadę Chingombe, stanowili wówczas o. superior Lazarewicz, o. Hankiewicz, br. Kodrzyński i br. Longa. Br. Jędrzejczyk miał zająć miejsce br. Longi, którego o. Czarliński przeniósł do Kasisi. Br. Andrzej zamieszkał na razie w chacie murzyńskiej, gdyż budynki misyjne, rozpoczęte przed kilku laty przez br. Kodrzyńskiego, nie były jeszcze gotowe.

Odtąd dla br. Andrzeja zaczęło się długie pasmo lat pionierskiej pracy na wszystkich niemal naszych stacjach misyjnych. Młodsze pokolenie misjonarzy znało br. Andrzeja jako białego, brodatego, często zapominalskiego, ale zawsze czynnego staruszka, który nigdy nie usiedział bez pracy. Kiedyś jednak nasz brat Andrzej — « oho, panie tego, proszę ja kogo » — był nie lada figurą. Odwaga w stawianiu czoła niejednej trudności zdawałoby się niepokonalnej, którą przezwyciężył uporczywą pracą, przemyślnością i staropolskim humorem — jednały mu szacunek. Były to czasy pionierskie, kiedy wszystko trzeba było zaczynać i tworzyć z niczego.

Br. Andrzej, jak wspomnieliśmy, był z zawodu ogrodnikiem. Toteż w Chingombe zajął się uprawą ziemi i hodowlą. Dawne nasze, odcięte od świata stacje misyjne, musiały być w wysokim stopniu samowystarczalne. W dzikiej kniei porosłej gęstwiną niesamowitego ciernia i ostrej trawy, pełnej gadów i dzikiego zwierza, trzeba było wypracować nadmiernym wysiłkiem przysłowiowy kawałek chleba nie tylko dla zespołu misjonarskiego, lecz także dla tych, od których rozpoczynała się misyjna siejba, dla dzieci szkolnych gromadzonych na naukę wiary na stacji misyjnej.

Mrówcza praca i talent twórczy br. Andrzeja oddały nieocenione usługi misji na różnych placówkach, gdzie wypadło mu pracować. Był nie tylko doskonałym ogrodnikiem, któremu wszystko rosło i dawało znakomity plon, ale oprócz tego posiadał niepospolite zdolności do mechaniki i wszelkiej majsterki. Do prymitywnej uprawy ziemi murzyńskimi motykami wprowadza pług przyniesiony tam jako stary grat z dawnej misji w Miruru. Br. Andrzej remontuje go własnym przemysłem, udoskonala, zaprzęga woły i sam własnoręcznie odwraca pierwsze skiby ziemi. Dla krajowców z okolic Chingombe było to po prostu sensacją ściągającą całe gromady przyglądających się orce.

Dla siewu pszenicy zmajstrował br. Andrzej drugie dziwo, rzędowy siewnik własnego pomysłu. Potem przyszła kolej na wialnię do czyszczenia ziarna z plew. Dotąd czynność tę wykonywały dziewczęta, przesypując ziarno z jednej plecionki na drugą. Ale trzeba było czekać na wietrzyk, którego w czasie młocki zawsze było skąpo w Chingombe.

*
* *

Po paru latach pracy w Chingombe br. Andrzej został przeniesiony na gospodarkę w Kasisi. Tutaj znowu, w celu nawodnienia ogrodu warzywnego, z całą właściwą sobie energią przystępuje on do budowy zapory wodnej na strumieniu Ngwerere. Między wodną zastawą i ogrodem majstruje młynek do mielenia kukurydzy, poruszany kołem wodnym. Dotąd tę robotę wykonywało się przez ręczne obracanie korbą.

W 1928 r. widzimy Brata na gospodarce w Chikuni, gdzie przebywa 7 lat. W tym okresie zachodzi konieczność zaopatrzenia misji w wodę. Stara studnia wykopana na płaskowyżu już nie wystarcza.

Przystępuje więc do kopania nowej, szerokiej studni na niżej położonym terenie nad strumieniem. Odkrywa obfitą żyłę wodną, która natychmiast napełnia zbiornik. Silny strumień wody grozi zawaleniem wykopu. Br. Andrzej dniem i nocą pracuje nad zabezpieczeniem studni. Daje silną cembrowinę murowaną. Po zbudowaniu studni montuje urządzenia wodociągowe do obsługi domów i ogrodu. Urządzenie to służyło misji w Chikuni przez 20 lat.

W roku 1937 znowu zostaje przeniesiony do Kasisi, gdzie pozostaje aż do 1946 r. Tu zastaje go wybuch Drugiej Wojny Światowej, a z wybuchem wojny powstają trudności z zaopatrzeniem misji w sprzęt techniczny i paliwo. Stary młynek wodny już dawno się wysłużył i spróchniał. Zastąpiono go motorkiem poruszanym gazem drzewnym. Wkrótce i ten odmówił posłuszeństwa. A tymczasem trzeba czymś mleć kukurydzę, żeby wyżywić domowników, dzieci szkolne, sierociniec, robotników i dorobek gospodarski. Znowu br. Andrzej swoim « pomyślunkiem » ratuje sytuację. Gdzieś pod dziką figą stoi porzucony stary ford nikomu już niepotrzebny. Jest w nim jeszcze zardzewiały motor. Wydostaje go, rozbiera na cząsteczki, składa z powrotem, ustawia w swoim młynie i zagaduje przyjaźnie: « Panie tego, będziesz jeszcze z pożytkiem pracował ». Ale skąd dostać paliwo? Pomyślał i o tym! Od generatora gazu drzewnego doprowadza rurę do motoru. Maszyna terkoce i miele. Czasem jednak silnik krztusi się, kaszle jak dychawiczna kobyła i odmawia roboty. Gaz gazowi nie równy. Br. Andrzej przeto robi doświadczenia z różnymi gatunkami drzew, z których produkuje paliwo. Pewnego dnia wpada na pomysł wykorzystania w tym celu kaczanów kukurydzy. Okazało się, że gaz wytwarzany z wyłuskanych kolb kukurydzy jest najlepszy. A były ich całe stosy gromadzone od lat na dziedzińcu gospodarskim.

*

* *

Wojna skończyła się wreszcie. Zmniejszyły się kłopoty z zaopatrzeniem w sprzęt gospodarczy. Br. Andrzej doczekał

się nareszcie nowego silnika « diesla ». Jednak krótko się nim cieszył, gdyż został znowu przeniesiony, już po raz trzeci do Chingombe. Misja w Chingombe przechodziła wówczas ciężki kryzys. Stanęła przed pytaniem « być albo nie być ». Napłynęła nowa fala muchy « tse-tse » i zaraziła wszystko bydło w okolicy. Padły woły robocze i nie było czym uprawiać ziemi. Powrót do motyki nie ratował sytuacji, najwyżej przedłużał agonię misji. I wówczas właśnie br. Andrzej stał się człowiekiem opatrznościowym. Z własnej inicjatywy, czy też za radą br. Perdika, wybrał się do ówczesnego prefekta apostolskiego msgra Wolnika i pokornie, a zarazem z całą stanowczością przedstawił mu zuchwały plan: « Proszę Waszej Przewielebności — mówił uniżenie — woły w Chingombe padły, nie ma czym obrabiać ziemi. W Lusace pojawiły się w sprzedaży traktorki « pony ». Ot, gdyby taki traktorek z pługiem kupić dla Chingombe ... Uratuje się misję ».

Nie łatwo było przekonać o. Wolnika. Taki traktorek był strasznie drogi. Kosztował blisko 600 funtów szterlingów! A skąd je wziąć? Poza tym jak go dostawić do Chingombe? Wreszcie jak dostarczać paliwo, bo przecież na wodzie nie będzie pracował!

Na wszystkie trudności br. Andrzej dawał praktyczne rozwiązania: traktorek weźmie się na raty, które on sam spłaci. Doprowadzi się go do samych gór, a stamtąd przeniesie się go częściami. Paliwo będzie się produkować na miejscu przez destylację spirytusu z drzewa lub z kukurydzy. Mówił z przekonaniem i był pewny, że przedsięwzięcie uda się w zupełności. Dał zresztą wiele dowodów swych sukcesów na innych placówkach misyjnych. Msgr Wolnik miał do niego słabość i ufał mu bezgranicznie. Wierzył w jego talent. Tylko br. Andrzej potrafił namówić o. Wolnika na takie « szaleństwo ».

Całe przedsięwzięcie udało się w zupełności. Chingombe zostało uratowane. Kto by to pomyślał, że pierwszy traktor na misji będzie pracował gdzieś za górami, za lasami, w « rajskim » Chingombe!

Minęły już czasy « home-made » narzędzi i maszyn na misji. Dziś po prostu zamawia się takie rzeczy przez telefon. W okresie pionierskim wynalazki br. Andrzeja oddały misji wiele usług i zaoszczędziły wiele pracy i grosza. Lubił się nieraz pochwalić — oprowadzić gości, pokazać i opowiedzieć

całą historię. Na końcu dodawał zawsze: « Co mnie to — panie tego — kosztowało! » A posiadał niemały swoisty dar narracji, trafności porównań i zmysł humoru. Toteż wszyscy chętnie go słuchali. Zawsze jednak nie sobie przypisywał zasługi, lecz łasce Bożej i zwykł był dodawać: « Tak mi to — proszę ja kogo — Pan Bóg takim pomyśleniem natchnął i obdarzył ».

*
* *

Kogo Bóg miłuje, tego też i doświadcza. Przeszedł br. Andrzej przez wiele doświadczeń Bożych w swoim życiu. Jednym z nich była ciężka choroba zwana czarną febrą. Wyszedł z niej ze złamanym zdrowiem. Pracował jeszcze po różnych stacjach misyjnych w Katondwe, Karendzie, w Kasisi i Lusace, a ostatnio osiadł przy małym seminarium w Mpimie, gdzie z zamiłowaniem uprawiał szkółkę drzew pomarańczowych. Podcinał stare i sadził nowe drzewa — jak mawiał — dla przyszłych pokoleń. W wolnych chwilach wracał do ulubionej majsterki i naprawiał wszystko, co się jeszcze dało naprawić: ławki w kościele, ławki szkolne, narzędzia ogrodnicze. Nic u niego nie mogło leżeć zmarnowane. Nie trzeba dodawać, że zawsze bardzo pobożny wiele się modlił za misję, za jej dobroczyńców tak żywych jak i zmarłych, sam już wyczekując « czasu wyzwolenia ».

Bardzo pragnął ułożyć się do pośmiertnego snu w Kasisi obok współbraci swojego pokolenia: o. Wolnika, o. Seidla, br. Longi, br. Kodrzyńskiego, br. Pączki i innych. Niebo zarządziło inaczej. Spoczął w Kabwe na cmentarzu ogólnym, niedaleko mogiły br. Burana, który zmarł, na czarną febrę, 17 lat przed nim.

Działalność duszpasterska wymaga odpowiedniego przygotowania intelektualnego oraz ciągłego pogłębiania wiedzy o Bogu. Przyszli kapłani odbywają więc przed święceniami długoletnie studia filozoficzno-teologiczne, a później sięgają po książkę, aby ugruntować w sobie zdobytą wiedzę. Poza tym fakt rzeczywistości nadprzyrodzonej stawia szereg pytań, na które człowiek szuka odpowiedzi, a w znalezieniu jej dopomaga niejednokrotnie słowo drukowane. Stąd potrzeba pracy naukowej i wydawniczej. Swój udział w niej ma także nasza prowincja.

ks. Felicjan Paluszkiewicz SJ

WYDZIAŁ TEOLOGICZNY TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

Roku Pańskiego 1923, piątego zaś roku od wskrzeszenia Polski, dwudziestego szóstego sierpnia, w dzień uroczystego obchodu Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, Polskiej Królowej,

za pontyfikatu Piusa XI Papieża, za Biskupa Lubelskiego Mariana Fulmana, gdy Towarzystwem Jezusowym rządził Włodzimierz Ledóchowski, Prowincją Stanisław Sopuch, Rezydencją Stanisław Lic, budową zaś Kolegium zarządzał Sebastian Twardy,

za Prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego, za Wojewody Lubelskiego Stanisława Moskalewskiego, za Rektora Uniwersytetu o. Jacka Woronieckiego, za Starosty Stanisława Krauzego, gdy Prezydentem Miasta Lublina był C. Szczepański,

Kolegium tego Kamień Węgielny wobec zebranego kleru świeckiego i zakonnego, reprezentantów Władz i licznej rzeszy wiernych, wspomniany Pasterz Lubelski uroczyście poświęca i pod fundamenty kładzie.

Gdy w sierpniową niedzielę 1923 roku odbywała się w Lublinie, przy Alejach Racławickich, uroczystość położenia kamienia węgielnego pod « Bobolanum » wydawało się, że jezuicki Fakultet Teologiczny po stuletnich wędrówkach z Tarnopola i Starejwsi do opactwa w Tyńcu, Staniątek, dalej do klasztoru kanoników lateraneńskich w Krakowie, do kolegium na Wesołej, do Chyrowa, Nowego Sącza, Dziedzic, Gräfenbergu, znowu Dziedzic i Krakowa, dalej Starejwsi i jeszcze raz Krakowa, znajdzie wreszcie stałe miejsce pobytu i będzie mógł podjąć owocną współpracę z Wydziałem Teologicznym Uniwersytetu Lubelskiego.

Działalność naukowo-dydaktyczną rozpoczęło Bobolanum w 1926 r. Organizacja studiów została dostosowana nie tylko do uniwersyteckich programów kościelnych, ale i do wymagań stawianych wyższym uczelniom przez Państwo. Na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z 2.8.1929 r. otrzymało Bobola-

num uniwersyteckie prawa państwowe łącznie z upoważnieniem nadawania stopni doktorskich. Studiowali tutaj zarówno jezuici polscy — jak i z zagranicy: Czesi, Niemcy, Rumunii i Łotysze. Zwracano uwagę nie tylko na przekazywanie pewnej sumy wiadomości z dziedziny teologii, ale również na przygotowywanie przyszłych kapłanów do prac organizacyjno-społecznych; dlatego też między innymi działał w kolegium krąg starszoharcerski. Rozwijającą się przez lat trzynaście pracę przerwał rok 1939.

Opisywanie w tym miejscu tragedii września, wydaje się truizmem. W październiku przyszedł nakaz opuszczenia gmachu kolegium. Zajęli go Niemcy na szpital. Znowu rozpoczęła się tułaczka. W listopadzie nastąpiła pierwsza seria aresztowań, w lutym 1940 r. druga. Osadzeni najpierw na Zamku w Lublinie, powędrowali dawni mieszkańcy Bobolanum przez Sachsenhausen do Dachau. Wielu z nich pozostało już tam na zawsze. Nie powrócił z obozu w Dachau ks. Stanisław Felczak, dobrze zapowiadający się dogmatyk, (poświęcono mu osobne wspomnienie), który po chlubnym doktoracie na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, rozpoczął wykłady w Bobolanum. Zmarł w Dachau 9 maja 1942 r., na skutek wycieńczenia, dobity prawdopodobnie zastrzykiem z benzyny. Spośród jezuickich kleryków teologii w Lublinie, zostali zamordowani w Dachau: Stanisław Bukowy, Julian Czyżycki, Bronisław Gładysz, Stefan Szakoła, Władysław Szulc oraz Leon Waszkielis. Wypada w tym miejscu wspomnieć także nazwisko ks. Mariana Morawskiego (juniora), który wykładał w Bobolanum do roku 1935, kiedy to objął katedrę teologii dogmatycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Aresztowany w Krakowie, zginął 8 września 1940 r., w Oświęcimiu, zamordowany za to, że udzielił pomocy Żydowi. Wojna pogrzebała nie tylko jego samego, lecz także rękopisy jego książek: o Mistycznym Ciele Chrystusa oraz o św. Augustynie. Poza tym ks. Herman Libiński, profesor historii Kościoła, zginął 2 sierpnia 1944 r. na Rakowieckiej w Warszawie. Wydział Teologiczny Bobolanum (nie licząc Mariana Morawskiego) stracił więc w czasie ostatniej wojny dwóch profesorów oraz sześciu studentów.

Ci, którym udało się ujść aresztowania, podejmują studia teologiczne w Nowym Sączu, Krakowie, Starejwsi i okresowo w Warszawie. Po wojnie przygarnia teologię krakowskie

kolegium na Kopernika, skąd w 1952 r. przenosi się Fakultet do jezuickiego domu pisarskiego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Chlubą każdego zakładu naukowego jest jego biblioteka. Biblioteka Bobolanum sięga swoimi początkami 1826 r., kiedy to w klasztorze pobenedyktyńskim w Tyńcu otworzyli jezuici kolegium i zaczęli tam wykładać teologię dla kleryków swojego zakonu. Zalążkiem biblioteki teologicznej stał się zasobny księgozbiór benedyktyński połączony z księgozbiorami przywiezionymi z Tarnopola i Starejwsi. W latach międzywojennych wzbogaciły bibliotekę starodruki z siedemnastego i osiemnastego stulecia, będące resztkami pojezuickich bibliotek z kolegiów w Lublinie i Krasnymstawie. Pieczołowicie, pomimo częstych przeprowadzek konserwowany i uzupełniany księgozbiór liczy obecnie 80.000 woluminów, 685 tytułów czasopism, 6.500 starodruków, 20 inkunabułów, 310 rękopisów. Poza tym zarówno profesorowie jak i studenci mają dostęp do mieszczącej się pod jednym dachem Biblioteki Pisarzy Towarzystwa Jezusowego.

Obecnie na Wydziale Teologicznym Towarzystwa Jezusowego w Warszawie, nie wliczając wykładowców dojeżdżających spoza zakonu, uczy 23 jezuitów. Większość z tej liczby zajęta jest także pracą duszpasterską i nie ma na Wydziale pełnych etatów. Czterech spośród wykładowców jezuickiego Fakultetu Teologicznego uczy jednocześnie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i czterech na Akademii Teologii Katolickiej, a o. Józef Majkowski, prof. psychologii religii, oprócz KUL-u wykłada jeszcze na Prymasowskim Studium Życia Wewnętrznego oraz na ATK. O. Henryk Bogacki, prof. eklezjologii i historii dogmatów, jest jednocześnie redaktorem *Collectanea Theologica.* Trzech profesorów egzegezy ojcowie Edward Haratym, Walenty Prokulski i Stanisław Styś (dwaj ostatni już nie żyją), mieli swój udział w tłumaczeniu Biblii Tysiąclecia. Nazwisko natomiast o. Edwarda Bulandy, profesora teologii fundamentalnej oraz wybitnego religioznawcy, dostało się nawet jako hasło do Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN.

Wielkim osiągnięciem Fakultetu, w ostatnich latach jest podjęta, wraz z grupą jezuitów z Krakowa oraz katechetów warszawskich, nowatorska praca o. Jana Charytańskiego.

Tworzy on nowy podręcznik do nauki religii w oparciu o wyniki najnowszych badań teologicznych i psychologiczno-dydaktycznych. Praca ta obejmuje zarówno pomoce dla ucznia, jak i materiał do wykładów dla nauczyciela.

Trudno na tym miejscu podawać cały dorobek publicystyczny Fakultetu. Można tylko jako ciekawostkę podać, że pracownicy naukowi jezuickiego Fakultetu Teologicznego w Warszawie opracowali kilkadziesiąt haseł specjalistycznych dla Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN oraz hasła dla Hagiografii polskiej i dla Encyklopedii Katolickiej, redagowanej przez KUL.

Tak wygląda w najogólniejszym zarysie praca « tych nieużytecznych ».

A co robią klerycy? Uczą się i przez dialog z Bogiem przygotowują do kapłaństwa. Poza tym próbują niekiedy swoich sił w katechizowaniu. Tytułem próby wydają także, już dwunasty rok, na prawach rękopisu, kwartalnik *Przymierze*. Powielany jest on na maszynie do pisania i przeznaczony do użytku ściśle wewnętrznego.

ks. Marian Żurowski SJ

PROFESOR

Znamienną jest rzeczą, że zasadnicze cechy osobowości Jana Rotha są potwierdzane przez wiele zgodnych świadectw. Zanim będą one przedmiotem poszczególnych rozważań, warto zapoznać się z niektórymi ocenami ogólnymi.

Ks. S. Wyszyński tymi słowy charakteryzuje jego postać: *Ogólne wrażenie, jakie można odnieść ze spotkania z tym człowiekiem — to wielki, pogodny spokój, który zawsze go znamionował, wielkie opanowanie psychiczne, nawet zewnętrzne, wielka harmonia w ruchach, reakcjach, poczucie humoru i pogody. Zapraszający do bezpośredniości w kontakcie, uśmiech, życzliwość, gotowość niesienia pomocy, zawsze spokojna, ale zawsze kompetentna rada. Ta harmonia wewnętrzna cechowała również jego postawę zewnętrzną. Był człowiekiem zawsze porządnie ubranym, we wszystkim znać było ład: w ubiorze, w zachowaniu się, w umiłowaniu porządku wokół siebie.* Innymi słowy mówi o nim I. Subera: *To był człowiek bardzo kulturalny, bezpośredni, wywierał znamienny wpływ jako człowiek i kapłan. W jego sylwetce objawiało się coś duchowego, to było wyrazem jego życia wewnętrznego. Zewnętrzne jego skupienie, które narzucało pewien szacunek dla niego, nawet z początku pewną nieśmiałość i stąd pewne zdanie niektórych o jego surowości, niedostępności. Przy bezpośrednim jednak, osobistym zetknięciu się to wszystko topniało, jakby tego w ogóle nie było. Był to człowiek bardzo głęboki, bardzo wyrobiony, poza nauką, którą solidnie traktował, wysoko cenił swoje kapłaństwo, czemu dawał wyraz w rozmowach prywatnych, przy okazji konsultacji w sprawach naukowych.*

Na pierwszy rzut oka niejednemu wydawało się, że za bardzo dbał o swoją godność, zachowywał jakby pewien dystans, ale w bezpośrednim zetknięciu to znikało. Można było wyczuć, że jest bardzo życzliwy i chce zrobić wszystko, co

może dla tych, których spotyka. Można było do niego przyjść ze wszystkim, ale wówczas nie rozczulał się, chociaż był bardzo przyjacielski. Nawet w czasie wojny, jak to stwierdza M. Myrcha, gdy nie można było zachować pewnych form towarzyskich ze względu na bezpieczeństwo np. by wcześniej wizytę swoją zapowiedzieć, można było do niego przyjść w każdej chwili, nawet w każdej chwili dnia i nocy. Zawsze przyjął równie serdecznie i równie pogodnie. Chociaż w pierwszym okresie po swoich studiach miał jeszcze trochę usposobienia skrupulatnego, o czym świadczą jego słuchacze z pierwszych lat wykładów prawa kanonicznego i jego pracy dydaktycznej w Krakowie, co szczególnie objawiało się przy wykładach z rubrycystyki mszalnej i przy samym odprawianiu Mszy św., to przez pracę zyskał pod tym względem takie opanowanie i wyrobienie, że w późniejszym okresie międzywojennym nikt już o tym nie wspomina.

Miał zamiłowanie do porządku i schludności. Pokój jego był zawsze czysty. Gdy prosił o wymalowanie pokoju, to określał, w jaki sposób ma być wymalowany i na jaki kolor. Regały na książki, biurko były proste, skromne, ale porządne. Wszystkie książki były starannie oprawione i dobrze utrzymane. W książkach, które czasami studentom pożyczał, nie było żadnych zakreśleń, jakichś notatek, czy czegoś podobnego. Po wykorzystaniu książek potrzebnych mu aktualnie do pracy, starannie je od razu umieszczał na półce we właściwym miejscu.

Zamiłowanie do porządku nie tylko wokół siebie, ale w życiu społecznym między innymi przejawiło się już dawniej w czasie I Wojny Światowej. Trudno mu było znieść nieporządek, jaki powstał w mieście. Daje wyraz temu w liście pisanym 16 marca 1915 r. do p. Bieńkowskiej, gdzie opisując sytuację wojenną w Krakowie tak się wyraża: *Czekam z upragnieniem surowszych przepisów, które by większy ład wprowadziły.*

O jego poczuciu sprawiedliwości i prawości świadczą między innymi dwie notatki, które umieścił w pisanych przez siebie diariuszach. Pod datą 24.12.1914 r. z uznaniem podkreśla wypowiedź Ks. arcybpa Sapiehy, że bogaci, arystokracja, którzy powinni w ciężkich chwilach pomóc biednej ludności, wyjechali dbając tylko o siebie. W następnej zaś z dnia 10 marca

1916 r. odnotowuje z satysfakcją wiadomość podaną przez władze wojskowe o umorzeniu postępowania sądu wojennego przeciwko siedmiu Polakom pociąganym do odpowiedzialności na skutek tendencyjnego donosu. Wyraża swoją wielką radość, że sprawa została załatwiona pomyślnie dla oskarżonych. Nawiasem mówiąc on sam wiele się przyczynił wówczas do ich obrony.

Ponadto warto jeszcze zwrócić uwagę, że ta jego cecha poczucia sprawiedliwości i prawości była znana. Miał dobrą opinię jako doradca. Był szanowany i chętnie do niego zwracano się o pomoc, ze względu na szacunek, jakim darzył tych, którzy zwracali się do niego z prośbą. Odpowiedź dawał w poczuciu odpowiedzialnie rozeznanej słuszności. Gdy zabierał głos w jakiejś sprawie, wiedział, co mówi i nie dawał rad nieuzasadnionych i nieprzemyślanych.

Dbał bardzo o tych, którzy byli z nim ściślej związani, ale — jak to z późniejszych opowiadań i wspomnień o nim wynika — nie miało to charakteru wyróżniania jednych osób przed innymi. Jeszcze jako rektor krakowski w 1913 r. i następnych, dbał bardzo o swoich ministrantów. Starał się im często sprawić jakąś przyjemność. Później, gdy jeden z tych ministrantów wstąpił do nowicjatu i przyjechał do Krakowa na pogrzeb swojego ojca, postarał się, że zamieszkał w rezydencji na Małym Rynku przy kościele św. Barbary, a nie w Kolegium na Kopernika, jak to było w zwyczaju i tam się nim szczególnie zajął. Poszedł też na pogrzeb jego ojca, za co ten był mu ogromnie wdzięczny. Przy okazji pokazywał mu też całą rezydencję i portrety generałów żartując: « może i ty będziesz kiedyś generałów wybierał? » No i rzeczywiście żart sprawdził się, ponieważ E. Bulanda brał udział w dwóch kongregacjach, które wybierały generałów: J. Jansenssa i P. Arrupe.

Chociaż ze względu na jego usposobienie i przepracowanie był pewien dystans między klerykami jezuickimi i nim samym, tak że często żartobliwie mówili oni, że chodzi « zawsze w kapie », taki poważny, nawet majestatyczny, aż za spokojny, jednak ogólnie imponowało u niego zachowanie osobistej godności i powagi z pełnym szacunkiem dla każdego słuchacza i życzliwość dla każdego, który do niego zwrócił się o jakąś pomoc. Nawet najmłodszego ze współbraci zakon-

nych załatwiał bardzo grzecznie, taktownie i przyjaźnie. Dlatego też powszechnie nazywano go w kolegium jezuickim « Papa Roth ». Nie lubił jednak, jeżeli przychodzono do niego z jakimiś błahostkami. Wtedy wprawdzie nie wyrzucał za drzwi, ale dawał poznać, że ma mało czasu, lub mówił: « Ksiądz widzi, że mam pracę, ja muszę się spieszyć ». Jeżeli natomiast ktoś przychodził z poważną trudnością, zawsze przyjmował go poważnie i czasu nie żałował, chociaż miał prace pilne. Jeżeli coś otrzymywał przy okazji swojej pracy czy to od sióstr, czy to od innych osób, dzielił się chętnie z innymi czy to na rekreacji, czy też częstował kleryków, którzy do niego z rozmaitych racji przychodzili.

Lubił dowcipy i żarty. Sam czasami na wykładach je opowiadał, ale mu raczej one nie wychodziły. Lubił jednak, jeżeli studentom pod tym względem coś się udawało.

Kontaktów towarzyskich miał niewiele, jednakże te, które nawiązał, były szczere i wierne. W stosunku do grona swoich kolegów na uniwersytecie był szczerze oddany oraz bardzo gościnny. Ile razy odwiedzał go w Bobolanum ktoś, o kim wiedział, że pali, wyciągał z szufladki tytoń, robił maszynką papierosa — bo wtedy był taki zwyczaj — i nim go częstował. Po zakończeniu wizyty odprowadzał każdego gościa do drzwi wejściowych, a na prośbę niektórych, by tego zwyczaju zaniechał mówił: « Ksiądz jest moim gościem ». I każdego ze swoich gości odprawadzał do głównych drzwi kolegium. Odwiedzał też swych kolegów-profesorów w ich mieszkaniu z tą samą życzliwością i koleżeńską prostotą.

Równie życzliwie odnosił się do świeckich — co można stwierdzić na podstawie zapisków, listów lub wspomnień osób jeszcze żyjących. Jeżeli utrzymywał z kimś kontakty towarzyskie, to były one wierne i długotrwałe, a przy tym starał się o odpowiedni poziom duchowy tych, z którymi w łączności pozostawał. Np. p. Karol Pawlas w ten sposób krótko i lakonicznie ten fakt ujmuje: *Po przygotowaniu mnie na drogę życia, ks. Jan Roth udzielił nam ślubu 12 czerwca 1919 r. w kaplicy jezuitów na Kopernika 26 w Krakowie. Odtąd dzielił z nami smutki i radości aż do końca życia.* Wiarogodność tego faktu można stwierdzić na podstawie całego szeregu zachowanych dotąd listów, pisanych od pp. Pawlasów.

Również siostry zakonne, które się z nim spotykały, świadczą, że był dla nich zawsze przyjazny i życzliwy. Zwracają uwagę na jego wyrobienie i ludzkość. Nie widzą w nim wcale przysłowiowego, suchego prawnika. Jeżeli z którymś domem zakonnym bliżej się zetknął, zainteresowanie jego obejmowało nie tylko osoby, które załatwiały z nim urzędowe sprawy, ale również i innych domowników. Tak. np. pewnego razu zauważył, że siostra kucharka miała zniszczone buty. Gdy z rozmowy zorientował się w trudnych warunkach domu, bardzo dyskretnie postarał się, by już na drugi dzień siostra była zaopatrzona w nowe obuwie. Nic też dziwnego, że na dzień jego imienin przychodziło dużo listów z życzeniami, a szczególnie na jubileusz 50-lecia życia zakonnego, 20 września 1937 r. Zachował się pełny wykaz listów i telegramów, które nadeszły w tym dniu, a wiele z nich było życzeniami zbiorowymi z imiennymi podpisami.

O charakterze i usposobieniu o. Rotha bardzo wymownie świadczy jego własny list pisany z Lublina 1 marca 1934 r. do jednego z jezuitów. Między innymi pisze: *Wybaczy mi zapewne Drogi Ojciec moją niedbałość i przyjmie choć spóźnione podziękowanie za przesłanie mi rozprawy Ks. J. Proszę łaskawie jemu podziękować za cenną pamięć o mojej osobie. Jeden miałbym jednak zarzut przeciwko Ks. J., który prosiłbym zakomunikować mu przy sposobności i w delikatny sposób. Otóż Ks. J. korzystał z mojego projektu prawa małżeńskiego, a przede wszystkim przyjął moje oryginalne rozwiązanie problemu pogodzenia ustawy państwowej z prawami poszczególnych wyznań, nie podając źródła, z którego czerpał. To mnie niemało dotknęło. Na plagiaty, jak Ojcu wiadomo, są różne środki. Ja w tym wypadku w prasie nie wystąpię, bo nie chciałbym Ks. J. w jego karierze zaszkodzić, ale drugi raz niech będzie ostrożniejszy, bo nie każdy przepuści mu podobny grzech bezkarnie!*

Jako zakonnik, jezuita, starał się o. Roth wypełniać wiernie swoje obowiązki. O jego wierności względem obowiązków zakonnych świadczy np. taka notatka w jego osobistym dzienniku jako rektora z dnia 21 sierpnia 1914 r.: *Odmówiłem przyjęcia z rąk Prezydium Komitetu Narodowego funkcji kontrolera skarbowego z racji zakazu Piusa X i prawa Towarzystwa Jezusowego.* Szczególnie wysoko cenił sobie zakonną za-

leżność. Nawet w późnej starości, w czasie okupacji, gdy superiorem był młody jego uczeń, W. Holak, nie wahał się przychodzić do niego nawet w drobnych sprawach prosić o zezwolenie. Z życia wspólnego co prawda — szczególnie w okresie międzywojennym — był jakby trochę wyobcowany ze względu na liczne swoje zajęcia i prace. Jednak jego codzienne postępowanie świadczyło, że sprawy wspólnoty zakonnej nie były mu obojętne.

Niektórzy żartobliwie, a inni bardziej na serio uważali, że jako zakonnik ubiera się i ma swoje rzeczy bardzo porządne i może za bardzo eleganckie. Jednak tutaj trzeba wziąć pod uwagę nawyki wyniesione z domu rodzinnego. Ojciec jego był przecież krawcem. Sam o. Roth miał zamiłowanie do porządku oraz przekonanie, że każdy zakonnik powinien być ubrany porządnie, czysto i estetycznie, tym bardziej, że konstytucje jezuickie nie przewidują żadnych zewnętrznych przejawów skrajnego ubóstwa, przeciwnie nakazują, by co do pożywienia, ubioru, mieszkania i innych rzeczy zewnętrznych, sposób życia był « zwyczajny », nie odbiegający od poziomu życia szanujących się kapłanów świeckich. Nie można więc z tego tytułu czynić mu jakiegokolwiek uzasadnionego zarzutu.

Przeglądając jego pisma czy osobiste, czy urzędowe jako rektora, względnie później socjusza, czyli sekretarza osobistego i bezpośredniego współpracownika prowincjała, można podziwiać jego staranność i dokładność w prowadzeniu tych wszystkich spraw. Każdy list jest wykończony, napisany bardzo pięknym pismem tak, że bez trudu i z przyjemnością — nawet dzisiaj — czyta się je. Zamiłowanie to przejawiało się więc nie tylko w rzeczach zewnętrznych, lecz również w jego pracy. Nic też dziwnego, że osoby patrzące z zewnątrz widziały w nim typowego jezuitę.

W ostatnich latach swego życia był wystawiony na szczególnie wielką próbę. Najpierw w 1940 r. w czasie aresztowania i uwięzienia: wówczas zrozumiał, że wskutek jego nierozważnego postępowania i zbytniego zaufania Niemcom wielu współbraci zakonnych zostało zaaresztowanych, umieszczonych w obozie koncentracyjnym, a tym samym narażonych na wielkie niebezpieczeństwo śmierci. Wewnętrznie bardzo to przeżywał. Pomimo to, jak świadczy współwięzień jego celi: *starał się zawsze na zewnątrz zachowywać spokój i wpływać dodat-*

nio na współuwięzionych. Gdy przychodziły wieści o straceniach, rozstrzelaniach i wywożeniach współwięźniów, zawsze zachęcał do cierpliwości, do ufności. Mówił: « *bądźmy cierpliwi, bądźmy spokojni, jeszcze trochę, jeszcze trochę* ». *Ta nadzieja z dnia na dzień nas krzepiła.* W więzieniu nie pozwalał sobie na jakiekolwiek wyjątki. Niczym się nie chciał od innych różnić. Żadnych przywilejów dla siebie nie uznawał, wszystkim, co miał, dzielił się ze wszystkimi. Był on najstarszy w celi, więc zawsze musiał meldować, gdy strażnik wchodził. I nawet wówczas, gdy strażnik zachował się względem niego ordynarnie, on zawsze był spokojny, zrównoważony i odpowiadał z godnością.

Największa jednak próba czekała go w dniach powstania, kiedy to zaawansowana choroba potęgowała i tak już okropne przeżycia. W czasie ostatnich dni Starówki, gdy był na Piwnej u sióstr, według opowiadania siostry Konstancji Kowalewskiej, prawie stale się modlił. Gdy siostry były podenerwowane i chwilami prawie zrozpaczone, dodawał im otuchy i uspokajał, szczególnie gdy powstańcy już się wycofali i Niemcy coraz bliżej podchodzili. Cały czas podtrzymywał je na duchu. Kazał się modlić i sam razem z nimi się modlił. O. Walerian Holak, przełożony w ostatnim okresie jego życia, był razem z nim w czasie powstania na Świętojańskiej, później widział go w drodze do Pruszkowa, w Pruszkowie i wreszcie w Walendowie, w czasie ostatnich miesięcy, stwierdza: *nie słyszałem nigdy jakichś narzekań. Spokojnie i z wielkim opanowaniem znosił swoje cierpienia.* Musiał być duchowo wyrobiony i posiadać silną osobowość, jeżeli z taką godnością potrafił przeżyć ostatnie, może najtrudniejsze chwile swojego życia.

*

* *

Do pracy profesorskiej o. Roth otrzymał gruntowne przygotowanie. Trzyletnie studia filozoficzne zostawiły piętno na jego sposobie myślenia, co nieraz później studenci z uznaniem podkreślali. Widać to było szczególnie przy wykładach filozofii prawa, o czym będzie mowa jeszcze poniżej. Nie bez znaczenia były również czteroletnie studia teologiczne, które mu dawały podkład do studiów prawniczych. Jak świadczą jego studenci, różni się on pod tym względem zasadniczo od

G. Michielsa, u którego teologia praktycznie stała poza nawiasem zasadniczych rozważań, albo przynajmniej była tylko poruszana marginesowo. Natomiast dla o. Rotha, jak można było zorientować się w różnych okolicznościach, podbudowa teologiczna prawa była czymś zasadniczym. Studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, chociaż nieukończone — na pewno nie z jego winy — dały mu dobrą orientację w prawach państwowych, szczególnie w prawie niemieckim. To ostatnie bowiem studiował przez pięć semestrów na Uniwersytecie Jagiellońskim do 1903 r., kiedy to przełożeni odwołali go ze względu na chwilowy wyjazd do Tarnopola, a później na studia prawa kanonicznego do Rzymu. Te ostatnie dopełniły jego podstawową formację kanoniczną.

Po powrocie do kraju w 1906 r. rozpoczyna wykłady z prawa kanonicznego dla kleryków jezuickich w Krakowie. W pracę tę angażuje się całkowicie. W 1914 r., gdy klerycy z powodu działań wojennych wyjechali z Krakowa, umieszcza notatkę w swoim pamiętniku pod datą 24 sierpnia 1914 r.: *Z powodu wyjazdu kleryków czuję okropną próżnię. Chcę się bardziej poświęcić pracy naukowej.*

Po I Wojnie Światowej kontynuuje wykłady z prawa kanonicznego, a od 1922 do 1924 r. także teologii moralnej. Następnie z powodu wyjazdu do Lublina przerywa je na krótko, by znów wrócić do pierwszych z nich w 1926 r., gdy zostało w Lublinie uruchomione Kolegium Bobolanum.

Po zaangażowaniu go w 1924 r. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, rektor tegoż uniwersytetu, J. Kruszyński w liście z dnia 1.7.1925 r. zwraca się z prośbą do prowincjała jezuitów w Warszawie, by ze swej strony ułatwił i przyczynił się do uzyskania przez o. Rotha nominacji na profesora na którymś z uniwersytetów zagranicznych, uznawanych w kraju. « Posiadając taki papier, myślimy zamianować go profesorem nadzwyczajnym i Ministerstwo wówczas to zatwierdzi. Trudno wymagać — jak pisze w tymże samym liście — od ks. J. Rotha, jako człowieka starszego i uczonego, aby przeprowadzał habilitację na jednym z uniwersytetów państwowych ». 3 lipca tegoż roku prowincjał Jankiewicz odpowiada, że przekazał sprawę do rozpatrzenia kompetentnym czynnikom uniwersyteckim w Rzymie.

Uniwersytet Gregoriański, po zapoznaniu się z całością

dorobku naukowego Jana Rotha, w dniu 14.8.1925 r. zamianował go « magistrum agregatum » Wydziału Teologicznego. Na tej podstawie Uniwersytet Lubelski w dniu 30.10.1925 r. przyznał mu tytuł profesora nadzwyczajnego. Na tym stanowisku pracował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim do 1 października 1931 r., kiedy to został mianowany profesorem zwyczajnym i jako taki wykładał aż do wybuchu wojny w 1939 r.

Ponieważ nie mieszkał w budynkach uniwersyteckich, aresztowanie profesorów KUL-u 11.11.1939 r. ominęło go. Do więzienia dostał się dopiero 2.2.1940 r. Po wyjściu z niego przeniósł się do Warszawy i tam, o ile to tylko było możliwe, pomagał księżom, którzy rozpoczęli, a nie mogli skończyć swoich studiów na Wydziale Prawa Kanonicznego przed wojną. Skoro tylko w Warszawie został zorganizowany z inicjatywy prof. Seweryna Kowalskiego Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich, zaraz Jan Roth włączył się do współpracy i z innymi profesorami pod kierownictwem H. Insadowskiego podjął wykłady przewidziane programem Wydziału Prawa Kanonicznego. Wówczas to skontaktował znanych sobie studentów przedwojennych z grupą studiującą, ażeby i oni mogli kontynuować swoje studia. Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich został później włączony do KUL-u w tym sensie, że KUL przejął i uznał wszystkie indeksy, zaliczenia i nadania stopni oraz wciągnął to do swoich ksiąg uniwersyteckich. Na tej też podstawie po wojnie wystawiał dyplomy. Wykłady i ćwiczenia prowadzili w Warszawie profesorowie: H. Insadowski, J. Roth, T. Bensch, J. Baron i okresowo L. Halban. O. Roth wykładał wówczas prawo procesowe, karne, zakonne i sakramentologię. Wykłady najczęściej odbywały się na ul. Śliskiej w mieszkaniu prof. Insadowskiego, a u prof. Kowalskiego były posiedzenia Rady Wydziału i zaliczenia egzaminów, roku itd. Jednak ze względu na niebezpieczeństwo często trzeba było zmieniać miejsce zebrań, dlatego też odbywały się zajęcia w rozmaitych mieszkaniach poszczególnych studentów, którzy dysponowali odpowiednimi warunkami, a i tak niejednokrotnie trzeba było tylnymi drzwiami uciekać w wypadku obstawienia domu przez Niemców. Prawo kanoniczne studiowało wówczas 12 studentów.

Swoją karierę wykładowcy rozpoczął o. Roth wykładając prawo kanoniczne dla kleryków jezuickich na studium teologicznym w Krakowie, później w Lublinie w Bobolanum, które od 28 września 1932 r. uzyskało prawa wydziału kościelnego na poziomie przewidzianym dla wydziałów kościelnych. W tej pracy można zaobserwować pewną ewolucję. Gdy po doktoracie i powrocie z Rzymu zaczął wykłady w Krakowie na teologii, należał — zdaniem ówczesnych swoich słuchaczy — do najnudniejszych profesorów. Z tego powodu nie cieszył się wielkim poszanowaniem. Trzymał się wówczas ściśle skryptu. Siedział przy katedrze, a wzrok miał raczej utkwiony w tekście. Rzadziej chodził po sali wykładowej. Mówił spokojnie, flegmatycznie. Później natomiast, szczególnie po pewnym okresie zaangażowania na uniwersytecie, wykład prawa kanonicznego w Bobolanum stawał się bardziej swobodny. O. Roth zaczął przynosić ze sobą jedynie małą notatkę i kodeks, często chodził po sali, a w wielu wypadkach mówił zupełnie z pamięci. Zawsze wykładał po łacinie, ponieważ wszystkie zasadnicze wykłady były wówczas u jezuitów prowadzone w tym języku. Przez cały okres międzywojenny stale się powtarza we wspomnieniach jego byłych uczniów stwierdzenie, że wykłady jego były jasne, precyzyjne, bardzo praktyczne, związane z życiem. Tak więc nie zajmował się zbytnio teoretycznymi rozważaniami, ale w sposób szczególny zwracał uwagę na sprawy istotne, niezbędne dla pracy kapłańskiej. Teoretyczne i kodeksowe rozwiązania ilustrował bezpośrednimi przykładami z życia. Dosyć powszechnie podkreśla się jego spokój, brak jakiegoś podniecenia czy zdenerwowania. Imponował gruntownym przygotowaniem wykładów i wielką znajomością rzeczy, która dawała mu pewność w prowadzeniu wykładu. Ważniejsze problemy podbudowywał historycznie, ażeby naświetlić rozwój danej instytucji prawnej. Jeżeli w trakcie swojej pracy osobistej jakieś zagadnienie głębiej przepracował i napisał, to oczywiście wówczas posługiwał się skryptem. Robił tak np. w czasie wojny, gdy przygotowywał swoje dzieło z prawa zakonnego do druku. Ze wspomnień byłych uczniów o. Rotha wynika, że z wykładów jego, prowadzonych w latach dwudziestych i trzydziestych, słuchacze byli zadowoleni.

Na uniwersytecie, o ile można to ustalić ze wspomnień jego byłych studentów, Jan Roth wyróżniał się wśród innych profesorów swoją postawą. Mianowicie przedstawiał dość zwartą, spokojną, ale silną indywidualność. Przychodził na wykład zawsze punktualnie, starannie ubrany. Jego odzież była zawsze elegancka, każdy ruch był dystyngowany, wytworny. Wykład prowadził najczęściej stojąc. Rzadko siadał przy katedrze. Miał ruchy opanowane, spokojne, głos zrównoważony, nieraz może monotonny. Wykład modulował siłą głosu, podkreślając w ten sposób zasadniczą myśl i kwestie ważniejsze oraz akcent logiczny. Nigdy się nie unosił. Czasem, gdy spostrzegł brak uwagi ze strony słuchających, swym bardziej ożywionym głosem usiłował wzbudzić zainteresowanie i nakłonić do pilniejszego uczestniczenia w wykładzie. Zdania budował pełne, stylistycznie wypracowane. Nigdy się nie powtarzał. Co było raz wypowiedziane, miało wagę i znaczenie naukowe. Potoczyście, spokojnie rozwijał jedną myśl czy kwestię za drugą. Omyłek w jego wykładzie prawie nie można było dostrzec. Niekiedy sięgał do Kodeksu Prawa Kanonicznego, częściej jednak cytował go z pamięci tak, że nieraz nie zabierał go ze sobą. Wykład miał niemal zawsze charakter pozytywny, egzegetyczny, rzadziej polemiczny.

Ulubionymi jego przedmiotami były: filozofia prawa, prawo procesowe i prawo zakonne. O jego wykładach z filozofii prawa tak mówi I. Subera: *Filozofii prawa nauczył mnie tak, że chyba do dzisiaj tę dziedzinę wiedzy prawniczej dobrze znam i mam opanowaną.* Potwierdzają to J. Modzelewski i M. Myrcha.

Z największym upodobaniem wykładał także prawo procesowe, bowiem w tej dziedzinie odznaczał się wielką znajomością prawa pozytywnego, jak również doświadczeniem nabytym z praktyki sądowej. W wyżej podany sposób wypracował dla następnych roczników już pewien zarys skryptu, który stale uzupełniał, poprawiał i doskonalił. W wykładach z prawa procesowego zasadniczy akcent kładł na dobrą znajomość aktualnie obowiązującego prawa, tu i tam jedynie nawiązywał do historycznego rozwoju ważniejszych instytucji prawnych. Stawiał sobie za cel dobre przygotowanie swoich studentów do praktyki sądowej, której większość z nich miała później się oddać.

W wykładach z prawa zakonnego widać było na każdym kroku, że był znawcą tego przedmiotu. Prawie całe życie w zakresie tego prawa pracował. Tutaj pozwalał sobie na głębsze wykazanie rozwoju historycznego, we wprowadzeniach tych sięgał do najdawniejszych czasów i dochodził do ujęcia współczesnego. W jego wykładzie, szczególnie z filozofii prawa i prawa zakonnego, charakterystyczne było to, że jego sposób przekazywania wiedzy do minimum ograniczał konieczność osobistej pracy studenta w domu. Wykład był komunikatywny, przekonywający, ułatwiający potrzebne skojarzenia i dzięki temu łatwy do zapamiętania. W wielu wypadkach pozostawało jedynie wykorzystanie wskazanej przez niego, uzupełniającej literatury. Z innych przedmiotów wykładał, ze względu na chwilowe potrzeby Wydziału, również prawo osobowe i księgę trzecią o sakramentach, z wyjątkiem prawa małżeńskiego.

Prowadził ponadto ćwiczenia z prawa procesowego i techniki kancelaryjnej. O sposobie prowadzenia wyżej wspomnianych ćwiczeń dowiadujemy się z własnych słów Jana Rotha, zawartych w liście do o. Marcina Czerwińskiego z dnia 23.12. 1925 r., w którym również marginesowo daje poznać, że wykłady nie przychodziły mu zbyt łatwo. Pisze bowiem: *W czwartek trochę swobodniej oddycham, ustała udręka wykładów. Zwłaszcza w tym roku odczuwam cały ciężar profesury, bo po raz pierwszy wykładam o procedurze sądowej. Z mojego stanowiska, jestem dzięki Bogu bardzo zadowolony. Wśród słuchaczy wielki zapał. Po raz pierwszy zaprowadzono na naszym wydziale seminarium praktyczne i jego prowadzenie mnie powierzono.*

W czasie swoich wykładów rzeczywiście chciał studentom jak najwięcej dać ze siebie. Kładł wielki nacisk na ducha prawa, a w prawie zakonnym na ducha właściwego danemu zakonowi. Wszelkie czysto formalistyczne rozwiązania, choćby pochodziły nawet z Kongregacji Rzymskiej, przyjmował pobłażliwie.

W czasie wykładu J. Roth pozwalał, aby wywiązała się raz po raz dyskusja. Nawet lubił, jeżeli ktoś postawił rzeczowe pytanie. Wówczas od razu na nie odpowiadał. M. Myrcha twierdzi, że w czasie studiów pamięta tylko dwa wypadki, kiedy nie dał wprost odpowiedzi, ale wolał się upewnić, ażeby



11. Poznań — kościół Najśw. Serca Jezusowego



12. Piotrków — prezbiterium

nie wprowadzać w błąd. Nigdy jednak nie okazywał niezadowolenia, nie był zaskoczony, względnie zniecierpliwiony, gdy studentowi, szczególnie doktorantom udało się wychwycić coś, co zmuszało go do zmiany stanowiska. Przeciwnie, umiał docenić czynny współudział studentów oraz uzyskane przez nich poprawne wyniki.

Lubił czasami jakieś żarty. Opowiadał je sam, ale — jak już poprzednio było wspomniane — nie zawsze mu wychodziły. Chętnie więc przyjmował jakiś dobry dowcip ze strony studentów — dla odprężenia. Nawet wówczas odnosił się z pełnym szacunkiem do słuchaczy i nigdy nie pozwalał sobie na jakieś żarty osobiste w stosunku do kogokolwiek. Między wykładami robił sobie przerwę na papierosa. Wtedy studenci chętnie mu towarzyszyli w spacerze po długim korytarzu, by porozmawiać na rozmaite tematy.

*
* *

Oczywistą jest rzeczą, że inne kryteria stosował na egzaminach do kleryków jezuickich, gdzie wykładał tylko zarys prawa kanonicznego, a inne do studentów Wydziału Prawa. Trudno w tej chwili odtworzyć, jaki był na egzaminie w pierwszych latach swojej kariery profesorskiej w Krakowie. W Lublinie bowiem, w Bobolanum na podstawie dość licznych świadectw można sobie wyrobić następujący obraz o. Rotha jako egzaminatora. Trudno powiedzieć, żeby był ostry. Wyczuwało się u niego zawsze obiektywną życzliwość. Wymagał jasnych, precyzyjnych odpowiedzi. Nie zdarzało się, żeby uległ zdenerwowaniu, lub okazał jakieś zniecierpliwienie. Czasami tylko słowami wyraził niezadowolenie z powodu niedokładnej i nieścisłej odpowiedzi. Stawiał pytanie jedno, drugie, trzecie dosyć szczegółowe i w wypadku pozytywnej odpowiedzi kończył egzamin.

Jeżeli któryś ze zdających nie dał właściwej odpowiedzi, albo zaczął się plątać, pomocniczymi pytaniami naprowadzał go, względnie sprawdzał, czy orientuje się w zagadnieniu. Nie można było powiedzieć, żeby stawiał pytania tendencyjnie z zamiarem nie zaliczenia egzaminu. Jednak nie był zbyt łagodny, jak wynika z ksiąg Wydziału Teologicznego Bobolanum, obejmujących okres przedwojenny, a zachowanych dotąd. Naj-

częściej stawianymi przez niego notami w skali stopni pozytywnych od sześciu do dziesięciu były: szóstka, siódemka i ósemka. Natomiast stopnie bardzo dobre: dziewiątka i dziesiątka należały do rzadkości. Stawiał też stopnie niedostateczne, jeśli ktoś faktycznie nie umiał. Zdarzało się to raz po raz, co potwierdzają wyżej wspomniane księgi. Mimo to nie był zaliczany do profesorów srogich. Kiedyś, gdy doszła do Bobolanum wiadomość z Krakowa, że tam na Wydziale Filozoficznym o. Siwek jest na egzaminach bardzo ostry i stawia dość często stopnie niedostateczne, o. Roth miał powiedzieć: « Widać, że to jeszcze młody profesor ». Okazywał natomiast duże zadowolenie, gdy egzamin wypadał dobrze.

Oczywistą jest rzeczą, że na Wydziale Prawa Kanonicznego musiał stosować inne kryteria względem studentów specjalizujących się w tej dziedzinie. Tutaj jego rola jako egzaminatora nieco inaczej jest oceniana z punktu widzenia profesora-kolegi, który często był świadkiem egzaminów, a inaczej wypadała ona w opowiadaniach byłych studentów.

P. Kałwa opowiada, że: *Na egzaminach był średnio wymagający. Nie był dokuczliwy. Usiłował naprowadzić studenta, kiedy tamten się błąkał. Wtedy dawał jedno, drugie pytanie, które umożliwiało powrót na właściwą drogę, o ile student orientował się w materiale. Ponadto jako dziekan starał się tak zorganizować okres bezpośrednio poprzedzający sesję i ją samą, by studenci mieli czas na przygotowanie egzaminów.*

W oczach niektórych ówczesnych studentów uchodził za egzaminatora dość surowego. Był wymagający. Stwierdzają oni: « baliśmy się go ». Był nadzwyczaj dokładny. Wymagał ścisłego sprecyzowania. Lubił dość długo egzaminować. Jego opinia jako profesora surowego przetrwała aż do czasów tajnego nauczania podczas okupacji. W ten sposób opowiada o jednym z egzaminów I. Subera: *Przyszedłem na mój pierwszy egzamin z filozofii prawa. Z lękiem do niego podchodziłem. Egzamin trwał dosłownie kilka minut. Postawił mi pytanie. Już dzisiaj trudno mi powtórzyć, jakie ono było, w każdym razie pamiętam, że nie było łatwe. Odpowiedziałem i jego słowa były: « Pięć — dziękuję ». Wyleciałem za drzwi, koledzy mówią: no, następna dwója. Odpowiadam: wyobraźcie sobie, że nie. Dostałem piątkę.*

Inni natomiast studenci z mniejszą obawą podchodzili do jego egzaminów. Opowiada np. J. Modzelewski, który studiował w latach 1927-1930: *Ponieważ grupa studentów nie była zbyt wielka, znał zasadniczo dobrze swoich słuchaczy. Orientował się, w jakim wypadku może podejść do studenta z zaufaniem wiedząc, że on pracuje uczciwie. Nieraz, gdy w trakcie dawania odpowiedzi student nieco się zachwiał, on podsuwał mu pewne myśli. W ten sposób okazywał nie tylko rolę egzaminatora, ale również rolę wychowawcy, naukowca. Nie chciał zrażać. Pragnął bardziej angażować. Dlatego u niego egzamin stawał się jakimś świadectwem i to obopólnym. Z jednej strony stanowił on popis dla zdającego, a z drugiej i pełną satysfakcję dla egzaminatora.*

Przypadkowo w papierach osobistych o. Rotha zachowała się jego osobista karteczka z egzaminu odbytego dnia 24 maja 1943 r. dotyczącego traktatu o sakramentach. Wśród egzaminowanych figurują tam nazwiska: Benscha, Bobera, Myrchy, Pałki, Zubki. Na 16 zdających było wówczas 8 ocen bardzo dobrych, 6 dobrych i 2 dostateczne. Na drugiej kartce również z 24 maja, ale rok jest nieczytelny, figuruje tylko część nazwisk poprzednich. Egzamin obejmuje prawo zakonne. Na dziewięciu zdających oceny wypadły następująco: 5 bardzo dobrych, 3 dobre i 1 dostateczna. Patrząc zatem całościowo na dokumenty świadczące o nim jako egzaminatorze można powiedzieć, że jednak zbyt surowym egzaminatorem nie był.

*
* *

Jeszcze przed pierwszą wojną światową klerycy jezuiccy z teologii zawiązali między sobą sekcję zainteresowań społecznych. Zwrócili się o poparcie do o. Rotha. Wtedy można było poznać, jak szerokie są jego poglądy, jeśli chodzi o tę problematykę. Nie brakowało przecież w owych czasach ludzi, którzy chętnie takie czy inne sformułowania w sprawach społecznych stawiali na indeks. O. Roth chętnie pomagał i popierał zainteresowanie młodych. Przestrzegał ich tylko, gdy chcieli pewne swoje opracowania od razu drukować. Radził każdą decyzję dobrze przemyśleć, by przez nierozważne wystąpienia nie zaszkodzić dalszej swojej działalności.

Podczas swego pobytu w Lublinie trochę trzymał się z daleka od społeczności młodych, może ze względu na swoje zajęcia, a może także z powodu swego usposobienia. Wielu z tej racji wolało do niego nie chodzić. Jednak pewne uprzedzenia czy zastrzeżenia topniały, gdy nastąpił jakiś bezpośredni kontakt. Choć młodzi są zwykle dobrymi obserwatorami, nie było słychać wśród nich opinii ujemnych, krytycznych o Janie Rothcie. Nie mieli zastrzeżeń czy zażaleń. Nie mogli mu zarzucić, że jest niezrozumiały, niesprawiedliwy czy że faworyzuje jednych z uszczerbkiem dla innych.

Przez starszych kolegów-studentów Bobolanum była zawsze przekazywana tradycja, że o. Roth bardzo życiowo i po ludzku rozmaite sprawy traktował i starał się zrozumieć potrzeby młodych. Dlatego też, jeżeli ktoś miał jakieś kłopoty czy trudności, radzono mu, by poszedł poradzić się do o. Rotha. Wówczas jego życzliwe, ojcowskie podejście, pomimo cechującej go powagi, jednało mu serca kleryków. Wielu przyznaje, że « nie tylko szanowaliśmy, ale bardzo kochaliśmy i lubiliśmy go ». Dowodem tego było również nazywanie w kolegium « Papa Roth », jak to już wyżej było wspomniane. Jednakże gdy się do niego przychodziło, należało to zrobić w odpowiednim czasie, by mu nie przeszkadzać w pracy i nie dla błahej sprawy.

Stosunek do studentów Wydziału Prawa Kanonicznego KUL poza uczelnią często ujawniał się przy okazji pobytu ich w czytelni Bobolanum, do której często zaglądał. Wówczas, jeżeli zastał tam kogoś, zawsze zainteresował się pracą. Niekiedy udzielił rad, lub pomógł czegoś odszukać. Świetnie orientował się bowiem w zbiorach i kolekcjach źródeł historyczno-prawnych oraz patrystycznych. Jeżeli zachodziła potrzeba, skontaktował danego studenta z dyrektorem Biblioteki, ażeby mu ułatwić korzystanie ze zbiorów.

Również w stosunku do studentów z innych uczelni, zwracających się do niego po radę, względnie pomoc, odnosił się bardzo życzliwie i utrzymywał nawet z nimi przez dłuższy czas korespondencję.

ks. Felicjan Paluszkiewicz SJ

DOM PISARZY

Dom Pisarzy Towarzystwa Jezusowego w Warszawie zawdzięcza swoje istnienie życzliwości Piusa XI, który ten obiekt ufundował i w sposób nie budzący wątpliwości określił jego przeznaczenie. Gdy były nuncjusz Stolicy Apostolskiej w Polsce, Achilles Ratti, został papieżem, chciał w sposób konkretny okazać swoją sympatię narodowi polskiemu. Sprezentował Warszawie, w której żył i pracował, katolicki dom wydawniczy, który według intencji Fundatora, miał stać się ośrodkiem pracy intelektualnej oraz apostołowania przez książkę i prasę. Ponieważ darzył przy tym wielkim zaufaniem Towarzystwo Jezusowe, placówkę tę postanowił oddać warszawskim jezuitom. Przekazał im na jej budowę sumę 1 miliona lirów, z której później 200 000 lirów przekazano Prowincji Małopolskiej na budowę domu rekolekcyjnego w Częstochowie.

Po dłuższym poszukiwaniu odpowiedniego placu, staraniem o. Błażeja Jabłońskiego, znaleziono odpowiedni teren w sąsiedztwie ogrodów miejskich przy końcu ulicy Rakowieckiej. Wytyczono kamieniami zarys przyszłego ogrodu oraz budynku, posadzono drzewa i przystąpiono do budowy. Plany gmachu sporządził architekt Andrzej Bonni. Roboty nadzorował br. Marcin Malik TJ. W roku 1933 zaczęto kopać fundamenty, a w dwa lata później gmach już stał. Otwarcie Domu Pisarzy nastąpiło jesienią 1935 r. Jego pierwsza ekipa składała się z ośmiu ojców oraz pięciu braci.

Gdy przybyli na Rakowiecką, budynek był jeszcze nie wykończony. Brakowało przy tym nawet podstawowego sprzętu. Pierwszą wieczerzę spożyto na rozścielonych na stole papierach. Nie było obrusów. Nie było talerzy. 24 września, w święto Matki Bożej od wykupu niewolników, zostały w miejscowej kaplicy odprawione pierwsze Msze święte.

Uruchomione wydawnictwo tłoczyło we własnej drukarni nie tylko książki, ale jeszcze kilka czasopism: *Misje Katolickie*,

Moderator, Myśl Rekolekcyjna, Oriens, Przegląd Powszechny, Sodalis Marianus oraz *Wiara i Życie.*

Obok wydawnictwa prowadzili kapłani pracę apostolską w miejscowej kaplicy. W 1938 r., po kanonizacji św. Andrzeja Boboli, spoczęły tutaj pod wielkim ołtarzem — po tułaczce z Połocka do Instytutu Higieny w Moskwie, z Moskwy do Rzymu — relikwie Świętego.

Z chwilą wybuchu II Wojny Światowej wydawnictwo zamarło. W czasie działań wojennych, we wrześniu 1939 r. dom zostaje uszkodzony. Zostają także częściowo zniszczone maszyny drukarskie. Podczas okupacji o publikowaniu czegokolwiek nie było mowy. Udało się jednak zaplombowane przez Niemców zapasy papieru przekazać na potrzeby Polski podziemnej. Poza tajnym nauczaniem, cała praca ograniczyć musiała się z konieczności do konfesjonału i ambony. Jan Hoppe, w swoich Wspomnieniach, opublikowanych w Londynie w 1972 r. tak obrazuje tę pracę: *W Warszawie często chodziliśmy do kościoła OO. Jezuitów na Rakowieckiej. Tam, podczas niedzielnej mszy świętej słuchaliśmy kazań natchnionego mówcy, ojca Kosibowicza. Był to wielki mistrz słowa i umiejętnie zamaskowanej retoryki patriotycznej.*

Mówił, na przykład, o Fauście, ale każdy inteligentny słuchacz rozumiał, że mowa tu o Hitlerze. A pod kaplicą chodzą żandarmi. Kaznodzieja doprowadza słuchaczy do najwyższego napięcia, wszyscy śledzą bieg losu Fausta-Hitlera, aż wreszcie od ołtarza padają przejmujące swym dramatycznym wyrazem słowa: « W tej chwili Małgorzata pada na kolana i błaga Boga, by Faust wreszcie odnalazł właściwą drogę! Amen ».

Wraz z Tomaszem silnie przeżywaliśmy te aktualne nauki płynące z Kościoła i zauważyliśmy, że wraz z nami słucha ich w skupieniu wielu ludzi, o których wiedzieliśmy, że nie należą do grona praktykujących katolików.

Ojciec Kosibowicz często mówił o życiu prawdziwie ludzkim, wolnym od służalczości, o potrzebie uniwersalnego spojrzenia na człowieka, o wysiłkach gospodarczych i o ekonomii, która traci sens, jeśli traci z oczu człowieka.

W czasie Powstania dom zostaje spalony po masakrze jego mieszkańców w dniu 2 sierpnia. Po skończeniu działań wojennych budynek został doprowadzony do stanu używalności i obok pisarstwa znalazła w nim schronienie trzecia probacja

oraz Kuria Prowincjalna. Od zakończenia wojny zaczął także spełniać funkcję, dla której został ufundowany, tzn. rolę katolickiej oficyny wydawniczej. Od grudnia 1947 r. wychodzi znowu *Przegląd Powszechny*. Wszystko to jednak trwało krótko. Już w 1948 r. trzeba było zwinąć drukarnię, a w 1951 r. zawiesić wydawnictwo książek, w styczniu zaś 1953 r. ukazał się ostatni już numer *Przeglądu Powszechnego*.

W sumie otwarte w 1935 r. wydawnictwo miało krótki żywot. Działało cztery lata przed wojną i sześć lat po wojnie. Wydało, nie licząc czasopism, zaledwie 97 pozycji. Największym powodzeniem cieszyła się *Apologetyka podręczna* ks. Stanisława Bartynowskiego. Oprócz czterech wydań, w latach 1920-1923 w Wydawnictwie Apostolstwa Modlitwy w Krakowie, doczekała się ona dwu wznowień w 1939 r. oraz po jednym wydaniu w latach 1947 i 1948. Do ciekawszych pozycji przedwojennych należały niewątpliwie prace psychologiczne H. Haluszki: *Adam i Ewa, Słuchaj Ewo, W cztery oczy;* P. Kettera: *Chrystus a kobiety;* M. Morawskiego: *Wieczory nad Lemanem;* P. Siwka: *Wędrówka dusz,* oraz świetna książka apologetyczna dla młodzieży: T. Totha: *Z tajników przyrody.* Z literatury powojennej wypada przypomnieć: A. Kisiela: *Ku pełni chrześcijaństwa;* J. Rosiaka: *Syn Człowieczy* i St. Tworkowskiego: *Miłość i bohaterstwo.*

Praca publicystyczna w latach powojennych nie była łatwa. Dały się odczuć najpierw braki personalne. Spośród pierwszej trzynastki, która zamieszkała tu we wrześniu 1935 r., o. Bronisław Bojułka został rozstrzelany wraz z innymi jezuitami, w Grudziądzu, w październiku 1939 r. W tym samym czasie zginął we Wrocławiu br. Teodor Podobieński. O. Jan Pawelski został zamordowany w krypcie na Rakowieckiej. O. Stanisław Podoleński zmarł 13 stycznia 1945 r. w Dachau. Ponadto wymordowano wielu z tych, którzy zasilali wydawnictwo w latach późniejszych. Pośród nich o. Edwarda Kosibowicza, redaktora *Przeglądu* i o. Czesława Sejbuka, redaktora *Misji Katolickich.*

Bardziej od braku ludzi utrudniała pracę wydawniczą, a później zadecydowała o jej likwidacji, planowa akcja zmierzająca systematycznie do unicestwienia w publicystyce wszystkiego, co nie służyło materializmowi. Doskonałym narzędziem była tutaj cenzura, przekreślająca każdą pozycję, jeżeli świa-

topoglądowo kolidowała z marksizmem. Zeszyty *Przeglądu* stawały się z miesiąca na miesiąc cieńsze i ukazywały się z coraz większym opóźnieniem.

Od roku 1952 udzielił Dom Pisarzy gościny Wydziałowi Teologicznemu Bobolanum, który wysiedlony z Lublina w 1939 r. siedział kątem w kolegium w Krakowie.

Jako przedstawicielka Domu Pisarzy przetrwała jedynie biblioteka. Zdewastowana podczas Powstania liczyła po wojnie nie więcej jak 5 do 6.000 tomów. W 10 lat później liczy ich 75.000. W 1965 r. — 110.000. Obecnie posiada Biblioteka Pisarzy (nie licząc dubletów) 128.000 woluminów.

Skoro fundacja Piusa XI nie może oddziaływać przez własne wydawnictwa, służy społeczeństwu przez udostępnianie druków nagromadzonych w bibliotece. Korzystają z niej nie tylko jezuici, ale i ludzie świeccy: studenci, publicyści, pracownicy przeróżnych instytucji. Stoi otworem dla wszystkich, bez względu na przekonania religijne czy światopoglądowe.

Biblioteka Pisarzy jest w zasadzie biblioteką ukierunkowaną i gromadzi przede wszystkim rzeczy przydatne do studiów i prac apostolskich. Oprócz tego posiada kolekcję dzieł podstawowych, jak leksykony, encyklopedie, bibliografie..., 30-40% zawartości magazynu stanowią książki w językach obcych.

Od lat już trzydziestu istnieje przy Bibliotece Pisarzy zespół literatury popularnej przeznaczonej dla najszerszego grona czytelników. Jego celem jest rozpowszechnianie dobrej książki. Aktualnie zespół ten liczy 14.000 książek i broszur oraz 48 tytułów czasopism. W 1975 r. skorzystało z tego wyodrębnionego zespołu literatury katolickiej 550 osób, które w sumie wypożyczyły 5.666 tomów.

Obecnie, niemal na 40-lecie otwarcia domu, rozpoczął działalność przy Bibliotece Pisarzy, Punkt Informacyjny Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie. Ponieważ pierwszorzędnym celem Towarzystwa jest służba Kościołowi Chrystusowemu, a poza tym dla uszanowania pamięci Fundatora, udostępniono lokal instytucji papieskiej, która chce służyć Kościołowi w Polsce i polskiemu społeczeństwu.

Straty bowiem, jakie poniosła nasza kultura narodowa, zwłaszcza w czasie ostatniej wojny, spowodowały konieczność poszukiwania materiałów źródłowych dotyczących Polski poza

granicami kraju. Szczególnie bogate w polonica są archiwa oraz biblioteki watykańskie. Znajdujące się tam materiały mają zasadnicze znaczenie dla rekonstrukcji historii Polski.

W celu wydobycia, uporządkowania, opracowania i udostępnienia tych materiałów działa w Rzymie od 1958 r., z inicjatywy kard. Stefana Wyszyńskiego, Instytut Studiów Kościelnych. Organizację i kierownictwo ośrodka powierzono jezuitom Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej. Pionierską pracę przy powstaniu tej placówki wykonał ks. Eugeniusz Reczek SJ, o którym piszemy osobno.

Obecnie Instytut w Rzymie dysponuje już kilkoma milionami klatek mikrofilmu opracowywanymi w repertoriach chronologicznym, encyklopedycznym i topograficznym. Dokąd jednak materiały te znajdowały się tylko w Rzymie, możliwości korzystania z nich dla wielu sprowadzały się praktycznie do zera. Dlatego powołano do życia Punkt w Warszawie. Ma on pełnić rolę placówki informacyjnej. Dysponuje, poza własnymi zbiorami, literaturą przedmiotu, inwentarzami, katalogami i przewodnikami.

Punkt w Warszawie ma podjąć podobne funkcje, jakie pełni macierzysta placówka w Rzymie: udostępnić zmikrofilmowane materiały archiwalne oraz udzielać informacji o postępach i wynikach prowadzonych kwerend czy planowanych prac tak samego Instytutu, jak i innych ośrodków naukowych działających na terenie Rzymu. Tak więc dalej, pomimo przeróżnych trudności oddana Towarzystwu fundacja Piusa XI stara się według aktualnych możliwości realizować zadanie jakie jej powierzono. Być ośrodkiem pracy intelektualnej oraz apostołowania przez książkę i prasę.

ks. Stanisław Wawryn SJ

DUSZPASTERZ I PISARZ

Ojciec Jan Rostworowski urodził się 8 listopada 1876 r. w Górce Narodowej pod Krakowem. Ojciec, Feliks, był synem oficera z czasów Napoleona I, a matka, Jadwiga, pochodziła bezpośrednio z dwóch znanych rodzin szlacheckich: Rostworowskich i Popielów, z których wywodzi się sporo wybitnych jednostek i szereg powołań zarówno zakonnych jak i kapłańskich, a wśród nich i abp warszawski Wincenty Popiel. Całą młodość spędził w tejże Górce, pod okiem swej mądrej i pobożnej matki. Stąd uczęszczał do gimnazjum im. Sobieskiego w Krakowie, gdzie w 1893 r., mając lat 16, złożył maturę i udał się na uniwersytet do Fryburga w Szwajcarii. Tutaj rozpoczął studium filozofii. Po roku wrócił do Krakowa i zapisał się na Uniwersytet Jagielloński.

I w tym właśnie okresie budzi się w nim i dojrzewa powołanie do Towarzystwa Jezusowego. Ks. abp Popiel, który w 1895 r. udał się do Rzymu « ad limina », zabrał ze sobą młodego Janka i prosił Leona XIII o « zbadanie » jego powołania. Papież go « przeegzaminował » i potwierdził wewnętrzny głos Boży. Jan Rostworowski nie waha się już teraz ani chwili. Opuszcza Górkę, uniwersytet i wstępuje do nowicjatu w Starejwsi, gdzie odbywa później również tzw. retorykę. W latach 1898-1900 studiuje filozofię w Nowym Sączu, a od 1900 do 1904 teologię w Krakowie. Tu w czerwcu 1903 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk abpa Popiela, a tuż po skończeniu teologii został profesorem w Kolegium w Nowym Sączu. W 1912 r. objął rektorat kolegium zakonnego w Starejwsi pod Brzozowem, a w roku następnym był już rektorem w Chyrowie. Tu 15.11.1914 aresztowali go Rosjanie i zesłali najpierw do Tomska później do Kuźniecka na Syberii.

W 1919 r. wrócił do kraju i osiadł w swoim Krakowie, przy ul. Kopernika, gdzie przez jakiś czas był rektorem domu i wykładał teologię; głównym jednak jego zajęciem było reda-

gowanie różnych czasopism religijnych, kierownictwo duchowe zakonnej grupy pisarzy oraz wydawnictwo. Jesienią 1935 r. przybył do Warszawy, gdzie przy ul. Rakowieckiej, jako przełożony otworzył nowy dom dla pisarzy. W roku następnym objął superiorstwo rezydencji przy ul. Świętojańskiej i zajął się już niemal wyłącznie pracą duszpasterską. W latach 1941-1944 był przełożonym domu w Otwocku i tzw. instruktorem młodych kapłanów Zakonu. W 1945 r. został superiorem rezydencji w Poznaniu. Od roku zaś 1948 osiadł na stałe w Warszawie przy ul. Rakowieckiej, gdzie poświęcił się głównie — a z czasem nawet wyłącznie — pracy pisarskiej. I tutaj umarł 13 stycznia 1963 r.

*
* *

Na jego przeszło pięćdziesięcioletnią działalność składają się różne prace, ale niemal zawsze o charakterze religijnym. I tak był on rzecznikiem kanonizacji bł. Andrzeja Boboli i promotorem jego kultu. Traf zrządził, że już w 1917 r. w Połocku brał udział w ceremonii przełożenia do nowej trumny ciała Męczennika, które zachowało się przez wieki nietknięte i które on sam z kurzu oczyszczał. Kiedy zwłoki wydane Stolicy św. przez władze radzieckie przewieziono do Rzymu, on tam zaświadczył o ich autentyczności. Odtąd słowem i piórem czynił wszystko, aby przyśpieszyć uroczystą kanonizację Andrzeja i sprowadzić jego ciało do kraju. On ufundował Świętemu nową trumnę i zorganizował polską pielgrzymkę do Rzymu na uroczystości kanonizacyjne, których przebieg sam później przez radio wyjaśniał. Przygotował wreszcie uroczystości towarzyszące powrotowi ciała św. Męczennika do kraju.

O. Jan założył w Polsce liczne sodalicje Najśw. Maryi Panny, zarówno w miastach jak i po wsiach. Niektóre z nich sam prowadził. Opracował dla nich osobny przewodnik. Pisał artykuły i rozprawy, redagował pisma tych kongregacji. Wśród inteligencji polskiej szerzył w ten sposób nie tylko kult NMP, lecz urabiał również prawdziwie katolicką elitę. Był także pionierem nabożeństwa do Serca Jezusowego w naszym kraju. Zakładał ośrodki Apostolstwa Modlitwy. Redagował jego organ: *Posłaniec Serca Jezusowego.* W ramach tego ruchu uwzględniał szczególnie dzieło poświęcenia rodzin Sercu Jezusowemu i napisał na ten temat rozprawę.

W życiu zakonnym pełnił o. Jan liczne i różnorodne funkcje; dwa są jednak, rzec można, narzędzia, z którymi w swej pracy kapłańskiej prawie nigdy się nie rozstawał: żywe słowo i pióro.

*
* *

Pisać zaczął dość wcześnie, bo już w latach studiów zakonnych, a zwłaszcza pod koniec teologii. Swoją pracę publicystyczną kontynuował i na katedrze teologicznej. Pisał artykuły i większe rozprawy, jak np.: *Liberalny katolicyzm, Z nowych kierunków myśli katolickiej, Rozmowy o Bogu, Poświęcenie rodzin Sercu Zbawiciela.* Redagował pismo sodalicyjne. W syberyjskiej samotni napisał znane *Obrazki z życia Zbawiciela.* Gdy wrócił do kraju (w 1919 r.), jeszcze bardziej poświęcił się pracy publicystycznej i pisarskiej.

Aż do 1936 r. kierował wydawnictwem Zakonu i grupą pisarzy. W tym czasie wydał większe dzieła: *Charakter i znaczenie biskupstwa w pierwszych dwóch wiekach dziejów Kościoła i Przewodnik Sodalicyj Mariańskich.* Ojciec Rostworowski redagował również przez czas krótszy czy dłuższy czasopisama: *Sodalis Marianus, Posłaniec Serca Jezusowego, Głosy Katolickie, Wiara i Życie, Moderator i Przegląd Powszechny.* Artykuły zaś, recencje i notatki, jakie zamieszczał w różnych periodykach, idą w setki. Po dłuższej przerwie (1936-1948 r.), jak już wspomniałem, wrócił znowu do Warszawy. Tu oddał się głównie pracy pisarskiej, a od roku 1956 — prawie wyłącznie. W tym ostatnim czasie spod jego pióra wychodzi szereg większych dzieł oryginalnych oraz kilkanaście tłumaczeń dzieł obcych i to takich klasyków katolickiej literatury, jak: św. Ignacy, de Ponte, Lallemant, Poulain, Scheeben. Prace te znajdują się w maszynopisie.

Ojciec Jan był teologiem z powołania. Interesowały go z jednej strony niezgłębione tajemnice objawiającego się nam Boga, a z drugiej — wielkie idee i prądy nurtujące ludzkie umysły i serca oraz nadzwyczajne postacie i fakty dziejowe, w których widział niejako wypowiedzi Boskiej Opatrzności. Stworzyć miał nawet oryginalną syntezę teologiczną, do której natchnienie czerpał tak od św. Tomasza jak i od Suareza. Niestety — jak mi opowiadano — cały ten koncepcyjny dorobek własnymi rękami spalił. Przyczyny? Ostre krytyki,

podejrzenia o modernizm, może zastrzeżenia przełożonych czy po prostu jakieś przykre nieporozumienie i zbyt pochopna reakcja autora — nie wiadomo. Faktem jest, że do prób tworzenia nowej koncepcji czy naukowej syntezy nie powrócił już nigdy.

*

* *

Ojciec Jan był kapłanem « niepoprawnie » polskim. Karczował, orał grunt rodzimy i obsiewał go słowem Bożym. Śledził i badał religijne potrzeby naszego społeczeństwa. Dokonywał oceny katolicyzmu polskiego i obmyślał środki zaradcze. Uprawiał nie tyle teorię czy wiedzę teologiczną, ile raczej umysły i sumienia ludzi żywych.

Co było lepsze? Bóg to raczy wiedzieć. W każdym razie nie trzeba wcale sądzić, że ten nowy, bardziej praktyczny kierunek pracy nie odpowiadał jego umiłowaniom czy właściwościom jego myśli i pióra. Pióro to potrafiło przemawiać i do umysłów wytrawnych i do prostych serc czy sumień ludzkich z taką samą jasnością i siłą przekonania. Ojciec Jan był zapatrzony w świat Boży i sprawy ludzkiego ducha, i z dziwną intuicją chwytał ich sens i piękno. Jego pióro dziwnie przybliżało te wartości, ujawniało je, czasem jakby je rzucało przed zaskoczone, zdziwione czy nawet wprost przerażone oczy czytelnika. Czytelnik mógł mieć niekiedy wrażenie, że to, co czyta w danej chwili, nie godzi się lub wprost kłóci z tym, co przeczytał u ojca Jana gdzie indziej i przy innej okazji. Występowało to tym wyraźniej, że nasz Autor nie miał zwyczaju kryć omawianej prawdy za « uczonym » rusztowaniem różnych cytatów, odnośników, przypisów i autorytetów.

Nawet gdy zmieniał niekiedy zdanie — przed czym nie miał wcale lęku — czynił to w sposób swoisty: bez uprzedzania, bez szukania łagodnych, ostrożnych przejść, nawet bez wyjaśniania poprzednich poglądów czy pomyłek. Nie przychodziło mu chyba na myśl zajmowanie się tym, co sam kiedyś stworzył czy sformułował. Zapatrzony raczej w przyszłość i w to, co było do zrobienia, przedstawiał po prostu rzecz tak, jak ją aktualnie widział. I nic więcej. Przyszły biograf, być może, weźmie mu to za złe. Lecz o to nie dbał, jeśli w ogóle kiedykolwiek nad tym się zastanawiał.

Są ludzie spoza Zakonu, którzy stawiają o. Jana w rzędzie

najwybitniejszych pisarzy katolickich w Polsce XX wieku. Pragnę tu zaznaczyć tylko jedno: za pióro chwytał on litylko wtedy, gdy wymagała tego aktualna potrzeba, gdy brakowało sposobności do głoszenia żywego słowa, lub gdy władze zakonne poleciły mu pisać.

Faktycznie jednak najznaczniejszy okres swego życia poświęcił apostolstwu żywego słowa i pracy duszpasterskiej. Oto bardzo szczegółowa jej statystyka: wysłuchał w życiu 69.557 spowiedzi, odprawił 21.331 Mszy św., wygłosił 3.143 kazań, egzort i konferencji, dał 534 serii rekolekcji publicznych z 6.888 naukami. Nota bene, cyfry te — poza pierwszą, którą przez kilka lat podawał w przybliżeniu — można uważać za bardzo dokładne. W swym kapłańskim pamiętniku sam je codziennie skrzętnie notował i sumował. W prawdziwe zdumienie wprawia cyfra: ponad 10 tysięcy różnego rodzaju nauk, które w druku dałyby kielkadziesiąt, jeśli nie paręset tomów!

*
* *

Wiódł życie ogromnie ruchliwe. Wyprawami apostolskimi, które liczyć trzeba na setki, przeorał całą Polskę wzdłuż i wszerz. Terenem jego pracy stały się także Rosja, Łotwa, Litwa, Niemcy, Francja, Austria, Węgry, Włochy i Jugosławia. Celem tych wypraw — w kraju i za granicą — były przeważnie rekolekcje. Najmilsza to chyba była dla ojca Jana praca kapłańska. Tych świętych ćwiczeń, które trwały też różnie — od dni 3 do 30-tu — słuchały w osobnych zazwyczaj grupach: młodzież gimnazjalna i akademicy, nauczycielstwo, lekarze i oficerowie, zakonnicy i zakonnice, kapłani, profesorowie uniwersytetu i biskupi.

Działał również przez kontakty osobiste: w konfesjonale, w swej celi i rozmównicy. Osób gadatliwych, które się wybierały do niego na dłuższe « pogwarki », umiał się pozbyć w ciągu paru minut. Kiedy jednak przychodził ktoś z prawdziwą potrzebą czy rozterką duchową — wszystko przerywał, słuchał życzliwie i z zajęciem, jak gdyby nic innego nie miał do roboty. Sam mówił raczej mało, w miarę i dyskretnie, ale trafiał chyba do serca, skoro jego słowa i po dziesiątkach lat jakże żywo nieraz wspominano. Jego korespondencja obejmowała rocznie tysiące listów. Listami i kartkami, które

pisał na maszynie lub ręcznie, obdzielał wszystkich. Rzecz prawie nie do wiary, skąd ten człowiek brał czas na to wszystko!

Wywierał ojciec Jan bez wątpienia, jakiś dziwny, głęboki wpływ na słuchaczy. Poruszał słowem ich umysły, pociągał, czasem porywał serca, wstrząsał sumieniami. Wkraczał jakby mimo woli i nieuchronnie w życie swoich słuchaczy. Prostował, zmieniał nawet ich życiowe drogi. Czemu to wszystko przypisać? Na słuchacza działać musiała już sama postać mówcy: jego spokojne, myślące i jakby zapatrzone czy rozmodlone oczy — ascetycznie rzeźbiona, skupiona i « uciszona » twarz — postawa skromna, a swobodna, przy ołtarzu zaś i na ambonie pełna jakiejś duchowej dystynkcji.

Widziano w nim mistrza słowa. Nie był jednak retorem — który głosi, jeśli nie siebie wprost, to swoją wiedzę i na własną miarę przykrojoną sztukę. Rzadko używał przykładów, które słuchacze tak chętnie chłoną, nie ukazywał dramatów, które wywołują napięcia, nie rzucał paradoksów, które bawią, budzą sensacje, dreszczyki. Nie był też aktorem, który uruchamia z rozmysłem i na zimno cały arsenał zewnętrznych środków ekspresji.

Czym więc « brał » swych słuchaczy i widzów, czym ich tak głęboko poruszał i wywierał wpływ, któremu nieraz oprzeć się nie mogli również ci obojętni, dalecy? Co było istotną sprężyną owych wewnętrznych przełomów, powołań, nawróceń, do których wielu się przyznaje i które z jego słowem łączy? Nie miejsce tu na szerszą analizę. Ale stwierdzić można krótko: ojciec Jan był autentycznym rzecznikiem prawd ewangelicznych, uczył sztuki przedzierania się przez osłony i zapory zjawisk ziemskich do kryjącego się za nimi świata nadprzyrodzonego. Jeśli jego słowa otwierały nieznane perspektywy i zbliżały tak bardzo świat Boży — to działo się to dlatego głównie, że mówca głosił Tego, który jego samego « urzekł ».

*

* *

Nie czas na pełne sumowanie, na robienie bilansu tak długiego i pracowitego życia. Do robienia tego rodzaju obrachunków ten szkic nie ma żadnej pretensji. Za ciasne są na to ramy jednego artykułu. Nic prawie nie wspomniałem

np. o jego akcji charytatywnej wśród ubogich czy o ratowaniu Żydów w czasie hitlerowskiej eksterminacji. Ale i z tego bodaj, skromnego obrazu jego działalności apostolskiej wnosić można, jak daleko i głęboko sięgał wpływ o. Rostworowskiego na katolickie społeczeństwo polskie. Nie dziw tedy, że kiedy schodził ze swego posterunku, odezwały się z różnych stron głosy szczerego podziwu i wdzięczności: to prawdziwy apostoł, wychowawca katolickiej inteligencji i duszpasterz, przyjaciel polskiego duchowieństwa! Głosy te nie są chyba dalekie od prawdy.

ks. Felicjan Paluszkiewicz SJ

TYTAN PRACY

Eugeniusz Reczek przyszedł na świat 25 grudnia 1916 r. w Nowym Sączu, w czasie gdy w miejscowej parafii odprawiano właśnie Pasterkę. Tajemnica stajenki betlejemskiej była udziałem rodziny Reczków. W domu panował niedostatek. Brakowało nawet rzeczy najbardziej niezbędnych do życia. Gdy dwunastoletni Eugeniusz zapragnął złączyć się z Towarzystwem Jezusowym i służyć Bogu w szeregach Ignacego z Loyoli, matka poszła omówić warunki przyjęcia syna do Małego Seminarium, które prowadzili miejscowi jezuici. Okazało się wtedy, że nie stać jej na opłatę, jakiej od niej żądano. Jeżeli nie ma pieniędzy, niech uczy syna na szewca, a nie na księdza — powiadali ludzie. Dla kilkunastoletniego chłopca, który czuł w sobie głos Boży, głos powołania, rzeczywistość ta musiała być bardzo bolesna. Ale w ogniu doświadcza się żelazo. Pan Bóg potrafi pisać prosto i na liniach krzywych. Skoro nie udało się Reczkowi dostać do jezuickiego Małego Seminarium w Nowym Sączu, szukał szczęścia gdzie indziej. Dowiedział się, że o. Maksymilian Kolbe otworzył w Niepokalanowie Małe Seminarium Misyjne. Sąsiedzi urządzają składkę, aby kupić to, co najpotrzebniejsze i ostatecznie w 1930 r. rozpoczyna Eugeniusz w Niepokalanowie naukę jako uczeń czwartej klasy liceum humanistycznego.

Warunki w Niepokalanowie były spartańskie. Bł. Maksymilian Kolbe to człowiek, który mierzył siły na zamiary. Na początku istnienia Małego Seminarium Misyjnego nie było tam nawet łóżek. Wychowankowie musieli spać w baraku na podłodze. Gdyby jednak nie to Małe Seminarium niejeden z chłopców, a może i olbrzymia ich większość, nie mógłby śnić o nauce.

12 maja 1934 r. Reczek kończy siódmą klasę gimnazjum humanistycznego w Niepokalanowie. Czując dalej powołanie do jezuitów, 10 października wstępuje do Towarzystwa i od-

bywa dwuletni nowicjat w Albertynie. Ponieważ chce pracować wśród unitów, zostaje przydzielony do grupy jezuitów obrządku bizantyjsko-słowiańskiego. Po dwuletnim nowicjacie kontynuuje naukę w Pińsku. Przed rozpoczęciem studiów filozoficzno-teologicznych musi zdać maturę. Ponieważ program nauki w Niepokalanowie był humanistyczny, a w Pińsku prowadzili jezuici gimnazjum klasyczne, decyduje się na powtórzenie klasy siódmej, aby uzupełnić braki z języka greckiego. Zdał maturę na rok przed wybuchem II Wojny Światowej. Następnie młody jezuita wyjeżdża na filozofię do Krakowa. Wakacje w 1939 r. spędza w Papieskim Seminarium Wschodnim w Dubnie na Wołyniu. Tutaj zastaje go wojna i tutaj też usiłuje kontynuować rozpoczęte studia filozoficzne. 20 października, w piątek, przychodzi polecenie opuszczenia domu. Seminarium otrzymuje, jako lokal zastępczy, czteropokojowe mieszkanie z ciasną kuchnią. Następuje gorączkowa przeprowadzka. Najwięcej ambarasu jest z bliblioteką, a Reczek został właśnie bibliotekarzem. Już w następny piątek druga eksmisja, którą udaje się odwlec do wtorku, 31 października. Wszyscy mieszkańcy Papieskiego Seminarium muszą teraz szukać schronienia po prywatnych mieszkaniach.

W listopadzie próbuje Eugeniusz przez « zieloną granicę » przedostać się do Krakowa. Plany nie udają się. Po przeszło miesięcznej peregrynacji, od 9 listopada do 16 grudnia, wraca zziębnięty i głodny do Dubna. Ucieczki do swoich będzie próbował jeszcze wielokrotnie. Zawsze jednak daremnie. Podejmuje pracę w cegielni. Praca jest ciężka. Zima niełaskawa. Mrozy dochodzą do 30° C. Śniegi, zamiecie, brak żywności. W lutym wyrusza do okolicznych wiosek po żywność dla siebie i współbraci. Pomimo dalekiej wędrówki wraca z niczym. Gospodarze nie chcą pieniędzy. Uznają jedynie handel wymienny.

Wyczerpany organizm upomina się o swoje. Tymczasem Reczek nie oszczędza się. Nie może się oszczędzać. Jako pracownik cegielni zostaje nawet stachanowcem. To pozwala mu podjąć walkę o prawo robotników do zaspokojenia głodu oraz do ubrania. Sam czuły na ludzką niedolę, dzieli się wszystkim, co ma. Gdy zobaczył przemarzniętego jeńca, zdjął z siebie serdak i oddał go żołnierzowi; gdy jakaś ruska rodzina przy-

niosła dziecko do chrztu i uskarżała się, że nie ma pieluszek dla dziecka, oddał na pieluszki swoje prześcieradło.

Pomimo nie sprzyjających życiu zakonnemu warunków nie zapomina ani na chwilę, że jest jezuitą. Gdy nadszedł styczeń, pamięta o trzydniowym skupieniu i o odnowieniu ślubów. Przeżywa głęboko pragnienie kapłaństwa. Widzi jego służebną wartość człowiekowi tamtych dni. W czerwcu 1941 r., po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, pozwolono na naukę religii. Przez 7 miesięcy uczy jej w Radowie k. Dubna, szczęśliwy, że przynajmniej w jakimś stopniu może nieść Boga ludziom. Metropolita Szeptycki był wprawdzie gotów udzielić Reczkowi święceń kapłańskich, pomimo iż ten nie miał wymaganych przez prawo studiów, ale ostatecznie do tego nie doszło.

Później, gdy nastapiła ewakuacja w związku z powracającym frontem niemiecko-radzieckim, los rzuca Reczka na roboty do Niemiec. Miał szczęście, że nie wylądował w którymś z obozów zagłady. Tego nie przetrzymałby przy swoim słabym zdrowiu. Nie ominęło go jednak berlińskie więzienie wraz z grozą wyroku śmierci.

Minął koszmar wojny. Pozostały jednak kawerny w płucach, astma i mnóstwo innych schorzeń. Ponieważ w czasie tułaczki Reczek nie tylko pracował, ale jak mógł uzupełniał wiadomości, w 1946 r. zdał w Krakowie egzamin z całości filozofii i rozpoczął studia teologiczne w Lublinie. Studiował jednocześnie teologię na jezuickim wydziale Bobolanum oraz prawo kanoniczne na KUL-u. W tym czasie próbuje też swoich sił pisarskich. Debiutuje książeczką wydaną dwukrotnie w Wydawnictwie Apostolstwa Modlitwy w Krakowie, pod pseudonimem Franciszka Filarowskiego: *Święty Jan Berchmans — patron ministrantów.*

Do pracy przykłada się Reczek solidnie. Jego kolega z KUL-u, ks. Michał Machejek, tak wspomina ten okres: *W roku 1947 rozpocząłem studia prawa kanonicznego na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Na tym samym wydziale studiował o. Reczek. Był studentem cichym, pracowitym i dyskretnym. Równocześnie z prawem studiował teologię. Nie znałem go bliżej do czasu, kiedy ks. prof. Piotr Kałwa, późniejszy biskup lubelski, zwrócił na niego uwagę. Profesor Kałwa prowadził seminarium. Wtajemniczał nas w umiejętność pisania prac*

naukowych. Dawał temat, wskazywał źródła, zasady metodyczne i kazał pisać. Pracę seminaryjną sam dokładnie czytał, badał pod każdym względem i czynił publicznie uwagi na sesji seminaryjnej, w czasie której także studenci zabierali głos. Ogólnie nie przykładaliśmy się zbytnio do pisania prac seminaryjnych, gdyż byliśmy mocno zajęci. Codziennie mieliśmy 6 godzin wykładów, rano i po południu. Ponadto uważaliśmy, że praca seminaryjna jest tylko ćwiczeniem. O. Reczek postąpił inaczej. Napisał pracę, która pod względem treści, metody i techniki opracowania zdobyła u księdza profesora najwyższe uznanie, o czym nie omieszkał powiedzieć nam publicznie i postawić o. Reczka za wzór solidności i pasji naukowej. Po seminarium zbliżyłem się do o. Reczka z gratulacjami i zapytałem, jak mógł przy tylu obowiązkach, studiując równocześnie teologię, doprowadzić do perfekcji pracę seminaryjną. Ojciec Reczek odpowiedział z prostotą: « Trzeba było ostatnie dwa tygodnie siedzieć po nocach ». Nadwątlone zdrowie nie pozwoliło jednak na taki styl życia. Musiał przerwać studia w Lublinie i wyjechać do Zakopanego. Tutaj kontynuuje teologię i 16 kwietnia, w kościele św. Krzyża w Warszawie, w roku jubileuszowym 1950, otrzymuje z rąk Prymasa Polski, Stefana Wyszyńskiego, upragnione święcenia kapłańskie.

Pracę duszpasterską rozpoczyna o. Reczek jako katecheta w kaplicy św. Andrzeja Boboli przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Ma olbrzymi wpływ na młodzież. Mówiono o nim, że potrafi ludzi « hipnotyzować ». W to, co wykonywał angażował się bez reszty. Jego osobisty urok podbija serca dorosłych i dzieci. Rozpoczyna również prace rekolekcyjne. Skutek zawsze jednakowy. Silna osobowość o duchu przywódczym potrafi oddziaływać na otoczenie. Sposób przekazywania myśli niezwykle sugestywny.

Po trzyletnim pobycie w Warszawie zostaje przeniesiony na rok do Łodzi, a stąd w jesieni 1954 r. jedzie do Czechowic na tzw. trzecią probację, ostatni szlif w formacji duchowej jezuity. Po trzeciej probacji widzimy go w Lublinie. Rzuca się w wir prac apostolskich. Podkreśla się tutaj z uznaniem jego pracę w liceum pedagogicznym oraz w sali przykościelnej, gdzie codzienne zajęcia kończyły się bardzo późno. W czasie jego działalności przy kościele św. Piotra zapada decyzja mianowania go kierownikiem Ośrodka Archiwów Bibliotek

i Muzeów Kościelnych, który powstał przy Bibliotece KUL. Inicjuje wtedy o. Reczek półrocznik wydawany przez Ośrodek. Pierwszy numer tego czasopisma ukazał się w czerwcu 1959 r., już po jego wyjeździe z Lublina.

Od 1958 r. przebywa o. Reczek w Rzymie. Pozostaje mu tutaj 13 lat życia. Będą to jednak lata niezwykle pracowite i owocne. Współbracia polscy ułatwiają mu zatrzymanie się w Kolegium Polskim. Oddaje się studium organizacji nauk w oparciu o najnowsze zdobycze metodologii, a równocześnie wykorzystuje zdobytą wiedzę w praktyce, zbierając w archiwach rzymskich polonica. Aby ubogacić swoje doświadczenia i nawiązać kontakty naukowe odbywa podróże do Hiszpanii, Francji, NRF i USA. W grudniu 1958 r. bierze udział w zjeździe historyków w Washingtonie, gdzie wygłasza referat. Gdy wróci do Rzymu, czeka go najpierw przeprowadzka z Kolegium Polskiego do jezuickiego Kolegium Bellarminum przy Via del Seminario 120, stąd wkrótce przenosi się do Kurii Generalskiej, następnie zaś do Domu Pisarzy przy Via dei Penitenzieri 20. Każda przeprowadzka jest złem koniecznym. Nie bez podstawy mówi porzekadło, że dwie przeprowadzki i jeden pożar dają równy efekt. W miarę dopływu materiałów przenosiny stają się coraz bardziej uciążliwe.

Za granicą o. Reczek żyje za szybko. Skutki tego nad wyraz intensywnego życia nie dają na siebie długo czekać. W 1960 r. przychodzą niedomagania mięśnia sercowego oraz ogólne wyczerpanie organizmu. Pomimo fatalnego samopoczucia mobilizuje cały wysiłek woli i codziennie pracuje po kilka godzin w Archiwum Watykańskim. Mozolnie gromadzi zachowane tam polonica. Ale w 1962 r. odnotowuje już raz po raz w dzienniczku, że musi pozostać w domu z powodu słabości. Aż dziwne, że na odpoczynek przeznaczał wyłącznie niedziele lub święta, kiedy Archiwum Watykańskie było zamknięte. Patrzący zaś na jego pracę z boku są pełni podziwu, że tak wiele materiału potrafił nagromadzić i opracować w tak krótkim czasie.

Datą zwrotną w działalności o. Reczka na polu zbierania dokumentów dotyczących Polski było zdobycie osobnego lokalu w 1963 r. od Sióstr św. Józefa z Cluny przy Via Mecenate 37 Wynajmuje początkowo salę i trzy pokoje. Jest to już bardzo wiele. Dotychczas cały materiał gromadził w czterech

ścianach swojego niewielkiego pokoju w Domu Pisarzy. Dawniej finansować musiał wszystko przeważnie z jałmużny za własne prace kapłańskie. Obecnie, erygowany przez Ks. Prymasa, Kardynała Stefana Wyszyńskiego Instytut ma zapewniona stałą pomoc materialną z jego strony. Placówka więc zaczyna żyć.

W swoich pomysłach i planach był o. Reczek — zdawało się postronnym — człowiekiem mało liczącym się z rzeczywistością, człowiekiem, który porywa się z motyką na słońce. Podejmował prace które przedwcześnie osądzano jako nierealne. On jednak miał dziecięcą wiarę w Opatrzność i ta go chyba nigdy nie zawiodła. To, co uważał za słuszne, za zgodne z wolą Bożą, osiągał.

Zaledwie intensywniej zaczął działać Instytut, spiętrzyły się dodatkowe prace. Ponieważ jest to już rok 1963 i nastały coraz to bardziej gorące dni bezpośredniego przygotowywania obchodów milenijnych, o. Reczek wciąga się w prace tysiąclecia bez reszty. Nie potrafi pracować połowicznie. Angażuje się w wydawnictwo Sacrum Poloniae Millennium. Ostatnie cztery tomy tego wydawnictwa wychodzą już w Instytucie. W 10 tomie Sacrum Poloniae Millennium ukazują się w jego opracowaniu dwie publikacje polskich jezuitów z siedemnastego stulecia na temat niewolnictwa maryjnego. Praca ta stanowiła przyczynek do oddania przez Księdza Prymasa narodu polskiego w macierzyńską niewolę miłości. 16 maja 1964 r., w święto św. Andrzeja Boboli, Centralny Komitet Obchodu Tysiąclecia Chrztu Polski wyraża o. Reczkowi wdzięczność za podjęcie się niezmiernie trudnego zadania zebrania polonicòw znajdujących się w archiwach Rzymu.

Mijają miesiące wytężonej pracy nad wydaniem pierwszej książki z serii hagiograficznej Studiów Kościelnych: *Świętego Stanisława Kostki* pióra ks. Józefa Majkowskiego TJ. Żmudna i niewdzięczna robota przy korekcie i przy sporządzaniu indeksów. Zarywanie nocy jednej, drugiej, dziesiątej. Wreszcie nastąpiło przeciągnięcie struny: w kwietniu 1964 r. o. Reczek ląduje, nie pierwszy zresztą raz na kilka miesięcy w sanatorium. Jest to absolutna konieczność. Ale jego leczenie to odrębna sprawa. Łączył je najczęściej z odrabianiem zaległości i z posługą duszpasterską. Po wyjściu z sanatorium znowu praca za dwu, za trzech. Rekolekcje dla księży w Kolegium

Polskim, rozbudowana korespondencja, 1001 innych drobnych spraw z gatunku tzw. dobrych uczynków. Wszystko robi tak, jakby miał do wykonania w życiu tylko tę jedną rzecz. Później przychodzi pracowity rok 1966. Rok millenium, a jednocześnie rok przebudowy gmachu wynajętego od sióstr. Przebudowa jest zasadnicza. Przybywają nowe stropy. Wysokie pokoje zostają podzielone na dwie kondygnacje. Przyległy do pomieszczeń taras zostaje obudowany i powstaje tam kaplica, pracownie i lokale gospodarcze. W wynajętej dodatkowo od sióstr oficynie urządza laboratorium fotograficzne oraz lokalizuje mieszkania dla pracowników Instytutu. Później dalszy kierat: szperanie w archiwach, sporządzanie mikrofilmów, porównywanie materiału faktograficznego ze źródłami, sprawdzanie zgodności cytatów. O. Reczkowi, który jest maksymalistą, mało tego. Ponadto rozszerza działalność Instytutu o posiedzenia naukowe, na których co dwa tygodnie gromadzi się rzymska Polonia. Odczytów tych było za życia o. Reczka ponad 40. Jednocześnie pisanie wstępów do wydawanych w Instytucie książek, czytanie nadesłanych maszynopisów, przeredagowywanie ich, korekty, szczegółowe indeksy rzeczowe... I znowu nawrót słabości, podreperowywanie zdrowia... Tak aż do przedwczesnej śmierci, która nastąpiła w dniu 11 lutego 1971 r., w święto Matki Bożej z Lourdes.

Gdy mały Eugeniusz Reczek słuchał w Niepokalanowie konferencji o. Kolbe, bł. Maksymilian rozpalił go nie tylko do podejmowania wielkich inicjatyw apostolskich, ale i do kultu maryjnego. Ten kult maryjny o. Reczka zasługuje na odrębne opracowanie. Tutaj pragnę tylko w formie dygresji przytoczyć jeden fakt. W czasie ceremonii składania przez małoseminarzystów zobowiązań szerzenia czci Matki Najświętszej usłyszeli chłopcy z ust o. Kolbe: *jeżeli będziecie wierni tym przyrzeczeniom, gdy będziecie umierać, odejdziecie z tego świata w wigilię albo w święto Matki Boga.* Zarówno na o. Kolbe, jak i na o. Reczku spełniła się ta zapowiedź.

W czasie Mszy św. pogrzebowej o. Tomasz Rostworowski zacytował w homilii o. Ludwika Lallemant, który wśród trzech rodzajów chwalebnej śmierci wymienia również śmierć z wyczerpania w miejscu pracy apostolskiej i stawia ją obok męczeństwa czyli śmierci w obronie wiary. Ta śmierć z wyczerpania była w pełni udziałem o. Eugeniusza. Ksiądz Prymas

Wyszyński takie dał o nim świadectwo: *On po prostu spłonął z wysiłku w pracy. Sam się wyniszczył, ażeby Instytucja mogła żyć. Jak ziarno pszeniczne, gdy obumrze wydaje owoc stokrotny... wymagał on wiele, przede wszystkim od siebie. Jego nieustępliwość i twardość... sprawiły, że Instytucja żyje.*

Wypowiedziane przeze mnie w telegraficznym skrócie, jednym niejako tchem, zajęcia o. Reczka, dają bardzo nikły, przybliżony jedynie obraz jego pracy. Fachowcy tylko świadomi są tego, ile godzin benedyktyńskiej pracy wymaga wyszukiwanie, mikrofilmowanie i katalogowanie tysięcy dokumentów, które zebrał w swojej filmotece o. Reczek. Miliony klatek mikrofilmów pochodzących nie tylko z Archiwum Watykańskiego i archiwów Rzymu, lecz także z innych archiwów i bibliotek włoskich, hiszpańskich, z Biblioteki Narodowej w Paryżu, z Biblioteki Królewskiej w Brukseli, z niektórych placówek polskich; wszystko to opisane i skatalogowane w układach chronologicznym, topograficznym i encyklopedycznym. Nie dokonałby oczywiście tego wszystkiego sam. Dużą pomocą był wkład wielu osób, które poświęcały swój czas Instytutowi, a nieraz pomagały mu też materialnie.

Zajęcia o. Reczka, historyka i szperacza gromadzącego wszelkie przekazy o Polsce oraz organizatora tworzącego naukowo-badawczy warsztat pracy w Instytucie, to bynajmniej nie jedyny nurt jego działalności w Rzymie. O. Eugeniusz był zawsze przede wszystkim kapłanem rozmiłowanym w bezpośredniej pracy duszpasterskiej. Jako kapłan, wszystkich którzy poddawali się jego kierownictwu, chciał scalić w jedną wielką rodzinę Bożą. Dla wszystkich był ojcem, ale w tym ojcostwie jego nie było ani cienia paternalizmu. W niczym nie czuło się pozy, koturnów. Dla każdego był otwarty. Dla każdego znajdował czas. Wśród różnych rodzajów pracy duszpasterskiej cenił sobie bardzo konfesjonał. Nawet umęczony do cna, po załadowaniu ciężarówki książek, zasiadł do konfesjonału i czekał na kogoś, z kim umówił się dnia poprzedniego. W sakramencie pojednania potrafił sprawy Boże stawiać kategorycznie, ale jednocześnie cechowała go tam, jak i wszędzie, wielka życzliwość dla człowieka.

Oprócz konfesjonału udzielał się ustawicznie jako głosiciel słowa bożego w niezliczonej ilości rekolekcji, dni skupień i konferencji ascetycznych. Żył bliźnim i jego potrzebami:

potrzebami religijnymi, potrzebami kulturalnymi i potrzebami materialnymi. Choć ustawicznie zajęty i czasu miał wiecznie za mało, gdy spotkał Polaka gotów był służyć mu jako przewodnik po Rzymie i oprowadzać, ukazując zabytki, bogactwa kultury materialnej i duchowej. Umiał przy tym, znając z własnego doświadczenia kłopoty finansowe Polaków za granicą, rzucić, jakby od niechcenia i takie zdanie: *gdy będziesz w Instytucie, nie krępuj się, skorzystaj z naszej lodówki.*

Gdy wywoził swoich najbliższych na wycieczkę poza miasto, podczas posiłku potrafił swoją własną porcję odstąpić żebrakowi, którego inni nawet nie zauważyli. Nie były mu obojętne smutne oczy małej, chorwackiej dziewczynki, którą wypatrzył w grupie dzieci przywiezionych na wycieczkę z jakiegoś zakładu prowadzonego przez zakonnice, nie była mu obojętna obarczona bagażem kobieta. Gdy inni na Stazione Termini wyskakiwali czym prędzej z przegrzanych od słońca wagonów, on chwycił dwie ciężkie walizy jakiejś pasażerki i dźwigając je dopomagał jej wysiąść z pociągu. A wszystko to nie było na pokaz, ale jakieś spontaniczne i naturalne. Każdy gest był jakby kontynuacją ołtarza, konfesjonału i ambony.

Całe życie o. Reczka było jak gdyby wielką liturgią. Miał przed oczyma tylko jedno: kult Boga. W imię tego kultu pomagał bliźniemu, w imię tego kultu podejmował wielkie inicjatywy i w imię tego kultu włodarzył sakramentami. Sprawował urząd kapłański zarówno wtedy gdy po wojnie, z ramienia Episkopatu Polski, troszczył się o bliblioteki kościelne porzucone przez Niemców (odnalazł wtedy bibliotekę z klasztoru na Monte Cassino), jak też gdy w latach 1959 i 1960 przemawiał przez Radio Watykańskie. Był kapłanem, przede wszystkim kapłanem, gdy po wyjeździe o. Lasonia do Polski pełnił obowiązki substytuta przy o. asystencie Prešerenie, gdy wyposażał Instytut Studiów Kościelnych w sprzęt do mikrofilmowania czy w cenny dobór książek i czasopism teologicznych, filozoficznych, historycznych i filologicznych. Był kapłanem gdy pomagał, jako prawnik, różnym instytucjom zakonnym w redagowaniu ich ustaw czy konstytucji, jak i wtedy, gdy puszczał w świat wydawnictwa, które zrodziły się pod jego troskliwym okiem, jako owoc nieprzespanych nocy. Chociaż wykonuje przeważnie prace anonimowe, chociaż trawi siły i czas na zbieranie materiałów, z których będą korzystać

inni, zawsze w tym wszystkim jest kapłanem, sługą Bożym, którego pożera gorliwość o dom Pana. Jak Paweł apostoł, o. Reczek inicjuje dzieła, które dojrzewają po jego odejściu. Pragnął i czynił starania, aby ostatnie i najważniejsze dzieło jego życia, Instytut Studiów Kościelnych, stał się Papieskim Instytutem. Ale znowu tego nie doczekał. Zawsze był tym, który siał. Zbiory pozostawiał innym.

PRACA CHARYTATYWNA

Działalność charytatywna polskich jezuitów sięga tradycją czasów, kiedy to Piotr Skarga zakładał bractwa miłosierdzia, szpitale, Banki Pobożne... W prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej zorganizowaną akcję wspomagania potrzebujących prowadził przed wojną o. Kucharski w Wilnie. On też w czasie wojny organizował kuchnię dla uchodźców. W Warszawie, w domu prowincjalskim przy ul. Świętojańskiej przez całą okupację wydawano biednym bezpłatne posiłki. Poza tym ze wszystkich domów, które ocalały wysyłano paczki do obozów i więzień. O pracy br. Noniewicza i o. Urpszy mówią osobne wspomnienia. Fragment z artykułu publikowanego na łamach Odry przypomina działalność łódzkiego Caritas Academica, którą prowadził o. Tomasz Rostworowski. Obecnie bardzo rozwinięta akcja miłosierdzia prowadzona jest pod patronatem jezuitów w Poznaniu i Kaliszu. Organizuje się tam masową wysyłkę żywności i odzieży do krajów głodujących, przede wszystkim do Indii.

ks. Jan Wojciechowski SJ

WASZE NIEDOLE NIE SĄ MI OBOJĘTNE

Szczególną okazję do pomagania bliźnim dała br. Noniewiczowi ostatnia wojna światowa i panująca w świecie nędza po zakończeniu wojny. Nie przeszkodziły mu zajęcia kucharza, które spełniał sumiennie i z zadowoleniem całego domu. Mając wrodzony dar zyskiwania serc ludzkich na rzecz biedoty, już w jesieni 1939 r. za zgodą przełożonych rozpoczął zbiórki na pomoc naszemu gimnazjum w Wilnie. Posypały się obficie dolary, tak że o. Andruszko, prowincjał litewski, pisał, aby tych dolarów nie przysyłać, ponieważ bank litewski nie chce ich zmieniać. Płynęła również używana odzież. O. Wantuchowski, rektor naszego domu w Wilnie, pisał do br. Noniewicza dn. 18 kwietnia 1940 r.: *Najserdeczniejsze dzięki Ci ślę za tyle zachodu na nasz cel... Niechże Ci Bozia zapłaci po swojemu za to wszystko i za to zbieranie odzieży — dla biednych Polaków.*

Po klęsce wrześniowej do chicagowskiego domu napływało setki próśb o paczki z żołnierskich i oficerskich obozów jenieckich, jak Stalag Vc, oflag IIe, oflag VIc, oflag Xa, oflag XIIa. Przez ręce br. Noniewicza popłynęło do obozów na Węgrzech, w Rumunii i w Niemczech ponad 250 paczek z żywnością i odzieżą. Koszta wysyłki pokrywał Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Była to nie tylko pomoc dla ciała, ale zarazem najpiękniejsze apostolstwo, czasami jedyny widoczny znak, że ktoś myśli o tych nieszczęśliwych. Z jakim rozrzewnieniem przyjmowano tę pomoc świadczą liczne podziękowania, pisane niemal łzami. *Okazuje się, że są jeszcze na świecie dobrzy ludzie, którzy pamiętają o zapomnianych. Za to składam Ci podziękowanie, Czcigodny Bracie, a przez Ciebie wszystkim owym dobrym ludziom* — pisał pułkownik Iwański — w listopadzie 1941 r.

Waszą dobrocią jestem poruszony do głębi duszy i tej szczerej wdzięczności, którą bije me proste, żołnierskie serce,

nie zdoła wyrazić pióro. W miejsce górnolotnych i banalnych słów proszę przyjąć ode mnie staropolskie « Bóg zapłać » — słowa, którymi dziękowali nasi ojcowie — i które płyną ze szczerych ust i serca. Brak mi naprawdę słów na wyrażenie podzięki Wielebnemu Bratu — pisał — żołnierz ze Stalagu Vc. w grudniu 1940 r.

Nasza klęska tak mnie przygnębiła, że byłem bliski rozpaczy i całkowitego załamania się. Wasza poczciwa paczka jak anioł pokoju podziałała na mnie. Nie chodzi o te rzeczy, ale mam widomy znak, że nas nie wszyscy opuścili. Niech Ci Bóg wynagrodzi Twoją dobroć, zacny Bracie — pisał jeniec z Oflagu C w kwietniu 1941 r.

Porucznik Ludwik Mikołajczyk, który był w Polskiej Armii w Szkocji, a którego żona, matka i córka żyły w Paryżu w strasznej nędzy i Brat im pomagał paczkami, pisał 6 lutego 1942 r.: *Nie wiem, jak za to podziękować i czem się odwdzięczyć za dobre serce. W codziennych modlitwach będę Cię wspominał, Drogi Nieznany mi Dobroczyńco. Twych dobrych uczynków Bóg Ci nie zapomni.*

Takich podziękowań napłynęło dużo pobudzając br. Noniewicza do jeszcze większego wysiłku na rzecz biednych.

Po zakończeniu działań wojennych, gdy już można było wysyłać paczki do Polski, br. Noniewicz nie żałował sił, by dopomóc tak naszym, jak i swojej rodzinie oraz różnym biedakom w Polsce. Pokaźna pomoc poszła również przez ręce br. Noniewicza do rodzin niektórych ojców i braci naszych.

I jeszcze wzruszający list hrabiego M. Pusłowskiego, wielkiego dobrodzieja naszych ojców obrządku wschodniego w Albertynie. (Ten tak bogaty niegdyś człowiek, znalazł się w ostatniej nędzy w Meksyku jako ociemniały starzec). Po otrzymaniu pieniężnej zapomogi, pisze do br. Noniewicza 1 marca 1949 r.: *Przed paru dniami przyniosła mi córka pozdrowienie od Niego i tak łaskawy dar, który jako płynący z serca i tak życzliwej a mało zasłużonej pamięci, przyjmuję z serdecznym Bóg zapłać.*

Wszelkie oznaki tak niezwykłej przyjaźni są dla nas największym pokrzepieniem w ciężkiej niedoli naszego kraju. Są one jeszcze większym bodźcem, by się okazać godnymi serc ludzkich, które ten odruch powodują.



13. Radom — kościół Św. Trójcy



14. Szczecin — parafia św. Andrzeja Boboli

Mam niesłabnącą nadzieję, że ta ziemia albertyńska, przesiąknięta pracą Waszą i znojem, a teraz zroszona krwią męczenników, jeszcze kiedyś zakwitnie i plon taki przyniesie, że okaże się godną tej pracy, tych ofiar, krwi i łez.

Składamy raz jeszcze serdeczne podziękowania za dar i za serce, które tę oznakę życzliwości podyktowało.

Oto kilka słów o pięknym i ofiarnym dziele br. Antoniego Noniewicza. Powodowany miłością bliźniego i nakazem Chrystusa: *Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili,* umiał trafić do serc i kieszeni dobrych ludzi, którzy dopomogli mu w tym dziele.

Stefan Sulima

AMBASADORZY POLSKOŚCI
(fragment)

W okolicy Świętej Lipki natrafiamy na tajemnicze odprężenie atmosfery w środowisku tuziemczym, nie tłumaczące się przebiegnięciem dwunastu miesięcy. Dzieciarnia chętnie i biegle mówi tu po polsku, ludność dorosła życzliwiej odnosi się do przybysza niż przed rokiem. Te nagłe zmiany wzięły początek w murach dawnego hotelu pątniczego, sąsiadującego z przepięknym kościołem świętolipskim. Na odpoczynek, dla wytchnienia po pracy przysłała tu « Caritas Academica » Uniwersytetu Łódzkiego kilkadziesiąt studentek i studentów, wybierając Świętą Lipkę pewnie dlatego, że leży na uboczu, daleko od uczęszczanych traktów, aczkolwiek na pielgrzymim i turystycznym szlaku. Nie przewidywano specjalnych zajęć dla wczasowiczów, ot takie sobie normalne czynienie dobra w zasięgu wyciągniętej ręki. Ale zetknięcie z nędzą mazurską nie może nie poruszyć naprawdę po ludzku czującego serca. Samorzutnie, zrazu pojedynczo, potem coraz to liczniej poczęli się porywać na nią łódzcy « caritasowcy ». Zaczął niepozorny jezuicki kleryk, (ks. Stefan Miecznikowski — przyp. red.), któremu spokoju nie dawały wynędzniałe dzieci. Poszło o pacierz, który mówiły po niemiecku. Po prostu zmartwił się kleryczyna i postanowił złu zaradzić. W drodze wymiany umiejętności uczył się od dzieci niemieckich piosenek i wierszyków szkolnych, w zamian nauczając polskich; za *Vater unser* wymieniał *Ojcze nasz*. Gdy zażyłość umocniła się na dobre, przyszło przerażające odkrycie. Świętolipska dzieciarnia równie jak strawy dla ducha, bodajże więcej niż strawy dla ducha, potrzebuje codziennego chleba.

Nie mówiąc nikomu, chuderlawy studencik duchowny wypowiedział wojnę dziecięcemu głodowi. Wyszedł pewnego rana z workiem na plecach i począł obchodzić sąsiednie wsie, co możniejsze gospodarstwa i państwowe majątki. Otwierał

oczy, niepokoił sumienia. W Świętej Lipce zadymiła niebawem kuchnia przyrządzająca dla dzieci skromne posiłki. Otwarto dla nich coś w rodzaju świetlicy. Młody kleryk uwijał się coraz raźniej po okolicy. Okazało się, że ludzie nie są tacy źli, jakby się zdawało na pierwszy rzut oka. Ktoś dał bezimiennie 10.000 zł., okoliczne młyny dostarczyły mąki, majątki pospieszyły również z wydatną pomocą. Dobroczynne « przedsiębiorstwo » młodego kleryka zaczęło zdradzać wyraźne skłonności do rozrostu. Po jakimś czasie dwie kobiety musiały się zająć kuchnią, a posiłki wydawano już dwa razy dziennie. Sycąc głód studencik duchowny nie pytał ani o narodowość, ani o wyznanie, ani dbał o to, jakim językiem proszą go drobne usta o talerz zupy. Chciał nakarmić dziecięcy głód, o resztę nie stał. Jakoś same za sytością przyszły i inne niespodziewane wyniki. Jak różdżką czarodziejską tknięta cała młoda Święta Lipka zaczęła mówić po polsku. Nie napotykała już na domowe opory. Odmieniły się umysły rodziców. Co więcej, wśród polskiego przychówku znalazło się naraz 30% ewangelików. Święta Lipka ocknęła się z ponurego letargu. Nim to jednak nastąpiło, ruszył do pracy cały prawie łódzki « Caritas ». Wsparto od razu akcję jezuickiego kleryka, przy sposobności odkryto nowe pole działania, szczególnie wdzięczne dla kilkorga medyków. Od wsi do wsi wędrowały ekipy medyckie zbierając obfite żniwo. Gdy przełamały pierwsze lody, praktyka rozrosła się szeroko. « Caritasowcy » odnieśli nowy potężny sukces. Nieufni, zamknięci w czterech domowych ścianach tuziemcy, powoli powychodzili za progi swych domostw. Doznawszy bezinteresownie serca, wywlekli na światło dzienne zastarzałe rany i cierpienia i obnażyli je przed obcymi dotąd polskimi przybyszami. Nauczyli się ufności.

Zdziałano, czego nie była w stanie dokonać żadna inna propaganda. Ożyła przytłumiona od dawna polszczyzna, szkoła i władze otrzymały mocne pozycje wyjściowe dla stałych zdobyczy. Zawahało się szereg miejscowych « Niemców », dwie rodziny postanowiły wziąć « deklaracje mazurskie ».

Widzieliśmy inicjatora tych niezrozumiałych na wstępie zmian. Mówił niechętnie i powściągliwie o swych sukcesach nie uważając ich zresztą za takie. Niedługo miał wyjechać ze Świętej Lipki i martwił się o swoje dzieło. Nie wiedział, czy ktoś na miejscu podejmie dalsze starania. Jego koledzy byli

bardziej oszołomieni i przejęci wynikami krótkiej choć wytężonej pracy.

— Za tymi ludźmi nie wolno agitować inaczej jak tylko dobrym przykładem — wykładał mi gwałtownie jeden z uczestników święto-lipskiej dobroczynności. — Tu trzeba pamiętać, że się ma przed sobą cierpiących przeważnie, zawsze żądnych współczucia ludzi. Reszta, jak pan widzi, sama się złoży. Dopóki krzywiliśmy się i wydziwiali nad ich potoczną niemczyzną, boczyli się na naleciałości długowiekowego niemieckiego poddaństwa, między nami a nimi piętrzył się nieprzebyty mur. Dziś rozumiemy dlaczego. Wymagaliśmy za wiele od Mazurów nie mając po temu najmniejszego prawa. Czy można od dziczki żądać, by rodziła gatunkowe owoce? — pytał namiętnie. — Przecież dla tych ludzi w historii niczegośmy nigdy nie robili, nic w nich nie zainwestowali. Zrozumieliśmy tę prawdę i to jest nasze wielkie zwycięstwo. Teraz nie straszna nam już żadna powierzchowna niemczyzna.

Naprawdę wiele zmieniło się przez rok na Pomorzu Mazowieckim. Na odłogach Puszczy Piskiej spotkaliśmy się raz jeszcze z działaniem probierza serc i sumień. W Rucianach, wzorowym ośrodku wczasowym « Społem », gdzie rok temu doszło do pożałowania godnych ekscesów na tle religijnym, gdzie między tuziemcami a napływowymi nagromadziło się mrowie wzajemnych żalów i zadrażnień, kilkoro młodych ludzi odkryło w sobie podobne powołanie, co « caritasowcy » w Świętej Lipce. I tu doszło do obłaskawienia zdziczałej pod ciosami ludności mazurskiej. Przekonano ją do Polaków, a symbolem Polski via facti stała się grupa dzielnych ludzi, noszących w piersi gorące serce człowieka. (Odra, 30.5.1948).

bp Zbigniew Kraszewski

KOLEGA SEMINARYJNY

Ojca Józefa Urpszę poznałem w 1945 r., na jesieni. Wstąpił on wtedy do Seminarium Duchownego w Warszawie, którego kurs trzeci wówczas rozpocząłem.

Ze zdziwieniem patrzyliśmy na naszego « młodszego » kolegę (był bowiem przyjęty na kurs pierwszy), który cicho i spokojnie zajmował ostatnie miejsce w refektarzu, chociaż liczył sobie sześćdziesiąt pięć wiosen życia (urodzony dnia 10 sierpnia 1880 r.) i jako człowiek świecki był znany szeroko i ceniony w Warszawie, a nawet w całej Polsce. Wkrótce został jednak przeniesiony na kurs trzeci i tak stał się naszym kursowym kolegą. Wraz ze swoim przyjacielem — doktorem Stanisławem Sosnowskim, który w ślad za nim wstąpił do seminarium — tworzyli dobraną parę « staruszków », jak ich ogólnie nazywano. Stara znajomość i pewne względy u seminaryjnej władzy zrobiły swoje: mieszkali razem w jednym pokoju, siedzieli dosłownie na jednej ławce, obok siebie. Razem też pobierali « korepetycje » od młodszych wiekiem i bystrzejszych w filozofii i teologii kolegów. Podziwialiśmy wszyscy ich wytrwałość i pracowitość oraz ich umiejętność współżycia ze wszystkimi kolegami. Poza tym ksiądz Urpsza był okazem zdrowia: niewysoki, szczupły, energiczny, a jednocześnie umiejący stosować swoją wiedzę aptekarską nie tylko do innych, ale i do siebie. Zwalczał sklerozę ziołami i kropelkami z dodatnim skutkiem.

Był oczywiście seminaryjnym « aptekarzem », pod którą to nazwą krył się w seminarium i opiekun apteki i sanitariusz i trochę felczer. Lekarzem starał się być na równi z naszym kochanym doktorem Sosnowskim i czcigodnym, mądrym doktorem Władysławem Starkiewiczem, wykładowcą medycyny pastoralnej.

O życiu księdza Urpszy wiedzieliśmy tyle, ile wystarczyło, aby się znać na płaszczyźnie koleżeńskiej i szanować. Był

wdowcem, ojcem kilkunastu dzieci. Większość z nich umarła w młodym wieku. Pamiętam, gdy przy stole wyjął zielony blankiet wojskowej depeszy spod Berlina. Było to zawiadomienie o śmierci syna, który brał udział w powstaniu warszawskim, potem zaś w szturmie na Berlin. Zginął na polach minowych.

Pamiętam również, jak mówił o swoim powołaniu do stanu duchownego. Mieszkali na ulicy Miodowej. Któregoś dnia sierpniowego 1944 r. wyszedł z domu, aby wziąć udział we Mszy świętej. Msza św. była o godzinie ósmej rano. Wokoło trwały powstańcze walki. W czasie Mszy św. ks. Urpsza usłyszał nalot niemieckich bombowców. Bomby padały gdzieś w pobliżu. Kaplica drżała od huku eksplozji, ale żadna bomba w nią nie trafiła. Po Mszy św. i po Komunii św. wyszedł z kaplicy i udał się do domu. Straszny widok przedstawił się jego oczom: kamiennicę, w której mieszkał, rozpruła bomba. Pobiegł w kierunku, gdzie było jego mieszkanie. Na gruzach zobaczył przykryte już przez kogoś gazetami zwłoki: były to zwłoki jego żony i syna. Wtedy wrócił do kaplicy, ukląkł przed Najświętszym Sakramentem i zwrócił się do Chrystusa z taką modlitwą: *Chryste! zabrałeś mi żonę i syna! weź teraz i mnie!...*

Ocalał w czasie powstania warszawskiego. Wyszedł z miasta i znalazł się w Łodzi. Tam postanowił urzeczywistnić swoje oddanie się Chrystusowi. Pragnął wstąpić do seminarium duchownego. Zamiar ten udało się zrealizować dopiero w następnych miesiącach, w Warszawie.

Pokazywał nam, swoim kolegom, w seminarium broszurkę o jednym ze swoich synów, który był wychowankiem gimnazjum jezuitów w Chyrowie. Wyróżniał się swoją pobożnością i świątobliwością. Utonął w rzece. Kleryk Urpsza nie mówił zbyt wiele o sobie. Więcej może powiedziałyby jego córki, ale odwiedzały go niezbyt często i znaliśmy je tylko z widzenia, gdy przypadkowo spotkaliśmy się na tzw. « furcie ».

Nadszedł rok 1948. Kurs nasz podzielono na dwie połowy. Postanowiono jedną część kursu wyświęcić wcześniej ze względu na brak księży odczuwany po wojnie. Ksiądz Józef Urpsza wraz ze swoim przyjacielem księdzem Stanisławem Sosnowskim otrzymali święcenia kapłańskie wraz z czterema kolegami w lipcu 1948 r. Tak więc ksiądz Urpsza przebywał na

studiach w Seminarium Metropolitalnym Warszawskim tylko niespełna trzy lata.

Rozpoczęła się praca kapłańska w Archidiecezji Warszawskiej. Nie była to praca łatwa dla człowieka mającego lat sześćdziesiąt osiem, w warunkach powojennych, na stanowisku wikarego. W tym czasie dojrzewa żywiony zamiar: ksiądz Urpsza pragnie wstąpić do jezuitów!

Starania o przyjęcie zostają uwieńczone pomyślnym skutkiem. I oto widzimy ojca Józefa Urpszę jako zakonnika, jezuitę, oddanego pracy charytatywnej w Kaliszu.

Wydawało się wszystkim bez wyjątku, że praca ojca Józefa potrwa w zakonie rok, dwa, może trzy... najwyżej. Wydawało się niektórym, że będzie to nie tyle okres pracy, ile swego rodzaju emerytury. A tymczasem ojciec Józef za zgodą swoich przełożonych rozpoczął i prowadził aż do końca życia wytężoną działalność wśród chorych i ubogich. Mając lat osiemdziesiąt kilka zdał egzamin na prawo jazdy motocyklem! Potrzebne mu to było — jak mówił — do lepszej pracy wśród chorych w Kaliszu. Później woził go samochodem jeden z młodszych braci lub kleryków zakonnych, ale za to — po całej Polsce.

Często bywał na Jasnej Górze, gdyż ślubował wyspowiadać tam nie setki, ale całe tysiące penitentów. Szczycił się tym, że rokrocznie spowiadał tam przeszło trzy tysiące osób!

Nie zapominał nigdy o swoich dawnych kolegach. Zapraszał mnie często do Kalisza, a gdy nie mogłem tam bywać tak często, jak chciał, to przynajmniej obligował mnie do uczestniczenia w większych obchodach klasztornych. W ten sposób byliśmy wspólnie uczestnikami jego ślubów zakonnych, jego dziesięciolecia pobytu w zakonie, a wreszcie dwudziestopięciolecia święceń kapłańskich!

Wzruszające to były uroczystości! Piękne przy okazji słyszało się przemówienia i kazania! Jakże gorliwie uczestniczyli w tych obchodach jego podopieczni: chorzy i ubodzy!

To oni chyba wymodlili o. Urpszy taki długi i pełen gorliwej pracy żywot! Sądzę, że na ojcu Urpszy spełniło się w pełni błogosławieństwo Boże: *Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią!* Ojciec Józef Urpsza już jako świecki aptekarz pracował w akcji miłosierdzia czy to w Konferencjach św. Wincentego a Paulo, czy to w Soda-

licji Mariańskiej. Swoją akcją miłosierdzia imponował przedwojennej Warszawie, a w czasie wojny pomagał ludziom na wszelkie możliwe sposoby. Jako kapłan i zakonnik, mimo podeszłego wieku, zdwoił swoje wysiłki. W pierwsze piątki miesiąca osobiście roznosił Komunię św. kilkudziesięciu chorym mieszkańcom Kalisza. Prowadził szeroko zakrojoną akcję pomocy dla przebywających w więzieniu. Zainteresował swoją pracą nawet ośrodki zagraniczne, które mu pomagały finansowo. A przede wszystkim był zawsze dobrym, wdzięcznym i pamiętającym o wszystkich potrzebujących człowiekiem.

Wiek dyspensował go od wielu zajęć, ale on z tej dyspensy nie korzystał. Utrzymywał ścisłe kontakty międzyludzkie na płaszczyźnie nie tyle znajomości, ile chrześcijańskiej życzliwości i pomocy. Odwiedzał swoich znajomych nie tylko po to, aby im sprawić przyjemność, ale przede wszystkim po to, aby im pomóc w miarę możności.

Kalisz nie jest blisko Warszawy. Wiek powyżej dziewięćdziesiątki zwalnia od składania wizyt. Ale nie o. Urpszę! Byłem wzruszony tym, że będąc w Warszawie prawie zawsze odwiedzał parafię na Kamionku, gdzie jestem proboszczem. Wziął również udział w uroczystościach dwudziestopięciolecia święceń kapłańskich, jakie obchodziłem 12 marca 1974 r. W ten sposób chciał się chyba wywdzięczyć za to, że w poprzednim roku (1973) byłem w Kaliszu na jego uroczystościach srebrnych godów kapłaństwa.

Życzliwość, dobroć, ofiarność, pamięć o swoich znajomych i przyjaciołach, żywe kontakty międzyludzkie — oto niektóre tylko cechy tego dobrego, świątobliwego czowieka, kapłana, zakonnika. Odszedł do Pana pełen lat pracy, cierpienia, miłosierdzia chrześcijańskiego. Wielki miłośnik Najświętszego Serca Jezusowego, wielki czciciel Matki Bożej, na pewno zasłużył na nagrodę wiekuistą. Bramy niebios otworzył mu z pewnością św. Piotr oraz wielki Patron o. Urpszy, przed którego cudownym obrazem w Kaliszu tak często — prawie codziennie — modlił się. Znane było jego nabożeństwo do św. Józefa. Uważał go nie tylko za patrona swego, ale i za patrona swoich dzieł miłosiernych.

Napisałem kilka zaledwie zdań o człowieku, którego życie mogłoby stanowić kanwę filmu przygodowego o frapującej młodzież treści. Może ktoś napisze szczegółowy życiorys, może

ktoś i historię tego życia sfilmuje. Ale rzeczywistość jest bogatsza od fantazji ... Brak na przykład w moich wspomnieniach całkiem tego elementu, który stanowić może materiał do swego rodzaju « fioretti » na temat księdza Urpszy. Niech się o to postarają inni jego dobrzy koledzy, świeccy, księża, zakonnicy. Niech stanie przed nami w barwnej opowieści ten Polak z Litwy o nazwisku łotewskim, zaciągający kresowym akcentem, piękny jak jakaś postać z *Trylogii* Henryka Sienkiewicza ...

s. Magdalena Ponichter, nazaretanka

BĘDZIESZ OJCEM WIELU

Przechowuję w swoim brewiarzu taki obrazek: kapłańska ręka uniesiona gestem rozgrzeszenia, osłonięta cieniem przełamanej Hostii. U dołu srebrne cyferki — 25. Na odwrocie zwartym drukiem napis:

wdzięczny Bogu za dzień
w którym mnie Chrystus wysłał
abym niósł ludziom
Jego życie
Jego miłość
Jego przeznaczenie
Jego pokój
— w 25-lecie kapłaństwa
1948 - 1973
Kalisz, 4.VII.1973 — O. Józef Urpsza TJ

Ze wszystkich stron Polski zjechali się na ten Jubileusz ojcowie jezuici i dawni kursowi koledzy Jubilata. Cały Kalisz nastroił się uroczyście. Kościół jezuicki nie mógł pomieścić tłumów ściągających ze wszystkich dzielnic i okolic miasta.

Jubilat ma 94 lata, włosy srebrne jak jubileusz i niezwykłą historię życia, którą — przez ten obrazek — zaczęłam nieopatrznie od końca.

Początek — mówią metryki — to rok 1880, kiedy w mocno zubożałej rodzinie kniaziów żmudzkich urodził się syn, Józef. O swoim rodzinnym domu mówi Jubilat, że była to przede wszystkim matka klękająca z dziećmi do wspólnej modlitwy pod krzyżem wiszącym na ścianie.

— Bądź synku, zawsze uczciwy — powiedziała kiedyś swojemu energicznemu maluchowi z okazji jakiegoś dziecięcego « przestępstwa ».

Ojciec z trudem zdobywający chleb dla całej rodziny,

wcześnie zaczął liczyć na pomoc najstarszego syna. A syn był zadziwiająco bystry, ruchliwy i zdolny. Widząc jego upór i nadzwyczajną dojrzałość mądrzy ludzie prorokowali — « ten to w życiu daleko zajdzie ». — Albo i nie — dodawali pesymiści.

W 1909 r. dobre « wróżby » zaczęły się spełniać. Józef « zaszedł » już tak daleko, że — pracując jednocześnie aby pomóc rodzinie — uzyskał dyplom magistra farmacji, wstęp do Akademii Wojskowej w Petersburgu, a następnie zdobył tytuł prowizora i... serce pewnej panny Heleny, która rozpoczęła nową epokę w jego życiu. Józef ożenił się.

Jako uczciwy, solidny i zdolny aptekarz szybko zdobywa sławę, popularność i zaufanie klientów. Jeszcze szybciej awansuje. Cesarzowa Aleksandra korzystająca często z porad i usług sławnego już aptekarza mianuje go kierownikiem składnicy sanitarnej w Pałacu Zimowym, a potem — inspektorem wszystkich aptek w Petersburgu.

« Bądź, synku, zawsze uczciwy » — towarzyszyło mu wszędzie wspomnienie nieżyjącej już matki...

Aptekarz Urpsza, w chwilach wolnych od wielkich obowiązków « na szczycie » wędrował często w najbiedniejsze dzielnice Petersburga niosąc w kieszeni leki a w sercu troskliwą dobroć, za którą płacono mu hojnie wdzięcznym błogosławieństwem.

Rok 1917. Z chwilą formowania się polskich sił zbrojnych Józef zgłasza się do wojska i w stopniu porucznika bierze czynny udział w organizowaniu zaopatrzenia sanitarnego. Po pięciu latach, kiedy na własne życzenie wraca do rezerwy, czeka już na niego stanowisko inspektora farmaceutycznego miasta Warszawy, a potem województwa warszawskiego.

Wcale nie mniej ważne stanowisko piastował aptekarz w swoim własnym domu. Wespół z bardzo kochaną i bardzo kochającą żoną trzeba było z dnia na dzień ujarzmiać czternaścioro zdrowych i wesołych wisusów, które przynosiły ze sobą na świat niesłychane zapasy energii i uporu na obraz i podobieństwo ojcowskie. Wychować ten zastęp na ludzi — stanowiło problem znacznie poważniejszy niż kierowanie wszystkimi aptekami województwa. Ale i tu ojciec Józef stanął na wysokości zadania. Dawkował roztropnie zdrowe klap-

sy, ojcowskie upomnienia i czułości, przeszczepiał troskliwie w swoją rodzinę wszystkie wartości wyniesione z domu własnego dzieciństwa.

Każdego wieczoru zgarniał swój « żywy dobytek » pod krzyżem, który w tym domu zajmował naczelne miejsce. A w niedzielne ranki... — Patrzcie — mówili przechodnie uśmiechając się życzliwie — nasz aptekarz Urpsza prowadzi do kościoła całą tę swoją ochronkę.

Przyszedł rok 1939 i wojna. Józef został powołany do wojska i przydzielony na stanowisko kierownika szpitala polowego w Modlinie.

Dwukrotna ewakuacja szpitala, tysiące rannych, nieprzerwana i beznadziejna walka ze śmiercią — to wszystko położyło bolesną pieczęć na życiu Józefa.

Zaczęły się wtedy — wspomina dzisiaj — moje wielkie rekolekcje.

Pamięta taką chwilę, kiedy pochylony nad jakimś wijącym się z bólu żołnierzem wstrzykiwał mu ostatnią dawkę morfiny, jaka została w szpitalu. — Boże — westchnął wtedy z rozpaczą — gdybym tak miał moc dać temu człowiekowi inne lekarstwo, inną, prawdziwą i trwałą ulgę... — Przypomniał sobie jaką siłą i spokojem napełniał go sam widok Hostii, którą ręce kapłana łamały na małe kawałeczki, żeby wystarczyło dla konających żołnierzy.

Ostatnie lata wojny ostatecznie rozproszyły jego rodzinę. Żona Helena i syn Jan, zginęli w czasie powstania warszawskiego. Córkę Wandę wywieziono do Ravensbrück. Następną wiadomością od reszty zaginionych dzieci była depesza zawiadamiająca o śmierci najstarszego syna, który w szeregach Wojska Polskiego poległ w walce o Berlin. Józef Urpsza pozostał.

Kiedy w pierwszych dniach pokoju powędrował na miejsce swego dawnego mieszkania i zastał swój dom i aptekę — rozsypane w gruzy, z nieopisanym bólem pojął, że jakiś rozdział w jego życiu zamknął się ostatecznie.

Prosto stamtąd poszedł do kościoła na Rakowieckiej, żeby pod krzyżem rozpocząć to, co miało się teraz zacząć. Odeszli najbliżsi i najdrożsi. Bóg chciał żeby on ocalał. Po co?...

Tu zaczyna się historia drugiego powołania Józefa Urpszy. 65-letni aptekarz zgłasza się do Seminarium Warszawskiego.

Po trzech latach — skrócono mu bowiem studia, zaliczając wydział farmacji — dnia 4 lipca 1948 r. 68-letni kleryk Józef Urpsza otrzymuje święcenia kapłańskie z rąk bpa Majewskiego.

Ale sędziwy wikary ma duszę młodą i wciąż niezaspokojoną w swoich poszukiwaniach i wędrówce.

— Ten człowiek nie może usiedzieć na miejscu — mówiono. I rzeczywiście. Po trzech latach gorliwej pracy duszpasterskiej « ten człowiek » — ku zdumieniu i niedowierzaniu wszystkich — powtórnie zadziwił świat, wstępując do nowicjatu jezuitów. 71-letni nowicjusz przeżył to wydarzenie jako swoje powtórne narodziny. Poczuł nagle, że teraz już będzie mógł « usiedzieć na miejscu ».

— Chce się staruszek spokojnie na śmierć przygotować — mówiono patrząc na siwego jak gołąb nowicjusza.

To było prawdą — sędziwy o. Urpsza chylił swe życie już ku zachodowi, ale ani myślał czynić tego tak całkiem spokojnie. Przeciwnie, teraz dopiero odzyskał całą swoją dawną energię i werwę, cały twórczy upór i niestrudzoną aktywność, którą w nim załamała utrata najbliższych.

Po skończonym nowicjacie z całym zapałem i energią zabrał się do pracy charytatywnej. Odezwała się w nim dusza dawnego aptekarza, dobroczyńcy petersburskich zaułków. Dusza aptekarza w idealnym duecie z duszą kapłana. Kalisz też miał swoje odrapane i wilgotne mieszkania, niedożywione dzieci, swoje bóle, braki i choroby różnej natury.

— Najpierw trzeba zająć się tym, co najłatwiej uleczyć — zdecydował o. Urpsza i wyruszył na tę nową wojnę dzierżąc jedyne tysiąc złotych, które dostał od przełożonego na « dobry początek ».

Potem Ojciec wydatkuje na swoich podopiecznych 2.000 dolarów rocznie. Nawiązał łączność z Caritasem w Niemczech, we Francji, Holandii i USA. Wykorzystuje swoje dawne kontakty z wieloma firmami farmaceutycznymi na Zachodzie, które przesyłają lekarstwa dla jego chorych.

Dawna hojna życzliwość i dobroć aptekarza Urpszy wraca dziś z różnych stron Europy w postaci licznych paczek z lekami, odzieżą i żywnością.

Nie ma samotnego czy ciężko chorego starca, który nie doświadczyłby stałej opieki duchowej i materialnej. Nikt nie zostanie pominięty. O. Urpsza prowadzi sumiennie i dokład-

nie swoją księgę, do której wpisuje wszystkich potrzebujących systematycznej pomocy.

Ma w swoim « rejestrze » około 200 chorych i starców i około 100 rodzin wielodzietnych. Pomaga niektórym ośrodkom duszpasterstwa akademickiego i organizuje wysyłkę paczek do Indii.

93-letni starzec dyryguje energicznie całym sztabem sióstr zakonnych, opiekunów świeckich i lekarzy. Angażuje w swoją akcję cały nowicjat jezuicki i kapłanów jako pomocników.

Z ich pomocą organizuje dni chorych, pielgrzymki, a latem wycieczki do lasu dla ludzi, którzy leżąc latami w zamkniętych, samotnych mieszkaniach nie spodziewali się już doznać radości spaceru między sosnami i smaku jeżyn prosto z krzaka.

Wszyscy w Kaliszu znają zielono-szary mikrobus « Volkswagen », który w każdą niedzielę wiezie ojca, siostry, nowicjuszy oraz sprzęt liturgiczny.

— Patrzcie — mówią ludzie — nasz ojciec jedzie do kogoś na Mszę św.

O. Urpsza dalej pozostał aptekarzem i wie, jakie lekarstwo najdoskonalej uśmierzy ludzkie cierpienia. Dlatego w imię Boskiego Lekarza wędruje do pełnych cierpienia mieszkań, żeby wśród ubogich sprzętów, na zwykłym stole i pocerowanym obrusie, przed wyszczerbionym wazonikiem z kwiatami, dla kogoś samotnego i spragnionego — sprowadzić na ziemię Chrystusa — w tajemnicy Mszy św.

Schodzą się sąsiedzi. W kuchni, czy w przedpokoju siostra Dorota ustawia prymitywny « konfesjonał » dwa krzesełka obok siebie. Siostry śpiewają uroczyście. Potem, w czasie Mszy św. cała rodzina, sąsiedzi i goście klękają na podłodze wyszorowanej starannie na przyjście Pana — i o. Urpsza drżącymi ze zmęczenia rękami rozdaje Boże Lekarstwo. Potem siada przy łóżku chorego i modli się razem z nim. Czasem pyta surowym głosem aptekarza, czy zjedzone już tabletki, a tkliwą ręką Ojca poprawia choremu poduszki.

— Kaliski Pan Jezus to już nie ma chwili spokoju — powiedział ktoś dowcipnie. — Bez końca musi wędrować z tym energicznym staruszkiem po ulicach Kalisza, wspinać się na strome schody, przemierzać odrapane klatki schodowe.

Ojciec jest niestrudzony. Lubi sprawiać ludziom niespodzianki. Kiedyś na przykład ciężko zaniemógł. Wszyscy biedni,

chorzy i cały sztab pomocniczy wpadł w panikę. Ojciec przyjął już ostatni — siódmy Sakrament. Sporządzono testament z ostatnimi zleceniami dla wybranego przez Ojca następcy.

I nagle chory woła szofera, wyrzuca ze stolika wszystkie lekarstwa i srogo pyta struchlałe pomocnice, czy wszystko już gotowe na niedzielną wycieczkę chorych, która musi się odbyć. « Choćby nie wiem co ».

— Temu Ojcu to już wcale wierzyć nie można — zgorszyła się tym « zmartwychwstaniem » pewna babcia, zmuszona do przerwania koronki za konających.

Ojciec Urpsza pod szkłem na swoim biurku umieścił fotografię żony i ocalałe fotografie kilkorga swych dzieci. Obok zdjęcia chorych z wycieczki, fragment Mszy św. w jakimś mieszkaniu, fotografie sióstr zakonnych.

— Wy wszyscy jesteście moimi dziećmi — mówi często — teraz to dopiero mam liczną rodzinę...

Już wie, dlaczego Bóg chciał jego ocalenia i jego życia. Kazał to wydrukować na obrazku jubileuszowym:

... żeby nieść ludziom
Jego życie
Jego miłość
Jego przebaczenie
Jego pokój
— wdzięczny Bogu za dzień
w którym Chrystus mnie posłał...

Wanda Kieszkowska

PAMIĘĆ O NIM NIE ZAGAŚNIE

Przed rokiem obchodziliśmy w radosnym i podniosłym nastroju jego jubileusz — dwudziestopięciolecie kapłaństwa. Mam jeszcze w oczach ten obraz. Kościół wypełniony po brzegi. Pełno chorych na wózkach. Twarze rozjaśnione radością i wzruszeniem. Od głównych drzwi uroczysta procesja. Nowicjusze, klerycy, ojcowie, koledzy seminaryjni — pierwszego chyba po wojnie kursu wyświęconych kapłanów. Przy końcu, w otoczeniu czterech celebransów, w ciężkich pozłocistych szatach — sędziwy jubilat o. Józef Urpsza. Szedł z twarzą prześwietloną wzruszeniem, chwiejnie, jak gdyby uginając się pod ciężarem szat i ogromem trudnych do udźwignięcia przeżyć, dziwnie jakoś zmalały, kruchy i wątły. Zamykał pochód biskup Kraszewski, też dawny kolega kursowy.

Kiedy patrzyłam na niego, na tego człowieka, któremu dana była łaska przeżycia tak niezwykłego jubileuszu — przed oczami mimo woli przesuwały mi się inne, prawie zapomniane, przysypane już niemal prochem zapomnienia obrazy.

Dom, którego już nie ma ... Dom gwarny, rojny, tętniący życiem, gościnnie otwarty dla przyjaciół. Stół zawsze suto zastawiony na przyjęcie gości. I pani tego domu, żona ... jej twarz cicha, łagodna, zawsze jak gdyby lekko smutkiem zasnuta, której duże orzechowe oczy tak wymownie a karcąco umiały spoglądać na dzieci, a nierzadko i na swego nie dość opanowanego męża. « Pan Urpsza » miał temperament burzliwy, usposobienie wybuchowe i despotyczne. Pani Urpszyna nieraz musiała używać swego wpływu, by łagodzić nieporozumienia, zażegnywać łatwo wybuchające, przy zapalnym usposobieniu męża, burze. Pani Urpszyna ..., pan Urpsza i piątka dzieci przy rodzinnym stole. I goście, przeważnie panowie starsi już, zasobni, zażywni. Wystawne przyjęcia, bo dom słynął z dobrej kuchni i szlachetnych trunków. Wielką, a zasłużoną sławą cieszył się tam zwłaszcza krupnik, sławetny krup-

nik litewski, który « pan Urpsza » przybrany w biały kitel zawsze osobiście, w skupieniu, warzył w kuchni, z kombinacją trzydziestu, o ile pamiętam, ziół. Tajemnicy tego przepisu strzegł zazdrośnie, nie chcąc go zdradzić najbliższym nawet spośród przyjaciół, choć się o to niejednokrotnie przymawiali. Ów krupnik właśnie specjalnie utkwił mi w pamięci, a to dlatego, że kiedyś pani Urpszyna wyjątkowo, jak na nią, wesoła, prawie rozbawiona, namówiła mnie, żebym poszła do kuchni, gdzie właśnie « pan Urpsza » z pękami przeróżnych ziół celebrował z przejęciem warzenie swego krupniku, i poprosiła o przepis. « Nikomu nie daje, ale on Panią tak lubi, może Pani się uda ». Niechętnie podjęłam się tej misji, bo przed « panem Urpszą » czułam pewien respekt i nie lubię nikomu przeszkadzać, ale nie chciałam rozwiewać rozbawienia tak rzadkiego w usposobieniu pani Urpszyny, więc poszłam. « Pan Urpsza » powitał mnie bez entuzjazmu i zbył bardzo krótko. Obrzucił mnie zdziwionym i raczej mało pochlebnym spojrzeniem, i orzekł: « Pani nie potrafi ». Święta racja. Nie tylko bym nie potrafiła, ale nawet nie miałabym najmniejszej ochoty próbować. Rozczarowana była więc pani Urpszyna, nie ja. « A myślałam, że pani to on jednak nie odmówi ». I znowu twarz pani Urpszyny widziana po raz ostatni, na parę dni przed powstaniem, pochylona nad paczką do Rawensbrück, dla szesnastoletniej Dziuni, twarz zalana łzami. Rzadko widywałam ją śmiejącą się. Po raz pierwszy i ostatni zobaczyłam ją płaczącą ...

Wtedy nagle zdałam sobie sprawę, że w tym natłoczonym kościele, w tym tłumie stanowiącym dla o. Urpszy nową rodzinę z wyboru, której poświęcił teraz cały swój czas, wszystkie siły i całą swą miłość, ja może byłam jedyną, która znała jego dom warszawski, tak bliski mi i drogi, jego żonę, dzieci, synów, których stracił, córki rozrzucone po świecie. Po swojej tragedii rodzinnej, kiedy w powstaniu warszawskim stracił żonę i syna, a wkrótce potem drugiego i ostatniego już pod Berlinem, tu przy tym kościele w Kaliszu odnalazł przystań i cel życia, a także nową rodzinę, i tę zakonną, i tę liczniejszą jeszcze, najbardziej jego pomocy potrzebującą wśród najbiedniejszych, najbardziej przygniecionych nieszczęściem, wśród chorych, starych, opuszczonych i pozbawionych najkonieczniejszych środków do życia. To było jego powołanie. Być dla

nich nie tylko opiekunem, ale apostołem i ojcem. Trzeba go było widzieć w zakrystii, po Mszy jubileuszowej, otoczonego tłumem zarówno chorych na wózkach, jak i zdrowych starców, młodzieżą i ludźmi w pełni sił, którzy cisnęli się do jego rąk, czepiali się szat. A on całował ich wszystkich, obejmował i przygarniał do piersi. Właśnie jak prawdziwy ojciec. Bo też przez 23 lata wiernie służył Kaliszowi we wszystkich potrzebach duchowych i materialnych.

Jakąż ciernistą drogę musiał przejść ten człowiek, ile przeboleć, przepłakać i przemodlić, jak się z Bogiem prawować, ba, może i wadzić, żeby wreszcie ulec, a uległszy, wolę Bożą uznać, ukorzyć się przed nią i przyjąć za swoją. A raz przyjąwszy tak się przemienić, tak się przeobrazić, żeby nie pozostało w nim nic z dawnego życia i dawnego człowieka, żeby z dosyć despotycznego pana domu, męża i ojca, surowego kierownika dużej instytucji, zmienić się w pokornego sługę Boga i bliźnich. A przecież stał już na progu starości, kiedy wkraczał na tę nową drogę, która wydawała się już dla niego niedostępną, nieosiągalną. On jednak pokonał wszystkie przeszkody piętrzące się na drodze do kapłaństwa, a potem do życia zakonnego. Nieugięta musiała być jego wola i wiara w prawdziwość powołania, które sprawiły, że « pan » Urpsza zmienił się w ojca Urpszę, znanego i czczonego przez całą biedotę Kalisza. A przecież ten zakonnik, który ujął swoje życie w żelazną dyscyplinę, miał jeszcze i własną rodzinę, był ojcem, ba, dziadkiem i pradziadkiem. I kochał tę swoją rodzinę i troskał się o nią. W jego pokoju zakonnym, nad biurkiem, wisiał duży krucyfiks. U jego stóp obraz Matki Bożej i wizerunek papieża. A pod nim fotografie, fotografie ... żony, synów, córek, pewno i wnuków. Co dzień miał ich wszystkich przed oczami u stóp Chrystusa rozpiętego na krzyżu. I co dzień zapewne przeżywając swój rodzinny krzyż, polecał ich wszystkich Miłosierdziu Bożemu. I tych żyjących, i tych, których już dawno nie było pośród żywych. Z dawnego, bogatego życia rodzinnego, pozostały mu wspomnienia, krzyż i modlitwa.

I nawet ten tak radosny i uroczysty dzień jubileuszu także był dla niego naznaczony smutkiem. Do ostatniej chwili spodziewał się przyjazdu córek z Francji. A one nie przyjechały. Nie mogły. Pisał wtedy: *Nieprzyjazd córek z Francji ... uwa-*

żałem za jeszcze jeden krzyżyk w moim życiu. Uroczystość jubileuszowa, którą chciałem dla córek urządzić, żeby wiedziały, że ojciec życia nie zmarnował dużo zdrowia mnie kosztowała. Takiej uroczystości w Kaliszu nie było ... Niespożyte zaprawdę były siły tego człowieka, który w wieku 93 lat, po wielkich przeżyciach i po tak męczących uroczystościach jubileuszowych, po Mszy celebrowanej w kościele dusznym od upału i cisnących się tłumów, po ceremoniach w zakrystii, mógł jeszcze wziąć udział w kolacji na ... 134 osoby, przyjmować toasty, przemawiać. To wszystko działo się 4 lipca 1973 roku.

A rok później, 14 lipca 1974, już nie żył.

Takiej uroczystości w Kaliszu nie było — pisał o. Urpsza po swoim jubileuszu. — Ale takiego pogrzebu także nie było. Tłumy nie tylko stłoczyły się do granic wytrzymałości w kościele, ale zalegały także przykościelny ogródek, oblepiły szczelnie murek. I znowu pełno było chorych, starców i wszelkiej biedoty. I znowu procesja: klerycy, księża, biskupi. Ale tym razem była to procesja żałobna. Z bocznej salki, gdzie na razie była złożona, srebrzysta trumna została przez współbraci zakonnych wniesiona procesjonalnie do kościoła przed ołtarz, gdzie biskup włocławski ks. Kazimierz Majdański odprawiał w asyście Mszę św. Przemawiał dawny Prowincjał. Nie mówił o życiu Zmarłego, bo jest ono tu wszystkim dobrze znane. Nie był o. Urpsza kimś obcym, nieznanym dla ludzi. Wiedzieli, jak bolesnymi krzyżami naznaczył Bóg jego życie. Wiedzieli, że był niegdyś ojcem bardzo licznej rodziny, że miał 11 dzieci, które stracił kolejno w nader tragicznych okolicznościach. Jedno umarło z głodu podczas rewolucji w ówczesnym Petersburgu, troje zmarło w ciągu jednego miesiąca na szkarlatynę, ukochany syn Maryś utonął w trudnych do pojęcia okolicznościach w Wiśle. Pozostała mu jeszcze piątka: trzy córki, dwóch synów. Żonę i obu synów zabrała wojna. Kiedy wracając po godzinnej nieobecności w tragiczny dzień powstania zastał ruinę domu, w niej zwłoki żony i syna, myślał, że tego brzemienia nie zdoła już udźwignąć i zawołał w rozpaczy: *Boże, zabrałeś mi tyle, zabierz i mnie.* I Bóg go wysłuchał, jak wysłuchuje zawsze człowieka powalonego nieszczęściem. Ale uczynił to inaczej, pełniej i doskonalej, niż myślał wówczas doświadczony mąż i ojciec. Powołał go na

swoją służbę, a przez to i na służbę bliźnim. O tym wszystkim przypomniał niedawno ks. biskup Kraszewki w kazaniu jubileuszowym. Więc nie o tym mówił ojciec superior Dzierżek. Sięgnął do wspomnień zakonnych, do chwili, kiedy jako ówczesny mistrz nowicjatu dowiedział się, że będzie miał nowego nowicjusza — siedemdziesięciolatka przeszło. Nie taił zdumienia i niepokoju. Przecież to już starzec! I zaskoczenie, kiedy stanął przed nim człowiek, wyglądający najwyżej na lat... pięćdziesiąt, tryskający życiem, zapałem, energią. No cóż — pomyślał, niech próbuje, ale czy nie odpadnie, czy wytrwa?... Pierwsze wrażenie nie zawiodło jednak. O. Urpsza przeszedł nowicjat bez żadnych ulg; wiecznie młody, znalazł wspólny język z młodymi, umiał z nimi i w piłkę pograć, umiał jeszcze po dwa stopnie schodów przeskakiwać. Ale nade wszystko rozwinął wspaniale akcję charytatywną. Cały oddał się tej pracy, którą rozwijał jeszcze za czasów warszawskich, jako człowiek świecki. Nie szczędził swych sił, spalał się cały w tej pracy. « Ja muszę, ja muszę » — odpowiadał na wszelkie nalegania przełożonych, żeby przyhamował nieco swą aktywność i zważał bardziej na wiek i zdrowie. I tak pracował do końca.

Po Mszy św. przemówił biskup włocławski, ks. Kazimierz Majdański. Rozpoczął od stwierdzenia, że takiego pogrzebu jeszcze w swoim życiu nie widział i już chyba nie zobaczy. I wątpi, żeby ktokolwiek z obecnych uczestniczył kiedy w takim pogrzebie. Bo to przecież rzecz niezwykła, żeby człowiek liczący 94 lata, tak wielkiego dzieła dokonał, żeby zgromadził taki tłum na pożegnanie, żeby swym odejściem tyle żalu pozostawił, tyle łez wycisnął i żeby jego trumnę pokryło takie mnóstwo kwiatów. Ale o. Urpsza był prawdziwie chlebem dla głodnych i potrzebujących. Mówił też o dwóch wielkich miłościach jego życia — o miłości do ubogich i do św. Józefa. Dzień swej pracy rozpoczynał zawsze od nawiedzenia kaplicy Świętej Rodziny w kolegiacie pod wezwaniem św. Józefa. Kto go raz widział modlącego się w tej kaplicy w takim skupieniu, że nic zdawało się dla niego nie istnieć, ten już tego obrazu nie zdoła wymazać z pamięci. Zwrócił uwagę na jeszcze jedną rzecz niezwykłą — na to, że przy trumnie Zmarłego gromadzili się nie tylko współbracia zakonni i wierni, którzy go znali (a znał go cały Kalisz), ale że są przy niej i ci, którzy

mieli prawo nazywać go świętym imieniem ojca i dziadka. Bo przyjechała córka — niestety tylko jedna — z dorosłymi już dziećmi. A zakończył swe przemówienie wzruszającym wezwaniem do ks. biskupa Zbigniewa Kraszewskiego, bliskiego kolegi seminaryjnego o. Urpszy, ażeby on w imieniu Zmarłego niejako pobłogosławił wszystkich obecnych.

Ruszyła żałobna procesja. Wysoko na wozie lśniła srebrzysta trumna. Przed trumną krzyż, chorągwie, dwa sznury zakonnic, księża i biskupi; za trumną rodzina i nieprzeliczony tłum wiernych. Dla chorych i starców podstawiono specjalny autokar, aby i oni mogli towarzyszyć swojemu ojcu i opiekunowi na miejsce wiecznego spoczynku. Cały pochód szedł piechotą. Było mnóstwo kwiatów. Obok wspaniałych wieńców i wiązanek widać było wiele, bardzo wiele skromniutkich pęków rumianków, nagietek i innego pospolitego kwiecia. I one chyba stanowiły dar najcenniejszy, bo dar ubogich i starców, więc sercu o. Urpszy najbliższych i najdroższych.

Tak oto Kalisz żegnał « swego » ojca.

Nasz Zakonodawca prosił Chrystusa, aby Towarzystwo Jezusowe miało zawsze udział w tajemnicy Krzyża. Modlitwa jego została wysłuchana. Dla jezuitów polskich fala cierpień nadeszła z wrześniem 1939 roku. Oto krótki bilans tego, co złożyła Ojczyźnie w ofierze prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka w latach okupacji: kapelania w oddziałach AK, udział w tajnym nauczaniu i w akcjach ratowania Żydów, wyrabianie nielegalnych dokumentów, organizacja małego sabotażu. Co drugi jezuita przechodzi przez więzienia lub obozy, 50 zostaje zamordowanych. Wyrazem uznania dla ich trudów są nadane im odznaczenia m. in.: 3 Krzyże Virtuti Militari, 20 Krzyży Walecznych, 10 Złotych Krzyży Zasługi (3 z Mieczami), 15 Srebrnych Krzyży Zasługi (2 z Mieczami).

Cierpienia nie skończyły się z kapitulacją Berlina. W czasach stalinizmu jezuici dalej byli tymi, których prześladowano. W latach pięćdziesiątych więziono ich ośmiu. Jeden z nich, inwalida z Powstania Warszawskiego, był trzykrotnie skazywany i trzykrotnie odbywał karę pozbawienia wolności.

br. Bernard Mrozek SJ

WSPOMNIENIE Z WRZEŚNIA

W drugiej połowie sierpnia żyliśmy oczekiwaniem zbliżającej się wojny. W poniedziałek, 21 sierpnia, przybył do Instytutu Orientalnego o. Lasoń z wiadomością, że br. Kwiatkowski i ja następnego dnia mamy wyjeżdżać do Polski. Na tę ewentualność byliśmy przygotowani. Nawet mieliśmy już gotowe wizy na przejazd przez Rumunię lub Węgry. Udałem się do miasta, aby kupić bilety kolejowe. Kiedy wracałem do domu, gazety ogłaszały sensacyjną wiadomość o pakcie niemiecko-sowieckim. Zbliżyłem się do jednego kiosku, by tam coś więcej dowiedzieć się, a potem pod nosem burknąłem po włosku: diabeł i szatan ugodzili się, by zniszczyć jeden katolicki kraj. Stojący zapytali mnie, czy jestem Polakiem. Na moje potwierdzenie wyrazili mi współczucie. W ogóle można było wyczuć niezadowolenie i ambaras z tego paktu, choć gazety przedstawiały go jako wielki sukces państw totalitarnych.

Z Rzymu wyjechałem we wtorek, wraz z braćmi Kwiatkowskim i Rzeźnikowskim. W środę późnym wieczorem dojechaliśmy do Budapesztu. Nocować trzeba było w poczekalni kolejowej. Tutaj po raz pierwszy zapoznałem się z pluskwami. Rano udaliśmy się na Mszę św. do rezydencji przy Maria-utca 25, gdzie o. prowincjał przyjął nas bardzo gościnnie. Potem jeden z braci zawiózł nas do grot klasztoru paulinów na wysokim, lewym brzegu Dunaju. Podziwialiśmy tu piękne kaplice wykute w skale. Roztacza się stąd cudny widok na całe miasto.

Czas naglił. O godz. 10 opuściliśmy Budapeszt w wesołym towarzystwie polskich harcerzy, którzy kilka tygodni obozowali nad Balatonem, a teraz wracali do domu. Jak wszyscy chłopcy, tak i oni byli pewni zwycięstwa i śpiewali z zapałem: *Będziem Niemców bić, a bić, tak rozkazał Śmigły-Rydz!* Starsi z nich chcieli się zgłosić na ochotników do wojska.

Wtedy może nikomu z nich nie przyszło do głowy, że za kilka miesięcy niejeden z nich będzie siedział w obozie koncentracyjnym.

Na stacji granicznej w Zaleszczykach, cała ta wesoła kompania wysiadła z pociągu, my zaś podążyliśmy dalej do Lwowa, gdzie przybyliśmy o północy. Po dłuższym pukaniu w bramę domu rekolekcyjnego, nareszcie otworzył nam drzwi br. Bartków. Wkrótce pokazał się też o. Semkowski, który tam właśnie kończył swoje rekolekcje. Dał on nam instrukcję: br. Kwiatkowski zostanie w tym domu, Rzeźnikowski zaś i ja mamy jechać do Warszawy. Przed południem zwiedziliśmy naprędce miasto: nasz kościół św. Piotra i Pawła i wielki gmach naprzeciwko, gdzie pod kierunkiem br. Malika wrzała praca nad przeróbką tego budynku na gimnazjum. Z dumą oprowadzał nas br. Malik po tej wielkiej budowli z szerokimi korytarzami, do którego jednak już nasi nie weszli.

O godz. 16 opuściliśmy Lwów. Pociąg, który miał nas zawieźć do stolicy, był tak przepełniony, że przez całą drogę stałem. Do Warszawy dotarliśmy znowu o północy. Na Świętojańskiej nie wszyscy jednak spali. Coraz to nowy gość pukał do drzwi. Następnego dnia przyjechali z Rzymu ojcowie: Lasoń, Junosza i br. Biegański. Po południu o. prow. Życzkowski zawołał mię do siebie i powiedział, żebym się udał do Lublina na rezydencję. Pojadę w towarzystwie jednego z naszych księży i br. Podobieńskiego, który otrzymał dyspozycję na sekretarza w Bobolanum. Podróż do Lublina była znośniejsza. Znaleźliśmy nawet siedzące miejsce w pociągu. O godz. 18 byliśmy już w Lublinie.

Na rezydencji zastałem jako superiora o. Wilusza, dalej o. Kozłowskiego i braci Daniłko i Łopatniuka. O. superior miał zamiar odnowić dom i kościół. Zabrałem się więc do obdrapywania ścian i czyszczenia świeczników w kościele. Jednak już w środę, 30 sierpnia, ogłoszono mobilizację. W piątek wybuchła wojna. W sobotę mieliśmy pierwszy alarm. Cały następny tydzień przeszedł względnie spokojnie. Po mieście krążyły najdziwaczniejsze wieści o bombardowaniu i zniszczeniu Berlina, wkroczeniu wojsk francuskich do Akwizgranu, to znowu, że Stany Zjednoczone wkrótce wypowiedzą wojnę Niemcom, a Włochy także, że Niemcy są już w Łodzi i idą z taką siłą, że nikt im się oprzeć nie zdoła. Nikt jednak z naszych

nie wierzył, aby Niemcy mogli przyjść aż do Lublina. Tymczasem coraz więcej uciekinierów przybywało do miasta. Kiedy w sobotę, 9 września, około 10.30 kilkadziesiąt samolotów niemieckich zbombardowało miasto, otwarły się oczy wszystkim na straszną rzeczywistość. Bomby padały o kilkadziesiąt metrów od naszego domu. Schroniliśmy się do niewielkiej piwnicy, która wcale nie była przygotowana na schron i lada chwila mogła zamienić się w grób. Ludzie otworzyli drzwi przy furcie przemocą i wtłoczyli się do domu, bo mówili, że w domu zakonnym i przy kościele jeszcze najbezpieczniej. Najbardziej ucierpiało śródmieście. Najgorsze było to, że straż pożarna opuściła miasto i tylko jedna sikawka została do gaszenia pożaru. Po tym bombardowaniu miasto opustoszało. Nasi klerycy z Bobolanum też opuścili miasto i udali się na wschód. I mnie namawiano, abym się udał na wędrówkę, ale o. prowincjał Życzkowski, którego radziłem się w tej sprawie, odradził mi podejmowania się podróży w nieznane. Był także niezadowolony, że nasi klerycy to zrobili. Po trzech dniach przekonałem się jak dobra była ta rada. Przyszedł do nas pieszo z Krakowa br. Jan Kula tak wycieńczony, że powiedział niech się dzieje co chce, ale ja już dalej nie pójdę. I został u nas.

W czwartek, 14 września, rozeszła się wieść, że Niemcom udało się pod Puławami przeprawić przez Wisłę i idą na Lublin. W sobotę dał się już słyszeć daleki grzmot artylerii, który w nocy potężniał. W niedzielę rano już pierwsze pociski padały na miasto. W tym dniu o. prowincjał obchodził swoje imieniny. W czasie obiadu trzy razy musieliśmy wstawać od stołu i chronić się do piwnicy. Całe popołudnie przebywaliśmy przywarci do ścian grubych murów kościoła. Od alei Racławickich dochodził już suchy trzask karabinów maszynowych. Wieczorem strzelanina osłabła. Kiedy o północy wstałem zbudzony nowym hukiem armat, usłyszałem dziwny trzask jakby palącego się drzewa. Poszedłem zobaczyć na strych, czy to przypadkiem nasz dom się nie pali. Gdy tam niczego nie zauważyłem, wyszedłem na ulicę i wtedy poznałem przyczynę tego trzasku. Obydwie wieże katedry stały w płomieniach, zapalone pociskami. Nie śmiałem już wrócić do pokoju, ale stanąłem pod murem naszego domu i przypatrywałem się ognistym pociskom, które ze świstem przelatywały nad moją głową.

Nad ranem weszliśmy z o. Elterem do kościoła. Usłyszeliśmy wrzaski na ulicy. To Niemcy wkraczali do miasta. Brata Łopatniuka, który wyszedł otwierać bramę, pochwycili i zabrali ze sobą. To samo robili z każdym mężczyzną, którego spotkali na ulicy. Wieczorem jednak wypuścili ich na wolność.

Po wkroczeniu Niemców do miasta, nasze nerwy odprężyły się. Ustały naloty i strzelanina. Do naszej rezydencji nie zajrzał ani jeden Niemiec.

W mieście nastał znowu wielki ruch. Udałem się do miasta po szyby do okien w kościele i w domu. Wcale nie myślałem o wyjeździe. W sobotę, 23 września, rozeszła się po mieście wieść, że Niemcy usuną się na lewy brzeg Wisły, a do Lublina przyjdą bolszewicy. Wtedy, kto mógł, udawał się na komendę niemiecką po przepustkę. Udałem się do o. prowincjała z pytaniem, co mam robić: jechać czy zostać. Ten mi odpowiedział: « Jedź do swoich na Pomorze, a stamtąd staraj się wrócić do Rzymu, bo nie wiadomo, co się stanie z naszymi domami. Być może, że będziemy rozproszeni. » Stanąłem więc w niedzielę o godz. 5 w ogonku, czekając na przepustkę. Otrzymałem ją w południe. Kto nie mógł się wykazać, że pochodzi z tamtej strony Wisły, przepustki nie otrzymywał.

Był już późny wieczór, gdy długi pociąg towarowy, napchany do niemożliwości ludźmi, ruszył ze stacji wlokąc się jak ślimak. Dopiero nad ranem przyjechaliśmy do Puław. Ze stacji kolejowej udaliśmy się pieszo do Wisły, gdzie na drewnianym moście, zbudowanym naprędce przez Niemców, odbywała się kontrola przepustek. Na stacji kolejowej w Puławach przyłączył się do mnie jeden żołnierz z Pomorza, który przebrawszy się zdołał wymknąć się Niemcom i teraz starał się wrócić do domu. Ponieważ żadne pociągi na zachód nie szły, postanowiliśmy udać się pieszo do Radomia. W południe przybyliśmy do Zwolenia. Tutaj udało nam się chwycić ciężarowkę i ta nas zabrała do Radomia.

W Radomiu spotkałem się raz jeszcze z o. prowincjałem, który miał zamiar jechać do Krakowa. Dał mi 100 złotych na wszelką ewentualność i załatwił mi nocleg w domu państwa Ogórkowskich. Tu spotkałem się z braćmi Łukowiczem i Różyckim, którzy także jechali na Pomorze. Wyjechaliśmy z Radomia późnym wieczorem i następnej nocy przybyliśmy do Częstochowy. Nad ranem ruszyliśmy dalej. O godz. 9 dotar-

liśmy do Kluczborka. Tu wszyscy musieli wysiąść z pociągu i poddać się ścisłej rewizji. Potem można było iść do miasta. Mieszkańcy odnosili się do nas bardzo grzecznie. Na stacji kolejowej zbliżył się do mnie jeden urzędnik i wręczył mi jedną markę, abym sobie kupił coś ciepłego.

O godz. 15 wyjechaliśmy pociągiem osobowym do Wrocławia. Na dwu stacjach kolejowych uraczyli nas chlebem z kiszką i ciepłą kawą. Powtórzyło się to także we Wrocławiu. Zbliżył się do mnie jeden porucznik niemiecki i zapytał czy czego nie potrzebuję. Na moją prośbę wymienił mi złote polskie na marki niemieckie.

Z Wrocławia wyjechaliśmy późnym wieczorem. W Głogowie rozstałem się z braćmi Łukowiczem i Różyckim. Ci jechali wprost na Pomorze. Ja zaś chciałem zatrzymać się w Poznaniu i dlatego musiałem się przesiąść. Do Poznania, przez Rzepin pod Frankfurtem, przybyliśmy w piątek w południe. Na dworcu czekało dużo ludzi na swoich bliskich, którzy wracali z miesięcznej tułaczki. Gdy się już znalazłem przy naszej rezydencji na Szewskiej, zobaczyłem na drzwiach kościelnych napis świadczący o konfiskacie kościoła i domu. Kiedy czytałem ten dokument, zbliżył się do mnie jeden mężczyzna i szepnął mi, bym się natychmiast oddalił, jeśli nie chcę być aresztowany. Był to zakrystian naszego kościoła. Zaprosił mnie do swego mieszkania i opowiedział wszystko, co się stało. W poprzednią środę, mówił, wpadła policja do domu i pod zarzutem, że z wieży jezuickiego kościoła padł strzał w chwili gdy Niemcy zdzierali z ratusza białego orła, zaaresztowała wszystkich (z wyjątkiem o. superiora Nowakowskiego, który wyszedł do miasta i do tej chwili ukrywał się). W rzeczywistości nikt nie strzelał, pękła tylko opona przejeżdżającego tamtędy samochodu.

W Poznaniu chciałem uzyskać pozwolenie na wyjazd do Włoch. W towarzystwie wspomnianego zakrystiana udałem się na policję. Dyżurny oficer, któremu przedłożyłem moją prośbę, wprowadził mnie do obszernego przedsionka i poszedł mnie zameldować. Za chwilę drzwi szeroko otwarły się, a w nich stanął gruby oficer niemiecki, za nim zaś czterech żołnierzy z najeżonymi bagnetami. Marszowym krokiem zbliżyli się do mnie. Oficer szorstkim głosem zawołał: Gdzie jest ten człowiek, który chce jechać do Rzymu? Tu jestem, odpo-

wiedziałem. — Do Rzymu nie pojedziecie, ale tu zostaniecie! Do Rzymu chce się wam jechać, by tam opowiadać, co się tu dzieje. Zostaniecie tu, w Poznaniu. — Pozwólcie mi tedy przynajmniej pojechać do Tczewa. — Ani tego nie. Zostaniecie tutaj i na tym koniec!

Zakrystian poradził mi teraz udać się do starostwa. Ale i tutaj nic nie wskórałem. Natomiast jakiś urzędnik, już starszy pan, wskazał mi adres, gdzie mam się udać w tej sprawie. Poszliśmy. Okazało się jednak, że był to budynek osławionego już gestapo. Kto tam wejdzie, wolny nie wróci. Dałem tedy spokój dalszym próbom. Udałem się na dworzec. Dowiedziałem się, że dnia następnego, o godz. 16 odejdzie pociąg na Pomorze. Postanowiłem tam pojechać.

Idąc ulicami można było zauważyć na skrzyżowaniu żołnierzy niemieckich z karabinami maszynowymi. Nie wolno się było długo zatrzymywać na tym samym miejscu i zbierać się w grupki ponad trzy osoby. Na bramach niektórych domów były widoczne napisy czerwonego koloru ogłaszające, że ten a ten z tego domu został skazany na śmierć i wyrok został wykonany. Malarze w tych dniach mieli dużo roboty, przy zmianie wszystkich polskich napisów na niemieckie.

Na noc udałem się do księży salezjanów, gdzie zastałem braci Jana Kozła i Flisykowskiego, którzy dnia poprzedniego przybyli do Poznania. Br. Kozieł miał zamiar udać się do Krakowa. My zaś z br. Flisykowskim wyjechaliśmy następnego dnia na Pomorze. W Poznaniu kupiłem sobie jeszcze cywilne ubranie. Gdy jechałem tramwajem na stację, usłyszałem jak jeden do drugiego mówił: to jest przebrany ksiądz.

Na Pomorze jechaliśmy okrężną drogą, przez Piłę. W Pile przesiadka. Brat Flisykowski udał się do jakiejś znajomej rodziny. Gdy nie wrócił na czas odjazdu pociągu, pojechałem sam.

W niedzielę, 1 października, dotarłem do Tczewa. Zastałem tutaj tylko samą mamę. Najstarszy brat został razem z innymi urzędnikami aresztowany w Gdańsku w nocy z 30 sierpnia na 1 września, a następnie wysłany na przymusowe roboty. Drugiemu, który miał być rozstrzelany, udało się zbiec z koszar i ukryć u teściów. Dwóch innych braci było w niewoli.

Na drugi dzień udałem się z matką do rodzinnego Pelplina. Chciałem zobaczyć się z bpem Dominikiem, on bowiem,



15. Święta Lipka — sanktuarium maryjne

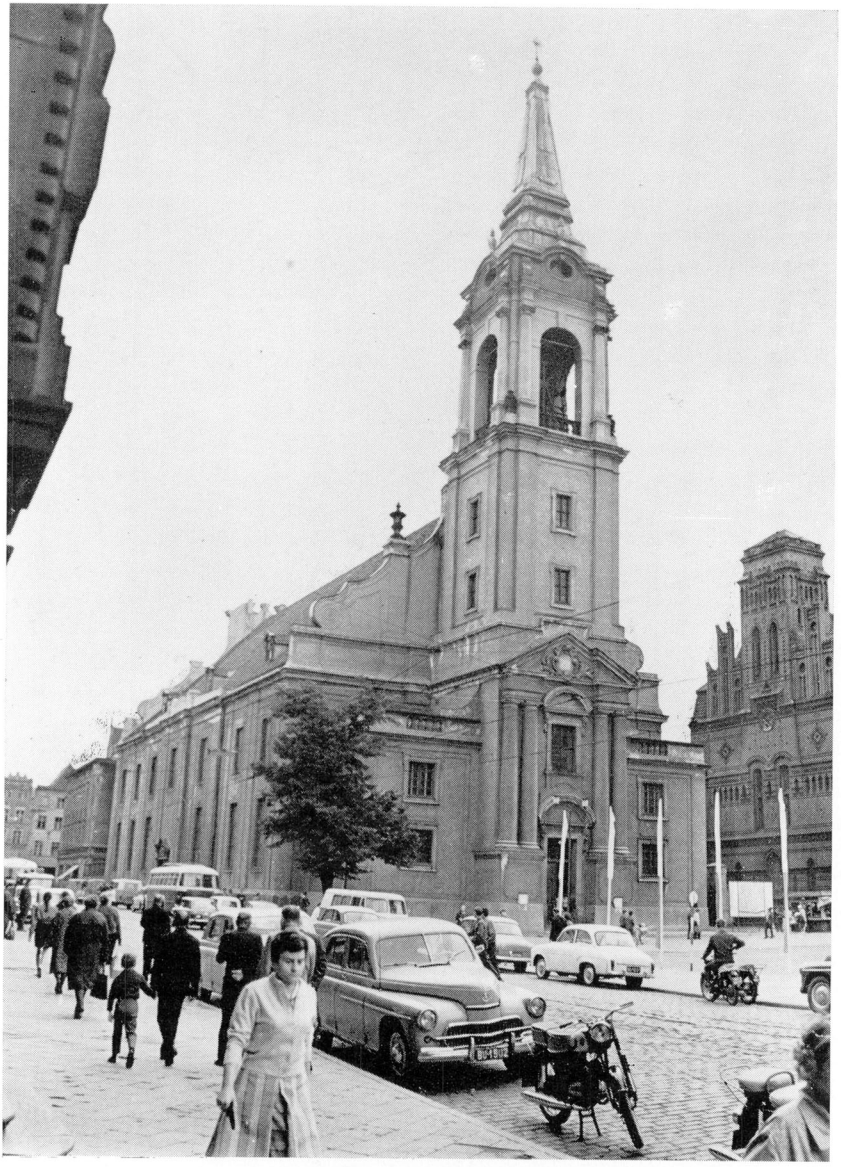

16. Toruń — kościół Św. Ducha

kiedy prosiłem go o radę w sprawie zakonu, jaki mam wybrać, skierował mnie do jezuitów. Niestety bp Dominik nie mógł mnie przyjąć. Leżał ciężko chory, a przy tym był w areszcie domowym, tak jak wszyscy inni księża, z wyjątkiem proboszcza i wikarego. Katedra była zamknięta. Służyła za magazyn.

Trzymając się wskazówek o. prowincjała, udałem się na drugi tydzień do Gdańska. Tylko tam można było otrzymać pozwolenie na wyjazd do Włoch. Wszyscy mi odradzali. Obawiali się, że nie wrócę. W konsulacie włoskim powiedziano mi, że otrzymam wizę włoską, ale najprzód muszę się postarać o pozwolenie na wyjazd u władz niemieckich i dodali, że będą na mnie czekać aż do 9 wieczorem. Udałem się na policję. Tu powiedzieli mi, że moja sprawa jest trudna i tylko gestapo może dać pozwolenie na wyjazd. Gdy się tam zgłosiłem, oznajmił mi dyżurny, że dyrektor już na mnie czeka. Zaczęło się od krzyku na wszystko co polskie, jezuickie i kościelne. Ponieważ na pytania i zarzuty odpowiadałem spokojnie, zmieniono nagle ton i zapytano, co robię we Włoszech. (W pokoju oprócz dyrektora był jeszcze jeden starszy pan z bródką). Gdy odpowiedziałem, że jestem bibliotekarzem w Instytucie Orientalnym, zaczęli wypytywać o inkunabuły, zwłaszcza o biblię Gutenberga. Potem przerzucili się na tematy religijne i namawiali mnie, abym porzucił zakon i ożenił się. Odpowiedziałem na to, że w zakonie czuję się dobrze i nie widzę sensu zmieniania swego stanu. Ten pan z bródką zaczął stawiać szydercze pytania: kto to jest Bóg? czy jest stary? czy ma długą brodę? Odpowiedziałem, że o Bogu i panowie i ja uczyliśmy się w szkole. Zapytałem i ja z kolei dyrektora, czy on wierzy w istnienie Chrystusa historycznego? Odpowiedział, iż wierzy, że istniał taki czarnoksiężnik. Zaczęła się dyskusja na temat powstania Ewangelii i dalszej historii Kościoła. Wreszcie kierownik wyszedł i zostałem sam z tym panem z bródką, który zaczął najpierw wywody o Żydach, a potem o pochodzeniu człowieka i w ogóle o ewolucji. Podczas zbijania dosadnymi argumentami jego teorii o pochodzeniu człowieka od małpy, na które on nie miał odpowiedzi, wszedł znowu dyrektor, stanął za moimi plecami i przysłuchiwał się; potem poklepał mnie po ramieniu i rzekł: dobrześ mu odpowiedział, a do niego: z jezuitami o tych sprawach nie rozmawiaj.

Dyrektor wyprowadził mnie na korytarz i kazał zaczekać. Wyciągnąłem z kieszeni różaniec. Zeszło się zaraz kilku gestapowców. Chcieli obejrzeć moją koronkę. Początkowo wzbraniałem się. Powiedzieli mi jednak, że nie będą naśmiewać się. Wtedy zacząłem tłumaczyć im tajemnice różańcowe. Nadszedł znowu szef gestapo i mówi, co ten jezuita chce tutaj katechizować moich ludzi. Wziął mnie znowu do siebie i pokazał mi dwa dokumenty: jeden koloru czerwonego, z rozkazem aresztowania (ten pokazał najprzód, ale nie pozwolił mi go całego przeczytać) i drugi, że nie mają do mnie żadnych zastrzeżeń i że mogę opuścić Gdańsk. Przedtem ten sam gestapowiec powiedział mi, że z Gdańska nie wydostanę się. Odparłem mu, że wyjadę bo dopomoże mi Matka Najśw. Oświadczył wtedy, że będzie to prawdziwy cud.

Gdy wychodziłem z gmachu gestapo była godz. 20. Poszedłem jeszcze do konsulatu włoskiego. Tu rzeczywiście, tak jak obiecano, czekali na mnie. Ucieszyli się, że otrzymałem pozwolenie na wyjazd. Na drugi dzień udałem się na policję po zezwolenie piśmienne na wyjazd do Włoch, a następnie raz jeszcze do włoskiego konsulatu po wizę.

Uradowany wróciłem do Tczewa pożegnać się z mamą. Stąd 17 października wyjechałem do Gdańska. W Gdańsku kupiłem bilet do granicy włoskiej. Zabrakło mi pieniędzy na dalszą podróż.

W czasie przesiadki w Berlinie, gdy siedziałem w poczekalni, podszedł do mnie jakiś oficer niemiecki, wiedeńczyk i zaczął pomstować na nazistów. Kiedy zwróciłem mu uwagę, że nie wie z kim rozmawia, odpowiedział iż wie i że z miejsca rozpoznał we mnie duchownego i dlatego tak szczerze mówi. Naziści ateizują jego dzieci, a on musi nazistom służyć.

Z Berlina do Lipska jechałem z jakimś profesorem, który niegdyś studiował w Rzymie. On obiecał mi wysłać z Lipska do Rzymu telegram, aby stamtąd przysłali mi drogą telegraficzną pieniądze na stację kolejową w Brennero na dalszą podróż.

Przed Insbrukiem rozpoczęła się w pociągu wstępna kontrola paszportowa. Zauważono, że w paszporcie nie mam pieczątki wizowej niemieckiej. Kontroler radził mi wysiąść i załatwić tę sprawę w Insbruku, inaczej będą trudności na granicy. W Insbruku, jak i wszędzie dotychczas, ta sama proce-

dura: najpierw policja, później gestapo. Na gestapo powiedziano mi, abym wrócił skąd przyjechałem, albo podpisał volkslistę. Gdy odmówiłem podpisania volkslisty, wypchnięto mnie na schody. Zacząłem wtedy odmawiać różaniec. Za chwilę znowu zjawił się ów gestapowiec, który namawiał mnie do podpisania volkslisty i zapytał, co tutaj jeszcze robię. Zaczął od nowa nagabywać, abym stał się Niemcem. Gdy widział, że nie dam się złamać, chciał odejść. Wtedy ja wyciągnąłem fotografię mojego ojca i powiedziałem: mój ojciec w czasie pierwszej wojny światowej przez cztery lata stał w okopach w waszym wojsku, a wy w ten sposób odpłacacie. To poskutkowało. Kazał mi iść na policję i oświadczył, że tam otrzymam potrzebną pieczątkę do paszportu.

Gdy znalazłem się znowu w pociągu myślałem, że na tym już koniec. Na granicy jednak wszyscy musieli wysiąść z pociągu i zaczęła się na nowo kontrola paszportów. Zdziwiono się, że obywatel polski jedzie do Włoch. Zakwestionowano prawdziwość mojego paszportu. Oświadczyli, że paszport jest sfałszowany. Telefonowano do gestapo w Insbruku. Oddano mi paszport dopiero po zapewnieniu gestapo w Insbruku, że wszystko jest w porządku. Dowiedziałem się też, że telegram z Lipska został wysłany, ponieważ czekały na mnie już pieniądze na dalszą podróż.

20 października zostałem radośnie powitany przez współbraci w Instytucie Orientalnym.

ks. Franciszek Domański SJ

W PASIAKU DO NIEBA

Podeszliście pod góry Syjonu i pod miasto Boga żywego pod Jeruzalem niebieskie i do rzeszy wielu tysięcy aniołów, i do Kościoła pierworodnych, którzy są zapisani w niebie, i do Boga sędziego wszystkich, i do duchów sprawiedliwych, doskonałych, i do Jezusa, pośrednika Nowego Testamentu, i do pokropienia krwią, które lepiej mówi, aniżeli krew Abla.

Urodzony 27 stycznia 1906 r., wstąpił Stanisław Felczak do nowicjatu w Starejwsi 3 lipca 1921 r., święcenia kapłańskie otrzymał z rąk bpa Jełowickiego w Lublinie 24 czerwca 1934 r., uroczystą profesję złożył 2 lutego 1939 r., zmarł w Dachau 9 maja 1942 r., w 36 roku życia, a 21 powołania zakonnego.

Po straszliwym potopie krwi i ognia, jaki w czasie drugiej Wojny Światowej zalał całą Polskę, po niesłychanych w dziejach zniszczeniach, Polacy zabrali się do obliczania poniesionych strat w ludziach, w majątku i tysiącletnim dorobku duchowym. Z tego obliczenia powstały liczne księgi wykazujące przede wszystkim straty materialne; spod znanych nam piór wyszły też liczne księgi, opisujące straty duchowe, morze cierpień całego narodu, najcięższe chwile jego krzyżowej drogi... Są to « Księgi Boleści Narodu Polskiego ». Katastrofalny rozmiar klęski, ociekające krwią i łzami fakty utrudniają czytanie tych ksiąg, gdyż upiorna ich treść zanadto boli, napełnia niezmiernym smutkiem i przerażeniem... Autorzy i autorki tych opisów mówią o stratach narodu polskiego, a tylko tu i ówdzie i to nieśmiało wyrywa się refleksja o jeszcze nieznanych nam zyskach duchowych, o zbawiennych owocach, jakie kiedyś będą udziałem (a nawet już są) milionów Polaków, owszem i innych narodów.

Mam na myśli również i tych naszych ojców, kleryków i braci, którzy w różnorodny i okrutny sposób ponieśli śmierć

męczeńską w obozach koncentracyjnych, po więzieniach, na wygnaniu... A chociaż to, żeśmy ich znali osobiście, że wielu z nich to nasi zakonni i szkolni koledzy, przyjaciele, nieco nam utrudnia wypowiedzenie tych czcigodnych wyrazów: « męczennicy, męczennik, męczeństwo », jednak wyrazów tych — bez popełnienia historycznej nieścisłości — nie możemy zamienić tylko na określenie: « bohaterzy, bohater, bohaterstwo ». Daj Boże, ażeby niedaleka przyszłość potwierdziła powyższą opinię.

Mając tak licznych męczenników za wiarę możemy śmiało twierdzić, że bezmiar ich cierpień, ich krew i śmierć męczeńska jest zyskiem dla Kościoła, dla Polski, dla ludzkości.

Trudno bowiem oprzeć się ludzkiemu uczuciu smutku i żalu oraz ludzkiem patrzeniu na śmierć tylu wartościowych i wybitnych ludzi. Nic dziwnego, że mimo woli przy rozważaniu owych potwornych wydarzeń, wyrywa się z głębi duszy westchnienie: « Boże, co za ogromna strata! Jaka to niepowetowana szkoda! » Takie właśnie uczucia i myśli budzą się na wspomnienie śmierci o. Stanisława Felczaka. Jeżeli bowiem w ogóle o młodzieży zakonnej mówi się i pisze, że jest ona nadzieją Towarzystwa, to samo należy w szczególny sposób powiedzieć o ojcu Felczaku jeszcze jako kleryku w Starejwsi, Pińsku, w Vals (Francja) i w Lublinie.

Biorąc pod uwagę wybitne zdolności tego Ojca i piękne przymioty jego charakteru trzeba przyznać, że nie było przesady w nazywaniu go perłą czy przyszłym filarem zakonu.

Czytając kiedyś Euzebiusza *O Męczennikach palestyńskich w kopalniach* natrafiłem na opis męczeńskiej śmierci Jana z Egiptu. Wtedy to, jakby w zwierciadle, żywo stanęła mi przed oczyma tak blisko mi znana postać o. Felczaka. Oto fragment tego opisu: *Niewątpliwie, usposobienie jego i życie filozoficzne budzi podziw, większe przecie zdziwienie wywołuje siła pamięci jego. Całe księgi Pism Bożych wypisał nie na tablicach kamiennych, jak mówi Apostoł Boży, ani na skórach zwierzęcych, ani na kartach, które robaki i lata rozgryzą, ale zaprawdę na cielesnych serca tablicach, w duszy swej promiennej i w niezmąconym umysłu swego oku. Toteż gdy chciał, z ust jego płynęły, jak z jakiej skarbnicy literackiej, ustępy z Zakonu, Proroków, to znowu z Ksiąg historycznych, czy wreszcie z Ewangelii i Pism apostolskich... Nie wiedziałem,*

jak wielbić Boga i jak swój podziw wyrazić, i zdało mi się, że widzę jasny i nieprzeparty, a czynem stwierdzony dowód, iż człowiek prawdziwy to nie ten, który się w widzialnym nam jawi ciele, ale ten, który nim jest z ducha i rozumu swego, który pokazuje, że od okaleczonego ciała potężniejsza jest moc siły w nim mieszkającej.

W opinii ogółu szkolnych kolegów o. Stanisław urodził się w « czepku », gdyż opanowanie nawet najtrudniejszych przedmiotów szkolnych przychodziło mu łatwo, a w wynikach egzaminów rzadko kto mu dorównał. Wszystkie lata studiów były jakby triumfalnym pochodem jego bystrego rozumu, wielkiej wiedzy pozytywnej, której utrwalenie i rozmiary zawdzięczał swej bardzo dobrej pamięci. Prócz tego — uznanie i podziw u profesorów, zaufanie u przełożonych, popularność i serdeczna przyjaźń, jaką go darzyli prawie wszyscy koledzy mogły na niejednym czynić wrażenie, że o. Felczak szedł przez swe życie zakonne po różach. A jednak tak nie było. Miał on bowiem w swym życiu sporo krzyżyków. Delikatnej kompleksji i słabego zdrowia, łatwo zapadał na różne dokuczliwe choroby. Jedną z przyczyn częstego niedomagania na zdrowiu było nadmierne przepracowywanie się. Mimo wielkich zdolności i łatwości opanowywania w krótkim czasie trudnych przedmiotów, tak intensywnie pracował, że nadwyrężał sobie zdrowie. Jego głęboki i subtelny umysł łączył się z wielką delikatnością i subtelnością usposobienia. Toteż w poświęceniu się dla drugich, w koleżeńskiej uczynności nie znał granic. Na prawo i lewo pomagał słabszym w nauce współbraciom. Czego nie wytłumaczył profesor w szkole, to z naddatkiem i nieraz o wiele lepiej wyjaśnił ks. Felczak. Nie było tak trudnego matematycznego zadania, którego by on nie rozwiązał; nie było tak trudnej i zawiłej kwestii filozoficznej czy teologicznej, której by krótko i jasno nie podał. Jego skrypta (niezwykle syntetycznie i jasno ujęte tezy) przechodziły w odpisach z rąk do rąk zwłaszcza przed egzaminami. Słusznie można powiedzieć, że przez wszystkie lata scholastyckie był on « pokojowym » i znakomitym profesorem wielu swych współkolegów. Nic więc dziwnego, że przełożeni wysłali go na studia filozoficzne do Francji (Vals), po skończonej zaś teologii w Bobolanum — na biennium do Rzymu.

W czasie studiów teologicznych nie ograniczał się do zrozumienia danego autora, czy podanej na powielaczu tezy oraz szkolnego wykładu, ale z ogromnym nakładem pracy do każdej kwestii studiował dostępne mu źródła, sprawdzał teksty, pogłębiał i po swojemu ujmował zagadnienia; słowem już wtedy wyrabiał się na naukowca i solidnego profesora. Nigdy nie był zadowolony z dokonanych już osiągnięć, lecz przynaglany wielkim umiłowaniem nauki ciągle dążył do wszechstronnego rozwiązania zagadnień teologicznych oraz do stworzenia jakiejś doskonałej syntezy i możliwie najlepszej metody studiowania i nauczania.

Jako profesor był bardzo kochany przez swych słuchaczy z powodu jasnych wykładów i syntetycznego ujęcia całego materiału. (Ze wspomnień o. Barciszewskiego).

W liście do mnie z dnia 15 grudnia 1938 r. o. Stanisław pisze te słowa: *Praca szkolna idzie zwykłym trybem. Z moich wykładów uczniowie podobno zadowoleni, ale ja ... habeo nauseam. Damnatus ad metolla (non ad bestias). Mimo wszystko wśród grona profesorskiego jest zapał, przynajmniej wśród młodszego.*

W przygotowywaniu wykładów nie znosił powierzchowności a w wykładach — metody « paznokciowej ». W liście z 28 marca 1939 r. pisze mi te słowa: *Dzisiaj muszę się wytłumaczyć, dlaczego tak długo milczałem. Po prostu gonię ostatkami sił i nie mam wolnej chwili na napisanie bodaj kilku słów. Profesura kosztuje mię jednak bardzo dużo, zwłaszcza obecnie, gdy wykładam de novissimis — traktat zupełnie mi obcy. Przypominasz sobie, że wykładano go za nas na IV roku, gdyśmy się gotowali do gradusu, więc wcale tych rzeczy się nie przerabiało. A ponadto jest tu dużo kwestii dość delikatnych.*

W czasie przechadzek po Lublinie i okolicy o. Felczak często poruszał sprawę założenia jezuickiego czasopisma, które by omawiało zagadnienia filozoficzno-teologiczne. Zarówno w swobodnych rozmowach w czasie przechadzek i rekreacji, jak i przy każdej innej sposobności w dyskusjach ujawniał swe szerokie poglądy na życie, na prace naukowe, apostolskie; śmiało snuł dalekosiężne i w najlepszym znaczeniu słowa ambitne plany na przyszłość, a więc i te, w jaki sposób polskie prowincje Towarzystwa dałoby się podciągnąć pod różnymi

względami do poziomu innych prowincji. Nie mógł przeboleć tego, że polscy jezuici nie mają takich naukowych czasopism, jakie mają jezuici niemieccy, belgijscy, francuscy. We wspomnianym liście z 15 grudnia 1938 r. również i tę sprawę porusza. *Jest już aktualna — in actu proximo — sprawa czasopisma recenzyjnego, teologicznego. Trudno przełamać pierwsze lody lub raczej opór rutyny, ale jeżeli Bóg dobry pozwoli w roku jubileuszowym (1940), ukaże się pierwszy numer. Będzie to zaczątek poważniejszych prac i jakiego takiego promieniowania Bobolanum na zewnątrz. Ojciec prowincjał i o. rektor odnoszą się do tego dzieła jak najprzychylniej.*

Liczne trudności, również natury finansowej, sprawiły, że do wydawania tego czasopisma nie doszło. W liście z 28 marca 1939 r. o. Felczak pisze mi w tej sprawie: *O czasopiśmie na razie — jak mi się zdaje — nie ma mowy. Szkoda o tym pisać. Trudno... Zdaje się, że tak już być musi, że musimy wysługiwać się innym, a sami w cieniu się chować. Precz z pesymizmem i zwątpieniami, powtarzam sobie często, ale te uczucia jakoś gwałtem do duszy się wkradają. Kto wie zresztą, co z nami będzie? Może już w najbliższych dniach zamiast pióra i słowa trzeba nam będzie chwycić za karabin?*

Obok wybitnych zdolności w kierunku naukowym, o. Stanisław odznaczał się dużym talentem krasomówczym. Łatwość popularyzowania myśli filozoficznej i teologicznej, piękny i bogaty styl, nadzwyczajna płynność wymowy, dość silny i dźwięczny głos a przy tym wszechstronne zainteresowania sprawiały, że rwał się również do prac apostolskich. W powyższym liście (28.3.1939 r.) pisze: *Do tego oprócz profesury rzuciłem się na prace apostolskie, ponieważ o pracy innej np. pisarskiej, dzisiaj nie ma mowy. Od lutego prowadzę Sodalicję Pań, byłych wychowanek sióstr urszulanek. O pracy sodalicyjnej nie miałem wielkiego pojęcia; zająłem się nią bez żadnego wprowadzenia, gdyż mój poprzednik, o. Wojnar, wyjechał zbyt szybko najpierw na kurację, a potem do Łodzi, tak że nie mogłem z nim zamienić ani jednego słowa o Sodalicji. Trzeba więc dopiero samemu próbować... Ale to nie wszystko. W poście chcąc nie chcąc musiałem popróbować i misjonarki, a raczej pracy rekolekcyjnej. Na początku marca dawałem rekolekcje starszemu harcerstwu w Bobolanum. Było do 120 osób. (Przed 2 laty było podobno aż 5 osób). Udały się wcale nieźle.*

W tydzień potem pojechałem z rekolekcjami dla ziemiaństwa i nauczycielstwa do Łaszczowa, do pp. Starowiejskich. To prawie Twoje strony. Był nawet jeden nauczyciel, twój bardzo dobry znajomy, z którym korespondujesz (p. Kazimierz Nowosadzki). Jechałem na nie jak na męki, gdyż nie znałem dokładnie planu konferencji, które miałem dopiero na miejscu omówić z p. Starowiejskim. Po przyjeździe, żąda ode mnie, bym w jednym dniu miał aż 5 konferencji, a resztę w dwu następnych dniach. Rozpacz. Ale trudno. Ze skryptem można sobie jakoś poradzić. Tymczasem w sali ciemno, o jakimś « blicku » na skrypt nie ma mowy. Mów z pamięci i to konferencję po konferencji z 15 minutowymi przerwami. Wtedy wpadłem w szał i to, co bym mówił ze skryptem 30-35 minut, mówiłem po 40-55 minut! Rozumiesz, ile mię to kosztowało zdrowia. Ale też nigdy chyba nie miałem jeszcze i nie wiem, czy będę miał takie powodzenie. Mężczyźni, bo tych tylko spowiadałem, w sile wieku, przy konfesjonale płakali, jak żubry — biedni, 20-letni nieraz, « jubilaci ». Pewien młody, dwudziestokilkoletni człowiek energicznie wchodzi do pokoju i głosem energicznym mówi: Proszę księdza, od trzynastego roku życia nie spowiadałem się; byłem uprzedzony do Kościoła, do księży, do wszystkiego. Na rekolekcje przyszedłem nie dlatego, by spełnić obowiązek religijny, ale dlatego że szli koledzy, zresztą byłem ciekawy, co też jezuita powie. Proszę księdza, ksiądz mię przekonał, będę się spowiadał. To proszę klękać. I wyspowiadał się, jak dziecko. Miałem jeszcze mieć 2 czy 3 nauczki dla dzieci, fizycznie już nie mogłem. Wróciłem bez sił, ale warto się trudzić aż do ostatka, gdy się widzi, że trud nie idzie na marne, jak np. na wykładzie szkolnym. Teraz rozumiem choć trochę Twoje prace i sukcesy. Dziś bez najmniejszego żalu, a może i z radością rzuciłbym katedrę, by iść na misjonarkę, jeżeli nie na misjonarkę, bo to nie na moje siły, to przynajmniej na prace konferencyjno-rekolekcyjne. No ale trudno — posłuszeństwo chce inaczej. Niech więc i tak będzie. Można przynajmniej jedno z drugim pogodzić, chociaż w części: w dzień wykłady i przygotowanie do nich, a nocami praca nad rekolekcjami. Na dłuższą metę człowiek by nie wytrzymał, ale w czasie postu można sobie na to pozwolić. Pierwszego kwietnia zaczynam jeszcze jedną serię, no i ostatnią w poście, w Kraśniku dla rodzin wojskowych i równocześnie dla inteligencji!

Były to pierwsze i prawie ostatnie triumfy apostolskiej gorliwości o. Felczaka, gdyż w niespełna rok potem został przez nazistów aresztowany i osadzony na Zamku w Lublinie, skąd jego bolesna droga krzyżowa wiodła do strasznego obozu w Sachsenhausen i do najstraszniejszego — w Dachau, gdzie nastąpił chwalebny kres jego doczesnej pielgrzymki ...

*

* *

Oddaję pióro naocznym świadkom i towarzyszom niewolniczej niedoli o. Stanisława Felczaka: o. Janowi Pastuszce i o. Szymonowi Barciszewskiemu. — Niechaj ci, co sami przeszli to « piekło na ziemi », o swym zakonnym współbracie dadzą świadectwo prawdzie.

O. Pastuszka w liście do mnie z Rzymu z 10 grudnia 1945 r., taką daje uwagę o Dachau: ... *dziwnym się wydało, że na skreślenie pięciu z górą lat niewoli, głodu, poniżenia — wystarczyło to jedno słowo: Dachau ... Żaden z nas nie czuł ochoty do opowiadania i swobodnego wywnętrzania się, choć zdawało się, że skołatane serce przy zetknięciu się ze swoimi wyładuje się w niepohamowanym płaczu. Z dalszej treści listu zrozumie Ojciec, dlaczego odważyłem się napisać, choć dotychczas nigdy do Ameryki jeszcze nie pisałem. A po prostu chodzi o wypowiedzenie się otwarcie z tym, co człowiek zmuszony był tłumić i trzymać tylko w sobie. Chciałem Drogiemu Ojcu napisać parę słów o o. Felczaku, który zmarł w Dachau, dobrym Drogiego Ojca przyjacielu. Aresztowany wraz z całym prawie domem w Lublinie 2 lutego 1940 r., siedział najpierw na Zamku w Lublinie, a potem razem ze wszystkimi wywieziony był do obozu Sachsenhausen pod Berlinem 20 czerwca 1940 r. Pierwsze zaraz dni pobytu w obozie były nacechowane takim barbarzyńskim terrorem, że zdawało się nam, iż życie nasze policzone ma już dni. Trzymaliśmy się na ogół blisko, więc pamiętam jak ogromnie wyczerpany podróżą i szykanami całego dnia, po całodziennym czekaniu na skwarze słońca mówił mi, że on chyba nie wytrzyma, zwłaszcza gdy po kąpieli i przebraniu nas w jak najgorsze łachmany, weszliśmy do baraku. Rozpoczął się piekielny taniec wrzeszczącego Niemca, pod którego władzę bezpośrednią dostaliśmy się. O. Kladiwa najgorzej przy tym wyszedł. Jako tłumacz zbyt powolnie i nieudolnie wykonywał jego polecenia, więc ów Niemiec tzw.*

blokowy chwyciwszy jakieś stylisko od szczotki zaczął strasznie bić o. Kladiwę, gdzie popadło. (U nas nawet bydlęcia nikt tak nie bił). Uciekał w stłamszony tłum więźniów. Szczęściem kij się połamał, a inny tłumacz zastąpił o. Kladiwę: nasz Kazimierz Chudy. Chudy, chcąc o. Felczakowi pomóc i uwolnić go od ciężkich ćwiczeń w ciągu dnia, w porozumieniu z blokowym zorganizował obsługę sali, do której wciągnął o. Felczaka. Zawsze lepiej było zamiatać, czyścić okna, aniżeli « uprawiać sport » tzn. maszerować, biegać, tzw. kniebeugt, hinliegen, rollen etc. Z pozostaniem na izbie do sprzątania połączone było jednak inne prześladowanie. Do bloku (baraku) przychodzili SS-mani a dowiedziawszy się, że jest już « świeconym księdzem », zainteresowali się nim dla swojej zabawy. Musiał stawać na baczność i słuchać obelżywych wyzwisk, bluźnierstw. Padało pytanie bezwstydne co do czystości. Gdy odpowiedź brzmiała zawsze przecząco otrzymywał cios wymierzonego policzka. Przy czym nie mogąc utrzymać się na nogach od uderzenia, upadł na ziemię. W jednej chwili podbiegł blokowy i kopnięciami pomagał dźwigać się z ziemi. Następowały znowu pytania, bicie rewolwerem po czole i po głowie. Ponieważ wówczas do obsługi baraku należałem i ja, więc po o. Felczaku, zabawa zaczęła się ze mną w tego samego. Pociecha była, że się nie było samemu. Pocieszaliśmy się wzajem, że i to minie, że właśnie cierpimy za nasz stan kapłański. Oficjalnie byliśmy niby aresztowani jako « działacze polityczni », w głębi rzeczywistości leżała walka z religią, z Kościołem i z polskością. Drogi Ojciec najlepiej wie, jakimi my byliśmy « politykami ». Potem potoczyło się « normalne » życie obozowe. O. Felczak nabrał nawet dużo optymizmu i pełen nadziei z uśmiechem umiał bardzo skutecznie wlewać otuchę w inne słabsze serca. Gdy mu się zdawało, że jestem smutny, podchodził do mnie, wspominał Lublin, najweselsze momenty z profesury, czy z życia Krucjaty, wydostawał i z najzupełniejszą pewnością malował przyszłość barwną, by zapomnieć o gorzkiej chwili bieżącej. Po wyjeździe do Dachau w grudniu 1940 r., łączność nasza urwała się koniecznością warunków, innego przydziału. Ale o. Felczak swoim taktem, delikatnością i uprzejmością potrafił wokół siebie stworzyć koło dobrych znajomych i przyjaciół, którzy go polubili jak brata. Bez większych zdarzeń minął rok 1941, choć każdy właściwie

dzień był bogaty w różnorodność przeżyć obozowych, ale każdy z nas przeżywał je w duszy na swój sposób i sprawy swe z Bogiem układał. Z początkiem roku 1942 wybierano do pracy. Jemu przypadła praca w pewnym gospodarstwie, własności Gestapo, tzw. Liebhof. Do pracy musiał wychodzić, tak jak wszyscy, bardzo rano, licho ubrany, głodny... A tu chłód, jeszcze czasami śnieg z deszczem, a cały boży dzień na otwartym polu. Praca może by jeszcze szła, ale głód i zimno niszczyły z dnia na dzień siły. Nawet do rozgrzania się brakło sił. A przy pracy pilnują, nie ma chwili spoczynku, chwili bezpieczeństwa. Toteż słabnący z dnia na dzień o. Felczak nie mógł podołać pracy. Ledwo wlókł nogi sam, a cóż dopiero gdy obładowany bańką (do 40 funtów) z jakimś płynem do rozpylania musiał cały dzień chodzić po zoranym polu. Zauważył to pewnego dnia jakiś pilnujący ich SS-man i zapisał go do karnego raportu, za lenistwo w pracy. Wezwany wysłuchał wyroku: 4 niedziele karnej pracy bez obiadu. By choć w części zrozumieć okrucieństwo kary, trzeba uwzględnić nasz stan wygłodzenia, który w tym czasie zamieniał się w powolną, głodową śmierć. Wobec głodowego wyżywienia, obiady w niedziele stanowiły najlepsze pożywienie z całego tygodnia (blisko kwarta zupy z kluskami). Wśród tygodnia każdy się cieszył nadzieją na niedzielę. W niedzielę na ogół większość więźniów nie pracowała, więc mogli sobie odpocząć; choćby zdrzemnąć się z głową opartą o stół. « Karnych », do tego pracujących w niedziele, specjalnie przy pracy goniono. Kara ta mocno przygniotła o. Felczaka. Jeszcze jej nie odbył, a już zanosiło się na drugi meldunek karny. Znowu za « opieszałość » podczas karnej roboty. Nie głód jednak, lecz choroba była przyczyną słabości. Kłucie w boku i piersiach. Mimo choroby i słabości z roboty nie chciano go zwolnić, ani do szpitala obozowego przyjąć, bo jeszcze nie miał zbyt wysokiej gorączki! Chodził do roboty prowadzony przez kolegów pod ręce. Wreszcie całkiem osłabł. Gdy o. Kołaczkowi (czeski jezuita) udało się przez specjalną protekcję uzyskać przyjęcie o. Felczaka do szpitala, był już ciężko chory. Został przyjęty wieczorem w sam dzień swoich imienin 8 maja, zaniesiony prawie pod ręce przez kolegów. Następnego dnia zaraz z rana otrzymaliśmy wiadomość, że zmarł. Nikt by nie przypuszczał, że tak szybko odejdzie. Nigdy z ust jego nie słyszałem skargi

na cierpienia i przykrości życia obozowego, znosił je zawsze pogodnie, nawet z uśmiechem: « I to minie ». Tęsknił za wolnością, za powrotem do Polski, do Bobolanum, do pracy profesorskiej, sodalicyjnej. — Tyle o. Pastuszka. A oto jeszcze wspomnienia o. Barciszewskiego: *O. Felczak przypadkiem tylko znalazł się w gronie aresztowanych. Po odprawieniu Mszy św. na mieście, udając się na posiłek wpadł w ręce Gestapo, które było zajęte rewizją domu i rabunkiem. Przez cały czas pobytu w więzieniu spokojem swym wpływał dodatnio na usposobienie współbraci zakonnych. W Sachsenhausen początkowo pędził żywot zwykłego więźnia wykonując ćwiczenia, dźwigając kłody drzewa czy cegły, co wyniszczało słaby jego organizm. Po pewnym czasie przyjęto go do służby blokowej, przez co został zwolniony od cięższych prac, a jako mniej zmęczony i otrzymując dodatkowe porcje zupy odkładał swoje racje chleba i rozdawał tym, którzy byli bardziej osłabieni. Gdy udało mu się coś otrzymać ponadto, skrupulatnie dzielił się ze wszystkimi. Cichy, pracowity, nie narzucający się nikomu, był bardzo szanowany przez wszystkich współwięźniów.*

Dachau. Tryb życia ten sam, co w poprzednim obozie z tą tylko różnicą, że tutaj niemieccy więźniowie, jak tylko najgorzej można sobie wyobrazić nastawieni do stanu duchownego, na każdym kroku starali się dokuczać, wymyślając coraz nowe szykany. Nie zabijano wprawdzie, ale cierpienia moralne, jakie zadawano niejednego doprowadziły do stępienia umysłowego. W takich warunkach żyjąc niejeden z kapłanów zapomniał o swej godności. Narzekania, skargi, przekleństwa, a nawet złorzeczenia stawały się codziennym pokarmem. U o. Felczaka nigdy nie słyszano czegoś podobnego. Pracował, gdy musiał, ćwiczył razem z innymi, marzł, gdy trzeba było stać na mrozie czy w deszczu, ale zawsze ze spokojem, skupiony, a przeważnie modląc się, lub podtrzymując rozmowy, które odwracały uwagę od przeżywanych cierpień. Nie długo jednak trwał ten stan. Nie mogli bowiem znieść niemieccy więźniowie, by « verfluchte Pfaffen » jedli darmo chleb. Stworzono komando dla nich, tzw. « Plantage », gdzie trzeba było kopać łąkę, by przygotować teren dla kultury ziół leczniczych. Pracował tam o. Stanisław razem z innymi na mrozie i deszczu, wśród upałów słonecznych, zawsze spokojny, modląc się

tylko, by się to jak najprędzej skończyło. Z braku pożywienia organizm coraz bardziej osłabiony z trudem tylko wytrzymywał i znać było coraz więcej zmęczenie. Będąc w takim stanie z początkiem roku 1942 zostaje przepisany do nowego komando « Liebhof ». Był to majątek SS-manów, gdzie trzeba było zbierać kamienie, wyrywać całymi tygodniami chwasty. Pogoda czy deszcz, bez różnicy. Droga, którą trzeba było przebyć, wynosiła 3 kilometry, a trzeba było ją przebywać 4 razy dziennie. Do tego dołączyło się chodzenie po polu z kamieniami, klęczenie na mokrej ziemi. Tutaj najwięcej zginęło ludzi. Za każdym razem, gdy schodzono z pracy, przynoszono kilku na noszach i umieszczano w rewirze, gdzie prędko się z nimi załatwiano. Najstraszniejsze były deszcze, trwające nieraz kilka dni. Więźniowie jednak musieli pracować nie mając na sobie suchej nitki, a na drugi dzień w tym samym ubraniu wyruszać do pracy. Słusznie więc nazwano to « komandem śmierci ». Tutaj pracował o. Felczak dwa miesiące. Tutaj nabawił się zapalenia płuc. Radziliśmy mu, by udał się do rewiru; nie chciał jednak słuchać tłumacząc tym, że go nie przyjmą. I rzeczywiście w tym okresie nie było miejsca dla księży, a jeżeli znalazło się, to nie na długo. Załatwiano sprawę krótko: wyprawiano na drugi świat. Pracował więc dalej, lecz jak wyglądała ta praca? Na pole ledwo go zawleczono. Tam leżał na mokrej ziemi nie poruszając się, gdyż najmniejszy ruch sprawiał mu straszne boleści. 8 maja przyniesiono go na noszach i umieszczono w rewirze, ale tylko dzięki wstawiennictwu. Jakie było jednak zdziwienie, gdy rano dowiedzieliśmy się, że o. Felczak zmarł 9 maja 1942 r., o godz. 5.30. Otrzymał zastrzyk dożylny i zasnął na wieki.

*
* *

Pamiętam, jak w czasie trzeciej probacji we Lwowie w 1938 r. o. Felczak przeżywał bolesną próbę, śmierć swojej matki. Nie mógł być na jej pogrzebie. Musiał ją bardzo kochać, kiedy na jej wspomnienie łzy stawały mu w oczach. Mówił mi o jej nadzwyczajnej świątobliwości i o tym, że jej to zawdzięcza łaskę powołania kapłańskiego i zakonnego oraz

o tym, że ona na pewno uprosi mu w niebie jakąś szczególną, najważniejszą w życiu łaskę... Tak, uprosiła mu tę łaskę, łaskę męczeństwa za wiarę. Niedługo opłakiwał zgon swej kochanej matki. Niedługo na spotkanie z nią czekał. Oto jeszcze dwa lata ciężkiej pracy profesorskiej i dwa lata wielkich cierpień w obozach koncentracyjnych, a to spotkanie z matką — jak ufamy — nastąpiło w niebie...

ks. Stefan Dzierżek SJ

Z WOJENNEJ HISTORII KOLEGIUM WILEŃSKIEGO

1942 roku, dnia 26 marca, w którym Kościół obchodzi święto Dobrego Łotra, zostało aresztowanych w Kolegium Wileńskim przez gestapowców niemieckich i litewskich 9 ojców, 6 kleryków, 5 braci, 2 nowicjuszów i 1 chłopiec pomagający w kuchni.

Odbyło się to aresztowanie w ramach szerszej akcji skierowanej przeciw wszystkim zakonom męskim i żeńskim na terenie Wilna. Niemcy doszli do przekonania, że klasztory są ostoją dla polskiego społeczeństwa zarówno przez swą działalność religijną, jak i patriotyczną. I na chlubę ówczesnych placówek zakonnych trzeba przyznać, że rozeznanie mieli trafne.

Akcja była zaplanowana, chyba nie przypadkowo, na święto Zwiastowania 25 marca. Pomieszał szyki jeden nieprzewidziany wojenny epizod. 24 wieczorem, o godz. 21.05 nadleciały sowieckie samoloty zrzucając bomby kruszące. Trzy z nich padły blisko kolegium: dwie na plac gimnastyczny, jedna na jezdnię zaułka Kazimierzowskiego. Od tej strony poleciały w domu i zakrystii wszystkie szyby, powyrywało tu i ówdzie okna z ramami, powystawiało niektóre drzwi na korytarz. Ofiar w ludziach na szczęście nie było. Niektórzy z nas doznali tylko lżejszych czy cięższych obrażeń.

Na drugi dzień Niemcy musieli zająć się usuwaniem skutków bombardowania, stąd zwłoka w naszym aresztowaniu.

26 marca rano wybrałem się z o. Majkowskim do sióstr urszulanek szarych na Skopówkę ze Mszą św.; on jako celebrans, ja jako ministrant, gdyż byłem jeszcze klerykiem. Po Mszy św. śniadanie i już o. Majkowski popędza, by się spieszyć do domu. Zawsze był łakomy na czas. Zresztą poprzedniego dnia wieczorem o. rektor Władysław Wantuchowski zapowiedział od rana porządkowanie domu po nalocie. Pełniłem wtedy funkcję subministra, więc musiałem pokierować

robotą. Wracamy zaułkiem Augustiańskim, wchodzimy na Kazimierzowski, skąd wtedy było wejście do kolegium. Przy leju po wczorajszej bombie stoi jakiś Niemiec w mundurze. Nie wydało się nam to podejrzane, bo Niemcy interesowali się śladami bombardowań. Mijamy go, dochodzimy do furty. Dzwonimy, dobijamy się: nikt nie otwiera. Próbujemy przez wyrwę w murze i ogródek dostać się drzwiami obok sali teatralnej. Zamknięte. Wracamy do furty, robimy raban. Wtem — zamarliśmy z wrażenia. Na drewnianych schodach, które ponad sklepioną bramą łączyły kolegium z tzw. « zaułkiem akademickim » słyszymy stukot ciężkich podkutych butów i, co gorsza, szwargot niemieckiej mowy. Zrobiło się nam gorąco. Próbujemy wycofać się pośpiesznie w stronę ulicy Wielkiej. Ale i Niemcy dosłyszeli nasze dobijanie się. Jeden z gestapowców wychyla się przez otwarte okno nad bramą i do Niemca, który oglądał przedtem lej po bombie woła, by nas zatrzymał. Słyszymy za plecami: « Halt! halt! ». Udajemy, że to nie do nas. Niemiec jednak dogania nas tuż za zakrętem, akurat w tym miejscu, gdzie stała więzienna ciężarówka. Rewolwerem wskazuje nam, że mamy wchodzić do « budy ». Rozumiemy, że to nie żarty. Gramolimy się i już między nami, a tymi poza budą, zapada bariera. Przeszliśmy próg dzielący dwa światy: my aresztowani i oni, ludzie na wolności. Brezent z tyłu wozu jeszcze nie spuszczony; również do przodu widok otwarty. Obserwujemy więc, co się dzieje na Kazimierzowskim zaułku. Za chwilę od przodu tą samą drogą, którą myśmy przyszli, idzie jakiś batiuszka z brodą. Gdy był całkiem blisko budy, dojrzał nas w środku. Zawahał się, stanął. Podchodzi doń Niemiec z rewolwerem i każe włazić do nas. Tłumaczy się batiuszka, że on z cerkwi Św. Ducha. Nie pomaga. Podaję mu rękę, wciągam do wozu, uspokajam, że to nieporozumienie, że tu chodzi o jezuitów, że w więzieniu wylegitymują go i wypuszczą. Niezadługo z drugiej strony, od ulicy Wielkiej dwu cywilów prowadzi jakąś kobietę.

— To już całkiem dziwne, myślę sobie. Ale i tej pomagam wsiąść.

— A pani tu czego? — pytam.

— A bo proszę księdza, ja usłyszałam, że mają ojców aresztować, więc pobiegłam przez kościół do zakrystii, tam

spotkałam dwóch ludzi i mówię im: niech panowie powiedzą ojcom, że zaraz przyjdą Niemcy ich aresztować. A oni mnie łap za kołnierz i przyprowadzili tutaj.

Za jakieś pół godziny przybiegają dobrze nam znane, ubrane po świecku siostry misjonarki św. Rodziny. Proszą Niemca, żeby pozwolił nam coś podać. Odmawia, więc tylko łzami okazują nam współczucie. Przypomniała mi się żywo VIII stacja Drogi Krzyżowej. Uśmiechem próbujemy osłodzić im to tragiczne pożegnanie, może na zawsze.

Cały czas zadajemy sobie pytanie: co w kolegium? Kto aresztowany, kto zdołał uciec? Chyba po godzinie przychodzi do wozu gestapowiec i każe pierwszemu Niemcowi podjechać pod furtę. Otwierają się drzwi, wysypuje się z nich cała gromada naszych współbraci. Prócz o. Modzelewskiego nie brakuje nikogo. Niosą ze sobą małe zawiniątka: trochę żywności, trochę ciepłego ubrania.

Znów pomagam wszystkim wsiadać. Najpierw bratu nowicjuszowi Eustachemu Fierkowi. (Młody rzeźbiarz, figura Matki Bożej w ogrodzie na Rakowieckiej to jego dzieło.) Potrzebował bardzo tej pomocy. Przed pół rokiem miał amputację nogi na wysokości kolana i poruszał się z trudem o kulach. Potem idą inni. Na końcu wsiadło dwóch gestapowców Litwinów. Spuścili z tyłu brezent i ruszamy. Patrzymy przez szpary, dokąd? Na Łukiszki. Zgrzyta zasuwa. Otwiera się więzienna brama. Jesteśmy na miejscu. Wysiadać!

Zeskoczyłem pierwszy. Stanąłem z boku. Obserwuję skaczących z wozu młodszych, gramolących się niezgrabnie starszych. Chcę wszystko zapamiętać, utrwalić jak na fotograficznej kliszy. Podobne zajęcie znalazł sobie jakiś gestapowiec, lat niewiele ponad dwadzieścia. Dzieli nas ledwie kilka kroków. Nasze przeżycia w tej chwili są na pewno bardzo różne. Dobrze widzę jego młodą twarz, na którą wypełzł złośliwy ironiczny uśmiech pogardy i zadowolenia. Z pewnością uczono go, że klechy w ogóle to klasa pasożytów, która musi zniknąć, a cóż dopiero klechy polskie. Nie spuszczam zeń oka. Czekam, czy w pewnym momencie ten uśmiech nie zamrze mu nagle na twarzy? Już dziewiętnastu wysypało się z wozu. Wysiada dwudziesty. Nie odchodzi na bok jak inni. Ktoś z wozu podaje mu białe kije — tak, to kule brata Fierka. A potem on sam, kaleka bez nogi ląduje zniesiony na rękach swoich

współbraci. Bierze kule pod pachy, pokuśtykał do gromady. W oczach gestapowca najpierw zaciekawienie: cóż to takiego? Potem zdziwienie, potem twarz mu zakrzepła, zwiesił głowę... Co czuł, co myślał? Może mu się przypomnieli koledzy w szpitalu skaczący na jednej nodze, bo drugą zostawili na froncie. Może zadumał się nad tym, że nawet taki kaleka stanowi zagrożenie dla wielkiej Rzeszy. Może po prostu wstyd mu było za siebie, za innych... Może?

Nas wtłoczono do przejściowej niewielkiej celi, chyba rozmównicy przy głównym hallu. Czekamy na rejestrację. W pewnym momencie otwierają się drzwi i staje w nich uśmiechnięty, zadowolony, że trafił do swoich, o. Modzelewski. Na głowie ma jakiś twardy kapelusz, zwany we Francji chapeau ecclésiastique. Padają pytania: co się z ojcem działo, gdzie się podziewał, skąd się tu wziął?

— Ano, « panie święty », gdy Niemcy wpadli do naszego kościoła, ja siedziałem w konfesjonale pod chórem. Nie zauważyli mnie. Podchodzi do mnie jakaś kobieta i mówi mi: niech ojciec ucieka, bo przyszli was aresztować. Tak ja wyszedłem, obszedłem dwa razy ratusz i myślę co robić? Najlepiej pójść do karmelitów. Więc poszedłem tam i siadłem do konfesjonału. Ale i tam Niemcy przyszli, więc i mnie znaleźli. Nie powiem, grzeczni byli. Kucharz miał przygotowany obiad; pozwolili nam zjeść, sami nie chcieli. Postny był obiad, bez mięsa, ale całkiem dobry.

— A skąd Ojciec ma ten denciak na głowie?

— Karmelici mi dali, bo byłem w birecie.

Już nie pamiętam, jak się odbyła nasza immatrykulacja na to « wyższe studium życia wewnętrznego ». Wiem tylko, że po paru godzinach wyprowadzili nas z naszego boksu na korytarz, gdzie stała w szeregu gromada sióstr nazaretanek, a potem przez podwórza, klatki schodowe, korytarze odstawili do celi, gdzie mieliśmy prowadzić życie tak bardzo wspólnotowe i tak ubogie jak nigdy dotąd.

Moją uwagę zaraz po przejściu progu celi przykuły do siebie ściany. W skąpym świetle dwu niewielkich okien umieszczonych wysoko pod powałą świeciły jakoś dziwnie, błyszczały, iskrzyły jakby pokryte szronem, czy lodem. Nie, to niemożliwe! Dotknąłem ręką, by odpędzić złudzenie. Niestety okazało się rzeczywistością. Ta część więzienia — skrzydło,

czy może cały pawilon — była przez zimę nieczynna, z powodu awarii centralnego ogrzewania. My mieliśmy być pierwszymi lokatorami po zimie. Co prawda szła już wiosna. Ale wtedy w Wilnie wojenne zimy, ku rozpaczy Niemców na froncie wschodnim, wlokły się w nieskończoność i były bardzo surowe. Jeszcze po naszym aresztowaniu mrozy nocami dochodziły do 15° C.

Najgorsza była pierwsza noc. Nie mieliśmy jeszcze sienników, nie było więc sensu spuszczać żelaznych prycz w liczbie osiemnastu zamontowanych przy ścianach. Skupiliśmy się na środku celi przy długim stole: starsi na zydlach i ławach, młodsi na stojąco, byle jak najdalej od zamrożonych ścian. Oczywiście nie dało się ustać całą noc bez ruchu, bo i sen morzył i nogi omdlewały. Więc raz po raz rozpoczynałem spacer. Ale czy długo można chodzić tam i nazad, gdy ma się do dyspozycji tylko skrawki celi, i gdy kilku innych usiłuje czynić to samo? Próbowałem czasem dostać się do drzwi, by się oprzeć o nie plecami i zdrzemnąć na chwilę, zanim zwiotczałe nogi ugną się pode mną. Im bliżej rana tym częściej wstrząsały mną dreszcze. Nic dziwnego. Od śniadania nie mieliśmy ciepłej strawy w ustach. Z niecierpliwością czekałem świtu. Była to jedna z najdłuższych nocy w moim życiu. Pozostawiła po sobie pamiątkę: zapalenie stawu kolanowego i stałe uwrażliwienie na zimno wszystkich stawów aż po palce rąk i nóg włącznie.

Gdy dzień nastał, zrobiło się nam nieco raźniej. Dostaliśmy na śniadanie trochę wrzątku. Przyjemne ciepło rozgrzało nieco zziębnięte wnętrzności, ale nie na długo. Przemrożone mury wysysały nieubłaganie ciepło naszych organizmów i uporczywe uczucie chłodu powracało. Powoli lód na ścianach zaczął topnieć, spływał na szarą więzienną polepę. Wycieraliśmy skwapliwie każdą strużkę wody i wykręcali ścierkę nad kiblem pamiętając, że jeżeli stopienie jednego grama lodu pochłania 80 kalorii, to wysuszenie jednego grama wody zabiera ich aż 539.

Jeszcze nie skończyła się plaga zimna, gdy przyszła druga. Były nią — sienniki! Przydzielono je nam nazajutrz. Chyba już nie jeden rok służyły naszym poprzednikom, bo słoma w nich była starta na miałką mierzwę. Ucieszyliśmy się: zawszeć to można opuścić prycze, wymościć je jako tako i nocą

wyciągnąć kości na barłogu. Legliśmy w ubraniach, w butach, płaszczach, czapkach; ciasno jeden przy drugim, żeby było cieplej. Nie podejrzewaliśmy z początku nic złego. Dopiero po paru dniach niektórzy z nas zaczęli się podejrzanie drapać. Przeprowadzamy lustrację bielizny. Okazuje się, że wraz z siennikami przywędrowały niepożądane współlokatorki. Wydajemy im wojnę. Co rana odbywa się polowanie. Padają swoiste rekordy.

— U mnie dziś sześćdziesiąt!

— A u mnie siedemdziesiąt!

— A ja mam osiemdziesiąt pięć na koncie.

Wyglądało na to, że wszy podjęły wyzwanie, że rodziło się ich więcej, niż my mogliśmy zniszczyć. Nastąpił pasjonujący wyścig, w którym chyba nie my byliśmy górą. Najlepszym dowodem tego było, że nasze rekordy z dnia na dzień rosły. Czy przekroczyliśmy setkę nie pamiętam. W każdym razie dość prędko oceniliśmy, że stoimy na straconej pozycji i zaalarmowaliśmy więzienną administrację. Nie śpieszono się z odsieczą, więc jeszcze przez jakieś dwa tygodnie żarło nas uparte robactwo. Wreszcie zabrano nas z całym ruchomym dobytkiem, tzn. wszystkimi ciuchami do łaźni. Ciuchy poszły do pieca dezynfekcyjnego, my pod prysznic, a celę specjalna ekipa zmyła gruntownie karbolem, czy innym jakimś świństwem. Śmierdziało przez kilka dni jak cho..., ale woleliśmy to, niż niekończącą się walkę z wszami.

Najjaśniejszym punktem w tej naszej więziennej doli była zakonspirowana Msza św., którą niedługo po aresztowaniu mogliśmy zorganizować dzięki temu, że jedna młoda, sympatyczna dozorczyni nie bała się przemycać nam wino i komunikanty. (Jeśli jeszcze żyje, niech jej Pan Jezus da zdrowie i pogodną starość, a jeśli zmarła, dodatkową radość w niebie). Po wstaniu i umyciu się nad jedną miednicą, przywdziewaliśmy suknie — zostawili nam Niemcy ten znak zakonnej przynależności — i stawali murem od strony drzwi, żeby ktoś niepowołany zaglądając przez « judasza » nie zorientował się, co się w celi dzieje. Na więziennym stole rozkładaliśmy zamiast korporału czystą, białą chusteczkę, stawiali na niej niewielką szklankę, nakrywali świętym obrazkiem, kładli na talerzyku komunikanty podzielone na ćwiartki, bo nie wiadomo, kiedy otrzymamy następne, i rozpoczynała się Euchary-

styczna Ofiara. Cóż to było za przeżycie! Nie będę go opisywał: nie potrafię. Powiem tylko tyle: dla jednej takiej Mszy świętej warto było przeżyć siedem miesięcy w więzieniu.

Bo tyle trwał nasz przymusowy pobyt na Łukiszkach, przynajmniej jeśli chodzi o braci i kleryków. Ojcowie wyszli wcześniej: 10 czerwca. Zabrali ich do swego domu w Pagryżuvis oo. jezuici litewscy, jako internowanych. Za nas widocznie bali się odpowiadać przed Niemcami. Kiedy powstaną dwa specjalne obozy dla księży i zakonników, dołączą do nas i ojcowie z Pagryżuvis, ale dopiero wiosną 1943 r. Nas wzięto do obozu wcześniej. Pierwsza partia z naszej celi — 4 braci — wyjechała w połowie października. Skierowano ich do Szałtupi, około 30 km na południe od Kowna. Resztę, tzn. 7 kleryków (z nowicjuszem J. Charytańskim i br. Franciszkiem Mielnikiem) zabrano z Łukiszek ostatniego października. Przez Kowno dotarliśmy po południu do Poniewieżyka: około 30 km na północny zachód od Kowna. W tych obozach, niedaleko od stolicy Litwy mieliśmy doczekać przyjścia wojsk radzieckich w lipcu 1944 roku.

Nie były to oczywiście obozy zagłady. Daleko im było do grozy Dachau, Oświęcimia, Majdanka. Nie chodziło o wykończenie nas, a jedynie o wyizolowanie ze społeczeństwa, udaremnienie jakichkolwiek wpływów i działalności. Stąd i obóz nasz nosił oficjalną nazwę: « Internierungslager ».

Jak przebiegało w nim życie, niech opowie autentyczny dokument: mój list pisany z Poniewieżyka do ówczesnego prowincjała o. Emila Życzkowskiego, z dnia 21.3.1943 roku.

Drogi Ojcze! Wojna rozproszyła po świecie Twą liczną rodzinę, tak że niewielka tylko jej część żyje blisko Ciebie. Większość Twych dzieci, choć na wygnaniu, myśli jednak stale o Tobie i o sobie nawzajem, czekając z utęsknieniem tej chwili, kiedy P. Bóg zbierze nas znowu z czterech stron świata i pozwoli na nowo stanąć do pracy w winnicy swojej. Jak Wy tam w Warszawie interesujecie się naszym losem i troszczycie się o naszą przyszłość, tak i my przeżywamy żywo Wasze radości i smutki. Troską napawają nas wieści, jakie od Was dochodzą i to zarówno smutne jak i pomyślne. Smucimy się, gdy widzimy, jak topnieje liczba pracowników na ogromne żniwo Pańskie czekające nas po wojnie. Smucimy się również, gdy otrzymujemy wiadomości, że nasi koledzy nawet młodsi wy-

przedzili nas do ołtarza Pańskiego, a my tracimy czas przy kurach, krowach, nawozie...

Mimo wszystko jednak nie ulegamy pesymizmowi, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. I nasza niedola ma swe dobre strony.

Pociesza nas naprzód to, że mamy udział w tych cierpieniach, jakie dziś dla wspólnej sprawy ponoszą miliony. Zdajemy sobie również sprawę, że pobyt nasz tutaj nie jest znowu taki bezowocny. Poznajemy życie i to z dwu bardzo odmiennych stron. Gdyby nie więzienie na Łukiszkach i nie obecny obóz, nie zdobylibyśmy takiej wiary w Bożą Opatrzność i ludzką dobroć. Naprawdę ludzie, nieraz ledwo znajomi, okazują nam tyle poświęcenia, że trudno pojąć, skąd na to zdobyć się potrafią. Takie przykłady zapisują się w sercu na całe życie. Gdy się nad tym zastanawiamy, dochodzimy do wniosku, że Bóg po to dopuścił na nas tę próbę, by dać ludziom okazję czynienia dobrze. Staliśmy się symbolem wspólnej sprawy, wspólnych cierpień. Staliśmy się sztandarem, z lichej może materii, ale na którym złotymi zgłoskami wypisane jest wielkie imię Boga.

Poznajemy i odwrotną stronę medalu. Zebrał nas tu los z rozmaitych środowisk, rozmaitych zgromadzeń. Nic więc dziwnego, że mogą być pewne nieporozumienia, sprzeczne tendencje. Zresztą w biedzie i nieszczęściach jaskrawiej występują ułomności ludzkie. W doświadczeniach pokazuje się, czym kto jest. Chcielibyśmy być złotem najczystszym; ale nawet złoto w ogniu próby wyrzuca na powierzchnię brudy i domieszki; błyszczący, cenny metal kryje się w głębi.

Donosił nam Stach, że spragnieni jesteście wiadomości szczegółowych o nas. Postaram się więc choć w części zadowolić Wasze apetyty. W ogóle czujemy się zdrowo, w szczególności również nikt nie choruje. Zdarzają się czasem jakieś niedomagania, ale to nic groźnego. Nawet nasz senior br. Fr. Mielnik trzyma się krzepko, ogłuchł tylko mocno. Jest tu nas w lagrze 30 osób (prefosorzy z seminarium 5, franciszkanie 5, misjonarze 5, karmelici 5, bonifratrzy 2, bernardyn 1, nas 7). W innych grupach przeważają kapłani. Tylko u nas jest 6 kleryków i jeden brat. Było nas z początku 8, ale około Trzech Króli ks. Maciejowski wyjechał do drugiego obozu, gdzie są nasi bracia i wschodniacy. Komendantem jest Litwin. Cel jest

podwójny: izolowanie nas od społeczeństwa i praca dla wielkich Niemiec. Toteż regulamin idzie w tych dwu kierunkach. Nie wolno nam nawiązywać kontaktu z obcymi ludźmi, nie wolno z nimi rozmawiać, nie wolno od nich nic przyjmować jak tylko za pośrednictwem komendanta, nie wolno wydalać się poza obóz. Z gośćmi przyjeżdżającymi w odwiedziny wolno się widzieć tylko w obecności komendanta. Wszelkie uchybienia w tym względzie będą uważane za ucieczkę, za którą grozi rozstrzelanie i tym, co uciekli i tym, co zostali w myśl zasady zbiorowej odpowiedzialności: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Praca trwa obecnie od 7 rano do 5 wieczorem, z półtoragodzinną przerwą na obiad. Pracować obowiązani są wszyscy. Wyżywienie zależy od pracy, a że roboty zimowe w gospodarstwie są nieproduktywne, więc też i nasze normy żywnościowe są strasznie chude. Zresztą trzeba zaznaczyć, że nasz majątek, gdyśmy tu przybyli, był okropnie zaniedbany. Po prostu ruina. Na szczęście przyszli nam z pomocą zacni ludzie i z Wilna i z okolicy, bo wokoło wszędzie ludność polska. Praktyki religijne są dozwolone jedynie na terenie obozu. Mamy obożną kapliczkę, w niej 4 ołtarze, właściwie stoliki, przy których odprawiają się codziennie przed pracą Msze św. Śpiewać można tylko w kaplicy i to wyłącznie pieśni religijne. Rzeczywistość niewiele od tego odbiega.

Zejdę teraz do konkretnych szczegółów. Oto jak np. wyglądały moje dotychczasowe zajęcia. Od przyjazdu tzn. od Wszystkich Świętych do Trzech Króli praca w drwalni; do Matki Bożej z Lourdes rąbanie lasu, potem przez tydzień wyrzucanie gnoju od wszystkich « żywiołów ». Obecnie jestem zatrudniony w ogrodzie. Takie same zajęcia miał J. Charytański, gdyż prawie stale pracowaliśmy razem. Niektórzy z nas mają stałe zajęcia. I tak br. Mielnik piecze chleb i prowadzi kuchnię, ks. Kot dogląda krów, Michaś prowadzi gospodarstwo kurze, ks. Kałkowski zaawansował na ogrodnika, ks. Wieteska był przez pewien czas majstrem, tzn. gdy trzeba było coś sklecić, naprawić, szukał po całym gospodarstwie desek, wyciągał stare gwoździe, których wiecznie było brak. Obecnie przerzucił się na ogrodową branżę. Norm w pracy nie ma żadnych. Doglądają nas, żebyśmy nie próżnowali, a my staramy się nie przepracować.

Poza tym trzymamy się wszyscy dobrze. Żyjemy nadzieją

i marzymy o lepszym jutrze. Oczekujemy wolności. Myślimy często o naszych kolegach: i tych, co więcej cierpią od nas, a jest takich wielu, i tych, których los był nieco łaskawszy. Pozdrawiamy ich wszystkich serdecznie.

Nie dziwcie się, że tak mało dajemy znaków życia. Korespondencja oficjalna jest niemożliwa. Wolno nam pisać raz na dwa miesiące. Oczywiście, że dopuszczalne są tylko frazesy bez treści. Gdyby chociaż te listy dochodziły normalnie, ale gdzie tam! Pisałem dwa razy do Wilna; jeden list doszedł po dwu miesiącach, drugi już 4 i pół miesiąca w drodze. Pisałem dwa razy do rodziny; dotychczas nie doszło. Z początku wolno nam było pisać raz na miesiąc; obecnie podobno poczta przeciążona. Pozostaje więc jedynie droga prywatna, ale ta zawsze jest ryzykowna, więc też trzeba się ograniczać. Zresztą po wojnie (może niedługo się skończy) nagadamy się z Wami do woli; na razie zazdrościmy tego Staszkowi i czekamy.

Polecamy się modlitwom Drogiego Ojca i innych znajomych, do zobaczenia!

Tę garść wspomnień rzuciłem na papier, jako drobny fragment bogatej chyba i ciekawej historii wojennej wileńskiego kolegium. Może sprowokują one tych, którzy jeszcze pamiętają wydarzenia owych dni, do chwycenia za pióro i uwiecznienia swoich przeżyć, by ich nie pokrył pył zapomnienia. *Colligite fragmenta ne pereant!*

ks. Czesław Białek SJ

NA RATUNEK CZŁOWIEKOWI

Po zabraniu przez Niemców w roku 1939 gmachu, w którym mieścił się Fakultet Filozoficzny Towarzystwa Jezusowego w Krakowie, urządzili jezuici w Nowym Sączu, w budynku, w którym przed wojną mieściło się Małe Seminarium, tajne studium filozoficzne. Jesienią 1940 r., po aresztowaniach jezuitów w Lublinie, został ulokowany w Nowym Sączu również trzeci i czwarty rok Wydziału Teologicznego Bobolanum. Naprzeciwko jezuickiego kolegium rozpoczynało się getto. Nieraz byliśmy świadkami makabrycznych wydarzeń, jak mordowanie Żydów na terenie getta lub rozstrzeliwanie ich na pobliskim kierkucie, nad brzegiem Dunajca. Latem 1942 r. byliśmy już świadomi, że Żydów czeka powszechna zagłada.

Na terenie getta zostało zamkniętych również kilkunastu katolików pochodzenia żydowskiego. Niektórzy z nich musieli pozostawić po drugiej stronie muru swoich współmałżonków « rasowo czystych ». Ojciec Polak pozostawał czasami z dziećmi po stronie aryjskiej, a matkę zabrano do getta. W getcie grupa Żydów-katolików trzymała się w zasadzie razem. Zainteresował się nimi niedawno wyświęcony i studiujący jeszcze teologię, ks. Stanisław Karuga. Będąc z fizjonomii podobnym do Żyda (sam pochodził z Górnego Śląska i był synem powstańca śląskiego) śmiało przedostawał się do getta, gdzie tamtejszym katolikom udzielał Sakramentów świętych i krzepił ich na duchu.

Gdy zanosiło się na całkowitą likwidację Żydów w getcie nowosądeckim, ks. Karuga postanowił uratować przynajmniej niektórych. W tym czasie, jako student drugiego roku filozofii, z upoważnienia przełożonych zajmowałem się zaopatrywaniem naszego przeludnionego kolegium w opał, o który było wtedy bardzo trudno. W tej sytuacji wielokrotnie przebywałem w otaczających Nowy Sącz lasach. Ks. Karuga znając moje powiązania z terenem, przedstawił mi sytuację Żydów

sądeckich zamkniętych w getcie i prosił, abym mu dopomógł w wydobyciu ich stamtąd i ulokowaniu w siedliskach w głębi lasów, gdzie Niemcy nie mieli odwagi docierać. Zgodziłem się na tę współpracę. Za pośrednictwem znajomego gajowego ze wsi Uhryń (10 km w głąb lasów od miejscowości Łabowa, na trasie Nowy Sącz — Krynica) udało mi się nawiązać kontakt z innym gajowym, mieszkającym jeszcze głębiej w lasach. Ten ostatni przystał na przyjęcie do siebie paru wyratowanych osób.

Którejś nocy wyprowadzono z getta żonę lekarza dentysty, p. Semenowicz oraz żonę jednego inżyniera, p. Junak. Obie kobiety ulokowano u właścicielki sklepu spożywczego przy ul. Nawojowskiej 27. O miejscu ich tymczasowego zatrzymania powiadomił mnie ks. Karuga. Udałem się więc tam, aby omówić z nimi dalszy plan akcji. Ustalonego dnia obie uratowane Żydówki miały być przez ks. Karugę podprowadzone w godzinach wieczornych do pewnej leśniczówki, skąd miałem je odebrać i poprowadzić dalej. Daremnie jednak czekałem na ks. Karugę i obie kobiety. Zaniepokojony, następnego dnia rano postanowiłem pojechać na rowerze do Nowego Sącza, aby dowiedzieć się, dlaczego nie doszło do umówionego spotkania. Gdy schodziłem prowadząc przez wieś rower stromą górską drogą, niespodziewanie zatrzymało mnie dwu gestapowców. Jednym z nich był, znany mi z widzenia, niejaki Wisner, który po wysiedleniu z Ostrowa Wlkp., już na terenie Generalnej Gubernii podpisał volkslistę i wstąpił do gestapo. Gestapowcy podprowadzili mnie pod jedną z chałup i rozpoczęli dochodzenie. Zorientowałem się, że wiedzą o ucieczce obu Żydówek i o pomocy udzielanej im przez ks. Karugę oraz, że nikogo z nich nie złapano. Zapytany, czy nie ma ich w lesie, zaparłem się w kamień, że nic nie wiem o żadnych Żydówkach, a ks. Karuga owszem, kiedyś do mnie przyjechał, żeby dopomóc mi w transporcie drzewa. Nie mogłem zaprzeczyć jego bytności u mnie, bo widywała go tutaj cała wioska. Jeden z gestapowców krótko oświadczył: jak się wyjaśni, dostaniecie kulę w łeb. Dalej stanowczo nie przyznawałem się do niczego. Tłumaczyłem, że mam przygotowane do transportu drzewo i że jadę do Nowego Sącza, aby zamówić samochód ciężarowy. Gestapowcy po jakimś czasie odeszli, ale był to z ich strony jedynie manewr. Pozornie poszli do

pozostawionego nieco poniżej samochodu, a w rzeczywistości, kryjąc się poza zabudowaniami, wrócili w pobliże i obserwowali czy pojadę do Nowego Sącza, czy też wrócę do lasu, aby ostrzec uciekinierów. Dzięki Bogu spostrzegłem ich manewr i do lasu nie zawróciłem. Usiadłem spokojnie na progu i jakby nigdy nic wszczęłem pogawędkę z gospodarzem. Gajowych przestrzegłem o wpadce dopiero później. Zaryzykowałem jazdę do Nowego Sącza. Tutaj dowiedziałem się, że nie ma mojego kolegi, kleryka Edwarda Czermińskiego, o którym wszyscy byli przekonani, że pojechał do lasu pomagać mi w transporcie drzewa.

Z następnych ustaleń okazało się, że ks. Karuga zamówił dorożkę i podjechał nią pod sklep przy ul. Nawojowskiej 27, aby zabrać obie Żydowki. Stary dorożkarz rozpoznał obie kobiety i oświadczył, że z nimi nie pojedzie. Ks. Karuga zorientował się, iż sytuacja może być groźna, więc z obydwoma kobietami pieszo wyruszał w kierunku Łabowej. Oczywiście nie szedł szosą ale przez pola i zarośla. Obawy okazały się słuszne. Wspomniany dorożkarz był konfidentem gestapo. Natychmiast powiadomił o wszystkim, co zauważył. W krótkim czasie gestapo było już w sklepie przy ul. Nawojowskiej 27. Przeprowadzono rewizję. Na stawiane zarzuty właścicielka sklepu odpowiadała, że owszem były u niej w sklepie takie dwie kobiety, ale tylko celem zrobienia drobnych zakupów. Obie zaraz wyszły i ona o nich nic nie wie. W czasie, gdy gestapo dokonywało rewizji, pod sklep na Nawojowskiej 27 podjechał na rowerze kleryk Edward Czermiński. Ks. Karuga prosił go bowiem, aby pod ten numer dostarczył zapas chleba. Przed sklepem stał ów dorożkarz-konfident. Kleryk Czermiński zagadnął go, gdzie jest numer 27. Dorożkarz dał znak gwizdkiem i ze sklepu wyszedł jeden z gestapowców. Czermińskiego z miejsca aresztowano. Ks. Karuga tymczasem dotarł szczęśliwie z obydwoma kobietami do Łabowej i następnie do Uhrynia, ale w nocy pobłądził i nie mógł trafić na umówiony punkt. Na drugi dzień, siedząc na górze na skraju lasu, zauważył jadący przez wioskę samochód z gestapo. Zorientował się, że sprawa jest spalona i nie próbował już odszukiwać naszej leśniczówki. Gestapowcy, pomimo poszukiwań w Łabowej, ks. Karugi nie schwycili. Doszło jednak do nowej tragedii. Ks. Karuga wypuściwszy się na zwiady

zostawił obie kobiety w głębi lasu i nie mógł ich potem odnaleźć. W efekcie jedna z nich, p. Semenowicz, popadła w depresję i zażyła truciznę. Jej ciało znalezione później w lesie, zostało rozpoznane przez męża.

Obawiając się aresztowania, wyjechałem do Warszawy. W tym czasie rozlepiono po całym Sączu plakaty, że za udzielenie jakiejkolwiek pomocy Żydom będzie stosowana kara śmierci.

U doktora Semenowicza, dobrego specjalisty, leczyło swoje zęby wielu Niemców. Gestapo dowiedziawszy się o śmierci jego żony, przekazało sprawę policji kryminalnej. Tutaj zaś pracowali również i Polacy. Dzięki zabiegom właścicielki sklepu z ul. Nawojowskiej oraz szerokim znajomościom księdza Władysława Markuckiego TJ, udało się sprawę w policji kryminalnej umorzyć. Po upływie miesiąca został zwolniony przez gestapo także kleryk Czermiński. Po wypuszczeniu Czermińskiego i ja powróciłem do Sącza. Ks. Karugi poszukiwało jednak gestapo dalej. Całymi miesiącami ukrywał się w górach i lasach, w rejonie Hali Łabowskiej. Dopiero jesienią następnego roku powędrował do naszego domu zakonnego w Starejwsi pod Brzozowem, gdzie go umieszczono w położonej na uboczu, na skraju lasu willi. Ciągła ucieczka przed pościgiem i miesiące poniewierki wywołały u niego chorobę psychiczną. Po wojnie musiano go umieścić w zakładzie dla umysłowo chorych w Kobierzynie pod Krakowem. Chcąc rozdzielić bijących się ze sobą dwu innych chorych, został ugodzony przez jednego z nich i na skutek tego urazu zmarł w 1950 r. Zapytany przed śmiercią, czy nie żywi niechęci do tego, który go tak poturbował — odparł, że nie może do niego żywić niechęci, skoro to był pomylony. Podwójnie stał się ofiarą miłości bliźniego: raz ratując Żydów z nowosądeckiego getta, drugi, gdy już w szpitalu dla umysłowo chorych stanął w obronie słabszego, co stało się bezpośrednią przyczyną jego śmierci.

Po owej tragicznej wpadce, w sierpniu 1942 r., w Nowym Sączu przerwała się akcja wydostawania Żydów z getta. Osobiście udzielałem jeszcze pomocy materialnej Żydom, najczęściej chodziło o żywność, albo starałem się przynajmniej podnosić na duchu. Pomagałem także p. Irenie, Żydówce, ukrywającej się u mojej siostry Krystyny w Warszawie przy pl.

Mirowskim 18. Pani Irena szczęśliwie doczekała końca wojny i żyje do dnia dzisiejszego.

W okresie okupacji prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego posiadała placówkę w wynajętym domu w Otwocku k. Warszawy. Przełożonym tego domu był jakiś czas ks. Jan Rostworowski, a ministrem, do którego należały wszelkie sprawy gospodarcze, mój brat cioteczny, ks. Jan Wojciechowski. Do Otwocka niejednokrotnie w czasie wojny zajeżdżałem, a w okresie mojej ucieczki z Nowego Sącza przebywałem tam trzy tygodnie. Wiedziałem od brata, że również i on organizuje różnego rodzaju pomoc dla Żydów, a zwłaszcza dla żydowskich dzieci. Kiedyś opowiadał mi brat pewną dramatyczną historię. Miano jakąś żydowską dziewczynkę umieścić w katolickiej rodzinie. Jej rodzice, chcąc ratować dziecko, zgodzili się, aby ich córeczka została ochrzczona i wychowana po katolicku. Dziewczynkę przygotowywano do chrztu. W miarę przybliżania się daty planowanego przyjęcia sakramentu, dziewczynka stawała się poważniejsza. W chwili, kiedy miano ją ochrzcić, oświadczyła kategorycznie, że jest Żydówką i taką pozostanie, a chrztu nie przyjmie.

W ratowaniu poszczególnych Żydów z otwockiego getta miał również swój udział ks. Jan Rostworowski, ks. Alojzy Chrobak oraz ks. Bogusław Waczyński.



17. Warszawa — kaplica św. Szczepana, ul. Narbutta



18. Warszawa — wieża kościoła Matki Boskiej Łaskawej, ul. Świętojańska

ks. Karol Sawicki SJ

STOS OFIARNY

Działo się to 2 sierpnia 1944 roku w domu jezuitów w Warszawie przy ulicy Rakowieckiej 61. Po godzinie 10 armaty zamilkły i karabiny przestały ujadać. Na ulicy zapanował spokój. Zachęciło to wielu do opuszczenia schronu. Jedni poszli obejrzeć zniszczenia, jakie mogły powstać w pokojach, inni zaczerpnąć świeżego powietrza lub do swoich zawodowych zajęć. Tak ułynęło kilka minut w spokoju i ciszy. Nagle nad naszymi głowami w schronie zadudniły szybkie kroki i rozległ się tupot buciorów.

— Niemcy wdarli się do domu! — słychać słowa wymawiane z trwogą. Każdego ogarnia niepokój. I ja doznaję przykrego uczucia.

Alle herunter! Alle herunter! Wszyscy na dół — słychać już głośne krzyki. Po chwili widzę, jak z podniesionymi rękami schodzi każdy do suteren. Kilku młodych SS-manów otacza całą grupę i krzyczy:

— Alle herunter! ...

Przy schodach na parterze zatrzymali się na chwilę, jakby nie wiedzieli, co dalej z nami robić. Korzysta ktoś z tej okazji i stawia im pytanie, dlaczego tak ostrzeliwują nasz dom.

— Bo z tego domu strzelają bandyci — pada odpowiedź.

Na zarzut odpowiada stanowczym głosem superior:

— Głową ręczę, że stąd nikt nie strzelał.

— Dobrze, zrobimy rewizję, a pan pójdzie z nami do komendanta, by się wytłumaczyć.

— Owszem, idę.

Kilku SS-manów przeprowadza w domu pobieżną rewizję. Paru stoi przy nas na straży. Do nich zwraca się dwóch panów w prośbą (rozmowy prowadzone tylko po niemiecku), by mogli opuścić ten dom i udać się do swoich rodzin. Mieszkają bowiem niedaleko, jeden tuż za naszym ogrodem, a drugi na Fortach. Do próśb tych zdają się odnosić przychylnie.

— Wkrótce linia frontu przesunie się, to wyjdziecie. Teraz wychodzić byłoby niebezpiecznie.

Po bardzo powierzchownej i krótkiej rewizji SS-mani wracają.

— Wszystko w porządku, ale pan pójdzie z nami do komendanta.

— Dobrze, idę — mówi superior.

Wszyscy SS-mani wyszli, zabierając ze sobą o. superiora. Nam zaś kazali zostać w suterenach ze względu na nasze bezpieczeństwo. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy wyszli. Byliśmy bowiem przekonani, że pozostawią nas w spokoju, jak tylko o. superior sprawę wyjaśni.

Nasi jednak rozchodzą się po domu. Brat kucharz z chłopcami zabiera się do gotowania obiadu, niektórzy kończą jeszcze śniadanie. Br. Święcicki chowa co lepsze rzeczy, bo już skradziono mu budzik i parę drobiazgów. Ten i ów znosi do schronu walizkę lub teczkę, jakby gotował się do wyjścia. Słychać nawet żarty i krytyczne uwagi na temat wizyty nieproszonych gości.

Tak upływa 15 - 20 minut. Była godzina pewnie 11. Wracają SS-mani. Nie widzę wśród nich o. superiora. Zaniepokoiło mnie to, więc pytam o niego. Zamiast odpowiedzi słyszę rozkaz:

— Schodzić na dół! Wszyscy schodzić na dół!

Po drodze pytam jeszcze jednego. Też nie odpowiada. Zachowują się obecnie bardziej tajemniczo, arogancko. Wszystkim bez wyjątku każą schodzić do schronu.

Za schron służyła nam kotłownia. W miarę jak wypełniała się ludźmi wzrastał niepokój. Każdy odruchowo rozglądał się za ciemnym kątem.

O. duchowny rozpoczyna modlitwy. Ostatni do schronu wszedł br. Bajak w białym fartuchu. Był wyraźnie niezadowolony:

— Przerwali mi pracę! Kiedy dziś ugotuję obiad? Patrzy na mnie, jakby się usprawiedliwiał.

*
* *

O. duchowny modli się głośno i nas do modlitwy zachęca. Drzwi schronu od korytarza zamknięte. Panuje półmrok. Na

szarych twarzach czai się niepokój, który wkrótce i mnie się udziela. Ale już zaczyna się coś dziać. W drzwiach staje jeden SS-man i kiwając palcem na najbliższego z nas, mówi:

— Komm!

Powoli, trochę utykając na stopniach, wychodzi na korytarz o. Libiński. Drzwi się zaraz za nim zamknęły, a o. duchowny donośnym głosem mówi:

A teraz obudźmy żal doskonały...

Czyżby przygotowywał nas już na śmierć?... Przebiegam oczyma po zebranych w schronie i widzę na twarzach ogromne skupienie, niemal bolesne jakieś napięcie, jakby w oczekiwaniu na coś najgorszego.

W ten sposób, jak o. Libińskiego, wywoływać nas będą pojedyńczo na korytarz i tam bez świadków mordować. Co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości. Ogarnia mnie strach i boję się nie tyle samej śmierci, co długiego na nią czekania. Czy wytrzymam? Czy się nie załamię lub nie zwariuję?

Nagle podejmuję decyzję. Robię parę kroków w stronę wyjścia. Staję przy drzwiach i czekam. Będę pierwszy. Za moment padnie tam cichy strzał, potem usłyszę « komm », wyjdę i znowu padnie strzał. Może tego słyszeć już nie będę?... Upływa minuta absolutnej ciszy, nie słyszę ani strzału na korytarzu, ani modlitw odmawianych w schronie.

Drzwi znowu się otwierają i pada słowo jak wyrok:

— Komm!

— Jezu! Już idę.

Nie oglądam się za siebie, by niczym nie zdradzić braciom tego, co ich czeka tam za drzwiami. Na korytarzu widzę tylko trzech SS-manów. Stoją co parę kroków wzdłuż ściany. W rękach trzymają pistolety maszynowe. Trzonkowe granaty tkwią za pasem. Hełmy nasadzone głęboko na głowy dodają ich młodym twarzom powagi i grozy.

Pierwszy gestem głowy kieruje mnie do następnego, a ten tak od niechcenia rzuca pytanie: skolko? Domyślam się, że chodzi mu o zegarek, ale wzruszam ramionami. Wtedy wybucha wściekłym, gardlanym głosem:

— Taschenuhrrr!

Odbiera mi zegarek i oddaje mnie w opiekę trzeciemu. Ten pogwizdując sobie beztrosko, otwiera drzwi do małego

pokoiku. W jednej chwili prysnęły dręczące mnie przeczucia. O. Libińskiego zobaczyłem siedzącego wygodnie na krześle. Zły byłem sam na siebie, że padłem ofiarą tak pesymistycznych przewidywań. Były one pewnie owocem ogólnej psychozy ludzi spędzonych do mrocznego schronu.

Przez uchylone do pokoiku drzwi pada jeszcze pytanie:

— Haben Sie Feuerzeug?

A więc nie jest tak źle, jak myślałem. Za chwilę zapalimy papierosa. Dam mu przynajmniej zapałki.

— Scheisse! — warknął, gdy je zobaczył, zamiast zapalniczki.

W podobny sposób, uwalniani od zegarków, wszyscy odbywają tę drogę.

O. Jędrusik wszedł bardzo zdenerwowany. Twarz miał czerwoną. Oczy aż błyszczały. SS-man, żądający zegarka, którego ojciec nie posiadał, klął, przeprowadził rewizję i groził granatem.

O. Wróblewski natomiast był uśmiechnięty, niemal zadowolony.

Zegarek dałem im stary. Niewiele był wart. Ten złoty, pamiątkowy po bracie, zostawiłem w schronie.

Wchodzi o. Grabowski. Widać, że jest zmartwiony. Skarży się:

— Zabrali mi zegarek pożyczony od o. superiora, co ja teraz zrobię?

O. Wilczyński trzyma w ręku brewiarz i modli się. Nie poświęca najmniejszej uwagi temu, co go spotkało.

Jako któryś z kolei wchodzi o. duchowny i z dziwnym uśmiechem na ustach mówi głosem dobitnym tak, że go wszyscy słyszą:

— Ojcowie, nikt z nas żywy stąd nie wyjdzie. To są Ukraińcy. Wymordują nas. Przygotujmy się na śmierć...

Wchodzi o. Pawelski i już od progu wyraża swoje oburzenie na SS-manów, którzy odebrali mu zegarek. Słysząc te utyskiwania o. duchowny, łagodzi sytuację w sposób sobie właściwy:

— Ojcze, głupstwo zegarek! Za chwilę idziemy do Pana Jezusa... A wypowiadał te słowa z temperamentem, z uśmiechem na twarzy, jak dobry żart. Znany był wszystkim z poczucia humoru. Wargi jednak drżały mu lekko.

Na końcu wchodzą osoby świeckie. Ostatni był nasz furman p. Żwan. Uśmiechał się szczerze, widząc tylu gości w swoim pokoiku. Jego pokoik, o wymiarach 5.50 × 2.60 m., zastawiony różnymi gratami, przyjął pewnie z 50 osób.

*
* *

Nie potrafię określić godziny, w której się to zaczęło. Jakaś większa liczba intruzów wdarła się do naszego domu i plądrowała. Świadczyły o tym liczne odgłosy kroków na schodach i korytarzu.

Stałem pod oknem, którego solidne kraty zabezpieczały pokój od ogrodu. Po prawej mojej ręce nadal uśmiechnięty stał o. Wróblewski, tuż przy nim o. Wilczyński cały zatopiony w brewiarzowej modlitwie. Przed nimi siedział na krześle o. Libiński, długoletni nauczyciel języka niemieckiego. Głowę oparł na ręku, twarz miał pogodną, ale czoło zmarszczone, jakby nie mógł pogodzić się z myślą, że w taki oto sposób przecięte zostanie pasmo jego życia...

Po lewej ręce miałem trzech ojców: Rosiaka, Jędrusika i Kwasa. Prawie na środku pokoju stał ubrany w stule o. duchowny, Wiącek. Oczy płonęły mu niezwykłym żarem, a twarz pokryły rumieńce. Co chwila udzielał rozgrzeszenia, bo jeszcze ktoś się spowiadał.

Po ludzku sądząc, uczynił wszystko, by nas jak najlepiej przygotować na śmierć. Ostatni jednak krzyż zakreśla nad nami o. Madaliński, odczytując z brewiarza błogosławieństwo apostolskie na godzinę śmierci.

— Na mocy udzielonej mi władzy przez Stolicę Apostolską odpuszczam wam wszystkie grzechy... a Bóg Wszechmogący niech wam otworzy podwoje niebios i doprowadzi do szczęścia wiecznego. Amen.

Nie widzę żadnej paniki, żadnej histerii. Jedynie młoda córka, przytulona do ramienia matki cicho płacze.

Nagle otwarły się drzwi. Wszyscy zajęci sobą może nawet nie spostrzegli, jak stanęli w nich trzej SS-mani. Obraz ten choć trwał bardzo krótko, pozostał w moich oczach dotychczas.

W drzwiach trzy twarze. Twarze młode, ale napiętnowane zbrodnią. Dzikość ich oczu dorównywała najdzikszym zwierzę-

tom. Jakiś szatański grymas wykrzywił im usta. Do dzieła przystępowali z dużą wprawą.

Jeden rzuca komendę: — Los!

Przez moment łudzę się, że każą nam wychodzić. Ale widzę błysk ognia nad naszymi głowami i niemal jednocześnie straszliwy huk rozdziera powietrze. Odnoszę wrażenie, że sufit pękł, że cały dom wali się nam na głowy. Sypie się tynk. Szyby lecą z brzękiem ...

Zakołysał się tłum w stronę okna. Rozdzierający krzyk oburzenia, bólu i rozpaczy mieszał się z wybuchami granatów.

Nie wiem jak i kiedy znalazłem się na podłodze w pozycji klęczącej z głową pochyloną ku ziemi. Czuję tylko dojmujący ból w uszach, bo granaty pękają gdzieś bardzo blisko. A było ich tyle, że po dłuższej chwili zamarł krzyk mordowanych ludzi.

Słychać tylko pojedyńcze słowa modlitw, wzywanie Bożej pomocy, ale i one powoli cichną. Granaty pękają dalej. Dym i kłęby kurzu wypełniły cały pokój. Trudno było oddychać. Rozróżniam jeszcze głosy swoich współbraci, jak przed Bogiem się kajają, o przebaczenie Go proszą, by zechciał okazać się dla nich miłosierny i łaskawy.

Po granatach oddano jeszcze kilka serii z automatów. Wtedy umilkły nawet jęki. Skończyli. Odchodzą. Miarowe kroki oddalają się korytarzem.

Nastała cisza tak wielka, że nie potrafię jej z niczym porównać. Nagle w tę martwą ciszę wdarł się głos domowego dzwonu. Nigdy zapewne w dziejach tego domu nie rozbrzmiewał wymowniej, niż w chwili obecnej.

Dzwonek klasztorny tak zrósł się z życiem zakonnym, że towarzyszył nam od nowicjatu aż do grobu. To on rano budził nas ze snu. On odmierzał godziny pracy i modlitwy. Wzywał zakonników do kaplicy czy jadalni. On wreszcie zamykał dzień, dzwoniąc rytmicznie na Anioł Pański. Rzadkie bywały wypadki, kiedy bił na alarm, zapowiadając zgon zakonnika. Wszyscy współbracia biegli wtedy do łoża umierającego, by wspierać go swymi modlitwami.

W tej chwili głos dzwonu był bezładny, urywany, jękliwy, jakby zanosił się łkaniem ... Tak posłużył się Bóg ręką zbira, by wierny przewodnik życia zakonnego odprowadził zmarłych do bram wieczności.

Otwieram oczy i podnoszę głowę. Cały pokoik wypełniony dymem, pyłem wapiennym i pierzem. Szara warstwa tynku, jak brudny łachman poplamiony krwią, przykrywa konwulsyjnie drgający zwał ludzkich ciał. Nie rozpoznaję żadnej twarzy, choć tak blisko nich jestem. Głowy zapadły ku ziemi. Podarte odzienie. Ciała zmasakrowane. Krew płynie strumieniem.

A jednak ta wielka krwawa masa kryła w sobie jeszcze niejedno życie. Oto dwóch chłopców, Dynek i Janusz, podrywa się z ziemi i wybiega na korytarz. Wstaje również o. Pieńkosz. Trochę się chwieje na nogach. Powiódł oczyma po pokoju i skoczył za nimi na korytarz. Z boku słyszę głos o. Wilczyńskiego:

— O. Wróblewski kona ...

Obracam głowę w tym kierunku i widzę o. Libińskiego, jak podnosi rękę do absolucji. Urywany jęk, ciche skomlenie ... Tak wyzwalała się dusza z więzów ciała. Ale już słychać jakieś strzały i zbliżające się korytarzem szybkie kroki.

— Mężczyźni, do broni! — woła ciężko ranny organista — nasi idą.

Przyszli, ale nie nasi. Stanęli w drzwiach i odbywają krótką naradę. Znowu kilka granatów wrzucono do pokoju. Nowe jęki i jazgot automatów.

Gdy nastała cisza, odeszli.

Podniosłem głowę. Widzę o. Libińskiego. Nadal siedzi na krześle. Co za makabryczny widok: pół czaszki urwane, mózg wyprysł; reszta głowy, pusty czerep, opadła na piersi. Tak skończył pracowite swe życie.

Na nogach czuję ciężar drugiego ciała. To o. Wilczyński padł zabity obok o. Wróblewskiego. Ale jeszcze podrywa się ktoś z leżących i wybiega na korytarz. Byli to bracia Korsak i Reszka, oraz chłopiec Witek Rosa.

W najbliższym moim sąsiedztwie jest trzech ojców żywych: o. Rosiak, którego głowa spoczywa na moim ramieniu, dalej o. Jędrusik i o. Kwas.

Uwaga! Ktoś nadchodzi. Dajemy sobie znak i chowamy głowy.

Stanęli we drzwiach i nadsłuchują. W pokoiku znowu grobowa cisza. Przerywa ją kilkanaście strzałów. Gdy odeszli ostrożnie podnosimy głowy.

O. Rosiaka nie poznaję. Twarz ma upiorną. Włosy zwichrzone i sklejone krwią opadły na czoło. Strzępy mózgu i sople krwi pokryły całą głowę i twarz. Skóra na niej oblepiona grubą warstwą kurzu i tynku podobna była do tragicznej maski greckiej. Oczy zmęczone, półprzytomne, zdradzały całkowite wyczerpanie.

O. Jędrusik unosi głowę powoli, jakby wstawał z grobu, cały jest obryzgany krwią. Podobnie czoło i twarz o. Kwasa skąpane są we krwi.

Tak wśród ofiar leżących na stosie wyglądali żywi. To ich uratowało. Rozmawiamy przyciszonym głosem. Słychać zbliżające się kroki. Uwaga! Ktoś znowu nadchodzi. Przyszło ich kilku. Stanęli na korytarzu. Dzielą się uwagami. Jeden z nich, lepiej poinformowany, udziela wyjaśnień kto i ile osób tu leży: dreissig Pastoren — dodaje.

Dzięki Bogu, że odchodzą. Muszę uwolnić nogi spod ciężaru, jaki je ugniata. Leżą na nich ciała dwóch zabitych ojców: Wróblewskiego i Wilczyńskiego. Ile już czasu upłynęło od ich śmierci, nie wiem. Akcja toczyła się szybko. Odczuwam ból tak wielki, że dłużej nie mogę pozostać w tej pozycji.

*
* *

Znowu przyszli. Stanęli we drzwiach. Plotą głupstwa. Śmieją się. Rechocą. Rozmawiają po rusku. Któremuś wpada pomysł do głowy, by wśród zabitych poszukać zegarków.

Od chwili, gdy znalazłem się w tym pokoiku, byłem pewny, że wyjdę stąd cało. Najbliższe jednak minuty zburzyły moją pewność. Czasu pozostało mi tylko tyle, by obudzić żal za grzechy i polecić się miłosierdziu Bożemu.

Ostatnia próba, by wsunąć się znowu pod ciała zabitych, zawiodła. Było już za późno. Rozpoczął się ostatni akt tragedii — dobijanie.

Najpierw słychać było szamotanie, potem przekleństwa, wreszcie okrzyk: — noch lebt — i dwa strzały rozdarły ciszę. Szukanie zegarków trwa dalej. — ot kuchar j ... twoju m ... — znowu padają dwa strzały. Zbliża się w naszą stronę. Nagle odzywa się głos rozpaczliwy jakiegoś mężczyzny: — panie, daruj mi życie, ja też ... nie skończył zdania. Dwa strzały, zaprawione przekleństwem, zgasiły i to życie.

— Noch lebt — i dwa strzały padają coraz częściej i coraz bliżej naszej czwórki. W ten sposób zginął o. Pawelski. Próbował coś mówić, tłumaczyć. Daremnie. Dwa strzały przerwały mu zdanie. Już tylko nas czterech czeka na swój nieuchronny los ...

Przez zwał trupów dotarł w końcu do nas. Słychać sapanie utrudzonego krwawym żniwem człowieka. Bo też ciężką i okrutną wykonywał pracę, mając ręce po łokcie umazane we krwi.

Najpierw skierował swoją uwagę na o. Jędrusika. Błyszczący krzyżyk, który ojciec trzymał w rękach, przyciągał jego oczy. Wyrwał więc krzyżyk, obejrzał i rzucił poza siebie. Potem ujął rękę ojca i wykonał nią parę ruchów, badając, czy żyje. Zapadła cisza i chwila oczekiwania — strzeli, czy nie strzeli. Bogu dzięki, nie padł strzał, ani plugawe przekleństwo.

Pochyla się teraz nad nami tak nisko, że na twarzy czuję jego oddech. Z mego ramienia unosi za ucho głowę o. Rosiaka. Obraca ją w lewo, w prawo ... O Boże, jak to długo trwa! Zaraz padną dwa strzały, a potem moja kolej. Oczy mam zamknięte i czekam, a sekundy wydłużają się do granic wieczności. Opada głowa o. Rosiaka i ... cisza.

Jak na nieszczęście serce zaczyna mi tłuc tak głośno i mocno, że rozsadza mi piersi. Duszę się od bolesnego skurczu w gardle. Nie, nie wytrzymam dłużej. Nie mogę już udawać martwego. Podniosę głowę. Strzeli prosto, męczyć się nie będę. Boże, zmiłuj się nade mną ...

Zdaje mi się, że jestem już w innym świecie. Dotychczasowe granaty i kule nie były dla mnie przeznaczone, ale te dwie ostatnie ... Czemu ich nie słyszę? Może nikt ich nie słyszy przed śmiercią? ...

— Genug.

*

* *

Ostatnie przeżycia zmuszają nas do podjęcia jakiejś natychmiastowej decyzji. Postanawiamy czym prędzej opuścić ten pokoik i ukryć się gdziekolwiek. Naradzamy się po cichu dokąd uciekać. Zaniepokoił nas jakiś szmer. To jedna młoda kobieta uratowała swoje życie kryjąc się za umywalką. Niespodziewanie spod stołu zawalonego papierem drukarskim wysuwa głowę o. Mońko. W oczach jego widać przerażenie. Twarz

blada jak kreda. Trochę dalej spomiędzy trupów podnosi się o. Kisiel.

W pierwszej grupie ucieka nas pięcioro: Rosiak, Jędrusik, Kwas, owa kobieta i ja. Na korytarzu zataczamy się jak pijani. Plączą się nam nogi. W głowie huczy. Na kryjówkę wybraliśmy sobie zniszczoną drukarnię. Dwadzieścia kilka metrów przebiegliśmy korytarzem jak widma. Po drodze mijaliśmy w największym strachu schody prowadzące na górę, wejście do kuchni, pootwierane pokoje. Groźnym memento były ciała dwu chłopców, którzy wybiegli pierwsi.

Dawna drukarnia została zamieniona na skład węgla, drewna i rupieci. Część maszyn drukarskich uległa zniszczeniu w czasie bombardowań w 1939 r. Resztę wywieźli Niemcy do Reichu. Papier przejęło podziemie na prasę konspiracyjną.

Doskonałą kryjówką okazały się wysokie sągi drzewa. Tutaj zauważyłem, że o. Jędrusik jest ranny. Nic nam o tym nie mówił. Kula czy odłamek granatu, wyrywając z dłoni kawałek ciała i kości, spowodowała duże krwawienie.

*
* *

Po upływie jakiegoś czasu słyszę rozmowę prowadzoną za oknem i zbliżające się kroki. Są już w domu... Idą korytarzem... Rąbią drwa... Słuchać trzask palącego się ognia...

Zaczyna padać deszcz, ciężkie krople biją o dach. Robi się coraz ciemniej. Zgadujemy, która może być godzina.

Uciekniemy, gdy tylko oprawcy opuszczą nasz dom. Ogień tymczasem buzuje i przybiera na sile. Dociera do nas zapach pieczeni.

Marzę o wyjściu poza Warszawę. Plan drogi mam gotowy. Po trzech godzinach marszu, omijając Włochy, dojdziemy do Skoroszy.

Ociągamy się jednak z wyjściem choć zrobiło się zupełnie ciemno. Syczenie palącego ognia budzi w nas niepokój, że nasi oprawcy są w domu. Skąd jednak tyle dymu? Trudno oddychać.

Wychodzę na korytarz. Powoli posuwam się dalej. Nagle podmuch wiatru wyrzuca snop iskier z pokoiku, w którym dokonano dzisiaj masakry. Tak zbrodniarz zacierał ślady.

Oknem drukarni wychodzę do ogrodu, by rozejrzeć się w sytuacji i wyszukać w parkanie jakieś przejście na ulicę. Jest noc. Pada ciepły deszcz. Chmury wiszą nisko. Powinno być ciemno, ale czerwone płomienie palących się ciał przedzierają się przez kraty w oknie i w dużym promieniu oświetlają ogród.

Stanąłem na chwilę w cieniu starego auta. Rozglądam się. Nadsłuchuję. Wtem, jak spod ziemi, wyskakuje olbrzymie psisko i potężnym basem, podobnym do grzmotu, rozdziera ciszę. Skóra na mnie ścierpła. Chyba sam szatan wysłał go tutaj, by odciąć nam drogę wyjścia.

Nigdy nie żywiłem sympatii do psów i nigdy nie byłem ich wrogiem, ale tego, gdybym mógł, udusiłbym własnymi rękami. Przecież takim szczekaniem mógł obudzić pół Mokotowa, mógł ściągnąć na nas oddział SS-manów.

Nie miałem innego wyjścia jak wskoczyć do szoferki i zatrzasnąć drzwi. Pies nagle umilkł i znikł gdzieś w ciemnościach ogrodu. Odetchnąłem z ulgą.

Tuż za domem była furtka w parkanie. Jeśli uda się ją otworzyć, ułatwi to nam ucieczkę. Dojście do niej prowadziło jednak obok budynku gospodarczego, którego okna jarzyły się światłem. Wzbudziło to moje podejrzenie, niemal pewność, że wewnątrz są SS-mani. Nie mogę ryzykować spotkania się z nimi. Przychodzi mi do głowy pomysł, by wygasić im światło. Jeszcze raz wracam do suteren i z o. Jędrusikiem wykręcam wszystkie bezpieczniki. Udało się. Światła w oknach wygasły. Idę szukać furtki i wyjścia na ulicę. Spotkał mnie jednak gorzki zawód. Furtka była odrutowana i zabita deskami. Szukam w płocie jakiejś wyrwy, czy wyłamanej deski. Nie ma. Musimy przejść parkan górą. W sutannach nie będzie to łatwe.

Z niepokojem czekali ojcowie na mój powrót. Byli gotowi do wyjścia.

Cicho przekradamy się obok domku zajętego przez SS-manów, dochodzimy do parkanu i przyczajeni w ciemnościach, wypatrujemy dogodne dla siebie przejście. Wtem po drugiej stronie ogrodzenia biegnie jakaś pochylona postać jedna, druga, trzecia ... Pewnie to « nasi chłopcy ». Pomogą nam. Już podrywam się z ziemi, gdy w tej samej chwili rakieta wystrzelona z ogrodów miejskich zdziera z nas osłonę nocy.

« Nasi chłopcy » robią w tył zwrot i błyskawicznie znikają

za zakrętem parkanu, a my padamy plackiem na ziemię, słuchając pierwszych nie do nas kierowanych strzałów.

Gdy rakieta zgasła, uciekamy stąd, by z innej części ogrodu wyjść na ulicę. Manewr ten wykonaliśmy w popłochu i niezbyt cicho. Zaledwie bowiem minęliśmy domek w ogrodzie, już padają stamtąd strzały i gwiżdżą kule. — A więc siedzą tam te kanalie. — Sytuacja nasza nadal jest niebezpieczna, a śmierć depcze nam po piętach.

Musimy wyrwać się z tego ogrodu jak najprędzej i jak najdalej uciekać. Na szczęście ciemna deszczowa noc i gęste krzewy osłaniały nas przed zbójeckim okiem. Próbujemy teraz przejść na ulicę Wrzosową w miejscu zacisznym i mało widocznym, bo zakrywał je szpaler drzew i gęsty żywopłot.

Pędzeni strachem rzuciliśmy się z pasją na ten żywopłot, by jednym skokiem znaleźć się po drugiej stronie. Ale znów mamy pecha. Żywopłot z ałyczy — prunus divaricata — był troskliwie pielęgnowany i przycinany na 1,5 m wysokości. Uzbrojony w kolce i ostre groty z łatwością odparł nasze ataki. Biegamy więc zdenerwowani tam i z powrotem, jak zwierzęta w klatce, które daremnie usiłują się z niej wydostać. Wreszcie pokonaliśmy przeszkodę.

Leżąc na ziemi chwilę odpoczywamy i rozglądamy się na wszystkie strony. Przed nami asfaltowa jezdnia błyszczy refleksem płonących gdzieś domów. Na lewo od nas koszary lotników, ciemno tam i głucho. Po prawej stronie w ogrodach miejskich zgrupowanie « naszych SS-manów ». Musimy tak przejść ulicę, by nas nikt nie zauważył. W paru susach przebiegamy ulicę. Sekunda oczekiwania w rowie, by poderwać się do dalszej ucieczki. Tymczasem z ogrodów leci jasna rakieta, a po niej seria strzałów. Gdy rakieta zgasła, zerwaliśmy się z ziemi i skoczyli w działki. Zakryły nas ciemności.

To drobiazg, że deszcz leje strumieniem, że umazani jesteśmy w błocie. Choć potykamy się w bruzdach pełnych wody, nie sprawia to nam większej przykrości. Idziemy żywi i cali, a przekonanie, że nikt już strzelać do nas nie będzie, łagodzi wszystkie trudy nocnej ucieczki. Czy jednak radość nasza nie jest przedwczesna?

Posuwamy się powoli, bo w rozmokłej ziemi grzęzną buty. Bujna roślinność pęta nam nogi. Uszliśmy paręset metrów. Zaczyna świtać. Pani NN. decyduje się wracać do swego domu,

mieszka stąd niedaleko. Pewnie cała rodzina z niepokojem oczekuje jej powrotu.

Zrobiliśmy jeszcze z kilkadziesiąt kroków i postanawiamy zaszyć się w kopkach zboża, bo szybko zaczyna się rozwidniać.

Odchylam jeden snopek, a tu najmniej spodziewany głos kobiecy:

— Panowie, macie z kawałek chleba? Dwa dni tu siedzę bez jedzenia ...

— Nie mamy.

Idziemy dalej. I znów jakiś człowiek ukryty w kopce zboża prosi o chleb. Pomóc tym biedakom w niczym nie możemy. W końcu zajmujemy z o. Rosiakiem wolną kopkę. Odchylamy parę snopków i wciskamy się do środka.

Jak długo byliśmy w drodze nie odczuwaliśmy ani deszczu, ani zimna. Teraz dokucza nam przejmujący chłód. Dreszcze zimna wstrząsały moim sąsiadem, a tu wszystko mokre i ubranie i słoma, która nas okrywa. Siedzimy przytuleni do siebie, by choć trochę się ogrzać.

— Żeby się tylko nie zaziębić — martwi się mój sąsiad. Bez ruchu siedzimy cały dzień. Niedawne przeżycia traciły swą ostrość, zacierały się w pamięci. Na ich miejsce wkraczało odrętwienie i apatia.

Tylko myśli ciężkie obracały się w kółko, jak kamienie w żarnach: Nikt tu nas nie widzi ... Nikt do nas nie strzela ... Nie słychać żadnych krzyków ani jęków ... Jesteśmy bezpieczni ... Wreszcie możemy odpocząć, zasnąć ...

Uczucie pokoju i bezpieczeństwa było tak silne, że uległem błogiemu zamroczeniu jak po dawce narkotyku. Dzięki temu przesiedziałem kilkanaście godzin skulony, zziębnięty jak w dobrze ogrzanym pokoju na miękkim fotelu. Wszystko wydało mi się małe wobec jednego cudownego daru, który Bóg nam darował, daru życia.

Ostatnie godziny dnia zburzyły mi ten błogi nastrój. Już wcześniej dochodził do nas astmatyczny kaszel jakiegoś mężczyzny, który ukrywał się podobnie jak my, ale nie mąciło to nam spokoju. Gdy jednak poczęły odzywać się gdzieś strzały w pobliżu, natychmiast wrócił lęk i wzmogła się czujność.

Raz tu pada strzał, chwilka przerwy, i znów gdzie indziej się odezwie. Kto i na co może tu polować? Odpowiedź była jedna.

Po pewnym czasie strzały odzywają się tak blisko, że słychać wyraźnie końcowy bieg pocisku, krótkie — pss i pac. Powtarza się to kilka razy i coraz bliżej naszej kryjówki.

— Paf ... pss ... pac.

Wciskamy się głębiej do środka, ale snopki się chwieją, kopka się kołysze, grożąc zawaleniem. Gdy wreszcie strzał oddano tak blisko, że kula uderzyła w nasze gniazdo, zamarliśmy z przerażenia. Przytuleni do siebie, wstrzymaliśmy nawet oddech, byleby się niczym nie zdradzić.

I znów nastaje chwila ciszy i oczekiwania, w której człowiek jak zaszczute zwierzę boi się, że nadchodzi nieuchronnie to, przed czym uciekał. Czekamy aż się ściemni, by wyruszyć dalej. Ale Warszawa nie ma już ciemnych nocy. Pożary wokoło jak olbrzymie latarnie rozpraszały ciemności. Aby choć trochę zamaskować się, każdy z nas bierze snopek na plecy i tak maszerujemy. Przy al. Żwirki i Wigury skończył się łan zboża więc porzuciliśmy snopki i kierujemy się w stronę ul. Grójeckiej, omijając z dala bloki mieszkalne.

Powoli przedzieramy się przez druty i zasieki, przez jakieś działki i ogródki. Nie zatrzymują nas nawet tablice zabraniające wstępu na te tereny. Trochę kluczymy i zbaczamy z kursu, podchodząc do jakiegoś wysokiego nasypu. Posuwamy się stale naprzód. Od szosy Grójeckiej oddziela nas parę małych domków, stojących w ogródkach. Idziemy napić się wody.

Nagle spadł na nas cały rój świetlistych kuleczek. Już kręcą się między nami, uwijają się na wyścigi, syczą i gwiżdżą, chcą kąsać, kłuć i zabijać. A pistolet maszynowy aż wyje z uciechy: — co za gratka, sami podeszli pod lufę ... Padamy na ziemię i czołgając oddalamy się.

W tej samej jednak chwili z nasypu, który przed minutą minęliśmy, leci na nas nowa fala świetlistych paciorków, a za nimi szybuje biała rakieta i zamienia noc w jasny dzień. Sił nam już brakuje do dalszej ucieczki. Przerażeni i zziajani leżymy długą chwilę w przydrożnym rowie z wodą. Odpoczywamy, by dojść do siebie i nabrać sił do skoku na drugą stronę szosy. Udało się przebiec przez drogę.

To już koniec naszej udręki, myślę sobie. Przed nami rozległe pole kalafiorów. Nie ma dróg, nie będzie i domów. Idziemy na przełaj, w raz obranym kierunku. Na naszej trasie zjawia się szeroki rów wypełniony wodą. O przeskoczeniu

go nie ma mowy. Przechodzimy go w bród po pas w wodzie.

Uwaga! Przed nami mały domek oraz jakieś szopy. Skrzypnęły drzwi i na progu domku stanął mężczyzna. Rozejrzał się wokoło, popatrzył chwilę w stronę Warszawy i jakby się czegoś przestraszył. Schował się z powrotem do izby. Podchodzimy i pukamy.

— Kto tam? — pada pytanie.

— Swój.

Uchylił trochę drzwi, spojrzał na nas wylękłym wzrokiem i mówi:

— Panowie, uciekajcie stąd. Tutaj nikt nie może chodzić. Brat mój wyszedł tylko po wodę i zaraz go zastrzelili. To mówiąc zamyka drzwi.

— Chleba nie mam, a wodę znajdziecie na dole. Idźcie do wsi to was przebiorą i dadzą coś zjeść.

Minęliśmy kilka szop, z których jedne były puste, inne wypełnione cegłami. Przeszliśmy jakiś tor kolejowy, drogę polną i znaleźliśmy się w szczerym polu. Łan bujnego owsa zdawał się potwierdzać moje przypuszczenia, że jesteśmy już za Warszawą.

Znów wybieramy najpewniejszą dla siebie drogę. Idziemy owsem. Niedaleko jednak uszliśmy. Zagon owsa wnet się skończył. Przed nami znów wyrósł duży nasyp oddzielony od nas szerokim rowem. Stanęliśmy na skraju fosy i cicho się naradzamy, jak obejść tę nieprzewidzianą przeszkodę. Czyjaś ręka dotknęła mego ramienia i słyszę szept: — auta ... tam ... Biegnę wzrokiem wzdłuż nasypu i widzę zamaskowane samochody. Nagle ciszę nocną rozdarł głos:

— Halt! Halt!

Niemiecki automat uderzył całą siłą ognia. W jednej chwili omotał nas ognistymi nićmi, jak siecią pajęczą, a każda niteczka to dziesiątki kul. Pracę żołdak ma łatwą, dzieli go od nas tylko rów i czarna zasłona nocy. Dlaczego nie podziurawił nas na rzeszoto zaraz w pierwszej sekundzie, wie tylko Bóg.

Rzucam się w tył. Twarzą przywieram do ziemi. Ale jak podrażnione osy ścigają swoje ofiary, by jadowitym żądłem kłuć i zabijać, tak nas ścigały syczące, kąśliwe ogniki. Jak stąd uciekać, gdy zrobiło się jasno jak w dzień? To biała rakieta leci nad nami i spada tuż, tuż ...

Ledwie rakieta zgasła, zrywam się do ucieczki. Po kilkunastu metrach czołgania się nadsłuchuję, co się stało z resztą ojców. Owies szeleści, więc żyją, jest jeden, drugi, a gdzie trzeci?... jeszcze dołączy. Czołgam się dalej, by wyrwać się z tego potrzasku.

I znów rakieta świeci pełnym blaskiem. Słychać warkot zapuszczanych motorów. Czy uda się nam przed nimi przebiec drogę i tor kolejowy? Posuwam się na kolanach wśród bujnego owsa. W pośrodku pola jest nas już trzech. Cicho nawołujemy i czekamy na czwartego, by do nas dołączył. Nikt nie odpowiada, natomiast słyszę głos podobny do skomlenia.

Pamiętam takie głosy z małego pokoiku. Gdy ucichły, zwaliły się na moje nogi ciała dwóch zabitych ojców.

Znak krzyża św. i słowa absolucji były ostatnią przysługą, jaką mogłem teraz oddać najbliższemu towarzyszowi nocnej ucieczki.

Gdy wreszcie we trzech przeszliśmy drogę i tor kolejowy, byliśmy kompletnie wyczerpani. Wszystko się w nas załamało, tylko głód się odezwał i szalone pragnienie.

Na łagodnym stoku rosły bujne warzywa a trochę dalej była łączka z małym stawkiem, którego lustro wody świeciło blaskiem dalekich pożarów. Zerwałem główkę kapusty z myślą, że coś z niej zjemy, ale była bardzo gorzka i twarda. Tak samo i pomidory nie nadawały się do spożycia. Musiały być zielone. O. Jędrusik schodzi do stawku aby napić się wody. Trochę dalej w dolince stał mały domek, na który nie zwracaliśmy nawet uwagi. Zaledwie parę kroków dzieliło ojca od wody, gdy nagle z tego domu-budy trysnął strumień ognia z broni maszynowej.

Smuga świetlistych niteczek, jak złote pasemko, przecięła powietrze, a tuż za nią sunie biała rakieta. Widzę ją jak leci, zakreśla łuk i spada obok głowy o. Jędrusika, który leżał nad stawkiem jak martwy, z twarzą skierowaną ku wodzie...

O Jezu! Rakieta już się dopala, gaśnie, a on leży... Ciemno. Z trudem podnosi się z ziemi i powoli wraca.

— Uciekajmy stąd! — wołam.

— Ja tu zostanę — mówi. — Nie mam sił iść dalej.

*

* *

W nocy bali się pewnie więcej niż my, ale skoro tylko nastał dzień szli odważnie tropić niedobitków. Biegając od domu do domu i węsząc po strychach i piwnicach wszystkim stawiali pytanie:

— Wo sind diese vier Banditen? — Gdzie są ci czterej bandyci, co podeszli nocą aż pod fort? Muszą się tu ukrywać.

Jakież było ich zdziwienie, gdy nas ani martwych, ani żywych nigdzie nie znaleźli. Nie mniej zdziwieni byli mieszkańcy Szczęśliwic, którzy o nas nawet nie słyszeli.

— Das ist unmöglich — krzyczeli. — To niemożliwe, by zapadli się pod ziemię. Muszą tu gdzieś być!

Długo trwały poszukiwania, bo ślady prowadziły pod fort i tam gdzieś ginęły. A my w tym czasie — niby ci bandyci — dziękowaliśmy Bogu za nowy cud ocalenia.

O. Rosiak był zdrów i cały. Podczas nocnej strzelaniny wyczołgał się spod fortu w innym kierunku niż my. Potem zatarł za sobą ślady, usłał sobie gniazdko z owsa i odpoczywał. Teraz gdy było już widno, modlił się z brewiarza i czekał aż gorączka bieganiny i poszukiwań opadnie.

Ojcowie Jędrusik i Kwas wybrali sobie cichy zakątek wśród bujnej trawy i odpoczywali na zielonym kobiercu. W pobliżu mieli stawek i pole warzyw. Była to niemal sielanka, wymarzone miejsce na wypoczynek, który tak bardzo im się należał. Ale tuż obok biegła droga, maszerowało wojsko i szła z nim śmierć.

Wtuleni w jakieś zagłębienie łączki, nawet głowy nie mogli podnieść w ciągu dnia, by nie wpaść wrogom w oczy. Dlatego paliło ich słońce w dzień i dokuczało pragnienie. Długo i daremnie myśleli nad sposobem wyrwania się z tego potrzasku. Tak upływały im dni i bardzo chłodne noce.

Ja, mając więcej sił, albo może więcej strachu, poszedłem szukać innego miejsca. Zdawało mi się, że bezpieczniejszym schronieniem będzie jakaś szopa z cegłami, które mijaliśmy po drodze. Plan swój szybko wprowadziłem w czyn, bo zaczynało dnieć. Usunąłem parę rzędów cegieł pod samym dachem, wszedłem na opróżnione miejsce i zamurowuję się wolnymi cegłami. Tak z konieczności rozpocząłem życie pustelnika.

4 sierpnia

Słońce stało już wysoko, gdy zbudził mnie warkot przeciągającej w pobliżu kolumny samochodowej. Ale zaledwie szum motorów ucichł, zapadłem znowu w drzemkę. I tak przez cały dzień budziłem się i zasypiałem kilka razy. Spałem jednak jak ptak na gałęzi gotowy w każdej chwili do dalszej ucieczki. Dalekie odgłosy strzałów nie mąciły mi spokoju, nie dokuczał głód ani pragnienie. Przed wieczorem byłem wyspany i wypoczęty.

Pustelnia — stos ułożonych cegieł nakrytych dachem — dawał poczucie bezpieczeństwa. Nikt mnie tu nie odkryje, posiedzę w tych cegłach jeszcze dzień, najwyżej dwa i wyjdę swobodnie.

Nic to, że cegła twarda, że miejsce niewygodne. O to właśnie chodzi, by nikomu nawet na myśl nie przyszło, że siedzi tutaj człowiek. A do niewygód można się przyzwyczaić. Jedynie głód i pragnienie mogą mnie stąd wypędzić, jeśli pobyt w pustelni przeciągać się będzie zbyt długo. Ale takiej możliwości nie brałem poważnie pod uwagę. Byłem więc dobrej myśli i ani się spostrzegłem, jak pierwszy dzień w pustelni przeszedł mi w nastroju pogodnym.

Gdy noc zapadła, opuściłem swoją celę, by rozejrzeć się w otoczeniu. Ale kilkanaście godzin siedzenia nieruchomo, z kolanami pod brodą, jak w małej chińskiej klatce dla skazańców, nie ułatwiało mi chodzenia. Stałem więc i rozglądałem się wokoło mając przed sobą całą panoramę Warszawy.

W najbliższym otoczeniu panowała złowroga cisza. Byłem sam jak rozbitek na morzu. To bardzo przykre uczucie mieć tę świadomość, że wszystko, co cię otacza, czyha na twoją zgubę i zagładę. A ty jesteś sam jeden bezsilny i bezbronny, nawet nie masz z kim się podzielić swoją troską i obawą.

5 sierpnia

Widoczność w nocy, mimo różnych źródeł światła, była bardzo ograniczona i dlatego nie udało mi się zdobyć odpowiedzi na pytanie, gdzie ja właściwie jestem, czy mieszkają

w pobliżu ludzie, o których wspominał dozorca i kiedy będę mógł stąd wyjść? Wypatrywanie przez szpary w dachu w ciągu dnia też nie przyniosło wyjaśnień. W polu bowiem widzenia miałem jedynie parę zagonów ugoru i krótki wycinek drogi, którą przesuwały się różne formacje wojsk.

Cały drugi dzień siedzę nadal w klatce i muszę tak siedzieć aż fala żołdactwa się przewali. Na poddaszu jest gorąco i duszno, pocę się i chce mi się bardzo pić. Choć czwarty dzień nic nie jem, pragnienie było dokuczliwsze niż głód.

Pić, pić, pić! W ustach mam pełno piasku czy glinki, zgrzyta mi w zębach, śliny brak i sucho mam w gardle. Czekam nocy i siedzę jak na szpilkach, bo choć wymościłem « fotel » sutanną, niewiele to pomogło.

Gdy wreszcie nadeszła dobroczynna i opiekuńcza noc, biegnę na koślawych nogach do pobliskiego stawku gasić pragnienie. Co to za szczęście mieć wodę i pić ile się chce. Kładziesz się nad stawem, ustami dotykasz wody i już pijesz. Najpierw chciwie i długo aż do zadyszki, potem chwilę odpoczywasz i znów pijesz. Teraz powoli i z rozwagą, bo chcesz wypić jak najwięcej, za wczoraj i za jutro.

7 sierpnia

Na próżno czekam nadejścia czarnej nocy, by się w niej zanurzyć i ukryć przed złymi oczami. Z każdym bowiem dniem przybywało pożarów i coraz jaśniej świeciła łuna.

Gdzieś na zegarze musiała już wybić północ. Nie mogę dłużej czekać. Ubieram się w sutannę, bo gdyby coś się stało, przynajmniej taki pozostanie znak rozpoznawczy. Wychodzę. Kroki stawiam powoli, ostrożnie, by jednym fałszywym nie przekreślić całej wyprawy. Wzrok i słuch czujne i napięte.

Często padałem plackiem na ziemię, gdy bliskie rakiety sunąc po niebie zdzierały ze mnie osłonę nocy. Odpoczywam i dalej idę. Wreszcie dojrzałem wśród kępy drzew niewyraźne kontury domu. Zdwoiłem czujność, bo wiedziałem, że każde spotkanie z « nimi », może być dla mnie ostatnim.

W ogrodzie stał parterowy domek z gankiem. Światła pożarów wpadały do jego wnętrza i pozwalały mi dojrzeć z daleka, co się tam dzieje. Dłuższy czas przeglądałem pokoje

i ganek, leżąc w bruździe. Kto tu może mieszkać, przyjaciel czy wróg? Życie czy śmierć czeka na mnie tam za progiem? Mijały minuty i kwadranse bez odpowiedzi.

Nagle w jednym oknie pojawiły się na moment dwie twarze i zaraz znikły. Zdawało mi się, że były to twarze kobiece. W najbliższym otoczeniu panowała cisza. Nie zaszczekał ani warknął podwórzowy pies. Nic nie zdradzało mojej obecności. Skradam się do ganku jak najciszej, ale słyszę wyraźnie bicie swego serca.

Jeszcze moment wahania: wejść czy nie. Jeszcze mogę się wycofać, nikt mnie przecież nie widział.

W imię Ojca i Syna i Ducha Św. Cichutko otwieram drzwi i wchodzę. W izbie ciemno, ale oczy przyzwyczajone do ciemności natychmiast dostrzegają sylwetki dwu kobiet. Widzę, jak moje wtargnięcie do ich mieszkania nocną porą wywołuje na ich twarzach strach i przerażenie. Poderwały się na nogi i patrzą na mnie jak na człowieka, który wnosi ze sobą nieszczęście.

Młodsza, trzymając dziecko na ręku, jednym tchem wyrzuca ze siebie cały ból czy rozpacz matki i żony:

— Niech pan stąd natychmiast wyjdzie, bo jak Niemcy pana tu zobaczą, to zabiją mi męża. Przed chwilką wzięli go na zakładnika.

Małe dzieciątko, które tuli do piersi, budzi się i zaczyna płakać, jakby chciało tym podkreślić wagę słów swej matki.

Cóż znaczył mój głód wobec tragicznej sytuacji tej rodziny? Bez chwilki wahania kieruję się do wyjścia, żeby tylko nie ściągnąć na ten dom większego jeszcze nieszczęścia. Ale na progu zatrzymuje mnie ta druga, starsza kobieta:

— Niech ksiądz zaczeka. Dlaczego ksiądz tu przyszedł i po co?

— ... Prosić o kawałek chleba.

Słowa wydobywam powoli i z trudem ze ściśniętego gardła. Sytuacja bowiem tej rodziny z mego powodu stawała się niebezpieczna, a nawet za chwilę, może być dla nas wszystkich tragiczna.

I wtedy dzieje się rzecz niezwykła.

Choć anioł śmierci krąży nad tym domem i kroki SS-manów każdej chwili mogą zadudnić na ganku zapowiadając

jej nadejście, to jednak drugi anioł, anioł dobroci, wciąga mnie do izby i wskazując na drzwiczki w podłodze mówi:

— Tam się ksiądz schowa, gdyby nadeszli.

... Dostałem kromkę chleba posmarowaną smalcem, trochę kaszy zawiniętej w papier i życzliwą radę, dokąd się udać, by mi coś ugotowano do zjedzenia.

Chociaż od kilku dni marzyłem o chlebie, teraz trzymając go w ręku, ugryzłem jeden tylko raz, jeden mały kęs, więcej nie mogłem. Głód bowiem cofnął się nagle gdzieś głęboko w trzewia, a chleb z trudem przechodził mi przez gardło, gdy pomyślałem, jaką cenę przyjdzie nam zapłacić, jeśli « oni » nadejdą.

Wychodząc z tego domu, wynosiłem w duszy dozgonną wdzięczność i podziw dla dwóch nieznanych mi kobiet, których ofiara i poświęcenie graniczyły w tych warunkach z bohaterstwem.

Długi jeszcze czas trzymałem ten kawałek chleba w ręku i nie ważyłem się go jeść, choć siedziałem w bezpiecznej już celi. Patrząc na tę skibkę chleba widziałem przed sobą dwie twarze przerażonych i zbolałych polskich matek, ich śmiertelną trwogę i ... dwa dobre serca ...

8 sierpnia

Gdy gęstniał mrok, a widoczność skurczyła się do kilku metrów, zauważyłem w pobliżu mej szopy cicho skradającego się chłopca. Mógł mieć 10-12 lat. Pan Bóg mi go chyba zesłał. Błyskawicznie podejmuję decyzję i wychodzę z cegieł.

— Weź tę torebkę i zanieś mamusi, niech mi ugotuje trochę kaszy. Uśmiecham się przy tym i przyjazną robię minę, bo widzę, jak chłopiec jest zaskoczony moim nagłym zjawieniem się. Patrzy na mnie z lękiem, chwilę się waha czy nie uciec, w końcu zdobywa się na odwagę, bierze torebkę i znika w ciemności.

Może to jest jedyna okazja nawiązania bezpiecznego kontaktu z miejscowymi ludźmi. W ten sposób nikogo narażać nie będę.

Minęła jedna godzina, druga, ściemniło się i noc już zapadła. Tak kończył się piąty dzień mego pobytu w pustelni,

a siódmy od wyjścia z domu. Nie ma na co czekać i dziś kolacji nie będzie.

In Te Domine speravi — W Tobie Panie zaufałem ...

Ciche stąpanie w pobliżu szopy sygnalizowały mi zbliżającą się osobę. Kto to może być? Stanąłem szybko w głębokim cieniu i widzę kobietę jak idzie powoli, niesie coś w ręku i rozgląda się wokoło.

— To ja prosiłem.

Podaje mi garnuszek i bez słowa znika. Z jej zachowania można się było tylko domyślać, jak tutejsi mieszkańcy są zalęknieni i sterroryzowani. Dopiero po uływie wielu lat dowiedziałem się, że w tym czasie wygarnięto z domów wszystkich mężczyzn, niby zakładników i większość z nich rozstrzelano w pobliskim tunelu kolejowym.

Kubek ciepłej strawy po tylu dniach postu na pewno mi smakował. Od tej pory zawsze późnym wieczorem dostawałem coś do zjedzenia. Uczucie głodu przestało mnie nękać.

11 sierpnia

Dzisiaj znowu odwiedziła mnie kostucha. Przyszła w dzień aż pod moją pustelnię.

Przeprowadzałem właśnie ze swego gniazda obserwacje najbliższego otoczenia. Musiałem przecież wiedzieć, co się wokół mnie dzieje. W pewnej chwili widzę, jak zza górki wyłania się tyraliera szperaczy z bronią gotową do strzału i przeczesuje cały teren. Kilka psów towarzyszy tej wyprawie. Pewny jestem, że ludzie nie odkryją mojej celi, ale czy pies nie zdradzi mojej obecności?

Idą powoli, rozglądają się na lewo i prawo. Któryś z nich musi przejść obok pustelni, oby tylko bez psa. Obserwuję ich w napięciu. W polu widzenia pozostał już tylko jeden. Idzie prosto na mnie, a tuż przy jego nodze pies ...

Skurczyłem się jak mogłem, zwinąłem w kłębek, chciałbym stąd wyparować, ulotnić się, ale jak? Zamknąłem oczy jakby to coś pomogło i czekam, a serce skacze aż do gardła. Pozostaje mi tylko modlitwa.

Słychać już człapanie buciorów ... Idzie tuż pod moją dziuplą ... Stanął. Cisza. Czyżby zauważył jakieś ślady?

Nagle pies warknął i zaczyna szczekać. Pod Twoją obronę uciekam się święta Boża Rodzicielko. Jeszcze raz patrzę przez szparę i widzę jak pies oparł się łapami o cegły i szczeka, a żołnierz odpina pasek.

I stało się coś, czego ani pies, ani ja nie mogliśmy przewidzieć. Na psa spada jedno, drugie uderzenie paska. Pies zgłupiał, zaskowyczał i zamilkł, a żołnierz mógł spokojnie załatwić swoją potrzebę.

12 sierpnia

Przygody jak nieszczęścia chodzą zawsze parami. Słońce cały dzień pali niemiłosiernie, więc chce mi się strasznie pić. Cóż prostszego jak pójść do pobliskiego stawku i napić się wody? Jednak ten krok połączony był z dużym ryzykiem, gdyż szopa leżała na otwartej przestrzeni, jak na dłoni i była widoczna ze wszystkich stron. Ale człowiek nie zawsze kieruje się rozsądkiem.

Zaledwie połknąłem jeden łyk brudnej cieczy, a tu jak spod ziemi wyrasta po drugiej stronie stawu czołg, tygrys czy pantera i dyszy: szur, szur, szur. Na ucieczkę było już za późno, długa lufa czołgu wystaje aż nad wodę, dzieli nas śmiesznie mała odległość. Głośne sapanie motoru i ta lufa skierowana prosto na mnie wtłoczyły mnie w szuwary, a sitowie i trzciny dokonały reszty, znikłem ...

Żołnierze wyskoczyli z czołgu, ale nie poświęcili mi ani chwilki uwagi, tak byli zajęci wyładowywaniem jakiegoś sprzętu wojennego. Ile najadłem się wtedy strachu, trudno to wyrazić, ale przyrzekłem sobie solennie, że za dnia nigdy nie opuszczę swojej celi.

15 sierpnia

Noc wigilijną spędzam na modlitwie. Świta. Żegnam ostatnią z wielu przepędzonych tutaj nocy. Jakże byłem im wdzięczny za to, że użyczały mi swych ciemnych szat, którymi sam Bóg je przyodziewał. Nie ich wina, że były takie krótkie i tak mało « nocne ». Wspólny nasz wróg obdzierał je z mroków

nieprzeniknionych, kaleczył i ranił. W pamięci pozostały mi noce przytulne i opiekuńcze.

Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą...

Jest ciepło, słonecznie, czuję świeży powiew wiatru. Bez cienia lęku i żalu opuszczam swoje miejsce azylu, które przez jedenaście dni służyło mi za celę, czasami było łożem madejowym, a pod koniec stało się chińską klatką dla więźnia.

Idzie nas dwoje, pierwsza z koszyczkiem w ręku idzie babcia. Babci nic szwaby nie zrobią, choćby nas spotkali. Kilkanaście kroków za nią ja się posuwam, wlokąc nogi z trudem jakby nie swoje. Babcia zna drogę i wie, jak szkopów ominąć i doprowadzić mnie cało do sołtysa.

Na drodze nie widać żadnego ruchu, choć jeszcze wczoraj ciągnęły tędy tabory. Kilka chałup stoi rzędem jak wymarłe. Wchodzimy na podwórko jakiejś zagrody, która robi wrażenie opuszczonej. Ale wystarczyło jedno głośniejsze słowo babci, niczym czarodziejskie zaklęcie, a zaraz z różnych zakamarków poczęli wychodzić ludzie. Z pantoflowej nocnej poczty wiedzieli już że ksiądz przyjdzie.

Wyglądem swoim budziłem pewnie współczucie. Kroki stawiałem niepewnie, byłem bardzo brudny, wychudzony i nie ogolony. Zaraz jakieś panie podchodzą i częstują mnie jedzeniem, inne znowu mówią:

— Niech ksiądz da tę sutannę i w ogóle wszystko, to wypierzemy.

Prawie cały dzień spędziłem na strychu, rozkoszując się wygodami ludzi cywilizowanych — miękką słomą. A gdy pod wieczór zwrócono mi sutannę wypraną i suchą, jedna z pań nie mogła się nadziwić, dlaczego przy płukaniu sutanny woda była czerwona i czerwona jak z krwią.

Noc spędziłem w budynku podstacji Szczęśliwice dzięki jej kierownikowi J. Płócienniczakowi, a rano ubrany w jego mundur i czapkę, jako pracownik EKD, dojechałem kolejką do Leśnej Podkowy.

Znalazłem się w innym świecie. Leśna Podkowa była wówczas oazą, w której przebywało wielu artystów i ludzi nauki z ginącej Warszawy, gdzie nawet członkowie Rządu Podziemnego mieli swoje punkty kontaktowe. Wszyscy przeżywali głęboki niepokój o losy powstańców i całego kraju. Dzięki nie-

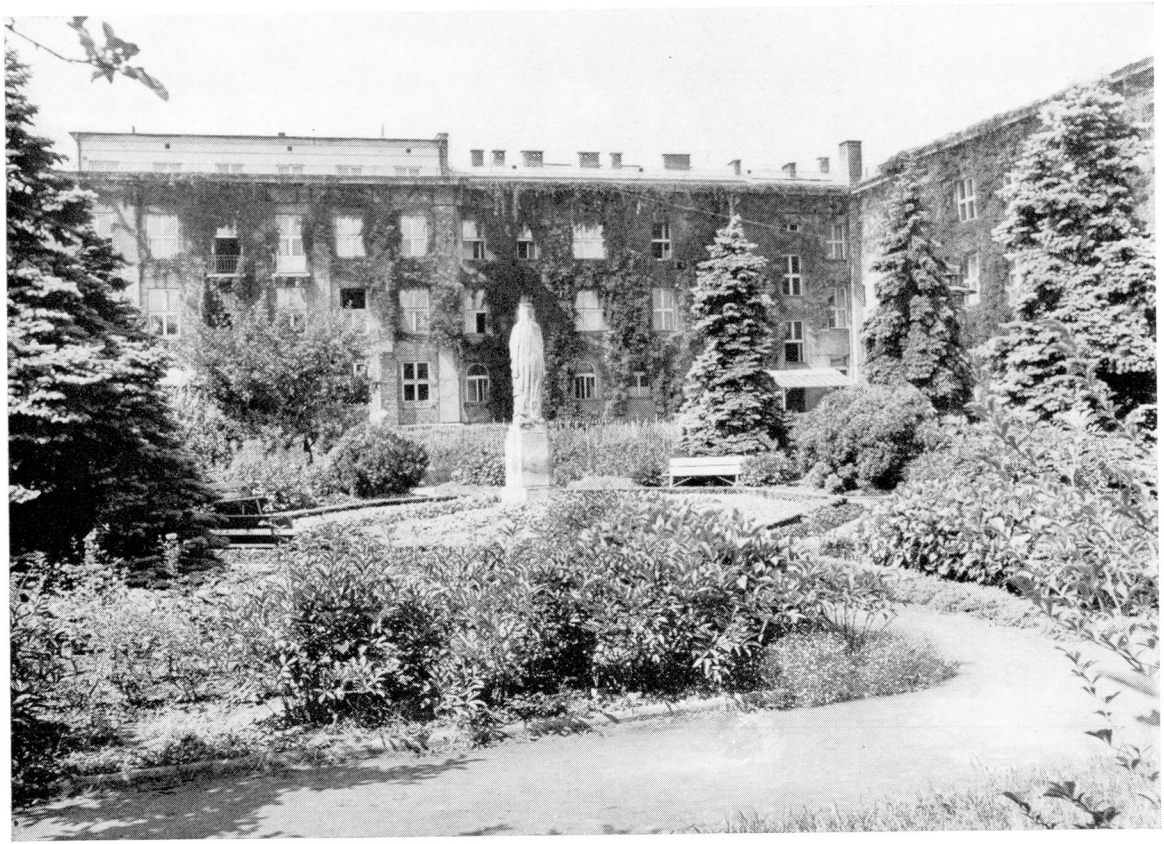

19. Warszawa — ul. Rakowiecka 61

zwykłej gościnności pp. Kuehnów pozostałem tutaj aż do upadku Starówki.

Dziś, kiedy po trzydziestu latach, piszę te wspomnienia, większość osób, które w najtrudniejszych dniach mego życia okazały mi dużo pomocy i życzliwej rady, już nie żyje. Pierwsza umarła babcia, później ks. Kolasiński, proboszcz z Leśnej Podkowy, potem inż. Kuehn i sołtys i Jan Płócienniczak, a przed trzema laty pani dr Kuehn.

Dług wdzięczności spłacam im codziennie w Ofierze Mszy świętej. Największą jednak wdzięczność przechowuję w sercu dla dwu matek, których nie udało mi się odszukać, a które pewnej sierpniowej nocy podzieliły się ze mną kromką chleba, tak drogą, jak życie człowieka.

ks. Edward Bulanda SJ

ROK ŚWIĘTY W « MOKOTOWSKIM SANATORIUM » ORAZ MBP

Po 20 Marca 1950

Któregoś popołudnia, gdy siedziałem na ławie pod ścianą, zajęty rozmową w małym gronie kolegów, po przeciwnej stronie celi siedział na ławie i rozprawiał tonem pewnym siebie, jakby z góry patrząc na otaczających go współtowarzyszy, mężczyzna w sile wieku, o czarnych włosach, śniadej cerze, inteligentnych oczach. Sokratesowską metodą pytań rozwijał problem istnienia Boga. Otoczenie jego coraz częściej milkło, a on podnosząc głos, prowokacyjnie zwrócił się w końcu do mnie. Zeszedł na argument etnologiczny, że ludy pierwotne nie mają żadnej religii... Nie wiedział, że zaczepił o moją specjalność.

Spokojnie poprosiłem kolegów o cierpliwość, by zechcieli wysłuchać najpierw wstępnych uwag na temat etnologii i prehistorii, następnie kultur pierwotnych, poglądów na ten temat szkoły ewolucyjnej i historycznej, a następnie — faktycznego stanu rzeczy na podstawie badań współczesnych. W całej celi nastała wielka cisza. Poprosiłem, aby pytania stawiać na końcu.

Wszystko miałem świeżo w pamięci, gdyż do samego aresztowania dojeżdżałem z wykładami z tej dziedziny na KUL. Zasłuchani jak dzieci w najciekawsze opowieści, zapomnieli koledzy na parę godzin o przykrej rzeczywistości. Trwało to do kolacji. Mój rozmówca po wykładzie postawił parę pytań w sposób rzeczowy, już nie napastliwy, na które spokojnie odpowiedziałem. Od tej chwili rozeszła się po więzieniu fama o wielkim uczonym jezuicie, prowincjale jezuitów.

Zdobyłem sobie także sympatię mego przeciwnika, który na drugi dzień po śniadaniu poprosił o rozmowę i już szczerze pytał, jakie są dowody na istnienie Boga. Przyznał się, że jest niewierzącym komunistą, ale o odchyleniach prawicowych. Był przed wojną asystentem na uniwersytecie wileńskim. Jest

doktorem ekonomii. Pochodzi z Kołomyi. Uważał się za Ukraińca. Rozmawialiśmy prawie codziennie. Otwarcie mówił, kiedy mu przedkładałem dowody filozoficzne, że filozofem nie jest. Wiedzę posiadał encyklopedyczną. Grekę i łacinę znał wyśmienicie.

Kiedyś opowiedział mi następujący fakt, który podważał mu system materialistyczny. Było to na dwa lata przed wojną. Po południu siedział w pracowni uniwersyteckiej. Zdrzemnął się. Przebudziło go wołanie jego rodzonego brata: — « Michał! Ratuj mnie! »

Zerwał się na równe nogi. Chwycił za słuchawkę telefoniczną, by się poinformować w Orbisie, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Kołomyi. Dowiedziawszy się, że o 18 z minutami, poprosił w kancelarii uniwersyteckiej o trzydniowy urlop i wyjechał... Nazajutrz w południe stanął w Kołomyi. Do swej wioski miał 2 km. Udał się piechotą. Po pół godzinie zachodzi na rodzinne pole i zastaje swego starszego brata przy pracy. Wita się z nim, a tamten pyta zdziwiony:

— Co ty tu robisz?

— Wszyscy zdrowi? — odpowiada pytaniem Michał.

— Wszyscy.

— To dziwne! — Chodźmy.

I udali się we dwójkę do domu. Obeszli go i weszli na podwórze. Tutaj uderzył ich widok rodzonej matki stojącej z sąsiadkami nad studnią i wołającej:

— Ratujcie mi syna!

Pobiegł nasz Michał i zobaczył swojego najmłodszego brata w studni, głową na dół zarytego w głębokim mule. Krzyknął:

— Podajcie mi drabinę.

Za chwilę, gdy mu ją podano, zszedł po niej do studni i chwyciwszy topielca za nogi wydobył go z mułu, następnie wyniósł po drabinie do góry. Zastosowano, po ułożeniu na ziemi, sztuczne oddychanie. Po dłuższym czasie nieprzytomny brat Michała otworzył oczy, odetchnął głęboko i zdziwionym spojrzeniem powiódł po wszystkich. Niezmiernie ucieszył się, gdy zobaczył Michała. Matka dopiero teraz zorientowała się, że Michał przyjechał niespodziewanie. Opowiedział im potem w domu, dlaczego.

— Widzicie profesorze — powiada mi, gdy skończył opowiadanie — to jest klin w moim systemie materialistycznym.

Przecież w żaden sposób zdarzenie to jeszcze nie istniało. W jaki sposób wypadek ten mógł działać na mnie uprzedzająco?

Przeszliśmy z tego zdarzenia na dyskusję o pierwiastku duchowym i o jego istocie.

*
* *

Radość nasza, księdza dziekana i moja, była prawdziwie wielkanocna, prawie prymicyjna ... Wtajemniczyliśmy w plany przede wszystkim naszego ministranta Kazia J. Był to szesnastoletni chłopiec, po ósmej klasie, którego skazano na kilka lat więzienia za rzekomą przynależność do podziemnej organizacji. Oprócz niego zostało wtajemniczonych jeszcze sześciu innych więźniów. Ułożyliśmy program: w dzień Wielkanocy, po śniadaniu i po umyciu naczyń, kiedy zaczną się różne gry, rozmowy i czytanie gazet, zbierzemy się za « murem płaczu », bez zwracania na siebie uwagi ... Każdy w pojedynkę uda się na modlitwę: jedni zajdą od strony kraty, drudzy od strony przeciwnej. Za ołtarz będą służyły ręce Kazia. Kielichem będzie kubek więzienny. Korporałem i puryfikaterzem czyste chusteczki. Na noc w Wielką Sobotę — ksiądz dziekan zaleje rodzynki wodą: rano będą napęczniałe. Wyciśnie się je przez czystą chusteczkę do kubka i wino gotowe ... Takie było wyjaśnienie Kongregacji Obrzędów na okres wojny: ważną materią do konsekracji jest wino z rodzynek winnych, zalanych wodą w proporcji pół na pół trzymanych w wodzie przez 5 do 10 godzin. Zamiast opłatków — można użyć białej bułki pszennej.

Oczekiwaliśmy z niecierpliwością świąt ... Ogół przygotowywał dla celi różne imprezy. Powstał komitet złożony z kilku kolegów. Był wśród nich nauczyciel śpiewu. Główną reżyserię objął kapitan KBW, oficer kulturalnych imprez kompanii. Ćwiczono po cichu różne pieśni. Układano i uczono się rozmaitych skeczów, wierszy, opowiadań ... Przewidziano taniec cygana, któregośmy mieli w celi. Przewędrował on obozy niemieckie. Pochodził z Austrii. Jak się znalazł w Polsce, nie wiem ...

Nadeszła Wielka Sobota ... Przed południem zaczął się niezwykły ruch w celi i na korytarzu. Zapowiedziano wydawanie

paczek, jakie przyszły od rodzin na święta. Adresatów wywoływano na korytarz. Tam na olbrzymim stole, strażnicy otwierali otrzymane paczki, sprawdzali co się w nich znajdowało, czy nie było zakazanych rzeczy oraz prowiantów luksusowych jak: pomarańcze, czekolada, a przede wszystkim alkohol. Luksusowe artykuły konfiskowano. Pomarańcze i czekoladę przeznaczano dla więźniów w szpitalu. W paczkach do 7 kg wagi przysyłały rodziny więźniów całe święcone, z chrzanem, mirtem, z pisankami... Znalazło się nawet kropidełko i woda święcona.

Wieczorem, przed apelem, po modlitwach za « murem płaczu » wyspowiadaliśmy się wzajemnie z księdzem dziekanem.

9 kwietnia

Trudno powiedzieć, by w więzieniu mogły być jakiekolwiek święta wesołe... Tym razem jeszcze nie, ale później stwierdziliśmy wszyscy, że władze więzienne właśnie w wielkie święta starały się nam przypomnieć, że jesteśmy w więzieniu.

Tegoroczna Wielkanoc, która przypadła na 9 kwietnia, wstała nam w mokotowskiej celi « ogólniaka » smutnawa ale nie bolesna. Od rana zaczęły się przygotowania do spożycia święconego. Po wysprzątaniu celi i « wyelegantowaniu się » nakryto stoły prześcieradłami z łóżek. Zastawiono je obficie smakołykami z paczek. Wniesiono nam, jak zwykle, lurę zwaną czarną kawą. Gdy już wszystko było gotowe, podeszła do mnie delegacja kolegów z celi z prośbą, bym pobłogosławił pokarmy i przemówił. Wszyscy byliśmy wzruszeni. Poczuliśmy się, pomimo różnicy poglądów, polską rodziną w niedoli. Poświęciwszy dary Boże przysłane nam przez kochające rodziny, złożyłem najpierw wszystkim życzenia ogólne, a potem z każdym z osobna dzieliłem się święconym przepraszając, że swoje śniadanie będę mógł spożyć po rannych kapłańskich pacierzach.

Kolega Michał stał jak sierota smutny pod oknem. Cała jego rodzina była po stronie wschodniej. Nie miał więc od kogo otrzymać paczki. Poranek Wielkanocny nastroił go poważnie i smutno. Podszedłem do niego z talerzykiem i złożyłem bratnie życzenia, by znalazł w życiu miłość, której szuka. Odpowiedział mi pięknym życzeniem, bym był wierny memu

ideałowi kapłańskiemu. Uścisnęliśmy się serdecznie. W celi zrobiło się tymczasem gwarno i wesoło.

Ze śniadaniem nie było się co spieszyć, bo w tym dniu zaniechano raportu porannego. Kiedy skończyło się święcone było po 9-tej. Trzeba było pomyć naczynia. Miałem w sam raz naznaczony dyżur. Ciężkie było, szczególnie w tym dniu, zmywanie łyżek, misek i kubków, bo wszystko nosiło ślady tłustego święconego, a tu woda zimna... Ale jakoś przebrnęło się przez to preludium do Najświętszej Ofiary.

W międzyczasie ksiądz dziekan z Kaziem ministrantem przygotowali wszystko do Mszy św. za « murem płaczu ». Kiedy uporałem się z funkcją dyżurnego w kredensie celi, umyłem sobie dobrze ręce i udałem się na swoją « ranną modlitwę »... W celi zaczęto się bawić, gawędzić lub czytać, a nasza grupka — 9 osób — za kostką z ułożonych na dzień sienników celebrowała w katakumbowym nastroju. Komunię św. przyjął tylko Kazio.

Koło podniesienia — zrobiło się w celi jakoś dziwnie cicho, chociaż rozmowy nie ustawały. Mieliśmy wrażenie, że czegoś domyślano się. Skończyliśmy jednak — jakby nigdy nic.

Po Wielkanocy

Mimo dużych ostrożności, by nasza Msza św. odbyła się w ukryciu, rozeszło się po celi, że celebrowałem... Skutek był taki, że w następne dni podchodzili do mnie różni koledzy, kiedy się modliłem za « murem płaczu », prosząc o spowiedź i w najbliższą niedzielę o Komunię św. Cieszyłem się, że byłem potrzebny.

Pasterka

W Wigilię po śniadaniu przygotowałem dyskretnie naszą celę na wieczorną Pasterkę. Po rozdaniu kolacji, kiedy się uciszy w MBP, wiadomo było, że strażnicy urządzą sobie jakiś wieczór wigilijny. Nasz telegrafista, a zarazem ministrant P.E.D., powiadomił naszych sąsiadów o godzinie Pasterki i zapowiedział, że kto by zechciał, może skorzystać ze spowiedzi. W sąsiedniej celi znajdował się jeden ze sodalisów-akademi-

ków o. Tomasza Rostworowskiego. Zajął się on przygotowaniem swojej celi do udziału we Mszy św. Mieli tylko trudność, jak będzie wyglądała spowiedź przez ścianę. Wyjaśniłem, że nie będzie to spowiedź uszna, ale jak na froncie: kto zechce, przygotuje się wobec Boga, zrobi rachunek sumienia, obudzi żal, a o danej godzinie, przewidzieliśmy 17-tą, podejdzie do ściany naszej celi i da znać, że prosi o odpuszczenie grzechów. Wtedy z naszej strony ministrant da znać, że ksiądz udziela mu w tej chwili rozgrzeszenia. Po wyjściu zaś z więzienia każdy wyzna swoje winy na najbliższej spowiedzi.

Po śniadaniu wziąłem pół kieliszka rodzynek, wrzuciłem je do kubka więziennego i zalałem wodą. Trzymałem je w wodzie do 10 godzin. O godzinie 17-tej — skorzystało zdaje się dwóch sąsiadów ze spowiedzi przez ścianę, a jeden z usznej spowiedzi w naszej celi. Ogół moich kolegów w tej celi odnosił się z rezerwą do religii.

O godzinie 17,30 roznieśli w więzieniu « czarną kawę » na kolację. Po godzinie 18,30 uciszyło się... Wtedy przygotowałem sobie mój kubek z winem na kaloryferze z boku celi. Nakryłem go jedwabną chusteczką, jak palką i puryfikaterzem. Druga chusteczka służyła za korporał. Do Komunii św. miał przystąpić tylko mój ministrant. Komunii św. do sąsiedniej celi nie dało się żadną miarą przenieść.

Formularz Mszy św. ułożyłem sobie na podstawie brewiarza. Wszyscy bez wyjątku usiedli skupieni na pryczy naprzeciw kaloryferu. Jeden tylko przeszedł się od czasu do czasu, by dać znać stuknięciem w ścianę, jaka jest w danej chwili część Mszy św. Po skończonej Pasterce przeczytałem urywek z Ewangelii i przemówiłem do braci-więźniów. Nawiązałem do katakumbowej agape i naszej polskiej wigilii w domach rodzinnych. Złożyłem im następnie życzenia, łamiąc się z każdym z osobna opłatkiem. Powstał ogólny płacz... Pierwszym, który rzucił mi się na szyję i szlochał jak dziecko dziękując za pierwszą w życiu tak przeżytą chwilę był Żyd-Ormianin. Następnie podszedł major ze łzami i wszyscy inni po kolei. Teraz, pomodliwszy się chwilę, zabraliśmy się z naszym ministrantem do przygotowania wieczerzy wigilijnej. Dostałem, ze względu na dwa święta, dwa litry mleka. Wszystkim przyrządziłem białą kawę, dobrze osłodzoną. Każdy otrzymał porcję białej bułki dobrze posmarowanej masłem. Na wierzchu poło-

żyłem po kilka rodzynek, aby symbolizowały różne mazurki, babki, serniki ... Mieliśmy istotnie Wierzynkową wigilię. Wszyscy się rozpogodzili i zaczęli nucić, oczywiście po cichu, kolędy ... Strażnicy nam nie przeszkadzali. Przyszedł apel wieczorny. Po nim ułożyliśmy się na pryczy, ale o spaniu nie było mowy ... Teraz każdy po kolei opowiadał, jak wyglądała ostatnia wigilia w domu. Snuli także wspomnienia z czasów wojny ... Zasnęliśmy dopiero gdzieś nad ranem.



placówki prowincji wielkopolsko-mazowieckiej

rok 1926

Chełm Lubelski

Kalisz Wlkp., Stawiszyńska 2
Lublin, Al. Racławickie 15
Królewska 9
Łęczyca, Poznańska 13
Łódź, Kościelna 10

Pińsk
Piotrków, Pijarska 2
Poznań, Szewska 18

Warszawa, Świętojańska 12
Wilno, Wielka 58

DOMY MISJI WSCHODNIEJ

Albertyn
Synkowicze

rok 1976

Bydgoszcz, Farna 2

Gdańsk, Mickiewicza 11
Św. Bartłomieja 1
Gdynia, Tatrzańska 35
Jastrzębia Góra, Kaszubska 20
Kalisz Wlkp., 23 Stycznia 2

Lublin, Królewska 9

Łódź, Sienkiewicza 60
Skłodowskiej 22
Otwock, Moniuszki 2

Piotrków, Pijarska 4
Poznań, Szewska 18
Radom, Grodzka 10
Szczecin, Pocztowa 22
Święta Lipka
Toruń, Piekary 24
Warszawa, Narbutta 21
Rakowiecka 61
Świętojańska 10

SPIS ILUSTRACJI AKTUALNYCH PLACÓWEK
PROWINCJI WIELKOPOLSKO-MAZOWIECKIEJ
TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

1. Bydgoszcz — parafia św. Andrzeja Boboli
2. Gdańsk — parafia św. Andrzeja Boboli
3. Gdańsk — kościół św. Bartłomieja
4. Gdynia — dom zakonny
5. Jastrzębia Góra — placówka
6. Kalisz — fragment domu
7. Lublin — wnętrze kościoła św. Piotra, ul. Królewska
8. Łódź — parafia im. Jezus
9. Łódź — kościół Niepokalanego Poczęcia NMP
10. Otwock — placówka
11. Poznań — kościoł Najśw. Serca Jezusowego
12. Piotrków — prezbiterium
13. Radom — kościół Św. Trójcy
14. Szczecin — parafia św. Andrzeja Boboli
15. Święta Lipka — sanktuarium maryjne
16. Toruń — kościół Św. Ducha
17. Warszawa — kaplica św. Szczepana, ul. Narbutta
18. Warszawa — wieża kościoła Matki Boskiej Łaskawej, ul. Świętojańska
19. Warszawa — ul. Rakowiecka 61
20. Mapa

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne ojca prowincjała, Tadeusza Koczwary SJ . 5

Dekret generalski z dnia 31 lipca 1926 roku 7

Ojciec generał Ledóchowski — ks. F. Paluszkiewicz SJ . . 11

Ojciec prowincjał Stanisław Sopuch — ks. F. Paluszkiewicz SJ 23

Wizyta o. generała P. Arrupe w Polsce — ks. F. Paluszkiewicz SJ 33

Szare szeregi 41

Sekretarz (Br. Jan Kozieł) — ks. F. Domański SJ . . 43

Jeden z trzydziestu kilku tysięcy (O. Kazimierz Kucharski) — ks. T. Rostworowski 49

Apostoł (O. Tomasz Rostworowski) — Wanda Kieszkowska 63

Dzieje jednego powołania (Br. Józef Kuropatnicki) — ks. F. Paluszkiewicz SJ 75

Krzak gorejący (O. Józef Wieteska) — ks. J. Majkowski SJ 89

Musiało wystarczyć błogosławieństwo — ks. A. Chrobak SJ 101

Byłem nauczycielem — ks. H. Lubomirski SJ . . . 115

Misje ludowe 119

Siewca słowa bożego (O. Stanisław Urban) — ks. F. Domański SJ 121

Zapiski z prac rekolekcyjnych — ks. Cz. Białek SJ . 129

Misje zagraniczne 141

Mufundishi Zabdyr (O. Władysław Zabdyr) — ks. F. Woda SJ 143

Nchoranchinga (O. Stanisław Goździk) — ks. Br. Stefaniszyn SJ 147

Na posterunku (O. Władysław Lęcznar) — ks. St. Nowicki SJ 151

Nazywano go « brother Andrew » (Br. Andrzej Jędrzejczyk) — br. J. Boroń 153

Praca naukowo-wydawnicza 159
Wydział Teologiczny Towarzystwa Jezusowego — ks. F. Paluszkiewicz SJ 161
Profesor (O. Jan Roth) — ks. M. Żurowski SJ . . . 165
Dom Pisarzy — ks. F. Paluszkiewicz SJ 181
Duszpasterz i pisarz (O. Jan Rostworowski) — ks. St. Wawryn SJ 187
Tytan pracy (O. Eugeniusz Reczek) — ks. F. Paluszkiewicz SJ 195

Praca charytatywna 205
Wasze niedole nie są mi obojętne (Br. Antoni Noniewicz) — ks. J. Wojciechowski SJ 207
Ambasadorzy polskości — S. Sulima 211
Kolega seminaryjny (O. Józef Urpsza) — bp Z. Kraszewski 215
Będziesz ojcem wielu (O. Józef Urpsza) — s. M. Ponichter, nazaretanka 221
Pamięć o nim nie zagaśnie (O. Józef Urpsza) — W. Kieszkowska 227

Martyrologia 233
Wspomnienie z września — br. B. Mrozek SJ . . . 235
W pasiaku do nieba (O. Stanisław Felczak) — ks. F. Domański SJ 245
Z wojennej historii kolegium wileńskiego — ks. St. Dzierżek SJ 257
Na ratunek człowiekowi — ks. Cz. Białek SJ . . . 267
Stos ofiarny — ks. K. Sawicki SJ 273
Rok Święty w « mokotowskim sanatorium » oraz MBP — ks. E. Bulanda SJ 299